

ARKADIUSZ NIEMIRSKI

POJEDYNEK DETEKTYWÓW

OSSOLINEUM

2003

1

Demiurg czekał na mnie w czarnej limuzynie przy głównej szosie pod lasem niedaleko Magdalenki. Podobno tym razem nie chodziło o mojego brata Marka. Uwierzyłem mu.

- Czy pan wie, panie Arturze - odezwał się cicho po chwili, siedzący na tylnym siedzeniu auta, szef agencji detektywistycznej CIOŚ - gdzie leży Oporów?

- Oporów? - uniosłem wysoko brwi i odgarnąłem ręką zawiesziste kłęby dymu z cygara, którym raczył się apodyktyczny Demiurg. - To gdzieś blisko Łodzi?

- Z geografii nieźle - uśmiechnął się zdawkowo, ale zaraz jego okrągła i różowa twarz

sposepniała. - Ciekawe, czy równie dobry jest pan z historii.

- Uczę matmy.

- W Oporowie koło Kutna znajduje się pewien gotycki zamek - mówił dalej Demiurg, nie zważając na moją uwagę. - Bardzo dobrze zachowany. Teraz mieści się tam Muzeum

Wnętrz Stylowych. Proszę.

Rozsypał na moje kolana jakieś duże fotografie przedstawiające okazały i zbudowany

z czerwonej, ciężkiej cegły zamek otoczony fosą. Inne zdjęcia przedstawiały ów zamek z

pewnej perspektywy, która uwzględniała istnienie dookoła niego imponującego parku.

- Piękny zabytek - westchnąłem i spojrzałem w gadzie oczy Demiurga. - Ale w czym mogę pomóc?

Mężczyzna wypuścił kolejną chmurę cygarowego dymu i wyjął zza pazuchy mniejsze zdjęcie zrobione innym aparatem. Fotka przedstawiała jakąś tabliczkę pokrytą prawie

równomiernie, jak się zdawało, hieroglifami. Jednakże, gdy lepiej się im przyjrzałem,

stwierdziłem, że były to zwykłe litery i kilka znaków.

- To zapewne jakiś szyfr, panie Arturze - powiedział Demiurg. - Nie tak dawno archeolodzy wygrzebali z ziemi oporowskiej trumnę ze szkieletem jakiegoś ważnego biskupa.

Nazywał się Władysław Oporowski. Przy nim znaleziono tę tabliczkę. Aha, to żelastwo

pochodzi najprawdopodobniej z XVII wieku, a ten Oporowski zmarł w połowie XV wieku.

Dziwne, co?

- Interesujecie się archeologią? - zdziwiłem się, odpowiedziawszy mu niezbyt grzecznie pytaniem na pytanie.

- Gdzie tam - prychnął. - Ale właściciel zamku, to jest muzeum, razem ze swoim sponsorem zwierzyli okazję do rozgłosu i uczynienia z Oporowa sławnego, historycznego

miejsca w Polsce. Wyznaczono nawet nagrodę w wysokości dwudziestu tysięcy euro dla tego,

kto znajdzie skarb. Aby nadać sprawie jeszcze większy rozgłos, zaproszono do Oporowa w

charakterze gości różnych zdolnych ludzi, inteligentnych typów, niby-detektywów. Prawdziwe agencje detektywistyczne nie zgodziły się bowiem na udział w tej, ich zdaniem,

groteskowej i niepoważnej zabawie. A nasze państwo jest za biedne na przeprowadzenie

jakichkolwiek badań tego typu. Zorganizowano zatem coś na wzór pojedynku detektywów. I

to nas zainteresowało. Na szczęście przypomniałem sobie o panu i jego zamiłowaniu do łamigłówek.

- Nie znam się na historii - zaprotestowałem. - Poza tym mamy październik i...

- Ale pan lubi zagadki i szyfry! Szkoła, w tym wypadku, może poczekać.

- W piątek ma być klasówka z trygonometrii.

- Niech pan da popalić uczniom w czwartek, a na piątek i cały przyszły tydzień weźmie urlop - mówił dalej niewzruszony szef CIOS-u. - Należy się panu. Od dwóch lat nie

był pan na wczasach. Ostatnie wakacje pan przepracował.

- Skąd pan o tym wie?

- Nieważne - machnął ręką. - Ale trochę wolnego się panu należy. Załatwimy to jakoś

z dyrektorem. W piątek o dwunastej w południe proszę przyjechać do zamku w Oporowie.

Macie ponad tydzień na znalezienie rzekomego skarbu, bo wszystko na to wskazuje, że ta

tabliczka zawiera zaszyfrowaną wiadomość o miejscu jego ukrycia.

- Macie? - zmarszczyłem czoło. - Czyżbym miał kogoś do pomocy?

- Właśnie. W zamku będzie działać nasz drugi człowiek, ale, pan wybaczy, nie mogę

na razie ujawnić jego tożsamości. Najlepiej niech pan zapomni o nim i działa na własną rękę.

W odpowiedniej chwili ten ktoś sam się do pana zgłosi.

Demiurg „połknął” solidną porcję dymu i wydmuchnął ją zaraz z płuc. Spoza gęstej chmury o lekko miodowym aromacie zerkały na mnie jego przenikliwie błyszczące oczy,

niewiele nieruchome, idealna wizytówka niedostępnej i władczej osobowości.

- Niech pan pamięta - dodał cicho, jakby pouczał malca. - Oporów. Zamek.

Dwudziestego piątego października. Spotkanie detektywów. Proszę przedstawić się innym

detektywom jako detektyw-amator, który o całej sprawie dowiedział się z prasy. I ani słowa o

agencji, i o tym, że jest pan naszym konsultantem. Rozumie pan? A to dla pana.

I rzucił mi na kolana wycięte z gazety ogłoszenie o pojedynku detektywów, kilka banknotów zaliczki i fotografię oporowskiej tabliczki.

Do późna w nocy studiowałem wyryte w kwadracie znaki i - jak na razie - nie mogłem

z nich niczego odczytać. Nie był to kwadrat magiczny, żaden starożytny abak, macierz czy

tablica matematyczna. Był to kwadrat złożony z siedmiu kolumn i siedmiu wierszy, zapisany

literami i znakami. To nie było zadanie dla matematyka. A może przeceniałem swoje siły i

Demiurg ocenił moją przydatność w tej sprawie zbyt optymistycznie?

Zapytacie pewnie, co w ogóle łączyło skromnego nauczyciela matematyki z agencją detektywistyczną?

Zacznę od tego, że mój pradziadek był matematykiem - wykładowcą w przedwojennym gimnazjum. Jego wnuk, a mój ojciec, Konstanty Burski, został sławnym

matematykiem. To pewnie dlatego odziedziczyłem po przodkach zamiłowanie do przedmiotów ścisłych, tak samo jak mój młodszy brat. Ba, Marek był nawet zdolniejszy ode

mnie i miał ambicje znacznie wyższe niż czerpanie satysfakcji z wkładania do leniwych,

młodych głów licealistów teorii macierzy czy całkowania. Ja zostałem z trudem wykształcony

na nauczyciela, on zaś miał zadatki na kogoś wyjątkowego, tak jak nasz świętej pamięci

ojciec. Marek Burski - młodszy o dwa lata braciszek, na którego wołałem zawsze Smarkacz -

wybrał jednak karierę okrytą mgłą domysłów i kilku nagłośnionych przez media afer.

Podobno grał na giełdzie i spekulował papierami wartościowymi. Jak głosiła plotka, opracował niezawodny system przewidywania wahań cen giełdowych, na czym zbił fortunę.

Z naszą rodziną zerwał definitywnie kilka lat temu. Gdzie mieszkał, nie wiedziałem, ale chodziły słuchy, że w wyjątkowo dużej willi stylizowanej na dworek. Miał najlepsze samochody i świetny gust, jeśli chodziło o kobiety, ubrania i tym podobne zainteresowania.

Słuchał namiętnie muzyki rockowej i odwiedzał ekskluzywne dyskoteki. Jak wyraziła się kiedyś złośliwie nasza ciotka, Marek odziedziczył po matce gen nowoczesności. Ja, zdaniem ciotki, dostałem po ojcu gen staroświeckości. Stanowiłem zatem kompletne przeciwieństwo Smarkacza.

Byłem typem raczej przeciętnym. Moja była narzeczona mówiła na mnie w chwilach złości: „nudny aż do bólu”. Cóż, może miała rację, zważywszy na moje zamiłowanie do

lektury i ciągle sprawdzanie klasówek wieczorami. Udzielać się towarzysko nie lubiłem i z

pewnością nie byłem tak przystojny jak nasza gwiazda - Mareczek. W szkole wołano na mnie

Artur Liberales! Brzmiało nieźle, chociaż może zbyt pompatycznie. To sprawka moich

uczniów, którzy zastąpili imieniem Artur podobnie brzmiące artes z łacińskiego wyrażenia

artes liberales, co znaczyło przecież „sztuki wyzwolone”. Dlaczego dzieciaki wybrały ten, a

nie inny pseudonim? Pewnie dlatego, iż uważałem matematykę za naukę humanistyczną.

Moim zdaniem wzory matematyczne miały elegancję i duszę, a piękna bywało w nich więcej

niż w niejednym targającym uczuciami wierszu szalonego poety. Wzorem artes liberales

pragnąłem widzieć matematykę złączoną w jednym uścisku z gramatyką, astronomia, a nawet

z muzyką. Jeden z filozofów, Leibniz, twierdził nawet, że matematyka jest językiem Boga.

Miał chyba rację. Kiedy słucha się fugi Bacha, ma się wrażenie, że to dźwięczy cudownie

skrojone równanie matematyczne! I w dodatku przyjemne dla ucha.

Wracając do mojej skromnej osoby, to mieszkałem w bloku przy ulicy Żwirki i Wigury niedaleko lotniska na Okęciu, żyłem ze skromnej pensji nauczyciela w warszawskim

liceum, a zainteresowanie mną agencji CIOS zawdzięczałem mojemu bratu Markowi.

Agencja CIOS (której nazwę rozszyfrowałem jako skrót od słów: cicho, inteligentnie,

ostrożnie i sprytnie) zwróciła się kiedyś do mnie z prośbą o pomoc w toczonym przeciwko

bratu śledztwie. Pomocy - rzecz jasna - nie udzieliłem. Obowiązek obywatelski obowiązkiem,

ale nie mogłem przecież wsypać rodzonego brata. Poza tym ja naprawdę nic o działalności

Marka nie wiedziałem. Potem, zdaje się, że po roku, znowu mnie poproszono o taką pomoc. I

tym razem odmówiłem. Odmówiłbym i teraz, gdyby nie to, że Demiurg miał do mnie całkiem

inną sprawę. „Łamigłówkę” - jak się wyraził. Poza tym ani słowem nie wspomniał o Marku.

Tylko skąd wiedział, że uwielbiam rozwiązywać łamigłówki? Demiurg wiedział o mnie sporo, na przykład to, że wakacje przepracowałem na obozie młodzieżowym.

Nie

wspomniał jednak nic o tym, że z kilkoma uczniami udało mi się odnaleźć zakopaną w ziemi

hrabiowską zastawę w ogrodzie jednego z dworów w Wielkopolsce. Kluczem do odnalezienia prawie trzystu sztuk talerzy, półmisek, sosjerek, filiżanek i kielichów z białego

i zielonego szkła był zapisany szyfr w pamiętniku hrabiego.

Ale czy to możliwe, aby Demiurg o tym nie wiedział?

\*

Ku oburzeniu uczniów klasówkę z trygonometrii zrobiłem w czwartek, ale gdy oświadczyłem, że nie będzie mnie przez najbliższy tydzień - w klasie wybuchł radosny wrzask.

Zwolniłem się w piątek rano, tłumacząc się pilnymi sprawami rodzinnymi, i pojechałem do serwisu odebrać popsuty niedawno laptop. Potem przez godzinę pakowałem

potrzebne rzeczy. Po prostu tak bardzo zainteresowała mnie sprawa owej tabliczki z

Oporowa, a i honorarium obiecanie przez Demiurga znacznie przekraczało wszystkie moje

długi i najbliższe wydatki łącznie.

Gdzieś koło jedenastej wyszedłem z domu, aby wsiąść do starego mini-morrisa, samochodu, który z moją była narzeczoną nazywaliśmy pieśczośliwie Traktorem z powodu

uszkodzonego tłumika. Jakoś przez lata nie udało mi się go naprawić. Samochód był

wiekowy, gdyż mój ojciec dostał go w prezencie od uniwersytetu Cambridge, na którym

wykładał jeszcze w latach osiemdziesiątych, jak by nie było, ubiegłego stulecia. To był

oryginalny, angielski Mr Mini z kierownicą po prawej stronie. Ojciec nie lubił go (to chyba z

powodu tej kierownicy), Marek zaś wolał nowe sportowe samochody. Z kolei moja narzeczoną jeździła golfem, oryginalny mini-morris stał się więc moim autem.

Niszczą pod

blokiem, a w drodze do szkoły i ze szkoły warczał coraz głośniejszym niczym rolniczym ciągnikiem.

Po wyjściu z domu na ulicę stwierdziłem ze zdumieniem, że ktoś go ukradł. Tak właśnie! Jeszcze nie tak dawno Traktor stał na parkingu za szpalerem krzaków,

ale teraz go

tam nie było.

Do spotkania w Oporowie miałem dwie godziny, a tu ta sprawa z samochodem, co za pech!

Policja nie miała wiele do powiedzenia.

- Kradzieże to normalka - pocieszał mnie po pewnym czasie łysiejący sierżant. - Pewnie jakieś zwariowane szczeniaki ukradły dla zabawy. Ale jeśli to stary

samochód, to

pewnie daleko nim nie zajadą. Niech pan siedzi w domu, a my go znajdziemy.

Nie wiedziałem, co robić? Czy czekać na policyjny raport niczym trusia i

zrezygnować z misji w Oporowie? Tego nie mogłem zrobić Demiurgowi. Zresztą tajemnicza

tabliczka Oporowskiego bardzo mnie intrygowała, zaliczka zaś zobowiązywała. A Traktor

albo się znajdzie, albo i nie. Na to nie miałem już wpływu.

„Szkoda Traktora - pomyślałem ze smutkiem. - Dobra maszyna, ale czas pomyśleć o nowym aucie”.

W ten oto sposób zdecydowałem się na wyjazd do zamku.

Jednakże, aby tam się dostać, musiałem poprosić o podwiezienie młodą sąsiadkę, utalentowaną pianistkę Jolę, wynajmującą kawalerkę na moim piętrze. Wprowadziła się do bloku zaraz po tym, jak rozstałem się z moją narzeczoną. Te melodie, wygrywane na pianinie, zastępowały mi drugą osobę (ściany w naszym bloku są cienkie) i łatwiej mi było znieść samotność. Dziewczyna bowiem całymi dniami bębniła w klawiaturę. Do znudzenia. Po prostu ćwiczyła preludia i sonaty na konkurs pianistyczny. Owe koncerty umilały mi z początku samotne popołudnia, ale z biegiem dni nie pozwalały wieczorami także zasnąć. Ale i tak lubiłem Jolę. I ona, zdaje się, lubiła mnie. Może dlatego, że nie byłem jej nauczycielem od matematyki, a przyznała się kiedyś, że bardzo, ale to bardzo nie lubiła matmy. Zresztą Jola była studentką i jej radosne pożegnanie z matematyką odbyło się na maturze pięć lat temu. Pojęcia nie mam, jak ona zdała ten egzamin? Ale trzeba przyznać - pianistką była dobrą.

- Czy podwiezienie mnie do Oporowa nie zostanie okupione przegraną w konkursie pianistycznym? - zagaiłem żartobliwie, ale też nieco wymuszenie. Jola zgodziła się bez wahania. Była czwarta po południu.

\*

Czy wiecie, gdzie leży Oporów? To jedna z wielu polskich wsi leżących w południowym regionie Niziny Mazowieckiej, na spokojnej, płaskiej i urodzajnej równinie w powiecie kutnowskim, stanowiącej symbol naszej ziemi, gdyż to właśnie od pól pochodzi nazwa naszego kraju - Polska. Wieś, zdawało by się, jedna z wielu, ale odróżnia ją od tysiąca innych pewien szczegół, a mianowicie to, że znajduje się tam wspaniale zachowany zamek rycerski wybudowany przez ród Oporowskich w XV wieku. Oporów leży w gminie Żychlin. To najzwyklejsza w Polsce gmina. Jesienią panuje tam delikatna melancholijna aura, ale przez to jest bardzo polska, mazowiecka. Monotonia i smutek nie są tu jednak przygnębiające, raczej niosą ze sobą wewnętrzny spokój. Gdy się jednak podjeżdża do pobliskiego Oporowa wąskim asfaltem prowadzącym z Żychlina od południowego wschodu, wyłania się kawałek zadrzewionego obszaru hen na horyzoncie za połaciami zaoranych pól. Zrazu obszar ten wydaje się zwykłym laskiem, w miarę jednak zbliżania się do dawnej rezydencji Oporowskich, Sołłohubów czy Orsettich (tyle zdążyłem wyczytać), utwierdzamy się w przekonaniu, że za żółtobrązowymi, teraz falującymi delikatnie na wietrze, koronami drzew znajduje się coś osobliwego. Aż wreszcie konstatujemy, że oto zbliżamy się do niezwykle pięknego i zabytkowego parku, którego masywni i milczący strażnicy sięgają w górę do wysokości czterdziestu metrów. Jeszcze tylko trzeba objechać skraj dziesięciohektarowego parku od zachodu (przy małym stawie znajduje się zamknięta główna brama) i wzdłuż długiego ceglano-

obmurowania

dotrzeć do bocznej bramy północnej naprzeciwko innego stawu i biblioteki wiejskiej.

Wąska czarna droga prowadzi pod samą fosę, która otacza wybudowany na niewielkim wzniesieniu nieduży, ale przepiękny późnogotycki zamek. Pojawia się on z nagłą,

wyłaniając zza opadających potężnych ramion wielkiego kasztanowca stojącego na końcu

alejki, nie wiadomo skąd i jak. To takie uczucie, jakbyśmy w jednej chwili znaleźli się w

magicznej, baśniowej krainie, w mgnieniu oka przeniesieni przez dobrą wróżkę z jawy w sen.

Tak oto, oddając się marzeniom, dotarłem spóźniony do Oporowa.

W tej chwili patrzyłem już tylko na zamek pograżony w ciężkim mroku nadchodzącego wieczoru. Zwięzła majestatyczność murów odbijających się w wodach okalającej je fosy musiała wprawić w zachwyt każdego świeżo przybyłego turystę.

Wysiadłem z malucha, zabrałem swoje rzeczy i pożegnałem zawiedzioną Jolę.

Poczuła, że przygnała mnie tutaj jakaś ekscytująca przygoda i zaczęła mi jej zazdrościć.

Niestety, musiałem ją namówić do szybkiego powrotu.

- Jolu - chrząknąłem. - Nie możesz zostać. Już późno.

- Nie lubię jeździć po ciemku - broniła się, rozglądając po zaparkowanych samochodach, a potem oglądając zamek. - Jaki ładny zamek, prawda?

- Zamek ładny, ale konkurs pianistyczny trzeba wygrać.

Chyba pojęła, w czym rzecz. Il już po chwili wykręciła szybko przed wielkim owalnym gazonem naprzeciwko drewnianego mostu i zawróciła, nie pożegnawszy mnie nawet machnięciem ręki. A ja zostałem sam z torbą u nogi przed rzędem innych samochodów.

Wiatr tutaj nie dochodził, tłumił go skutecznie parkowy drzewostan, a więc wszystko

było dziwnie nieruchome, jak z obrazka, tak że czułem dosadność każdego szczegółu, chociaż

już od kwadransa zapadał wszechogarniający zmierzch.

Z tyłu dobiegł mnie kobiecy głos. Ktoś mnie wołał. Odwróciłem się. Na piaszczystej

alejce obok piętrowego domku, oddalonego od fosy o jakieś pięćdziesiąt metrów, stała i

machała do mnie kobieta w średnim wieku. Jej postać i głos bezpowrotnie zniszczyły wpisany

w ten krajobraz absolutny spokój.

Ale przecież wybrałem się do żywych, a nie do martwych.

- Halo! Proszę pana! Tutaj! Ruszyłem niezdarnie w jej stronę.

To była, jak się po chwili dowiedziałem, pani Teresa, sprzątaczką, która przygotowywała właśnie pokoje dla gości w dawnym domku dla służby. Wziąwszy pod uwagę moje spóźnienie oraz liczbę samochodów parkujących przed zamkiem - a były tam

między innymi imponujące sportowe BMW i okazała alfa romeo - spotkanie detektywów

musiało już trwać w najlepsze.

Ciekawiło mnie, który z tych pojazdów należał do drugiego, a raczej pierwszego detektywa przysłanego przez CIOŚ.

- Właśnie trwa zebranie w Sali Jadalnej. Proszę tam pójść, bo mówią o ważnych sprawach. A torbę niech pan zostawi tutaj w tym pawilonie zwanym Domkiem Neogotyckim.

Pani Teresa wskazała piętrowy domek, przed którym staliśmy.

- Zamieszka pan na pięterku w jedyńce - poinformowała mnie. - A zresztą niech pan

da mi tę torbę, a sam idzie czym prędzej do zamku.

Pobiegłem, jak radziła.

W przytulnym i ciepłym wnętrzu zamku, na jego pierwszym piętrze, prosto z kamiennych schodów wszedłem do pograżonego w mroku wysokiego przedsionka.

Stamtąd  
mogłem się dostać do ciemnej sali po lewej stronie, zajmującej piętro zamkowej  
wieży. To  
musiała być właśnie Sala Jadalna, o której mówiła pani Teresa, gdyż dochodził z  
niej  
ściszony kobiecy głos. Cichutko wsunąłem się tam na palcach i zająłem miejsce na  
pierwszym lepszym krzeselku przy wejściu. Było ciemno. Widziałem jednak  
niewyraźne  
sylwetki ludzi, siedzących na stylowych fotelach przy owalnym stole, pogrążonych  
w  
absolutnym skupieniu. Wpatrywali się w przenośny ekran umieszczony pod oknem  
naprzeciwko wejścia, a ktoś obsługiwał stojący bliżej mnie, na krawędzi stołu,  
rzutnik. Osoba  
ta prowadziła prelekcję i na moment odwróciła głowę, gdy drewniana, wysłużona  
podłoga  
zaskrzypiała pod moimi butami.  
Na ekranie ujrzałem powiększony schemat tabliczki, tej samej, której zdjęcie  
otrzymałem od Demiurga.  
- Tabliczka pochodzi ze znalezionej w zeszłym roku trumny ze szczątkami  
Władysława Oporowskiego - opowiadała kobieta obsługująca rzutnik. - Tak sądzą  
historycy  
sztuki. Badania tabliczki oporowskiej wykazały, że została wykonana z miedzi w  
XVII  
wieku. Przechowała się w dobrym stanie tylko dzięki temu, że przeleżała w glebie  
średniogliniastej. Oczyszczono ją z prawie dwumilimetrowej warstwy śniedzi i  
odczytano  
wszystkie znaki, które zdają się układać w siedem kolumn i siedem wierszy. Nie  
udało się jak  
na razie odgadnąć jej treści, ale nie ulega wątpliwości, że to szyfr prowadzący  
do miejsca  
ukrycia skarbu.  
Na ekranie pojawiła się fotografia pokrytej śniedzią tabliczki, a następnie  
kolejne  
ujęcie tej samej tabliczki już po oczyszczeniu chemicznym.  
- Niektóre litery i cyfry dało się ledwo odczytać, na obrzeżach występują wżery  
-  
kontynuowała kobieta. - Szkielec biskupa również przetrwał dzięki specyficznym  
właściwościom gleby, tak samo jak drewniane części skrzyni, w której znajdowały  
się zwłoki.  
Gdyby zakopano je w glebie piaszczystej, dzisiaj z kości zostałyby jedynie  
wapienny pył.  
- Skąd wiemy, że to kości Oporowskiego? - zapytał ktoś z sali.  
- To jedynie moje przypuszczenie. Cofnijmy się może jednak do 1453 roku. Wtedy  
to  
zmarł fundator klasztoru oporowskiego. Akt fundacyjny sporządził na cztery dni  
przed  
śmiercią, zmieniając kościół parafialny na konwentualny i zakonny. To ciekawa  
postać.  
Urodził się w 1385 roku. Wiedzę prawniczą wyniósł z Akademii Krakowskiej, potem  
był  
nawet jej rektorem. Piastował wiele państwowych godności przy królu Władysławie  
Jagiellę.  
Szczylił się opinią znakomitego prawnika i polityka, a także duchownego, gdyż na  
początku  
kariery był proboszczem łączyckim, a później został prymasem! W diecezji  
gnieźnieńskiej nie  
należał jednak do popularnych postaci i uchodził za przeciwnika kardynała  
Zbigniewa  
Oleśnickiego. Najchętniej przebywał u boku króla i rzadko odwiedzał Gniezno.  
Ciekawostką  
jest to, że po śmierci prymasa jego ciało chciano sprowadzić do katedry. Na

wydanie zwłok  
nie zgodziła się jednak rodzina, bo taka była ponoć wola zmarłego. Aż do czasu  
najazdu  
szwedzkiego doczesne szczątki fundatora zamku i kościoła spoczywały w spokoju,  
strzeżone  
przez miejscowych paulinów. Podobno nieźle zachowane, ale to tak na marginesie.  
Na  
wiadomość o zbliżaniu się Szwedów do Oporowa w 1657 roku przeor konwentu, ojciec  
Gabriel, w obawie przed grabieżą postanowił przenieść w bezpieczne miejsce  
trumnę  
arcybiskupa oraz skarbiec klasztorny, zawierający wiele kosztowności. W  
największej  
tajemnicy, pod osłoną nocy, zrealizował swój zamysł. Go było dalej? Szwedzi po  
zajęciu  
Oporowa splądrowali klasztor, ale skarbów nie udało się im znaleźć. Oczywiście,  
poddany  
torturom przeor Gabriel nie zdradził miejsca ukrycia skarbów oraz trumny. I tak  
oto  
niewyjawiony nikomu sekret zabrał do grobu, gdyż zmarł po doznanych męczarniach.  
Szwedzi, opuszczając Oporów, podpalili zamek i kościół, a także miasteczko.  
Ocalał tylko  
klasztor, w którym sługa kościelny zdołał w porę ugasić ogień. Mimo trwających  
później  
poszukiwań nie odnaleziono trumny arcybiskupa i skarbcza paulinów. I oto w  
zeszłym roku  
znaleziono kilka kilometrów na południe od Oporowa, w okolicach wsi Drzewoszki,  
trumnę  
ze szkieletem Oporowskiego i tę oto tabliczkę. Przypuszcza się, że przeor  
Gabriel ukrył tam  
trumnę wraz z tabliczką. Mam nadzieję, że uda się Państwu złamać ten szyfr i  
odnaleźć skarb.  
Dlatego zostaliście tutaj zaproszeni, a miejscowy sponsor wyznaczył atrakcyjną  
nagrodę dla  
zwycięzcy. W przyszłym tygodniu, dokładnie w czwartek o północy, pojedynek  
zostanie  
zakończony. Tyle na dziś.  
Nastąpiła cisza, do chwili, gdy kobieta zwróciła się do mnie z prośbą.  
- Będzie pan łaskaw zapalić światło? Nad pańską głową jest przełącznik.  
Zrobiłem to.  
Nagle żółte światło brutalnie rozproszyło mrok i ku swojemu zażenowaniu ujrzałem  
siedem par oczu wpatrzonych we mnie badawczo, jak mi się zdawało, niekryjących  
lekkiego  
zaciekawienia, ale też i niechęci. Pewnie każdemu jest znane to poczucie  
wyobcowania, gdy  
nagle pojawi się w trakcie jakiegoś zebrania czy spotkania. Wtedy wszyscy  
traktują człowieka  
jak intruza, który swym nagłym wtargnięciem śmiało zniszczył swojski nastrój.  
Dopiero  
potem, gdy pierwsze lody zostają przełamane i nawiązuje się kontakt, owo  
nieprzyjemne  
wrażenie przechodzi.  
Stojąca do tej pory przy rzutniku atrakcyjna kobieta w żakiecie podeszła do  
mnie.  
Miała trzydzieści kilka lat, jasne włosy związane z tyłu w koński ogon i bardzo  
łagodne  
spojrzenie. Jednakże zarazem była to osoba inteligentna i niezwykle bystra. A  
takie kobiety  
zawsze bardzo mi się podobały.  
- Ewa Strasny - przedstawiła się blondynka. - Kustosz muzeum. Jestem sekretarzem  
pojedyнку zorganizowanego przez znanego w powiecie producenta soków owocowych.  
- Przepraszam za spóźnienie - denerwowałem się jak sztubak. - Niestety, zdarzył



się  
niemiły epizod, ukradli mi samochód...  
Jakaś młoda dziewczyna o ciemnych włosach, widząc mnie tak potwornie zdenerwowanego, zaśmiała się szyderczo pod nosem, co natychmiast mnie zdeprymowało.  
Ale i od razu uprzedziło do niej. Z miejsca jej nie polubiłem, ba, nawet ją znienawidziłem.  
Jak na złość zdenerwowanie nie chciało mnie opuścić. Czułem się jak maturzysta spóźniony na egzamin, jak obiekt badań wytrawnych badaczy. Moi uczniowie dodaliby z satysfakcją:  
„dobrze ci tak!”  
W tym gronie nie miałem co liczyć na pobłażliwość i grzeczność. Mogłem spodziewać się twardej konkurencji, przecież każdy z tych detektywów chciał zgarnąć dwadzieścia tysięcy euro dla siebie i każdy sposób na zdeprymowanie rywala był dobry.  
- Na szczęście dotarł pan do nas, panie... - przerwała mi kobieta w żakiecie. -  
A  
właśnie, jaki jest pański pseudonim?  
- Liberales! - palnąłem bez zastanowienia.  
I ku swojemu przerażeniu stwierdziłem, że już nie tylko dziewczyna obok rzutnika,  
ale i pozostali uczestnicy wydali z siebie lekceważące prychnięcie.  
- Pan wybacz konspirację, ale każdy z detektywów wybrał sobie ulubiony pseudonim  
znanego detektywa. Liberales? - zdziwiła się Ewa Strasny. - Nie znam. Ale może być i  
Liberales.  
- Czy pan jest może specjalistą z branży odzyskiwania skradzionych samochodów? -  
zapytał nieoczekiwanie siedzący po drugiej stronie stołu starszy człowiek z  
kręconymi, nieco  
przyprószonymi siwizną włosami.  
- Źle, Poruczniku Columbo - zwróciła się do niego owa młoda kobieta, której nie  
polubiłem. - Koledze Liberalesowi - tu wskazała na mnie - ukradziono samochód,  
więc nie  
może być kimś, kto odzyskuje samochody, bo sam nie jest w stanie upilnować  
własnego.  
- Skąd, droga Laro Croft, wiesz, że naszemu Liberalesowi ukradli samochód? -  
zdziwiła się jakaś emerytka siedząca za dziewczyną. - Pan Liberales wspominał  
tylko, że  
„ukradli samochód”. Nie mówił komu ukradli.  
- To widać po naszym nowym gościu, Miss Marple - odparowała zgryźliwie  
dziewczyna, ale zaraz pojęła, że się zagalopowała. - Przepraszam, chciałam  
powiedzieć, że  
kolega Liberales...  
- Artur - dodałem.  
- ...wygląda na zdenerwowanego, a z kieszeni wystaje mu świstek papieru. Mam  
dobry wzrok i widzę, że jest to kopia policyjnego zgłoszenia kradzieży  
samochodu.  
Nie powiem. Lara Croft była bystra, jak mało kto.  
Dopiero teraz dotarło do mnie, że wszyscy zgromadzeni tutaj osobnicy posługiwali  
się  
pseudonimami zapożyczonymi od znanych postaci detektywów.  
I tak, siedząca obok rzutnika brunetka pozowała na Larę Croft - poszukiwaczkę  
skarbów z przeniesionej na duży ekran gry komputerowej. Miała wprawdzie długi  
ciemny  
warkocz wystający jej spod niebieskostalowej czapeczki z daszkiem, ale ubrana  
była w  
czarny golf i luźne, przypominające dresy spodnie. Była wysportowana, sprężysta,  
a z

błękitnych oczu wyzywająco biła zdrowa energia. Sama twarz była jednak inna od tej zdobiące plakaty z ekscentryczną Lara. Niewiasta ta miała nieco ostrzejsze od pierwowzoru rysy twarzy z mocno wyeksponowanymi kośćmi policzkowymi i wydatnym nosem. Skoro jednak chciała być Lara Croft, jej sprawa! Mężczyzna po pięćdziesiątce siedzący naprzeciwko niej przypominał trochę Porucznika Columbo ze znanego serialu kryminalnego. Nie było to może uderzające podobieństwo, niemniej jednak jakiś rys „pokrewieństwa” z oryginałem występował. Przede wszystkim był on niskim, drobnym osobnikiem z kręconymi, ciemnymi włosami, miejscami przyprószonymi siwizną. I zdaje się, że wzorem Porucznika Columbo ów jegomość palił cygara, gdyż końcówka jednego z nich wystawała mu z kieszonki przy klapie jasnej, nieco pogniecionej marynarki. Już widziałem oczami wyobraźni, jak przed przyjazdem tutaj ów mężczyzna wyjął z szafy odprasowany garnitur i jał go ciskać po kątach, chodzić po nim, aby w ten sposób bardziej upodobnić się do porucznika Columbo, który przecież chodził w wymiętych rzeczach. Dalej, za Lara Croft, siedziała owa emerytka. To była nasza Miss Marple - wzorująca się na bohaterce powieści sławnej autorki kryminałów Agaty Christie. Podobieństwo do niej polegało na emerytalnym wieku i noszeniu się w sposób niezwykle staroświecki. Nasza Miss Marple miała na sobie szarą sukienkę przypominającą futerał, siwe włosy zaś upięła z tyłu głowy w duży kok. Przy stole zauważyłem również bladego i arcyważnego młodziana o pseudonimie Harry Potter, ale nie przypominał wcale znanego z okładek ilustrowanych magazynów bohatera popularnej współczesnej powieści dla dzieci i ostatnio także kasowych filmów, owego słynnego chłopca-magika. Stanowił nawet jego przeciwieństwo, no ale przecież uczestniczyliśmy w pojedynku detektywów, a nie w zjeździe sobowtórów. Kolejnym detektywem okazał się Hannussen, mężczyzna pięćdziesięciokilkuletni o opalonej, oliwkowej cerze i gładko zaczesanych do tyłu kruczoczarnych i błyszczących włosach. Człowiek ten posiadał wrodzoną dystynkcję, chociaż błysk w oku zdradzał osobowość nieco wybujałą. Zresztą ten ekscentryczny pseudonim - Hannussen! Toż to kolejna postać z filmu, a mianowicie obdarzony charyzmą i hipnotyczną siłą oddziaływania na masy austriacki oficer przejawiający niespotykane uzdolnienia parapsychiczne. Jasnowidz wśród nas. Nie mogłem jednak zapominać, iż filmowy Hannussen był niezłym kanciarzem i oszustem. I wreszcie, o zgrozo, na samym końcu siedział mężczyzna, którego w pierwszej chwili nie rozpoznałem, tutaj występujący pod pseudonimem Jamesa Bonda, głośnego bohatera książek szpiegowskich autorstwa lana Fleminga, owego słynnego 007. Przygody tego słynnego asa brytyjskiego wywiadu doczekały się także wielu wspaniałych ekranizacji filmowych. Dwudziestodwuletni mężczyzna na końcu stołu był przystojnym

brunetem,  
niemal tak samo eleganckim jak filmowy pierwowzór i zwracał uwagę już nie tylko kobiet,  
ale nawet i mężczyzn.  
Byłem mocno zaskoczony i zarazem zaintrygowany jego obecnością w tym miejscu.  
Co robił tutaj mój brat - gdyż to on był owym Jamesem Bondem - nie wiedziałem.  
Jedno było pewne - nie traktował tego pojedynku wyłącznie jako zabawy intelektualnej.

2

Marek zauważył moje zaskoczenie i posłał mi blady uśmiech. Był przy tym opanowany i zimny. Moja obecność nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, a ja nie mogłem

wydobyć z siebie głosu. Uśmiechnął się do mnie ponownie, tym razem nieco tajemniczo, i

popatrzył mi głęboko w oczy zza długiego stołu. Jednakże to nie był uśmiech Jamesa Bonda.

To był uśmiech Marka Burskiego - zapowiedź bezwzględnej walki.

„Co on tutaj robi? - myślałem gorączkowo. - Czy nasze spotkanie może być przypadkowe? Och, panie Demiurg, zakpiłeś sobie ze mnie. Tobie wciąż chodzi o jedno: o

zdobycie dowodów przeciwko Markowi Burskiemu”.

- Kim jest Artur Liberales? - zapytał nieoczekiwanie Harry Potter, czym wyrwał mnie

z zamyślenia.

I wtedy przyszedł mu z wyjaśnieniem nie kto inny tylko właśnie James Bond.

Wstał,

włożył rękę do kieszeni i jak dobrze wychowany dżentelmen zaczął mówić subtelny,

opanowanym głosem, robiąc krok po cicho trzeszczącej podłodze.

- Nasz Liberales to nauczyciel matematyki. Amator. Taki, który lubi rozwiązywać w

niedzielne popołudnia szarady i krzyżówki. Jest jednak typem dociekliwym i upartym -

perorował jak jakiś mentor.

Wiedziałem jednak, że to poza. Brat czasami naśladował naszego ojca, wykładowcę, i

w ten sposób dodawał sobie powagi. Było to trochę nienaturalne jak na niespełna trzydziestoletniego osobnika, niemniej jednak ludzie go słuchali, on zaś uwielbiał błyszczeć w świetle reflektorów.

- Ale Liberales jest jednocześnie romantykiem - kontynuował. - W matematyce widzi

nie tylko suche liczby i równania, ale twierdzi, że matematyka ma duszę. Niezbyt to

racjonalne. I w dodatku śmieszne. Ale czyż świat nie jest pełen dziwaków? Żeby było jeszcze

śmieszniej, według niego poezja i muzyka zawierają więcej matematyki niż rachunek za gaz i

konto bankowe razem wzięte. Co dalej? Nasz Liberales to wyjątkowy przeciętniak. Niektórzy

uważają, a do tych należy chociażby jego brat, że jest nawet abnegatem. Chodzi przez cały

czas w dżinsowej kurteczce i dżinsowych spodniach. Niczym szczególnym się nie wyróżnia.

No może tylko tym, że jeździ Traktorem.

- Czy pan to może odgadł intuicyjnie? - zapytał z zainteresowaniem nasz jasnowidz.

Jednakże Hannussen nie doczekał się odpowiedzi, gdyż wszyscy pozostali ryknęli śmiechem, słysząc uwagę o Traktorze.

- Ha, ha, ha - ryczał Porucznik Columbo. - Ale się uśmiełem. To pan jeździ ciągnikiem? Niezwykle oryginalne, nie powiem. James Bond mówił, że Liberales

jest

matematykiem, a nie rolnikiem.

- A co to za traktor? - drwiła Lara. - Ursus?

- Pan Liberales nie wygląda na farmera - stwierdził z powagą Harry Potter. Ale nikt go nie słuchał. Śmiali się z Traktora. Myśleli pewnie, że zamiast normalnym

samochodem jeżdżę ciągnikiem.

- Ukradli panu traktor? - niedowierzała Miss Marple. - Nie wiedziałam, że wieś tak

szybko się cywilizuje, skoro kradną już traktory tak jak w mieście samochody.

- Temperamentum! - Hannussen rzucił jakieś zaklęcie i wstał gwałtownie od stołu.

-

Mam go! Mam drania!

I zmrużył dziwnie oczy, jakby szukał kontaktu z zaświatami.

- Ten, który ukradł traktor Liberalesowi - mówił w transie ku rozbawieniu niektórych

osób - to typ wysoki, ostrzyżony najeża, puciołowaty...

- Skąd pan wie? - zapytała sceptycznie Miss Marple.

- Proszę nie przeszkadzać - zachichotał Porucznik Columbo. - Hannussen jest jasnowidzem. To jego specjalność.

- W takim razie, niech lepiej powie, gdzie przeor Gabriel ukrył skarb? - zaśmiała się

bezczelnie Lara Croft.

- Proszę państwa - wtrąciłem wreszcie swoje trzy grosze. - Traktor nie jest ciągnikiem.

To mini-morris!

Hannussen chciał coś powiedzieć, ale na szczęście do akcji wkroczyła sekretarz Ewa

Strasny i przerwała zapowiedź gorącej dyskusji.

- A może porozmawiamy przy kolacji?

Kolacja była smaczna, ale niezbyt obfita. Do herbaty podano wyłącznie kanapki. Podczas lekkiego posiłku dowiedziałem się jednak nieco więcej o uczestniczących w

pojedyнку detektywach.

I tak, Miss Marple była w rzeczywistości autorką kryminałów, Porucznik Columbo byłym policjantem (obecnie na emeryturze), Lara Croft ze swoimi 180 punktami IQ pracowała w agencji detektywistycznej u znanego polskiego detektywa Rogowskiego, Hannussen parał się psychotroniką i miał dar jasnowidzenia (podobno pomagał policji w

odnajdywaniu ofiar na podstawie zdjęć). A Harry Potter? Ten chłopak był zdolnym licealistą i

nazywano go w jego środowisku młodym geniuszem od komputerów. Niestety, jak zdażyłem

zauważyć, cierpiał na pewną neurotyczną przypadłość charakteryzującą się dziwnym usztywnieniem ciała; był przy tym drobny i lekko zgarbiony. Zupełnie nie przypominał

Harry'ego Pottera! Jego ponure spojrzenie kryło w sobie pretensję do świata.

Jednak ten

młody człowiek nie poddał się. Wpędzony w koszarne kompleksy z powodu kalectwa, zamienił rozpacz w zgłębianie tajników komputerowej wiedzy. Imponowali mi ludzie, którzy

nie poddawali się i dlatego poczułem do naszego Harry'ego sympatię.

Wreszcie był tutaj z nami James Bond - mój brat! Zarazem jednak nieuczciwy człowiek interesu, z pewnością utalentowany, wykształcony, bogaty, pozujący na wielkiego

dżentelmena, pozer i mistyfikikator, osobnik, którego nie udało się nigdy wsadzić za kratki.

Wiedzano, że zajmował się nielegalnymi spekulacjami na giełdzie; często kupował też stare

książki czy obrazy znanych malarzy. Obracał także nieruchomościami, prawdopodobnie miał

powiązania ze światem przestępczym. Cała działalność Smarkacza to była jedna wielka śliska sprawa. Czy powód, dla którego zawitał do Oporowa, wiązał się z kolejną tego typu nieczystą grą? Tego nie wiedziałem.

A zatem miałem z nim do pogadania. Musiałem jednak wybrać dobry moment na rozmowę, aby nie wywoływać wśród grona detektywów niepotrzebnych emocji. Przecież mogło być tak, że Bond znalazł się w Oporowie wyłącznie dla nagrody. Być może uznał, że jest na tyle bystry i inteligentny, iż odnajdzie skarb paulinów. Czyżby mój brat miał dosyć giełdy, ciemnych interesów, a znużenie przepychem oraz bogactwem, jakimi się podobno otaczał, kazało mu sięgnąć po innego rodzaju wrażenia, jak chociażby zabawa w detektywa?

Tylko, że on nim nie był! Od razu jak go tutaj ujrzałem, pomyślałem, że to on ukradł Traktor, aby w ten sposób zniechęcić mnie do uczestnictwa w pojedynku detektywów.

Niewykluczone, że i ów tajemniczy Hannussen działał z nim w zмовie. Nie wierzyłem bowiem w zdolności jasnowidzenia bruneta, gdyż ten powinien był dostrzec w swoich wizjach, że Traktor to nie ciągnik, a zwykły samochód. I ten opis złodzieja! Ostrzyżonych na jeża jegomości było na pęczki. Hannussen od razu wydał mi się podejrzanym osobnikiem. A Bond? Jeśli to on gwizdnał Traktor, to miał nadzieję, że odsyłany z urzędu do urzędu, wzywany przez policję w sprawie kradzieży zrezygnuję z przyjazdu do zamku. Ktokolwiek to zrobił, przeliczył się w swoich przewidywaniach.

Na koniec kilka słów o Larze Croft. Nie polubiłem jej, ale zastanawiała mnie ta młoda kobieta. Była bystra, ale czy na tyle, aby odgadnąć na podstawie mojego wyglądu, że skradziono mi pojazd? To było niemożliwe. Nie była przecież Sherlockiem Holmesem.

Między bajki należało włożyć jej wyjaśnienie, że dojrzała policyjny kwit tkwiący w kieszeni mojej kurtki. Wyjaśnienie mogło być takie: była drugim tajnym agentem pozostającym na usługach Demiurga, stąd tak dużo o mnie wiedziała. Jednak znowu ogarnęły mnie wątpliwości. Demiurg nie mógł mieć z kradzieżą Traktora nie tylko nic wspólnego, ale i nie mógł o niej wiedzieć, gdyż z pewnością by temu zaradził. Zresztą Lara Croft pracowała dla konkurencyjnej agencji Rogowskiego!

Wszystko to było wielce zagadkowe. Przede wszystkim nurtowało mnie, czy Demiurg wiedział o planowanym pobycie mojego brata w zamku? Nie wierzyłem bowiem w zbieg okoliczności, w to, że Marek i ja trafiliśmy do Oporowa przypadkowo. Wyglądało na to, że zostałem oszukany. A skoro Demiurg wiedział, że będzie tutaj Marek Burski, to mój udział w tym pojedynku stanowił tylko część jakiejś misternej układanki szefa agencji. Pewnie pojawiłem się tutaj po to, aby uspić czujność Marka i przygotować dogodny grunt dla prawdziwego agenta.

To dlatego poczułem się trochę jak popychadło, gorszy gatunek, jak żołnierz z

pierwszego szeregu. Jeśli moje domysły były słuszne, to w oczach Demiurga nie byłem pełnowartościowym partnerem. Nadszarpnięta godność i wrodzona przekora dodały mi jednak animuszu. Bez względu na okoliczności, w których się tutaj znalazłem, zapragnąłem rozszyfrować zagadkę tabliczki przeora Gabriela. Zrobię to! Czy to się Demiurgowi, Markowi i wszystkim detektywom świata podoba, czy nie!

\*

Zamieszkałem w Domku Neogotyckim na piętrze. Na parterze, na wprost wejścia znajdowała się kuchnia, a po lewej stronie drzwi prowadzące do salonu z kominkiem. Tam też było kolejne wejście do jednoosobowej sypialni Porucznika Columbo. Drewnianymi schodami z hallu można się było dostać na dobrze ogrzane piętro, w którym urządzono kącik telewizyjny i znajdowało się tam wejście do łazienki oraz toalety. W niewielkim przedsionku było dwoje drzwi do dwóch sąsiadujących izb - mojej jedynek i dwuosobowego pokoju Hannussena i Bonda.

Zostałem idealnie wysprzątnany i dobrze ogrzany pokój, ale niezaprzeczalny urok nadawało mu stylowe umeblowanie rodem z epoki napoleońskiej. Nowoczesny akcent stanowiło gniazdko do internetu, a przecież zabrałem ze sobą laptop. Mogło się przydać.

Jedno okno wychodziło na zachodnią część parku, dwa pozostałe tkwiące w prostopadłej ścianie wychodziły na zamek z otaczającą go fosą i Domek Szwajcarski

usytuowany przy wjeździe na jego teren. Z tych okien miałem doskonały widok na samochody parkujące między łukiem rozległego gazonu a mostem prowadzącym na zamek.

Na koniec tego formalnego wstępu dodam, iż w zamku zamieszkały panie oraz Harry Potter. Miss Marple z Lara Croft usadowiły się w pokoju dwuosobowym na drugim piętrze

wieży, Harry Potter zaś zajął tam jedynekę.

Nie miałem czasu nawet na rozpakowanie torby podróżnej, gdyż pani kustosz ogłosiła

na dzisiejszy wieczór krótkie spotkanie towarzyskie w saloniku na parterze. Do spotkania

zostały jeszcze trzy kwadransy, a ja byłem wciąż głodny po skromnej kolacji, wymknąłem się

więc cichaczem z terenu zamkowej posiadłości i poszedłem kupić coś do jedzenia.

Szedłem wzdłuż parkowego muru, mijając po lewej zanurzony w ciemności stawek.

Za wschodnim krańcem parku znajdowała się bodaj stara cukrownia, której dwa kominy

przypominały gigantyczne kikuty. Po drugiej stronie drogi, w świetle słabych ulicznych lamp,

kręciło się trochę ludzi przed niskimi zabudowaniami. Wyglądały mi na sklep albo knajpę.

W skromnym i zadymionym barze kupiłem na szybko gorące flaki, które okazały się nieco za słone. Byłem jednak głodny, więc jadłem, nie wybrzydzając. Wtedy to, pomiędzy

jednym machnięciem łyżką a drugim, w trakcie kolejnego siorbnięcia, spostrzegłem, że jakiś

młody jegomość stojący pod ścianą obok wejścia przygląda mi się badawczo. Był to raczej

tęgi osobnik przystrzyżony na jeża, a więc niczym specjalnym się nie wyróżniał, teraz

panowała taka moda na krótko obcięte włosy i zwaliste sylwetki. Jednakże ów człowiek, w

odróżnieniu od innych bywalców baru, patrzył nie na kufel piwa czy w mętne oczy swojego kompana do kieliszka, a na mnie. Od razu przypomniał mi się typ z „wizji” Hannussena.

Wypisz wymaluj - złodziej Traktora! Czy ten młodzian z papierosem w ustach to złodziej mojego samochodu? Nie! To chyba wielka przesada podejrzewać zaraz każdego krótko ostrzyżonego faceta. Mogłem być obserwowany przez miejscową szajkę złodziei, ale to też wydało mi się mało prawdopodobne. Czy tak wielu turystów przyjeżdżało w te strony? Oporów nie był przecież kurortem!

I kiedy zamierzałem ponownie łypnąć okiem na nieznanego, ten zdażył już zniknąć. Po prostu wyparował.

Dokończyłem flaki, a następnie wyszedłem na zewnątrz. Nieznanego jednak nigdzie nie było. Jedyne na chodniku tlił się wyrzucony niedopałek z filtrem. Podniosłem go i stwierdziłem, że to mars.

W sklepie obok kupiłem jeszcze kilogram kiełbasy, jajka, chleb oraz musztardę i zawróciłem do zamku. Szedłem czujnie, w miarę szybkim krokiem, z zakupami w ręku.

Wypatrywałem wszystkiego, co mogłoby niespodziewanie wyleźć na ciemną ulicę, każdego chętnego do zaatakowania mnie napastnika, wsłuchiwałem się w każdy najmniejszy szelest za swoimi plecami, a każdy powiew wiatru był dla mnie ostrzeżeniem i zarazem sygnałem do obrony. Jednak aż do zamkowej bramy nikt mnie nie zaatakował. Ot, przejechał jedynie stary samochód.

Już miałem skręcić na zamek, gdy coś mnie zatrzymało - dochodzące od strony stawu cichutkie łkanie. Ktoś płakał. Dziewczyna.

Zbliżyłem się do parterowego budynku przyległego do pofolwarcznego obmurowania. Płacz nagle się urwał, a ja wstrzymałem oddech. W ciemnościach widziałem zarysy dwóch postaci stojących za rogiem, opartych o jakąś skrzynię. Było ciemno, dziewczyna przestała już łkać, a mnie się wydawało, że obydwie postacie drgnęły i patrzyły bojaźliwie w moją stronę.

- A pan kto?! - zapytał agresywnie młody chłopak. - Czego pan chce?

- Nie bójcie się - uspokoiłem ich i przystanąłem. - Jestem turystą. Z zamku.

- Jest pan jednym z tych detektywów? - zainteresował się.

- Na imię mam Artur - przedstawiłem się. - Nauczyciel.

- To znaczy, że nie jest pan detektywem - westchnął zawiedziony. - Widziałem pod zamkiem niezłe bryki. Mówią, że do zamku zjechali się detektywi, aby rozwiązać jakąś zagadkę.

Nie chciałem robić mu przykrości, spodziewał się pewnie spotkać detektywa, w ich oczach kogoś po stokroć bardziej interesującego od nauczyciela.

- Ale ja jestem w pewnym sensie detektywem - rzuciłem w ciemność. - Nazywają mnie Liberalesem i jestem konsultantem agencji detektywistycznej.

- Prawdziwej?

- O fałszywych agencjach nie słyszałem.

W ten sposób złamałem dane Demiurgowi słowo o utrzymaniu mojej misji w tajemnicy. Ale czyż Demiurg był ze mną do końca szczery? I czyż te dzieciaki mogły być dla CIOS-u jakimkolwiek zagrożeniem?

Nastała cisza. Chyba ich zainteresowałem. A ja z kolei odczułem dziwność tego

spotkania. Rozmowa z nieznanymi, których się nie zna i nie widzi, była na swój sposób ekscytująca. W ciemności, gdy nie widać twarzy rozmówcy, jego oczu i mimiki, stawiamy pytania bardziej precyzyjne i dajemy odpowiedzi zwięzłe i klarowne. A tylko słowa, które niewidoczni rozmówcy wypowiadają, budują w naszych oczach ich wizerunek.

- A wy kim jesteście? - zapytałem wreszcie, aby ostatecznie przełamać lody między nami.

- Mam na imię Krzysiek - rzucił niedbale chłopak i zaraz dodał. - A to jest Agata.

Co z tego, skoro ich nie widziałem.

- Miło mi, ale nie widzę was.

- Jak pan chce, to spotkamy się jutro z samego rana w drodze do szkoły. O siódmej na południowym skraju parku, przy szosie do Żychlina. Tam nie ma ogrodzenia, tylko gęste krzaki, więc łatwo wejść na teren parku.

- W porządku - rzuciłem.

Rozstaliśmy się bez słowa.

Z piaszczystej i skąpo oświetlonej alejki wszedłem prosto z chłodu do ciepłego hallu Domku. Drzwi do salonu były niedomknięte, więc przechodząc obok nich w drodze do kuchni, słyszałem, jak wewnątrz detektywi męczyli się nad jakąś zagadką. Chowałem zakupy do wspólnej lodówki i przysłuchiwałem się dyskusji. Częściej jednak śmiano się tam i żartowano, a ja nie mogłem pozbyć się poczucia pewnego osamotnienia. Tak jakbym na spacerze do knajpy i sklepu stracił coś szczególnego. Wydawało mi się, że czas płynie w Domku inaczej dla jego mieszkańców niż dla kogoś przybywającego z zewnątrz.

Odruchowo spojrzałem na stary zegar z kukułką wiszący nad lodówką. Wskazywał godzinę siódmą dziesięć, a mój zegarek dziewiątą trzy. Zdziwiłem się, ale zaraz pojąłem, że stary zegar nie chodził.

Wszedłem do saloniku nieco poirytowany dobrym humorem pozostałych gości i pani kustosz.

Na stylowej kanapie pod ścianą obok palącego się kominka siedzieli Miss Marple, kustosz Ewa oraz James Bond. Wszyscy raczyli się winem. Pod oknem wychodzącym na zamek, naprzeciwko wejścia do salonu, stał duży stół, który okupywali: Hannussen, Porucznik Columbo, Lara Croft i Harry Potter. Na stole znajdowały się talerzyki z ciasteczkami oraz otwarta butelka wina deserowego, woda mineralna, kieliszki i szklanki.

Panowie i Lara patrzyli na dziwną kombinację zapalek leżących na białym obrusie i nie zwracali uwagi na to, co działo się wokół nich.

Moje pojawienie się odnotowali jedynie ludzie siedzący na dziewiętnastowiecznej kanapie. I to pewnie dlatego, że musiałem przejść obok nich.

- Proszę częstować się winem - zaproponowała mi pani kustosz. - A może panu uda się rozwiązać łamigłówkę z zapalkami?

Bond uśmiechnął się do mnie i uniósł nieco wyżej kieliszek wypełniony winem. Wzruszyłem ramionami, ale byłem poirytowany. Powód stanowiła obecność Marka, naszego Bonda, który nie dość, iż zachowywał się niczym bywalec salonów, kpił sobie nie tylko ze



mnie, ale pewnie ze wszystkich tutaj gości, to jeszcze postanowił, drań, zabawić tego wieczoru panią Ewę. A muszę przyznać, że ta piękna kobieta spodobała mi się od pierwszego wejrzenia. To ja chciałbym teraz siedzieć obok niej przy kominku i zabawić rozmową, patrzeć w błękitne oczy i czuć zmysłową woń jej perfum. Cóż, byłem zazdrosny o Marka. Był przecież przystojnym i interesującym mężczyzną. Z podziwem i przerażeniem patrzyłem, jak młodszy brat przeistoczył się z nieco krnąbrnego studenta matematyki w dżentelmena pełną gębą. To już nie był ten sam Smarkacz, jakim pamiętałem go jeszcze kilka lat temu. Widać było, że pieniędzy mu nie brakuje i nie żałuje grosza na siłownię i masaże. Wystarczyło zerknąć na jego ubranie - lniana koszula i garnitur od Brioniego, buty firmy Church. Prawdziwy agent 007, nie ma co! Jak z takim rywalizować o względy kobiet. Mogłem go jednak pokonać w pojedynku detektywów. Przeszedłem obok siedzących na kanapie, posyłając im blady uśmiech, i udałem zainteresowanego ułożonymi w trójkąt zapałkami na obrusie. - Może pan coś zaradzi? - zagaił pierwszy Porucznik Columbo, na co Lara Croft spojrzała na mnie lekceważąco. - Dysponując sześcioma zapałkami, trzeba ułożyć z nich cztery trójkąty. Oczywiście zapałki nie mogą się krzyżować. I co pan na to, drogi Liberallesie? Wiedziałem, jak temu zaradzić, ale jedynie uśmiechnąłem się pod nosem do swoich myśli. Nie chciałem zdradzać, że znam ową zagadkę. Takie łamigłówki rozwiązywało się na studiach. Jednakże wolałem na tym etapie pojedynku nie ujawniać swoich atutów. Zawsze chętniej działałem w cieniu innych. Ktoś kiedyś mądrze powiedział, że kiedy uważają nas za głupszego, to mamy nad nimi przewagę. - Dlaczego się pan śmieje? - mruknął do mnie poirytowany Hannussen. - Podobno jest pan matematykiem. I widząc moją bierność, zaczął dokładać kolejne zapałki do istniejącego już trójkąta, na wszystkie, jak się zdawało, możliwe sposoby, ale nijak nie mógł ułożyć z sześciu zapałek czterech trójkątów. - Temperamentum - mruczał pod nosem zaaferowany Hannussen. - Na pewno cztery trójkąty? Może trzy? - Z sześciu zapałek nie można ułożyć nawet trzech trójkątów - wtrącił wpatrzony w zapałki na obrusie Harry Potter. - A czemuż to, młody człowieku? - zainteresował się Porucznik Columbo i wyjął cygaro z kieszeni marynarki, a następnie wpatrzony w Harry'ego obracał je w palcach. - Poradz coś, inaczej nasz prestiż detektywów ucierpi z powodu kilku zapałek. Chcesz skazać nasze męskie grono na kpiny ze strony młodej niewiasty? - Poruczniku Columbo - wtrącił się Hannussen - a pan to co? Chwalił się pan, że rozwiązał wiele zagadek kryminalnych. - Akurat do tego typu zagadek nie mam głowy - bąknął zawstydzony ekspolicjant. - Jestem praktykiem. A pan nie może, że tak powiem, paranormalnie przewidzieć rozwiązania? Temperamentum, hokus-pokus, czary-mary!

Lara Croft, bo to ona była, zdaje się, autorką owej łamigłównicy, tylko głośno się roześmiała.

Teraz Harry Potter na zmianę z Hannussenem układali z sześciu zapalek najprzeróżniejsze figury, ale próżny to był trud. Nijak nie dało się ułożyć aż czterech trójkątów.

Stałem nad nimi nieco pochylony i poczułem za swoimi plecami oddech Bonda.

- Wiecie co? - zagadnął wesoło, a my wszyscy odwróciliśmy się w jego stronę.

Ten jego pewny siebie ton utrzymany w odcieniu lekkiej wesołości najbardziej poruszył buntowniczo usposobioną Larę. Westchnęła poirytowana i ostentacyjnie odwróciła

się do niego plecami. Jednakże wszyscy byliśmy trochę poirytowani gwiazdorskim emploi

Bonda.

- Harry ma rację - powiedział niewzruszony niczym Bond. - Nie da się ułożyć z sześciu zapalek trzech trójkątów. Ale...

Tu nasz James sięgnął po trzy zapalniczki.

- ...ale cztery? Czemu nie?

Przyłożył do wierzchołków istniejącego trójkąta trzy końcówki pozostałych zapalek i

połączył je łebkami nad trójkątem, tworząc w ten sposób najzwyczajniejszą piramidę. I tak

oto z sześciu zapalek powstała piramida zbudowana z czterech trójkątnych boków.

- No i proszę - zaśmiał się Bond. - Mamy cztery trójkąty.

- Temperamentum - wyrwało się naszemu jasnowidzowi.

Istotą tej zagadki było przełamanie w naszych umysłach hegemonii dwóch wymiarów i wzniesienie się wyżej - dosłownie i w przenośni - ponad płaski byt. Nie powiem, prostota tej

łamigłównicy była zadziwiająco piękna!

Bond zaimponował kustosz Ewie swoją błyskotliwością i inteligencją, co znalazło wyraz w krótkich oklaskach, jakie mu zgotowała, psując jednocześnie mój już i tak

nienajlepszy nastrój.

James Bond przeszedł obok mnie i bąknął ni to do siebie, ni to do mnie z lekko szyderczym uśmiechem:

- Nie takie zagadeczki się rozwiązywało, prawda, braciszku?

Chciał mnie wkurzyć, to było więcej niż pewne. Poza tym powoli Mareczek stawał się

numerem jeden w naszym gronie.

- A może tak, drogi Jamesie Bondzie - zwróciła się do mego Miss Marple, wstawszy z

kanapy - spróbuje pan rozwiązać tajemnicę tabliczki znalezionej w trumnie Oporowskiego?

- Po to tutaj nas zaproszono - mruknął Porucznik Columbo.

- Niebawem przyjdzie pora i natę łamigłównicę - rzucił twardo Bond.

- Zobaczymy - zadrwiła Lara.

- Czy ktoś z państwa - zapytała pani kustosz - ma już jakąś koncepcję, co oznacza ten szyfr?

Harry Potter jednym ruchem ręki zburzył piramidę, a pozostali rozsiedli się przy stole

i z powrotem na kanapie. Hannussen sięgnął po butelkę z winem i rozlał jej zawartość do

pustych kieliszków.

- Może na ten temat wypowie się miłośnik szarad, Liberales? - zaproponował ku mojej

rozpaczy Bond.

Wszystkie głowy w salonie zwróciły się teraz w moją stronę. Wpatrywałem się w strzelające iskrami drwa w kominku, zły na Bonda i całe to przedstawienie, przede wszystkim

wściekły na siebie za to, że nie miałem żadnej koncepcji, żadnego pomysłu i

niczym (i nikomu!) z tego towarzystwa nie mogłem zaimponować - i nie wiedziałem, co im powiedzieć.

To prawda, że rozwiązywałem szarady i łamigłówki, ale wobec tej zagadki byłem, jak dotąd, bezsilny. Do jej rozwiązania potrzebna była, jak mi się zdawało, dogłębna znajomość historii i wiedza o kutnowskiej ziemi.

Poza tym nabrałem respektu przed konkurencją. Ci ludzie, przeważnie niepoprawni dziwacy, po prostu imponowali mi nietłumioną wiarą w swoje możliwości i talent. Co z tego, że nie wszyscy potrafili rozwiązać łamigłówkę z zapałkami, skoro porażka wcale ich nie zrażała. A może, podobnie jak i ja, tylko udawali ignorantów?

Co niby miałem im powiedzieć?

- Hm, cóż... nie jestem specjalistą od szyfrów, chociaż w życiu udało mi się złamać kilka z nich - powiedziałem wreszcie. - Ale to były raczej zagadki amatorskie, niewinne kryptogramy lub anagramy. Poza tym nie znam dobrze historii. Nie wiem nawet, czy owa tabliczka znaleziona w trumnie jest tabliczką wykonaną przez przeora. Mogła należeć do biskupa Oporowskiego.

- Pan Liberales ma rację - poparła mnie Miss Marple. - Dlaczego zakładamy, że istnieje związek pomiędzy zaszyfowaną tabliczką a legendą o przeorze? Fakt przez niego w nocy i ukrycia trumny Oporowskiego i skarbów przed szwedzkimi wojskami nie jest przez historyków potwierdzony. To tylko legenda. Tabliczka z szyfrem mogła należeć do Oporowskiego, a nie do przeora.

Posłałem Miss Marple nieśmiały, ale pełen wdzięczności uśmiech.

- Podobnie rozumię - powiedziałem. - Klasztor był chyba biedny i nie sędzę, aby w jego skarbcu znajdowały się nadzwyczaj cenne przedmioty. Tabliczka mogła zawierać zaszyfowaną wiadomość o miejscu ukrycia skarbu Oporowskiego.

- Dlaczego miałyby ukryć skarb przed rodziną? - zauważył Hannussen. - I czemu zabrał tajemnicę do grobu? Nie, nie, to zbyt naciągane. Pani Ewa twierdziła, że tabliczka pochodzi z XVII wieku. Czyżby miejscowy przeor wykonywał jakieś pośmiertne życzenie biskupa?

Ponadto, z tego, co się dzisiaj dowiedziałem, ten Oporowski był w konflikcie z Gnieznem i może...

- Właśnie! - Lara Croft wstała z krzesła. - Oporowski był negocjatorem króla z Zakonem! Może miał do ukrycia jakieś ważne dokumenty wagi państwowej? Albo kompromitujące kościelną opozycję? A może miał haka na tego Oleśnickiego? Jutro koniecznie obejrzę miejsce odkrycia trumny. Detektyw musi zacząć od miejsca zbrodni.

- Sugeruje pani morderstwo? - zdziwił się Porucznik. - Tu nie ma zbrodni!

- Ale jest śmierć - wtrącił skupiony Hannussen. - Czuję zimny oddech tej kostuchy.

- Pojedziemy tam wszyscy - odezwał się Bond, czym rozsierdził bojowo nastawioną do niego Larę. - To zdaje się niedaleko Drzewoszek, prawda?

- Owszem - odpowiedziała kustosz Ewa, gdyż to do niej zwrócił się Bond. - To niedaleko stąd. Jutro zorganizujemy jakiś transport.

- Po co te wycieczki? - zaprotestowała Lara. - Każdy z nas ma samochód. Pracujemy

na

własne konto. To ja chcę pojechać do Drzewoszek! Ktoś może nie chcieć.

- Ja tam nigdzie nie jadę - przerwał jej Harry Potter i zwrócił się do pani kustosz. -

Potrzebuję za to dobry komputer i oprogramowanie. Spróbuję złamać ten szyfr, niezależnie

od tego, co to jest i do kogo należało.

- W jaki sposób chcesz to zrobić, chłopcze? - zapytał z niedowierzaniem i zarazem

zaciekawieniem Porucznik Columbo, wyjmując cygaro, jakby chciał je zapalić.

- Poruczniku Columbo! - upomniała niskiego mężczyznę Miss Marple. - Każdy z nas ma pseudonim. Używajmy ich, na Boga!

- Hm, w takim razie, jak chcesz to uczynić, mój Harry Potterze?

Chłopak jednak się spieszył i zaciął w sobie.

- T... t... trzeba po pro... pro... prostu - jąkał się - ustalić ja... jakim językiem na...

napisano sz... szyfr.

- Ale jak? - zdziwił się Hannussen. - Z samych, luźno porzrzucanych liter i dwóch

cyfr?

Jako że chłopak miał trudności z wysłowieniem się, głos zabrała Miss Marple.

- Każdy język charakteryzuje się specyficzną częstością występowania liter w tekście.

Pisałam kryminały i wiem coś na ten temat. I tak w niemieckim i angielskim najczęściej

występuje litera „e”, co stanowi prawie osiemnaście procent. Jeśli dany szyfr pisany jest po

niemiecku, a najczęściej występującą literą jest jakaś inna, powiedzmy „m”, to świadczy, że

w tym szyfrze właściwa litera „e” została zastąpiona dla zmyłki literą „m”.

Jeśli, jak

powiadam, tekst tajny pisany jest po niemiecku. W ten sposób można złamać proste kody.

Trzeba tylko upewnić się, z jakim językiem mamy do czynienia.

- Sprytne - mruknął Porucznik Columbo.

I wyjął z kieszeni wewnętrznej marynarki notes, a następnie zaczął w nim czegoś szukać. Domyśliłem się, że miał tam przepisaną treść tabliczki.

- Jest - ożywił się i zaczął liczyć litery. - Ale to lipa, proszę państwa! Nie ma żadnej

prawidłowości. Na dodatek litery mieszają się z cyframi i kilkoma znakami.

- Może to oryginalny język stworzony przez przeora? - zgadywał Bond.

- Na podstawie kilkunastu liter i kilkunastu cyfr nie sposób precyzyjnie określić, z

jakim językiem mamy do czynienia - wtrąciłem nieśmiało.

- Chodzi o prawidłowości statystyczne - odezwał się już całkiem normalnie Potter,

odzyskawszy pewność siebie. - Im dłuższy tekst, tym dokładniejsza analiza częstości. Na

podstawie pojedynczego słowa albo zdania ciężko przeprowadzić taką analizę. Ale sprawdzić

można, czemu nie.

Harry miał rację. Znałem niemiecki i wiedziałem, że gdyby użyć do naszej analizy na

przykład przymiotnika schauderhaft, co znaczy „straszny”, to niewiele by nam to dało.

Dopiero w dłuższym tekście można byłoby zauważyć, że „e” występuje o wiele częściej niż

„a” czy „h”. Tak samo jak owa analiza częstości nie na wiele by się zdała w przypadku

polskiego „bajkowy sen”, w którym to wyrażeniu wszystkich liter jest równa liczba. Poza tym

nie wiedzieliśmy, jaką rolę odgrywały w tym zapisie cyfry i znaki. Na wszelki wypadek

wolałem jednak nie wtrącać się do rozmowy, aby nie narażać się na nie mile docinki.

- Przeor Gabriel napisał szyfr złożony z liter łacińskich, cyfr arabskich i znaków -

podsumował Bond. - To z pewnością rebus. Ale zgadzam się z Miss Marple, że za bardzo

wiążemy znaną przy Oporowskim tabliczkę z legendą o wywiezionych przez Paulina

skarbach.

„Draniu, to moje spostrzeżenie” - zganilem go w myślach.

- W legendach zawsze jest ziarno prawdy - zmieniła temat kustosz Ewa. - Z Oporowem wiąże się zresztą inna legenda, a mianowicie o tunelu podziemnym. Wszyscy zamieniliśmy się w słuch.

- Tunel wybudować miał właśnie biskup Władysław Oporowski - kontynuowała Ewa.

- Podziemny loch prowadził z piwnic zamkowych do klasztoru paulinów. Owo przejście

miało być miejscem schadzek kasztelanki Oporowskiej i przeora klasztoru, ukrywających

przed światem swoją miłość. Podczas jednej z takich schadzek podziemie się zapadło,

grzebiąc pod gruzami spieszącą do przeora kasztelankę. Po wypadku zamurowano tunel i

ślady po nim zatarto. Olbrzymi głaz, leżący w polu na tak zwanym Zapłociu, między

zamkiem i klasztorem, wskazuje to właśnie miejsce. Ale nie dość na tym. Przy kaplicy

zamkowej, pod którą znajdowało się zejście do tunelu, słyszy się tajemnicze jęki i

nawoływania. Mówiono też, że duchy kasztelanki i przeora jawiły się nocą pod murami

zamku i wędrowały klasztornymi korytarzami. Tyle mówi legenda.

Nie wiedzieć czemu owa opowieść spowodowała, że zamilkliśmy. Słyszeliśmy tylko trzaskający w kominku ogień. Od razu spieszę z wyjaśnieniami, że nie wierzę w duchy, a do

legend odnoszę się z największą rezerwą. Nie uwierzyłem, że pod zasypnym tunelem

prowadzającym przez park do klasztoru w nocy harczą duchy kasztelanki i przeora.

A owe

tajemnicze dźwięki? To pewnie puszczyk upodobał sobie to miejsce. Niemniej jednak

opowieść Ewy w dziwny sposób poruszyła nie tylko moją wyobraźnię, ale także wszystkich

zgromadzonych tutaj detektywów.

- To by tylko potwierdzało moje obawy - wyszeptał Hannussen i rozejrzał się niespokojnie po salonie. - Tutaj coś promieniuje, jakieś złe siły zdają się miotać po parku.

- Czy pana nie wynajął przypadkiem zarząd zamku w charakterze agenta reklamowego? - zażartował James Bond, macąc tym samym ów dziwny nastrój, jaki wywołała opowiedziana legenda.

Hannussen zbył irytacją sugestie Bonda.

- W tym domku także odczuwam dziwne fluktuacje pola - szeptał jak nawiedzony. - Nie do wiary!

Wydało mi się dziwne, że Hannussen dopiero teraz o tym wspomniał. Gdyby naprawdę wyczuwał obecność sił nadprzyrodzonych, z pewnością wcześniej podzieliłby się z

nami tymi rewelacjami.

- W istocie - poparła go kustosz Ewa. - Niektórzy z gości nie chcą tutaj mieszkać,

tłumacząc to jak nie złymi mocami, to obecnością żył wodnych. Niedaleko Domku

płynie

bowiem jeden z trzech kanałów doprowadzających wodę do zamkowej fosy.

- A zatem mamy wytłumaczenie - skwitował to kwaśnym uśmiechem Porucznik Columbo. - Możemy spać spokojnie. Nic nam nie grozi. I nigdy jeszcze nie

słyszałem, aby

duch zaatakował kogoś żywego. Nie siedzieliśmy długo w salonie. Należało się wyspać i rano przystąpić do wyjaśnienia tajemnicy przeora i biskupa.

Usnąłem z bólem głowy i przebudziłem się po drugiej w nocy, nie wiedząc, czy bardziej z pragnienia, czy z powodu jakiegoś hałasu. Nie wiedziałem, czy w

oporowskim zamku i jego otoczeniu złe moce naprawdę znalazły swoje lokum, ale w nocy naprawdę coś słyszałem. Jakby chrobotanie i szmery. Chciało mi się pić, co zawdzięczałem opóźnionemu

efektowi działania słonych flaków z miejscowej karczmy. Wierciłem się zatem i wreszcie,

kiedy kolejny raz posłyszałem jakieś szmery na zewnątrz, zdecydowałem się wstać. Cichutko zszedłem na dół po drewnianych schodach i zajrzałem do saloniku. Skąpe światło lamp oświetlających zamkową fasadę przedostawało się do wnętrza pokoju i rzucało

na ściany długie, zamaszyste cienie przypominające zjawy. Nikogo jednak w środku nie było.

Tylko w pomieszczeniu za ścianą słyszałem głośnie i nieregularne chrapanie Porucznika Columbo.

Wycofałem się do hallu i zajrzałem do kuchni. Wszędzie zdawała się panować cisza i

spokój, jeśli nie liczyć delikatnie terkoczącej lodówki. Napiłem się wody i już miałem

wracać, gdy szelest na zewnątrz powtórzył się.

Z kuchni dosłownie na palcach przeszedłem kilka metrów hallu dzielących mnie od wyjścia. Powoli przyłożyłem ucho do drewnianej powierzchni drzwi i nasłuchiwałem. Wiatr

zamiatał zeschnięte liście z ziemi, ale nic ponadto nie słyszałem. Jednakże po chwili zdawało

mi się, że na zewnątrz ktoś chodzi. Nocny intruz szedł wzdłuż zewnętrznej ściany kuchni, a

następnie odgłosy kroków ucichły.

„Może to pies strażnika hałasuje? - pomyślałem zaraz. - Albo duch”.

Bardzo ostrożnie przekręciłem klucz, a następnie otworzyłem drzwi. Skrzyknęły głośnie, z przerażeniem, jakby chciały powiedzieć „NIE WYCHODŹ”. Jeśli nocny duch znajdował się w tej chwili po drugiej stronie domku, to mógł nie słyszeć tego ostrzeżenia.

Wyszedłem na chłodną październikową noc. W samej tylko pidżamie ruszyłem za najbliższy róg. Nie zauważyłem nikogo. Przeszedłem jeszcze dla świętego spokoju wzdłuż

południowej ściany Domku i zerknąłem zza rogu budynku na zamek. W nocy wyglądał jak

wyrastająca z ziemi, a raczej z wody, monstrialna zjawy, nieruchoma, dumna i niezniszczalna.

I kiedy ta hipnotyczna siła emanująca z zamku kazała mi patrzeć na niego i patrzeć,

usłyszałem za sobą jakiś szmer. Jednakże było już za późno na odwrócenie się i zdemaskowanie ducha.

Poczułem uderzenie w kark i upadłem na wilgotną, chłodną ziemię.

3

Ocknąłem się szybko, gdyż cios zadany przez oporowskiego „ducha” nie był mocny. Zdzielił mnie fachowo i skutecznie - tak żeby unieszkodliwić, a nie wyrządzić krzywdę.

Wątpliwa to sprawa, aby duchy znały takie sztuczki. To była umiejętność dana

wyłącznie

żywym.

Zanim wróciłem z powrotem do Domku, przeszedłem chwiejnym krokiem wzdłuż wszystkich ścian i nikogo nie spotkałem. Zagrabioną starannie przez ogrodnika alejkę

przysypały konfetti z liści, ale śladów obecności intruza nie znalazłem. „Duch” pewnie

zakradł się pod Domek od południa i chodził po trawniku. Czego szukał? Może chciał ukraść

któryś z samochodów parkujących przed zamkiem? Tylko jak niby zamierzał przejechać

przez zamkniętą bramę? Taranując ją? A może przelatując nad nią? Kto wie, co duchy

potrafią?

Jeszcze raz zerknąłem na twierdzę Oporowskiego. Cisza i spokój zamku zdawały się absolutne. Jedynie światło palące się w okienku na parterze w domu mieszkalnym świadczyło o obecność strażnika. Ale, gdzie był, kiedy obcy pojawił się pod Domkiem

Neogotyckim? Co robił teraz, gdy tak łąziłem? Z postanowieniem niewtajemniczenia nikogo

w nocną przygodę z „duchem” udałem się z powrotem na górę.

Jednakże nie mogłem zasnąć, wciąż rozmyślałem o „duchu” grasującym w zamkowym parku. Dopiero po pewnym czasie zapomniałem o wszelkich strachach. To było

śmieszne. Jeśli miałbym się kogokolwiek obawiać, to wyłącznie istoty z krwi i kości.

Usnąłem po czwartej.

Przebudziłem się z bólem głowy, niewyspany, gdy za oknem wciąż panowały ciemności. Słyszałem dochodzący szum prysznic. A zatem któryś z domowników wstał

bardzo wcześnie. Niebawem i ja odwiedziłem łazienkę. Dokonałem szybkiej obdukcji głowy.

Jedyną pamiątką po „duchu” okazał się otarty naskórek na skroniach - efekt upadku na

ziemię. Wyszczotkowałem zęby i wziąłem krótki prysznic.

W sypialni nałożyłem na siebie stare dresy i kurtkę dżinsową, zabrałem małą latarkę, a

następnie wyszedłem na zewnątrz, stwierdziwszy przedtem, że drzwi Domku są otwarte.

Ktoś wybrał się na spacer wcześniej ode mnie. A dochodziła szósta czterdzieści.

Wszedłem w przyjemny chłód parku i nabrałem powietrza głęboko w płuca, rozkoszując się

jego świeżością. Było pusto, a dzień wstawał niezwykle ociężale. Lekki wiatr delikatnie

smagał moją twarz, jakby chciał mnie w ten sposób przywitać i zaraz schował się za

drzewami.

Zanim zanurzyłem się w parkowych chaszczach, postanowiłem dokonać dla świętego spokoju krótkiej inspekcji terenu w pobliżu Domku. Nie było widno, ale zdecydowanie

jaśniej niż w nocy. Poza tym wziąłem ze sobą przezornie latarkę. Nie musiałem długo szukać,

gdyż na trawie za południową ścianą znalazłem niedopałek papierosa. Był to mars. Od razu

pomyślałem o młodym człowieku ostrzyżonym na jeża, który tak baczenie mi się przyglądał w

miejscowej knajpie. To on palił marsy. Ale czy to on chodził w nocy wokół Domku? Mogło

być i tak, że chodził tutaj pracownik muzeum albo jakiś turysta; po prostu palił te a nie inne

papierosy i kręcił się tutaj za dnia. Niemniej jednak musiałem być czujny i

założyć, że w tym wypadku miałem do czynienia z nieznanym z baru. Ruszyłem grabową aleją prowadzącą ku wielkiej bramie na końcu parku. Za nią budziła się do życia wieś wciąż okryta mgłą rzadziej szarości. Zaorane po lewej stronie za murem i ciągnące się aż po horyzont pola przyprószył szron i tylko gdzieś wrony dziurawiły je gromadnie swymi grubymi dziobami. Widziałem górującą nad nielicznymi zabudowaniami Oporowa, pół kilometra dalej na zachód, wieżę miejscowego kościoła. Ktoś wyszedł zza sklepu. Poganiał niespiesznie dwie krowy - szedł w stronę małego stawu usytuowanego przy skrzyżowaniu asfaltowych dróg, zaraz za parkowym ogrodzeniem. Gdzieś gruchnęła na betonie pusta bańka na mleko. A przez oszronione pola niosło się leniwie oczekiwanie psa z sąsiedniej wioski. Dochodziła siódma. Za chwilę miałem wyznaczone spotkanie z dwójką miejscowych nastolatków. Skierowałem się na południowy skraj parku. Szary kobierzec oszronionych, suchych liści przyjemnie trzeszczał pod moimi stopami, gdy mijałem olbrzymie kasztanowce, graby, buki i jesiony. Znowu wiatr złożył na moim policzku chłodny pocałunek. Im było bliżej do skraju parku, tym robiło się jaśniej, aż wreszcie ujrzałem przez gęste krzaki czerwoną poświatę rozmazaną na błękitnym niebie po wschodniej stronie. Owa nieregularna plama wisiała nad ciężką ziemią, zwiastując nowy dzień. I wtedy, w głębi południowej części parku, zobaczyłem dwie postacie. To nie była para nastolatków, która miała czekać na mnie w zupełnie innym miejscu. Wydawało mi się, że to dorośli. Z powodu szarówki nie widziałem ich zbyt dobrze. Coś jednak kazało mi zrezygnować ze spotkania z młodymi i pójść sprawdzić, kogo licho przyniosło. Szedłem ostrożnie. Ujrzałem ich trwających nieruchomo, niepokojąco blisko siebie, ale gałęzie i rosnące między drzewami liczne jaśminowce i głogi zacierały wszelkie szczegóły. Nie mogłem zatem stwierdzić, kim byli ci ludzie i jaki charakter miało ich spotkanie. Wyglądało to na schadzkę. Wtem pod moimi stopami pękła gałązka. Kryjące się za drzewami postacie odskoczyły od siebie, a ja w tym czasie szybko schowałem się za pniem najbliższej lipy. Wstrzymałem oddech i przyssany plecami do wilgotnego drzewa wyczekiwałem. A kiedy odważyłem się zerknąć zza cienkiego pnia, ujrzałem zbliżającego się cicho w moją stronę, ubranego w zamszową marynarkę, czujnego Bonda. Jednakże nigdzie nie było ani śladu drugiej osoby. Zdaje się, że słyszałem odgłos ludzkich kroków. Ktoś biegł, a jednostajny dźwięk szurających po parkowej ściółce nóg dochodził od strony zamku. Ależ tak, zauważyłem zaraz w prześwicie między opadającymi gałęziami grabu jakąś postać, która zaraz zniknęła w resztkach mroku. To z pewnością była osoba, z którą spotkał się mój brat. Bond zauważył mnie wreszcie schowanego za lipą. - Co za spotkanie, braciszku - powitał mnie z udawanym uśmiechem, który



przypominał maskę czujnego zwierza. - Skradasz się, czy jak? I co to za rana na skroni?

Był bystry. Natychmiast zauważył pamiątkę po „duchu”, albo po prostu wiedział, że tam ją znajdzie. Kto wie, co on właściwie kombinował i z kim się zadawał? Przede wszystkim nie był pewny, czy widziałem go przed chwilą z kimś, komu bardzo zależało na dyskrecji.

- A nie, tak sobie spaceruję i nieszczęśliwie upadłem - udałem Greka. - Ale nie pogniewasz się, że zamiast wylewnego powitania zapytam wprost, co tutaj robisz Smarkaczu?

- Nie mów tak do mnie - zdenerwował się. Trwało to tylko chwilę. Szybko się opanował i zaczął zgrywać. - Nazywam się Bond. James Bond.

- Co zatem sprowadza do Oporowa słynnego agenta 007? - zażartowałem.

- To samo co ciebie - uśmiechnął się. - Staram się rozwiązać oporowską zagadkę. Minęła właśnie siódma, pora mojego spotkania z Agatą i Krzyśkiem, ale teraz nie mogłem odejść. Nie mogłem go zapytać wprost, z kim się tutaj spotkał, więc aby cokolwiek się od niego dowiedzieć, musiałem z nim chwilę pogadać.

- Dla mnie nie jesteś żadnym Jamesem Bondem - oświadczyłem spokojnie, ale stanowczo. - Dla mnie jesteś i pozostaniesz hochsztaplerem. Braciszku.

- No wiesz, to już przeszłość - spojrzał na mnie poważnie. - Na szczęście zmadrzałem. Bycie detektywem to takie szlachetne, nieprawdaż?

Nie wiedziałem, czy kpi sobie ze mnie, czy może wierzy w to, co mówi. Musiałem jednak przyznać, że mój brat prezentował się obecnie o wiele bardziej interesująco niż podczas naszego ostatniego spotkania kilka lat temu. Spoważniał, wydorósł i nabrał klasy.

Wystarczyło spojrzeć na jego sportową kreację. Droga zamszowa marynarka i ciemny golf, luźne spodnie i lśniące skórzane buty warte tyle co moja pensja. Miał pieniądze, ale miał także dobry gust. A klasyczna fryzura z przedziałkiem na boku i dyskretna woń markowej męskiej wody toaletowej dopełniały wizerunku młodego dżentelmena z klasą. Cóż, z takimi ludźmi przyjemnie się rozmawiało, ale walka z nimi była po stokroć bardziej niebezpieczna.

- Moim zdaniem polujesz na skarb paulinów. - westchnąłem.

- Tak jak każdy z nas.

- O nie - zaprotestowałem. - Pojedynek detektywów zorganizowano po to, aby wskazać miejsce ukrycia ewentualnego skarbu, ale ów skarb ma trafić w ręce wojewódzkiego konserwatora zabytków. A zatem, pod pozorem pojedynku, chcesz odnaleźć skarb i go sobie przywłaszczyć.

- Uspokoję cię - uśmiechnął się. - Chcę jedynie rozwiązać zagadkę. Tak jak i ty.

- Powiedz mi - zmieniłem ton i, kierując się jednocześnie ku Domkowi, chwyciłem go za przedramię jak starego kumpla, z którym chce się uciąć dłuższą pogawędkę. - Czy wpadłeś już na jakiś trop w sprawie domnianego skarbu przeora Gabriela?

- Nie. A ty?

- Zupełnie nic. No, ale przed nami jeszcze kilka dni. Od czego zamierzasz rozpocząć poszukiwania?

- Nie wiem. A ty?

- Nie mam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. Studiowałem matematykę, a zdaje się, że trzeba będzie postudiować trochę historię. Jeśli na coś wpadnę, dam ci znać. A

jak ty coś znajdziesz, też dasz mi znać.

- Oczywiście, że tak, Liberalesie.

- To się cieszę, Jamesie.

I tak gaworząc sobie, jeden nieufny wobec drugiego, niemal że kpiąc z siebie nawzajem, doszliśmy do mostku nad wąskim kanałem, a po nim na przysypaną liśćmi alejkę

w pobliżu Domku Neogotyckiego. Lara Croft, w dresie, biegła aleją, zbliżając się do zamku,

na którego moście pojawił się palący papierosa strażnik z psem. Zza rogu Domku wyszedł zaś

Hannussen i wszedł szybko do środka.

Dyskretnie spojrziałem na zegarek: kwadrans po siódmej.

- Umówiłeś się z kimś? - zauważył Bond.

- Nie. Z kim niby miałbym się umówić o tej porze?

- Przyjechałeś tutaj z własnej inicjatywy? - zapytał, uchylwszy się od odpowiedzi.

- A kto miałby mnie wysłać? Dyrektor szkoły?

- Tak tylko pytam.

- Lubię zagadki, więc jak tylko przeczytałem w gazecie o pojedynku i wysokiej nagrodzie, od razu się zgłosiłem. Wziąłem wolne i przyjechałem. A ty?

- Ja też lubię zagadki - popatrzył na mnie tak, jakby chciał przejrzeć moje myśli. - Ale

od kiedy czytasz ogłoszenia? To do ciebie niepodobne. Zawsze gardziłeś prasą codzienną.

Jeśli czytasz, to tylko grube książki, a kupujesz wyłącznie „Szarady”.

- Zupełnie przypadkowo wpadłem na nie w „Wyborczej”.

- Ogłoszenie było w „Rzeczpospolitej” - zauważył i łypnął na mnie podejrzliwie, aż

ugięły się pode mną nogi.

Prawdę powiedziawszy, nie zwróciłem uwagi na ten szczegół. Nie miałem pojęcia, z jakiej gazety pochodziło ogłoszenie wręczone mi przez Demiurga. Zaniedbałem to, ale skąd,

u diabła, mogłem przypuszczać, że to mogło być ważne?

Jednakże kiedy rozmawiało się z Markiem, liczyło się wszystko. To nie był pierwszy

lepszy przeciwnik. Mój brat był kuty na cztery nogi. Spryciarz nad spryciarze. I w dodatku

okropnie podejrzliwy. Zdaje się, że go nie doceniłem. Nic dziwnego, że w interesach zaszedł

tak daleko i z powodzeniem budował swoje imperium! Nie mogłem zapominać, że był mistyfikatorem i pewnie niejednego cwaniaka zapędził w kozi róg. Rozmawiając z nim,

należało uważać na to, co się mówi. A najlepiej było unikać z nim kontaktu.

- W „Rzeczpospolitej” powiadasz? - wzruszyłem ostentacyjnie ramionami i zrobiłem krok w tył. - Być może. Nie odróżniam tych gazet.

Po chwili pożegnałem go, uzmysłowiwszy sobie, że żaden z nas nie puści przysłowiowej farby. Poza tym dalsza rozmowa z nim stawała się niebezpieczna.

Jaką miałem

pewność, że Marek nie wiedział o moich powiązaniach z agencją CIOŚ? Żadnej.

Kiedy tylko wszedł do Domku, zawróciłem zaraz na skraj parku. Jednakże gdzieś w połowie drogi zostałem zatrzymany przez dwoje nieznanych mi młodych ludzi.

Domyśliłem

się, że to Agata i Krzysiek, których poznałem wczoraj w nocy.

- Czy pan Liberales? - zapytał wysoki młodzian o zmierzwionej i jasnej czuprynie, za

którego plecami chowała się dziewczyna, tak że tylko jej piegowata buzia wystawała ponad

ramię chłopaka. - Ja jestem Krzysiek. A to Agata, koleżanka z klasy. No, nie bój się!

Oboje mieli nie więcej jak szesnaście lat i szli do szkoły, o czym świadczyły plecaki

wypchane książkami. Dziewczyna była ładną, chociaż smutną brunetką z dwoma uroczyimi kucykami, ale jej uroda była jeszcze niedojrzała, dopiero co pączkowała.

- Jestem Artur - przedstawiłem się, obejrzawszy przedtem za siebie.

- Poznaliśmy pana po sylwetce - wyjaśnił sympatyczny chłopak. - Ale lepiej było się upewnić.

- W ogóle przepraszam za spóźnienie, ale spotkałem w parku znajomego i musiałem z nim pogadać. Długo czekacie?

- Od siódmej. Widzieliśmy z Agatą tego gościa w marynarce. Kręcił się tutaj i...

- Widzieliście z kim rozmawiał?! - niemal krzyknąłem, czym musiałem ich nielicho wystraszyć.

- No jasne! Z młodą kobietą.

- I do tego wysportowaną - dodała Agata. - Z ciemnym warkoczem.

- Lara Croft - wyszeptałem zdumiony.

A oni popatrzyli na mnie z niedowierzaniem. Lara Croft była przecież dla nich czystą fikcją.

- To znaczy... ona ma tylko taki pseudonim - poprawiłem się. - Bo musicie wiedzieć, że na zamku odbywa się niecodzienny pojedynek...

I opowiedziałem im, po co tutaj przyjechałem i kogo zaproszono na zamek.

- Prawdziwi detektywi? - Krzysiek zrobił wielkie oczy. - A jednak plotki nie kłamią.

- W tym wypadku nie.

- Czy pozna pan nas z Larą Croft? - zapytała podekscytowana Agata.

- I z Jamesem Bondem! - zawtórował chłopak. - Lubię też Porucznika Columbo. Tylko pan nie wygląda na detektywa.

- A jednak nim jestem - uśmiechnąłem się tajemniczo. - Niestety, obawiam się, że niektóre osoby z tego szacownego grona nie grają uczciwie. No bo czemuż to Lara Croft spotyka się z Bondem w miejscu odosobnionym? Czyżby się znali? Nic o tym nie wspomnieli podczas wczorajszej prezentacji. Ba, nawet się droczyli! Swoją drogą, dobrze znam Jamesa Bonda. To hochsztapler. Musicie na niego uważać. Jeśli zauważycie go węszącego po wsi albo spotykającego się z kimś, to dajcie mi znać. Uważajcie też na młodego człowieka ostrzyżonego na jeża, wiem, że pali marsy.

- Dobrze - pokiwał energicznie głową Krzysiek. - Zrobi się. Będziemy zostawiać karteczki w dziupli dębu. Rośnie na skraju parku przed rowem. Poszliśmy tam. Za krzakiem czarnego bzu rósł samotny stary dąb, drzewo potężne i miejscami popękane. Krzysiek wskazał palcem niewielką dziuplę na wysokości głowy - naszą skrytkę.

- A teraz idźcie do szkoły - poklepałem dziewczynę po ramieniu.

- Kiedy się zobaczymy? - zapytała smutnym głosem.

- Po szkole możecie ze mną zwiedzić zamek. Wtedy pogadamy. A właściwie, do której klasy chodzicie?

- Do drugiej licealnej!

- To idźcie już, bo się spóźnicie, a ja muszę coś sprawdzić.

- Podobno dają wysoką nagrodę za odnalezienie skarbu - zaczął nieśmiało chłopak.

- Do czego zmierzasz?

- Nie podzieli się pan z nami nagrodą? - zapytał poczcziwie.

- Ile chcecie?

- A ile pan da?

- Pięć procent...

- Idziemy na to - podał mi szybko rękę na zgodę.

Odprowadzałem ich wzrokiem dopóty, dopóki nie upewniłem się, że naprawdę

opuścili teren parku. Z tego wszystkiego zapomniałem zapytać Agatę, dlaczego wczorajszego wieczora płakała. Ten jej płacz wydał mi się inny niż zwykle dziewczęce pochlipywania. Widocznie ta smukła dziewczyna o ciemnych włosach, z dwoma kucykami po bokach, miała jakieś poważniejsze problemy. Zawróciłem do alei grabowej, aby wrócić do Domku. Już z daleka ujrzałem ją ubraną w wełniany płaszcz. Szła cudownie niewinnym krokiem, ostrożnie, jakby bała się zniszczyć majestat rozpuszczonych włosów, wczoraj zawiązanych jeszcze w koński ogon. I byłby to widok absolutnie rozkoszny, gdyby nie to, że obok niej dreptał bladziutki Porucznik Columbo. Wczorajszego wieczora w salonie próbował ją zabawić Bond, a dzisiaj nie opuszczał jej kolejny adorator, który w tym gronie nie uchodził wprawdzie za przystojnego, ale z pewnością posiadał wewnętrzny urok. Zresztą w tym towarzystwie liczyły się przede wszystkim zalety umysłu. Para szła od strony zamku, więc zaraz minęliśmy się w połowie alei.

- Dzień dobry, panu - skinęła głową w moją stronę pani kustosz, piękna Ewa. Porucznik Columbo, który na pidżamę nałożył prochowiec, zdawał się mnie nie dostrzegać, tak bardzo był pochłonięty rozmową z Ewą. Jakoś nie potrafiłem, ot tak sobie, przejść obok nich.

- Dzień dobry - odpowiedziałem i zaraz spojrzałem na zmęczonego mężczyznę. Słyszałem w nocy jego chrapanie na dole, więc zdziwiło mnie to, że mężczyzna był blady i niewyspany.

- Jak minęła noc, Poruczniku Columbo?

- A dziękuję, dziękuję - bąknął. - Przeżyłem.

- Nie przeszkadzały panu duchy?

- Że co? Duchy? Nie. Mówię tylko pani Ewie, że zasnąłem szybko, bez problemów, a wstałem dziwnie ociężały. Nie służy mi ten Domek. W nocy miałem mdłości. Męczyły mnie koszmary.

- Może wypił pan za dużo wina?

- Żartuje pan - żachnął się. - Dwa kieliszki? To ten Domek. Chcę zamieszkać w zamku. Ale kto się ze mną zamieni?

- A co? - zainteresowała się moją wzmianką o duchach Ewa. - W nocy straszyło? I popatrzyła na mnie z wielką uwagą, aż poczułem się ważny. Może niepotrzebnie wspomniałem o nocnym duchu, ale to jakoś tak samo wyszło. Zresztą, jeśli ktokolwiek z detektywów współpracował z mężczyzną palącym marsy, to i tak pewnie spodziewał się, że będę zadawał pytania, a już na pewno poinformuję pozostałych gości o tym zajściu. Być może milczenie byłoby bardziej podejrzane i spowodowałoby, że przeciwnik stałby się bardziej ostrożny.

- Nie boję się duchów - oświadczyłem, prężąc przesadnie pierś, czym rozbawiłem Porucznika. - Ale ktoś albo coś łąziło po parku.

- Ma pan rozwaloną głowę - zauważył mężczyzna. - Chyba nie bił się pan z duchem, drogi Liberalesie.

- O Boże! - przestraszyła się Ewa.

- Czy się biłem? - spytałem i zrobiłem teatralną pauzę. - Nie doszło do tego - skłamałem. - Przepędziłem drania. Była ciemna noc, więc nie wiem, jak duchy wyglądają. Ale duch w końcu uciekł.

- A głowę rozwalił pan sobie, wstając z łóżka, co? - śmiał się ze mnie Porucznik Columbo.

- Chodzi o moją skroń? Nie, to efekt porannej gimnastyki w parku. Upadłem na

gałąź.

Zlustrowali mnie wzrokiem od stóp do głowy. I chyba mi nie uwierzyli. Wyszedłem na durnia, niepotrzebnie starając się upiększyć ową przygodę z duchem. Inna sprawa, że nie chciałem zdradzać wszystkich szczegółów, jak chociażby faktu, że duch pali marsy.

- Nie wygląda pan na sportowca! - nie dawał spokoju Porucznik.

Uparł się na mnie, był tak samo przykry w dręczeniu pytaniami jak jego telewizyjny

pierwotwór i zdaje się, że chciał mnie dodatkowo poniżyć w oczach Ewy.

- A co pan w ogóle ćwiczy?

- Nic szczególnego, ale ruch to przecież zdrowie.

- Czy w ruchu rozwiązuje pan zagadki historyczne? - zdumiała się kobieta i zmysłowo

poprawiała opadające jej na policzek włosy. - Detektywi używają przede wszystkim głowy. W

istocie, turystyka, sport to miłe dziedziny życia, ale ja najbardziej cenię w ludziach cechy ich

umysłu. Podobno nasz mózg jest wykorzystywany zaledwie w dziesięciu procentach.

- Czyli, że ten, który to ustalił, myli się aż w dziewięćdziesięciu procentach - zażartowałem.

- Chodziło mi o to, że ludzie, zamiast ćwiczyć godzinami na siłowni i biegać, przede

wszystkim powinni zająć się rezerwami tkwiącymi w naszych mózgach. Nie mam racji?

Tak, miała rację! W pełni się z nią zgadzałem! W tej chwili polubiłem ją jeszcze bardziej. Bo przecież podobała mi się nie tylko jej pełna niewinności, typowo słowiańska

uroda, ale właśnie te poglądy - jej umysł. Denerwowało mnie jednak to, że nie widziała mnie

takim, jakim byłem naprawdę.

Moje myśli przerwał tupot kroków. Obok nas przebiegła - a raczej minęła nasza trójkę

z gracją gazeli - Lara Croft. Pojawiła się nagle, wyskoczyła zza moich pleców i przecinając

aleję grabową, zniknęła szybko za drzewami po drugiej stronie, tak że nawet nie słyszałem jej

oddechu, żadnego sapnięcia, a wyłącznie delikatne kroki tłumione przez parkowy dywan

ułożony z kolorowych liści w tonacji brązowej.

- Nasza Lara Croft chce dogonić zagadkę w znaczeniu dosłownym - zauważyła cierpko Ewa.

Popatrzyłem za Lara i powiedziałem z udawanym podziwem, aby zrobić na złość pani kustosz.

- Co za gracia w ruchach!

Mówiąc to, oglądałem się za Larą, ale tak naprawdę próbowałem odgadnąć, kim jest ta wysportowana dziewczyna i skąd znała Bonda? Wersja, że jest ona drugim agentem

Demiurga, rozsypała się dzisiejszego poranka w proch. Agentem szefa CIOS-u był inny

detektyw, a Lara Croft pracowała dla kogoś zupełnie innego. Czy dla Bonda? Ano, tego nie

wiedziałem. Jednakże to było najbardziej prawdopodobne.

- Podobają się panu wysportowane łanie? - zachichotał Porucznik Columbo, widząc mnie wpatzonego w oddalającą się Larę.

- Wszystkie kobiety mi się podobają - palnąłem, aby coś powiedzieć.

- Uwodziciel - wydeła pogardliwie usteczka Ewa.

Nie skomentowałem tej uwagi. Uśmiechnąłem się do niej tak uroczo, jak tylko potrafiłem najlepiej, ale chyba to nie była moja specjalność, skoro kobieta ruszyła

poirytowana w kierunku bramy, a za nią podreptał zadowolony Porucznik Columbo.

Wróciłem samotnie do Domku.

W kuchni zastałem Miss Marple przygotowującą sobie supkę mleczną. Przywitaliśmy się uprzejmie, a ja zabrałem się za przyrządzanie jajecznicy. Coś nie dawało mi spokoju, jakiś

szczegół w kuchni, ale nie wiedziałem wtedy jeszcze, co to jest.

- Wybiera się pan do Drzewoszek, Liberalesie? - zagaiła kobieta.

- Obejrzeć miejsce na polu, na którym odkryto trumnę ze szczątkami Oporowskiego?

-

zawiesiłem głos. - Chętnie. Jeśli ktoś mnie zabierze autem.

- Tyle tu samochodów - machnęła łyżką oblepioną kaszką manną. - Ja rezygnuję z wycieczki. Nie chcę oglądać dołu w ziemi. Wybiorę się raczej do klasztoru paulinów i do

kościółka. Nasz Harry Potter, czarodziej od komputerów, też tam się wybiera, więc starsza pani

będzie miała towarzystwo. Później Harry ma zamiar sprawdzić na komputerze wszystkie

kombinacje liter wrytych na tabliczce. Może już dzisiaj uda mu się złamać szyfr i zgarnąć

nagrodę. Byłaby to, panie Liberalesie, sromotna porażka ludzkiego umysłu w starciu z

martwymi maszynami liczącymi. Koniec świata. Ale co pan zamierza w ogóle robić?

- Nie wiem. Ale mam swoją metodę.

- Jaka?

- Jeśli nie wiem od czego zacząć, to po prostu chodzę i oglądam teren, przyglądam się

otoczeniu, wdycham powietrze razem z unoszącymi się w nim niewidzialnymi pyłkami przeszłości. Mówią, że po śmierci dusza ulatuje z człowieka. Kto wie, może podobnie dzieje

się z historią i jej duch wciąż jest obecny?

- Prawdziwy z pana romantyk! - popatrzyła na mnie podejrzliwie.

- Staram się wtopić w miejscowy pejzaż, wczuć w miejscową kulturę, zwyczaję, ale przede wszystkim muszę poznać historię wybranego miejsca. Nie ma to nic wspólnego z

dziedziną, w której specjalistą jest nasz Hannussen. Uważam jednak, że każda zagadka, tak

jak książka albo rzeźba, jest ściśle związana z osobą autora, a także z miejscem, w którym on

żyje i działa. Jesteśmy złączeni siecią niewidzialnych dla oka połączeń z tym, co nas otacza.

Nawet po śmierci owe połączenia nie zanikają. Być może są one przekazywane jak geny?

Kiedy byłem w Barcelonie i patrzyłem na dekoracyjne motywy zdobiące wieżyczki Sagrada

Familia, nie mogłem oprzeć się silnemu wrażeniu, iż patrzę na zmaterializowaną myśl

architekta tej budowli. Czułem, że Gaudi wciąż żyje, a jego myśli zostały na wieki

unieruchomione, ujarzmione w kształtach wyciosanych z brył. Może to jest fizyczny aspekt

duszy, który więcej nam powie o człowieku od niejednej biografii. I kiedy ktoś taki jak ja

patrzy na dzieło sztuki i nauki, dziedziczy w pewnym sensie dorobek autora i staje się

wspólnikiem jego tajemnicy. Tak, wiem, to czysta metafizyka. Ale czy patrząc na obrazy

impresjonistów, nie wydaje się pani, że to są fotografie przetworzone w umysłach malarzy,

które otwierają nam bramy do poznania ludzkiej natury i świata?

Miss Marple patrzyła na mnie jak na nieszkodliwego wariata.

- Po wycieczce zamierzam zwiedzić zamek z parą wiejskich dzieciaków - zmieniłem szybko temat. - Zapraszam panią i Harry'ego Pottera.

Miss Marple chciała odpowiedzieć, ale do kuchni wpadła Lara. Dziewczyna nawet się nie zasapała. Miała zaczerwienione od gimnastyki policzki, ale sprawiała wrażenie, że wysiłek fizyczny to dla niej pestka. Nie wiem, czy mnie bardziej nie zmęczył spacer, niż ja bieg po parku.

Zacząłem szybciej kroić kiełbasę na talerzyku.

- Kolego detektywie! Wolniej - próbowała żartować Lara, wyjmując z lodówki jogurt naturalny. - Szkoda paluchów.

- Ile kilometrów musisz przebiec, Laro, aby odechciało ci się żartować?

- Ja nigdy nie żartuję - odpowiedziała poważnie. - A co do biegania, to dwa kilometry

przed śniadaniem w zupełności mi wystarczą. Nawet nie muszę brać prysznica. To żaden

wysiłek. Po gimnastyce lepiej się myśli. Radzę spróbować.

- Dzięki za radę - westchnąłem i ponownie zacząłem kroić kiełbasę. - Ale na początek,

czy zabierzesz mnie do Drzewoszek?

- OK. Za pół godziny wyruszamy.

Spojrzałem odruchowo na zegar z kukułką. Szósta dziesięć. A zatem był popsuty, gdyż naprawdę dochodziła ósma. Zegar z kukułką nie chodził. To oczywiste. Jego wahadło

zwiisało nieruchomo z lakierowanego, brązowego domku. Zdumiało mnie jednak co innego.

Dzisiaj zegar wskazywał godzinę szóstą dziesięć, a wczoraj siódmą dziesięć? To ten szczegół

nie dawał mi spokoju i aż prosił się o zauważenie.

Zegar nie chodził, więc jak wyjaśnić ten godzinny upływ czasu? I do tego do tyłu?

Zerknąłem na Miss Marple, jakbym chciał ją o to zapytać, ale pisarka zajadała kaszkę

mannę, a jej mina świadczyła o absolutnym błogostanie.

Uwagze Lary nie uszło moje poruszenie.

- Co tak zamilkłeś? - spytała. - Coś się stało?

- Nie, nic.

Lara wzruszyła ramionami, zabrała jogurt i wyszła do hallu, w którym zrobiło się tłoczno. Słyszałem rozmawiających Marka i Ewę, chichotał także Porucznik Columbo.

W milczeniu dokończyłem dziesiątkowanie kiełbasy, co pewien czas zerkając dyskretnie na zegar z kukułką, a potem szybko podsmażyłem kawałki wędliny, dodając pod

koniec dwa rozbite jajka i szczyptę soli. Kiedy pachnąca jajecznicą usadowiła się smacznie na

bielutkim talerzu, do kuchni wszedł Hannussen.

- Czy można? - zapytał beczelnie i dosiadłszy się do nas, dziabnął wolnym widelcem

trochę mojej jajecznicy.

- Tego było mi trzeba - rozkoszował się.

- Może zechce pan skosztować mojej kaszki? - zapytała Miss Marple.

- Jeszcze mi życie miłe, droga pani - skrzywił się, ale zaraz posłał jej uśmiech. - Nie

lubię zupek mlecznych. Panie Liberales, podobno natknął się pan w nocy na ducha. Czy to

prawda?

- Columbo panu powiedział?

- Żartował, że duch przywalił panu w czołko.

- Może śmiał się z moich zakoli. Ostatnio robią się coraz większe.

- Może dlatego, że używa pan niewłaściwego szamponu. Ziołowe. Wyłącznie ziołowe, mówię to panu. Niech pan zobaczy, jakie mam gęste i twarde włosy. Nieprawdaż? No dobrze,

ale co z tym duchem?

- Właśnie - podchwyciła temat Miss Marple.

- Coś, a raczej ktoś łaził po parku. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, ten ktoś uciekł.

- Widział go pan?

- Niestety, nie.

- Jeśli to duch przeora, to chyba wróci tutaj dzisiejszej nocy - żartowała kobieta. -

Proponuję nocne dyżury. Złapiemy go.

- A jak się panu spało, Hannussen? - zapytałem mężczyznę.

- Nie uwierzy pan, ale naprawdę dobrze!

Hannussen wstał od stołu i skierował się do wyjścia.

- Jajecznica była dobra, temperamentum. Ale za dużo pan soli.

Ze zgrozą stwierdziłem, że jajecznica znikła z talerzyka. Ale to nie był żaden cud!

Żadne tam „temperamentum”! Po prostu Hannussen mnie zagadał i w tym czasie opędzłował

jajecznicę. Ale już go nie było. Miss Marple uśmiechnęła się pod nosem, widząc mnie

poirytowanego podstępem Hannussena. Wstała, włożyła do zlewu głęboki talerz po kaszce

mannie i zrobiła krok w kierunku drzwi.

- Dzisiaj pan zmywa naczynia - zaproponowała i stanęła w drzwiach. Uśmiechnęła się.

- Jutro moja kolej.

Chciałem zaprotestować, ale w porę się powstrzymałem. A niech traktują mnie jak outsidersa! Niech sobie myślą o mnie, co chcą, a ja będę robił swoje i już! W tej chwili na

przykład byłem sam i nadarzała się znakomita okazja, aby sprawdzić zegar z kukułką. Coś

musiało być z nim nie tak, skoro wahadło pozostawało nieruchome, a wskazówki zegara

przesunęły się o godzinę do tyłu. Domknąłem mocniej drzwi i szybko dopadłem popsutego -

jak zakładałem - urządzenia.

Obudowa tarczy miała z boku małe drzwiczki zamykane na zwykły haczyk.

Otworzyłem je i z ciekawości zajrzałem do środka mechanizmu. I momentalnie wyprostowałem się z wrażenia. Pomiędzy zębatymi kołami tkwiła jakaś karteczka.

Ależ tak,

zwinięta w rulon mała karteczka z notesu. Ktoś ją tam włożył i przy okazji poruszył koło

godzinowe zegara. Zapadka musiała być uszkodzona i koło lekko poruszyło się w drugą

stronę, zmieniając położenie wskazówki.

Szybko wyciągnąłem rulonik i zacząłem go rozwijać.

A potem zachłannie zacząłem czytać treść wiadomości:

O 23<sup>00</sup>, 200 m za skrzyżowaniem na Święchów...

Tyle zdażyłem przeczytać. Oto bowiem usłyszałem w hallu czyjeś kroki, potem rozmowę, więc nie namyślając się dłużej, zwinąłem karteczkę w rulonik i z powrotem

wcisnąłem ją między koła mechanizmu zegara. Zamknąłem szybko klapkę, ale nie zdażyłem

już nałożyć haczyka, gdyż ktoś wchodził właśnie do kuchni. Odskokczyłem od zegara i

otworzyłem lodówkę.

Do kuchni weszli zmarnowany Porucznik Columbo, pogodny Bond i piękna Ewa.

- Teraz nasza kolej! - oświadczył Bond, zacierając z zadowoleniem dłoń. -

Żarłoki,

do dzieła!

W kuchni były tylko trzy krzeselka, a więc na siedząco tylko trzy osoby mogły w tym



samym czasie zjeść posiłek.

- Zostawiam państwa samych - uśmiechnąłem się, robiąc krok w stronę drzwi. Nie chciałem robić tłoku. Wychodząc spojrzałem jeszcze na Bonda i powiedziałem tonem Miss

Marple. - Dzisiaj ty zmywasz naczynia. Jutro moja kolej.

I wyszedłem, nie czekając na jego reakcję. W hallu o mało nie zderzyłem się z Harrym

Potterem, który wszedł właśnie do Domku.

- Tutaj dają jeść? - zapytał zaspanym głosem.

- Pospiesz się, bo Bond ma wilczy apetyt.

Zostawiłem go samego w hallu i poszedłem na górę.

Podczas szybkiej toalety myśli miałem zaprzątnięte sprawą owej karteczki ukrytej w

starym zegarze. Ktoś wykorzystywał to urządzenie jako miejsce przekazywania wiadomości.

Wśród nas działał zatem duet, który nie chciał afiszować się przed resztą detektywów swoją

znajomością. Ktoś bawił się w konspirację. Od razu moje podejrzenia padły na Larę i Bonda.

To ich przyłapałem na schadzce. Jednakże skoro przekazywali sobie liściki w starym zegarze,

to czemu mieliby się narażać na ryzyko dekonspiracji w parku?

„Na dobrą sprawę wiadomość w zegarze mogli zostawić też inni” - pomyślałem.

W kuchni pierwsza urzędowała Miss Marple. Kręcił się tam też Hannussen. Czy przypadkiem nie przyszedł do kuchni po wiadomość ukrytą w zegarze i pechowo natknął się

na mnie i na starszą panią? Po co tam poszedł, skoro nie zamierzał przygotować posiłku? A

trik z jajecznicą wyszedł mu po prostu przy okazji. Improvizował.

Owe rozumowanie miało jedną wadę, do kuchni bowiem mógł wejść każdy i ukryć karteczkę o każdej porze. Po co ktoś miałby z samego rana ryzykować wpadką, kiedy kręca

się tutaj inni?

Przed wyjazdem z Lara należało raz jeszcze odwiedzić kuchnię i przeczytać do końca

wiadomość. Być może znajdował się tam podpis autora, ewentualnie jego pseudonim.

Niewykluczone, że po charakterze pisma mógłbym dojść, kim jest autor listu.

Zanim więc wyruszyłem na wycieczkę do Drzewoszek, zajrzałem na krótką chwilę do kuchni. Nikogo nie było, więc miałem okazję doczytać do końca treść tkwiacej w mechanizmie zegara wiadomości.

Niestety, po pierwsze - haczyk był zatknięty, a pamiętałem, że nie zdążyłem zamknąć

drzwiczek zegara; po drugie - po ich otwarciu stwierdziłem, że rulonik zniknął.

Ktoś mnie uprzedził.

Jak dobrze, że mogłem udać się na tę wycieczkę z Larą - miałem ją na oku i mogłem

zwiedzić okolice Oporowa.

4

Drzewoszki leżą kilka kilometrów na południe od Oporowa i nie wyróżniają się niczym szczególnym spośród wsi tego regionu. Spotkamy tam liczne i przeważnie zaniedbane

gospodarstwa położone przy lichych drogach, za którymi rozciągają się płaskie, szare i

zmęczone pola.

Trumna została odkryta przez miejscowego rolnika Wojciecha Matusiaka, za stodołą,

w trakcie prac pod wykop ziemianki. Był to czysty przypadek, ale ponoć tylko dzięki

przypadkom znajduje się w ziemi cenne rzeczy (w przeciwieństwie do beużytecznych

przedmiotów). Gdyby pan Matusiak nie potrzebował owej ziemianki i gdyby przeor Gabriel zakopał trumnę sto metrów dalej, w miejscu, w którym teraz są pola, pewnie nigdy by nie ujrzała światła dziennego, a nas by tutaj nie było.

Lara - ubrana w modną skórzaną pelerynę z kapturem, wykonaną w stylu „high-tech” - zaparkowała przed zardzewiałą bramą, a następnie weszliśmy na podwórze upstrzone kurzymi odchodami i minęliśmy psa uwiązanego przy budzie za rogiem domu. Szcekał i wyrywał się z łańcucha, jakby chciał nas pożreć. W głębi podwórza, bliżej ogrodu stał ford fiesta z kutnowską rejestracją.

Na schodkach pojawiła się zaraz jakaś wystraszona kobieta w sukience ozdobionej dużą broszką.

- Państwo do kogo? - zapytała nieufnie i poprawiła ręką tłuste włosy. - Do męża? Bo teraz go nie ma.

- A kiedy będzie? - zapytała Lara.

- A ja tam wiem? Może pod wieczór. A wy z jakiej gazety?

- Chcieliśmy zobaczyć ten dół - odparła wymijająco Lara. - A pod wieczór jest już ciemno...

- Byli już tutaj naukowcy i siedzieli nam na karku miesiąc. Potem kręciło się tu pełno pismaków - stękała kobieta. - Po cóż on to wykopał? Żeby chociaż jaki skarb! Ale kości?!

Sławy nam nie trza! Przydałyby się pieniądze.

- To jak? - popatrzyłem na nią prosząco.

- Jakby każdy chciał tu wleźć, to spokoju byśmy nie mieli. A roboty i w październiku dużo.

- Nie będziemy przeszkadzać - wyjaśniłem uprzejmie. - Zerkniemy tylko na ten dół.

Wzruszyła ramionami, ale nie zaprosiła nas.

- Lepiej przyjdźcie, jak mąż będzie.

- Wpadniemy.

Wyszliśmy na drogę przed domem. Lara nie wydała mi się znanadto rozczarowana przebiegiem rozmowy. Widocznie jako detektyw była przyzwyczajona do ludzkiej niechęci.

Radzi nie radzi wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy. Alfa romeo szybko pokonywała wąską wiejską dróżkę pełną wyrw i zakrętów. Popatrzyłem z obawą na odważną Larę. Wtedy, gdy przygryzała dolną wargę, a jej wzrok sięgał gdzieś daleko za horyzont pól - była całkiem interesująca. Ale jak tylko przywdziewała maskę agresji, jej kobieca zmysłowość ulatniała się z prędkością światła.

Była dobrym kierowcą, więc szybko przestałem się bać szalonej jazdy po wiejskich wertepach. Moje myśli ze zdwojoną siłą powróciły do sprawy porannego spotkania w parku.

Co łączyło ją z moim bratem? Jeśli była detektywem, to czemu spotykała się z człowiekiem o nadszarpniętej reputacji, jaką wyrobił sobie ostatnimi laty Marek?

I wtedy Lara zerknęła na mnie i nieoczekiwanie spytała:

- Znasz Bonda?

Wprost mnie zamurowało, zupełnie jakby odgadła moje myśli.

- Czemu pytasz?

- Nie obraż się, ale będę szczerą - uśmiechnęła się tajemniczo pod nosem i mocniej nacisnęła pedał gazu. I to na samym zakręcie, aż nami zarzuciło. - James dużo o

tobie wie, a nikt z nas nie słyszał o Arturze Liberalesie. Nie ma takiego detektywa! Każdy zna Porucznika Columbo, Jamesa Bonda czy Larę Croft. Ale Liberales? Poza tym widziałam te wasze znaczące spojrzenia, twoje i Bonda. Byłeś rozczarowany, widząc go na zamku, James szybko się opanował, ale zbyt często zerkał na ciebie. Jestem zawodowym detektywem. Mam wyostrzoną zdolność obserwacji. No to jak? Mylę się?

- W czym?

- No z Bondem? Znacie się, co nie?

- A ty? - próbowałem grać na zwłokę. - Czy znasz Marka?

- Nie - odpowiedziała szybko.

Ale zaraz ugryzła się w język, gdyż w ten dziecinny sposób przyznała się do tego, że musi go znać. Przecież nikt z grona naszych detektywów nie przedstawiał się wczoraj z nazwiska i imienia, więc skąd Lara знаła imię mojego brata? Oczywiście, Marek mógł przedstawić się Larze prywatnie podczas przypadkowego spotkania, na przykład na spacerze, ale oficjalnie ta para udawała przecież, że się nie zna. I gdyby Lara nie miała nic wspólnego z moim bratem, to powinna była zareagować zdziwieniem na imię „Marek”. Reakcja dziewczyny nieomylnie wskazywała, że Lara go znała.

- Nie znam tego twojego Marka - poprawiła się. - Bond przedstawił mi się tak wczoraj na schodach...

- Ach tak. Oszukiwała. To było jasne!

Nagle zahamowała ostro w szczerym polu, jakby chciała rozrzedzić atmosferę wzajemnych podejrzeń i nieufności. Szybko zmieniła temat.

- Nie podoba mi się ta Matusiakowa - westchnęła. - Ten samochód...

- Nie rozumiem.

- Widać, że jesteś zielony. Samochód na podwórzu miał kutnowską rejestrację. Nie dziwi cię to? To znaczy, że u Matusiaków ktoś był.

- Przecież Matusiakowa mógł odwiedzić ktokolwiek - zachnąłem się. - Znajomy. Rodzina. Wykluczasz taką możliwość, że Matusiakowie mają w Kutnie rodzinę?

- Mogą mieć i na Bora-Bora! Ale pomyśl chwilę. Matusiakowa była zdenerwowana. Założyła odświętny ciuch, wpięła nawet broszkę, ale nie zdążyła umyć włosów. Ktoś ich odwiedził bez zapowiedzi. Rozumiesz? Gdyby to był ktoś z rodziny albo zwykły znajomy, to Matusiakowa nie zakładałaby odświętnej sukienki. Ale to nie jest zwykła rodzinna wizyta.

- Nie przesadzasz z tą podejrzliwością?

- Spoko. Znam się na ludziach. Jestem zawodowym detektywem. Poza tym, co Matusiakom szkodzi, że „mkniemy” sobie na kawałek dołu? Powinni być do tego przyzwyczajeni.

- Dół mogli już dawno zasypać.

- Archeolodzy dłubali w nim jeszcze w sierpniu. A gdyby nawet zakopali dół, to Matusiakowa powinna o tym powiedzieć. I byłoby po sprawie. Tu nie chodzi o dół, kolego detektywie.

Lara nie czekała na moją opinię. Wykręciła sprawnie na wąskiej dróżce i już z powrotem jechaliśmy, a raczej pędziliśmy, pełną wyrw drogą w kierunku Drzewoszek, wzniesając za sobą tumany kurzu.

Nie wróciliśmy poprzednią trasą. Lara skierowała alfę romeo na Aleksandrów, sąsiednią wioskę po stronie wschodniej, i zajęła do Drzewoszek od północnego wschodu.

Trzeba uczciwie przyznać, że zaczynała mnie zadziwiać. Była znakomitym detektywem,

potrafiła niezwykle szybko czytać z ludzkich gestów, spojrzeń i błyskawicznie wyciągać z tego wnioski. Była groźnym przeciwnikiem. Gdybym to w pojedynkę wybrał się dzisiaj do Drzewoszek, to pewnie szybko bym stamtąd wrócił z pustymi rękami. Jednakże z Larą było inaczej. Oto bowiem zwykła, niewinna przejażdżka przekształciła się w pasjonującą wyprawę. Dla mnie, nieprzyzwyczajonego do takich przygód, stanowiło to nie lada atrakcję i zarazem naukę.

Minęliśmy rozwidlenie dróg i jadąc bardzo wolno, zbliżaliśmy się do gospodarstwa Matusiaków z drugiej strony niż poprzednio. Gdy dzieliło nas niecałe pięćdziesiąt metrów, Lara zjechała z drogi i ustawiła się za polonezem stojącym przed domem sąsiadów.

- Co robimy? - zapytałem.

- Czekamy. To normalne w zawodzie detektywa.

Na całe szczęście nie musieliśmy długo czekać. Dosłownie po minucie z gospodarstwa Matusiaków wyjechał na drogę ford fiesta z kutnowską rejestracją i skierował się na południe. Prowadził go jakiś mężczyzna, obok siedział drugi.

- Wiedziałaś, że kłamała - mruknęła zadowolona Lara. - Matusiakowa mówiła, że męża nie ma w domu.

- Zaraz - zdziwiłem się - przecież nie wiemy, kto siedzi w fordzie? Dziewczyna tylko zachichotała i ruszyła spokojnie za fordem, utrzymując bezpieczny dystans.

- Nie zauważą nas? - wyraziłem po chwili swoje obawy.

- Jeśli nas zauważą, a są przy tym uczciwi, to powinni się zatrzymać, zrobić wszystko, aby ustalić kim jesteśmy. Normalni ludzie tak zazwyczaj postępują.

- A jeśli mają coś na sumieniu?

- Jeśli coś kombinują, a czuję, że tak, to niebawem coś wykombinują. Jeśli są przy tym amatorami, to uciekną przy pierwszej nadarzającej się okazji. Wiedzą, że mamy lepszy samochód, a zatem nie zrobią tego na otwartym terenie ani na głównej szosie.

- Jesteś szalona - pokręciłem głową w geście podziwu. - Czy wszyscy są dla ciebie potencjalnymi przestępcami?

- Po prostu wnioskuję z faktów - chichotała dalej. - I jak sam widzisz, ta umiejętność mnie nie zawiodła. Zaraz po naszym odejściu ktoś opuścił dom. Niewykluczone, że w fordzie jedzie także Matusiak.

Kiedy wyjechaliśmy w ślad za fordem na główną drogę na Kutno, Lara stwierdziła:

- Jadą nie za szybko, nie za wolno. Musieli nas zauważyć, tym bardziej, że widzieli moje auto przed domem. I co, kolego detektywie? Nie zatrzymali się. Uciec nie mogą, więc pewnie w Kutnie będą próbować zgubić nas na czerwonym świetle. Zakład?

- O co?

- Spoko, sama wymyślę nagrodę.

Miała rację. Trasa na Poznań to niezwykle uczęszczana w Polsce droga, nosi nawet niechlubną nazwę „trasy śmierci”. Z naprzeciwka jechał rząd TIR-ów ciągnący się sznurem na kilometr albo i więcej; przed fordem, którego śledziliśmy, wlokła się jakaś stara duża ciężarówka. W pewnej chwili ford fiesta przerwał tę monotonię jazdy i, ryzykując zderzeniem czołowym, wyrwał do przodu. Ominął ciężarówkę, otarł się o TIR-a z naprzeciwka,

aż z Lara  
wstrzymaliśmy na chwilę oddech, i zniknął nam z oczu. A my jak na złość nie  
mogliśmy tej  
starej ciężarówce wyprzedzić. Jej kierowca, gdy tylko zauważył manewr forda,  
natychmiast  
przyssał się do środkowej linii jezdni, zamiast zjechać na prawe pobocze. W ten  
oto sposób  
uniemożliwił nam wyprzedzenie go i dogonienie forda. To była z jego strony  
złośliwość, co  
również należy do częstych zjawisk na polskich drogach. A może chciał w ten  
sposób ukrócić  
szaleństwo innych kierowców?  
Tylko, że nam się spieszyło!  
- Co za palant! - wrzeszczała wściekła Lara i nie zdejmowała ręki z klaksonu. -  
Zjeżdżaj, młocie! No już! Szybko! Musimy dorwać forda!  
- Laro! - puknąłem ją w ramię. - Facet w ciężarówce cię nie słyszy.  
Jechaliśmy tak kilka kilometrów. Za nami zrobił się już wielki korek i dopiero  
przed  
przejazdem kolejowym w Kutnie ciężarówka dała za wygraną i zjechała do jakiejś  
bazy. Cóż  
z tego, skoro nigdzie nie zauważyliśmy forda fiesty. Przepadł na dobre.  
- To jak będzie z naszym zakładem? - zagailem Larę.  
- Przecież nie próbowali nas zgubić na czerwonym świetle - prychnęła  
niepoczieszona.  
- Nie musieli. Tym manewrem na szosie pokazali, że jednak mają coś do ukrycia.  
Miałaś rację.  
- Mogli nas zgubić dla jaj - warknęła. - To nic nie znaczy.  
Zaśmiałem się pod nosem.  
- Z czego tak chichrasz?  
- Bo w tej chwili zamieniliśmy się rolami. Mówisz dokładnie to samo, co ja  
twierdziłem jeszcze kwadrans temu, ja zaś zostałem rzecznikiem twojej  
poprzedniej tezy.  
Lara nie miała poczucia humoru, gdyż wcale się nie uśmiechnęła, zamiast tego  
intensywnie myślała.  
- Wracamy do Oporowa - oświadczyła nagle. - Na Matusiaków i ich tajemniczego  
gościa zapoluję później.  
Na miejscu dowiedzieliśmy się, że po naszym wyjeździe do Drzewoszek, James Bond  
zauważył przebitą oponę w jego nowym, sportowym BMW. Z samego rana, gdy wszyscy  
detektywi byli zaspani, a szarość spowiła nie tylko cały park, ale i nasze  
umysły - nikt jakoś  
tego nie zauważył. Dopiero po śniadaniu, gdy Bond chciał skorzystać z auta,  
zauważył kaptur  
i ślady po nożu na oponie. Natychmiast wezwał pomoc drogową i w tej chwili  
przebywał w  
warsztacie w Żychlinie.  
„Nie chciało mu się nawet samemu założyć koła - pomyślałem z niesmakiem. - Co za  
manierę”.  
I zaraz naszła mnie refleksja, czy aby wszyscy konkurenci grają tutaj fair?  
Pomyślałem też o nocnym „duchu”. To mógł zrobić właśnie on, człowiek z baru  
pałacy  
marsy. Tak na dobrą sprawę, to i mnie można było o to posadzić - w nocy  
wychodziłem z  
Domku. Więcej! Każdy z detektywów mógł przebić oponę BMW, gdyż o zmierzchu dużo  
osób się tutaj kręciło i wiele było ku temu okazji.  
„Dziwne. Czy zniknięcie Traktora sprzed mojego bloku to robota tego samego  
człowieka?”.  
W Domku i przed zamkiem nie spotkaliśmy żadnego z detektywów. Pusto, jedynie  
ogrodnik krzątał się koło gazonu i zamiatał liście z alejki. Przed zamkiem stały  
też: niebieski  
nissan (należący do Porucznika Columbo) i maluch pracownika muzeum. Jako że do  
spotkania z Agatą i Krzyśkiem zostało jeszcze sporo czasu, a Lara zniknęła w

Domku,  
poszedłem do sklepu zrobić niezbędne zakupy.  
Wracając, wstąpiłem do zamku po historyczną lekturę o Oporowie. Już w sieni zamkowej natknąłem się na grupę zwiedzających turystów i słyszałem głosy dochodzące przez otwarte drzwi po prawej stronie w części zwanej domem mieszkalnym, tam gdzie mieścił się sekretariat. Nie chcąc przeszkadzać pracownikom, wyszedłem na zewnątrz.  
Alfa romeo opuszczała teren zamku. Prawdopodobnie Lara pojechała do Drzewoszek, niewykluczone, że postanowiła sama obserwować dom Matusiaków. Ten trop mógł okazać się sukcesem, chociaż byłem raczej sceptykiem. Przecież Matusiak znalazł trumnę biskupa zupełnie przypadkowo.- Co miałyby przed nami ukrywać zwykły rolnik? A nawet gdyby miał coś na sumieniu, to ktoś taki jak Matusiak nigdy by nie dopuścił do nagłośnienia tej sprawy i nie pokazałby tabliczki. Odkopałby szczątki, schował tabliczkę i milczał. Nie miałem żadnej koncepcji, jak zabrać się za tę sprawę. Na konkurentów, czyli detektywów, nie mogłem za bardzo liczyć. Zachowanie Lary nie wróżyło dobrej współpracy z pozostałymi, każdy tutaj dbał wyłącznie o siebie, bo pragnął nagrody i splendoru zwycięzcy.  
Każdy pracował zatem na swój własny rachunek.  
Niech inni sobie jeżdżą i spiskują, a ja w tym czasie powinienem dobrze poznać historię Oporowa i zdobyć od Ewy więcej danych dotyczących odkrycia w Drzewoszkach.  
Gdy tak stałem przed zamkiem intuicyjnie zerknąłem na jego zachodnią wieżę. W oknie na piętrze, tam gdzie mieściły się sypialnie naszych pań i Harry'ego Pottera, dostrzegłem niewielki zarys postaci ukrytej za firanką. Gdy tylko wyżej uniosłem głowę, firanka zafalowała, a cień obserwatora ulotnił się.  
Jak mi się zdawało, przyłapałem Harry'ego Pottera na podglądaniu mnie. Tylko, że nie było w tym nic szczególnego, każdy bowiem może stać w oknie i wyglądać przez nie. Nie powinno mnie to interesować.  
W Domku zjadłem pośpiesznie drugie śniadanie i nie omieszkałem sprawdzić wnętrza zegara z kukułką, ale tym razem nie znalazłem żadnej karteczki.  
Poszedłem do biblioteki po drugiej stronie drogi przy stawku.  
Wewnątrz parterowego budynku z czerwonej cegły, nie licząc kilku stolików, krzeseł, regałów z książkami i, oczywiście, bibliotekarki, było pusto. Pachniało tu książkami i starym magazynem. Czytelnię obsługiwała jedna osoba. Na oko miała jakieś trzydzieści dwa lata i była średniego wzrostu szatynką z prostymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Na nosie miała obowiązkowe okulary i zdaje się, że jej oczy zdradzały melancholijne usposobienie. Ubierała się zwyczajnie. Prosta sukienka i sweterek z kieszeniami po bokach, brak makijażu i świecidełek znamionowały przesadną skromność.  
Poprosiłem o książkę o Oporowie.  
W pierwszej chwili trudno było mi zebrać myśli i skoncentrować się na lekturze.  
Po pierwsze, w pomieszczeniu było chłodno, po drugie, wydawało się, że znajomość dawnych faktów jest, i owszem, pomocna i w ogóle ciekawa, ale trudno było sądzić, aby to pomogło

znaleźć skarb. Każde przejście od teorii do praktyki było zabiegiem bolesnym i naszpikowanym różnego rodzaju wątpliwościami, a w tej chwili dawałem policzek własnym poglądom. Jak łatwo było snuć teorie o metafizyce, a jak ciężko wykrzesać z kronik pełnych faktów iskrę zdolną rozjaśnić przeszłość. Gdy tutaj siedziałem i czytałem o historii Oporowa, inni konkurenci węszyli w terenie, szukali wskazówek w klasztorze i Bóg jeden raczy wiedzieć, gdzie jeszcze. Ale czy większość z nich już wcześniej nie poznała historii tego miejsca? Skoro zdecydowali się wziąć udział w pojedynku, pewnie zainteresowali się tą sprawą, a więc sięgnęli także po książki. Odrzuciłem na bok złe myśli i skupiłem się na faktach historycznych. Pierwszą wzmiankę o Oporowie znajdujemy w 1363 roku w dokumencie wystawionym przez Kazimierza Wielkiego. Pojawiła się tam bowiem postać dziedzica Oporowa - Bogusława. To on w 1399 roku wydał dokument określający Oporów jako wieś. W XV wieku w źródłach występuje miasto Oporów - założone na terenie dawnej wsi, będącej zarazem ośrodkiem parafii. Datę lokacji przyjmuje się zgodnie na 1427 rok, ale niewykluczone, że już wcześniej, w okresie rządów Władysława Jagiełły, otrzymał on prawa miejskie. W 1453 roku czytamy o oppidum Oporów w dokumencie arcybiskupa Władysława Oporowskiego. Wydaje się, że założycielem Oporowa był żyjący w latach 1365-1425 wojewoda łęczycki Mikołaj Oporowski, człowiek blisko związany z dworem Jagiełły (w tamtych czasach to monarcha mógł wydać zezwolenie na lokację miasta w czyichś dobrach). Co do kościoła oporowskiego, to pierwotna parafia została prawdopodobnie ufundowana w XIV stuleciu. Założony kościół był pod wezwaniem św. Marcina, ale o tym informuje dopiero wspomniany dokument z 1453 roku. Później wojewoda Mikołaj Oporowski, właściciel miasta, sporządził testament, a było to w roku 1425, w którym to dokumencie znalazły się zapisy na rzecz kościoła. Wynika z niego, że budynek kościelny nie był jeszcze ukończony. Dopiero 1453 rok przyniósł zmianę sytuacji parafii. Wówczas to arcybiskup Władysław Oporowski, uwzględniając prośbę dziedzica Oporowa Piotra, syna zmarłego wojewody Mikołaja, a wtedy podkomorzego łęczyckiego i starosty łowickiego, zamienił kościół parafialny na konwentualny i zakonny. W kościele oporowskim zostali ulokowani mnisi z zakonu św. Pawła pustelnika, przestrzegający reguły św. Augustyna. Na utrzymanie powstającego konwentu Władysław Oporowski przekazał uposażenie dotychczasowej parafii. Do obowiązków paulinów wobec ludności zamieszkującej osiedla należące do parafii, do ich cara animarum, należało odprawianie mszy, spowiadanie wiernych, głoszenie kazań, udzielanie sakramentów, ślubów czy chrzczenie dzieci. Parafia zaś pobierała ze wszystkich osiedli wiejskich dziesięcinę. Powróćmy jeszcze na chwilę do osoby Mikołaja Oporowskiego. W jego rękach znajdowało się około trzydziestu osad w Łęczyckiem i na Kujawach, w tym także Oporów. W

mieście tym znajdowała się drewniana fortalicja, być może dwór obronny. Miasto z dworem zapisał Mikołaj swojej żonie Krystynie. Niestety, po jego śmierci w 1425 roku do akcji

wkroczył syn Stefan i ogołocił matkę z ruchomości, a nawet z garderoby ojca. Obecny późnogotycki zamek został wzniesiony w XV wieku przez Władysława, który w latach 1434-1449 był biskupem włocławskim, a w latach 1449-1453 arcybiskupem w Gnieźnie.

Później, z biegiem lat, z powodu słabego rozwoju, miasto Oporów, mimo że leżało na szlakach handlowych, utraciło prawa miejskie i stało się wsią.

Przerwałem lekturę. Dochodziło wpół do pierwszej. Przede mną było jeszcze kilka rozdziałów interesującego opracowania historycznego, a przecież byłem umówiony z dziećmi.

- Czy mógłbym wypożyczyć tę książkę? - zapytałem bibliotekarkę. - Jestem gościem z zamku. Rozwiązujemy zagadkę przeora Gabriela i chciałbym doczytać wieczorem ostatnie rozdziały.

- Nie wygląda pan na detektywa - stwierdziła, zerkając na mnie zza grubych okularów.

- Ciągle mi to mówią.

- Przepraszam, nie chciałam pana urazić. Oczywiście, książkę pożyczę. Wygląda pan na uczciwego człowieka. Na zamku też znajdzie pan książki o historii Oporowa. Polecam

także moją książkę, którą napisałam przed laty dla uczniów z naszej gminy. W tej chwili jest wypożyczona, ale jej zawartość wprowadziłam do naszego komputera.

W rogu pomieszczenia stał stary pecet, którego wcześniej nie zauważyłem.

- To świetnie - ucieszyłem się. - Z pewnością zna pani Oporów jak własną kieszeń.

Skoro tak, to może zechciałaby pani przyłączyć się do mojej ekipy poszukiwaczy skarbu?

- Nie mogę. Obowiązki. Ale o jakiej ekipie pan mówi?

- To miejscowe dzieciaki. Jeśli chciałyby się pani z nami zintegrować i poznać pozostałych detektywów z zamku, to proszę przyjść na dzisiejsze ognisko o ósmej wieczorem. Tylko niech się pani ciepło ubierze. Aha, nie przedstawiłem się. Jestem Artur

Burski.

- Krystyna Ratajczyk - bąknęła nieśmiało pod nosem, nie podając mi ręki. Była speszona. - Dziękuję za zaproszenie, ale chyba nie skorzystam. Mam tak dużo pracy. No i nie jestem detektywem.

- Ja też do wczoraj nim nie byłem - oznajmiłem i odebrałem rewers. - Dziękuję. A zaproszenie jest wciąż aktualne.

To powiedziawszy, opuściłem bibliotekę z książką pod pachą.

Dla odprężenia poszedłem na spacer w stronę kościoła i cmentarza po zachodniej stronie wioski.

Nie uszedłem daleko. Ledwo minąłem główną bramę naprzeciwko stawku przy skrzyżowaniu dróg, oporowską ciszę zakłócił ryk silnika sportowego samochodu dochodzący od strony Żychlina.

To było BMW. James Bond, gdy tylko mnie zauważył, dał ostro po hamulcach, aż zapiszczało na całą okolicę, i przez uchyloną szybę machał do mnie ręką, abym podszedł.

Mój humor zepsuł widok wysiadającej z auta Ewy, która, widać, zdążyła już bliżej poznać mojego brata. A wiedziałem, że umiał postępować z kobietami.

- Dziękuję za podwiezienie, James! - zachichotała i pomachała mu ochoczo, a dla mnie zostawiła ochłap w postaci zdawkowego skinięcia głową. - Do wieczora.

Gdy Ewa ruszyła krokiem modelki w stronę zamku, Bond wyszedł z samochodu i



stał naprzeciwko mnie. Mijał nas akurat stary autobus z Żychlina, który z trudem zmieścił się na zakręcie.

- I jak, braciszku, udała się podróż z Larą do Drzewoszek?

- Wolę, abys używał mojego pseudonimu - uśmiechnąłem się blado i wzrokiem powiodłem po jego wystrzałowym aucie. - Słyszałem, że w nocy duch przebił ci oponę.

Bond zmrużył oczy i próbował przewiercić mnie wzrokiem.

- Mógłbym ciebie o to podejrzewać, Liberalesie. Ewa zdażyła mi już opowiedzieć o twojej nocnej przygodzie. Wychodziłeś w nocy z Domku.

„Papla” - pomyślałem o niej z wściekłością.

W tej chwili nie byłem nawet zły na Bonda, a wyłącznie na nią, za ten jej beztroski

nastrój i komitywę z Markiem. Chyba byłem o nią zazdrosny.

- Ale to nie ja - bąknąłem.

- Wiem, wiem - poklepał mnie po ramieniu i przyglądał się ranie na mojej skroni.

- To

nie w twoim stylu. To pewnie ten, który ci tak przyłożył. Drań używa noża i zmusił mnie do

wydania kilkuset złotych, gdyż w warsztacie zrobiono przegląd całego samochodu. Nie

chciałbym zabić się na zakręcie, gdyby ten drań przeciął jakieś przewody.

- Sugerujesz, że stawką w tej grze może być nawet nasze życie? - zdziwiłem się.

- Pewnie chodzi tylko o utrudnienie śledztwa. Ale kto to wie? Czy wiesz, kto to mógł

zrobić?

- Skąd niby miałbym wiedzieć? Nie zadaję się z draniami, więc ich nie znam.

Zresztą,

gdybym wiedział, poszedłbym na policję.

- A właśnie - zlustrował mnie dokładnie. - Jak tam wizyta z Larą w Drzewoszkach?

- Spytaj o to Larę!

Zdaje się, że przeszarżowałem, bo gapił się na mnie z zatroskaną miną.

Przestraszyłem

się, że obudziłem w nim czujność, a nie chciałem, aby zorientował się, że podejrzewam go o

współpracę z dziewczyną. Gdy tak staliśmy na małym rozwidleniu asfaltowych dróg, zauważyłem wysiadających z pekaesu przy pawilonach Agatę i Krzyska. Tam bowiem mieścił się przystanek.

- Czy coś się stało? - zapytał Bond, widząc, że obserwuję wysiadających z pekaesu

ludzi.

Temat wizyty w Drzewoszkach miałem z głowy.

- Nie, nic - odpowiedziałem. - Ale jestem umówiony.

To powiedziawszy, pomachałem młodemu, którzy już wcześniej mnie zauważyli i szli w moją stronę.

- A ty nie możesz obejść się bez uczniów? - zaśmiał się szyderczo pod nosem. -

Szkoda, że nie przyjechałeś tutaj z całą swoją klasą.

To mówiąc, wsiadł do auta, aby z efektownym piskiem opon minąć zakręt za rogami parkowego ogrodzenia.

- Panie Arturze! - wołały w moją stronę podniecone czymś dzieciaki. - Panie Liberalesie!

- Co się stało?

- Widział pan tego gościa w BMW? - zapytały zdyszane, gdy stanęły przede mną.

- Jamesa Bonda? Jasne! Przecież z nim rozmawiałem.

- Bo my widzieliśmy go z panią kustosz w Żychlinie - wyjaśnił poruszony Krzysiek. -

BMW stało w warsztacie, a ten gość nawijał do pani Ewy...

- Znacze ją?

- Przecież jesteście stąd.

- No tak - westchnąłem. - Ktoś w nocy przekłuł mu oponę i pomoc drogowa zabrała samochód do najbliższego warsztatu. Pani Ewa zabrała się z Bondem, gdyż miała

coś do

załatwienia w Żychlinie.

- Miała spotkanie w tej firmie od soków owocowych! Z tym waszym sponsorem.

- A wy skąd wiecie dokąd poszła pani Ewa?

- Zobaczyliśmy ją na dużej przerwie, szła ulicą...

- Mieliście obserwować kogoś z detektywów, a nie panią kustosz - zrobiłem sroga

minę. - I już na pewno nie w czasie lekcji.

- Udałam, że skaleczyłam się w rękę i nauczycielka wysłała mnie do higienistki - wyjaśniła Agata. - Trochę skłamałam, ale za pół godziny wróciliśmy.

- Bo ja poszedłem w charakterze obstawy - dodał Krzysiek. - Pani Ewa poszła do sponsora, a James Bond jej towarzyszył. On, normalnie, dostawiał się do niej!

- I co na to pani Ewa?

- Jak to co? - zaśmiał się chłopak. - Widać, że leci na gościa.

- Wcale nie! - Agata szturchnęła kolegę. - Ona była po prostu kulturalna.

- I to wszystko, co widzieliście? - westchnąłem poirytowany. - Czy to było warte wagarów? Udzielam wam nagany. Mało! Ja zrywam nasz układ. Nie możecie opuszczać zajęć

szkolnych! Absolutnie! Nie wiecie, kim ja jestem! Do widzenia! Albo jak chcecie, to

chodźcie ze mną do zamku, ale od jutra koniec z zagadką przeora Gabriela!

Zapamiętajcie, że

najpierw szkoła, potem odrabianie lekcji, a dopiero na końcu zabawa w detektywów.

- Panie Liberalesie - jęknął Krzysiek. - Nie jest pan ciekawy, kto ich śledził?

- Nie - szybko uciałem, ale zaraz popatrzyłem na niego zaciekawiony. - Kto taki?

- Nie znamy go - mówił chłopak. - Młody facet. Jeździ granatowym golfem.

- A łeb ma ogolony na jeża - dodała Agata.

Od razu skojarzyłem opis jegomościa z człowiekiem obserwującym mnie w miejscowej knajpce. To musiał być ten sam facet. Tylko dlaczego teraz obserwował Bonda i

Ewę? Kim był?

- Facet pałacy marsy - wyrwało mi się.

Gdy to powiedziałem, na twarzach dzieciaków odmalował się szczerzy podziw.

- Skąd pan to wie? - zaciekawiał się Krzysiek i wyjął z plecaka zwiniętą plastikową

torebkę. - Facet naprawdę pali marsy. Te dwa pety znaleźliśmy na chodniku.

Obserwował z

samochodu warsztat, a potem wyrzucił za szybę peta, gdy ruszył za BMW. Szkoda, że nie

mamy samochodu i nie mogliśmy go śledzić.

- Po co mi te pety? - spytałem, unosząc wyżej plastikową torebkę z dwoma niedopałkami w środku.

- Jak to po co? Na filmach zawsze zbierają dowody do torebki plastikowej, aby zbadać odciski palców, co nie?

Zacząłem się śmiać.

- Z czego pan się śmieje? - zapytali urażeni moją reakcją.

- Przepraszam was, ale wzięliście mnie za zawodowego detektywa, a ja jestem tylko

amatorem. Tak naprawdę to uczę w liceum...

- Co? - przerażenie otworzyło im szerzej usta.

- Matematyki - dodałem.

- O Jezu! - jęknęła zrozpaczona Agata i odruchowo się odsunęła. - Tylko nie to.

- Ona nie cierpi matmy - szeptał na stronie Krzysiek. - Nie wiadomo nawet, czy przejdzie do następnej klasy: Ja też nie jestem orłem z matematyki.

- Aż tak źle?

Nagle dostrzegłem wracających od strony kościoła Hannussena i Miss Marple. Szli wolno chodnikiem i namiętnie o czymś dyskutowali. Gdy tylko nas spostrzegli, natychmiast

zmienili kierunek marszu i weszli pośpiesznie do pawilonu stojącego za przystankiem.

- Konspiracja pełną gębą - zamruczałem pod nosem. Schowałem plastikową torebkę do kieszeni i poklepałem Agatę po ramieniu.

- To jak? Idziemy zwiedzić zamek?

Poszliśmy. Jednakże już na moście wyszła nam naprzeciw pani Bogusia - pracownik sekretariatu muzeum. Kobieta w średnim wieku, skromna istota stawiająca drobne kroczki.

- Jak to dobrze, że pan jest! - wołała do mnie. - Dzwonili z policji!

Odnaleziono

pański samochód.

5

Nie chciałem prosić o przysługę nikogo z detektywów. Dlatego z ulgą dowiedziałem się, że za pół godziny będę mógł zabrać się z kierowcą muzeum, panem Andrzejem, który

jechał do stolicy służbowym żukiem.

Czekając na samochód, miałem wolną chwilę, aby przejść się z Agatą i Krzyśkiem po

zamkowych zakamarkach. Oczywiście bez udziału pani kustosz, do której sympatia zgasła

niczym uliczna lampa rozbita kamieniem przez urwisa, a nawet poczułem do niej pewną

niechęć. Powód był prosty - nie spodobała mi się jej podróż do Zychlina z Bondem. I te

okropne sugestie Krzyśka odnośnie do zalotów mojego brata! To wystarczyło, aby wprawić

mnie w tak podły nastrój, że nawet wiadomość o odnalezieniu przez policję Traktora nie

mogła mnie udobruchać.

Wracajmy na zamek.

W sieni zamkowej drewniane schody z balustradą prowadzą na dwie kondygnacje czworobocznej wieży mieszkalnej - najstarszej części budowli. Minęliśmy ją i rzuciliśmy

okiem na wewnętrzny dziedziniec - na wypolerowaną przez ludzkie stopy i pogodę wiekową

kostkę, otoczoną czerwonym, ceglany murem obronnym, w którego zaprawie skostniała

wieczność. Na piętrze zachował się drewniany, skrzypiący balkon przyległy do wewnętrznych murów południowej części mieszkalnej. Z niej można się było dostać po

balkonie do kapliczki w górnej kondygnacji baszty wschodniej. Zanim pierwszy właściciel

zaczął przychodzić tutaj na modły i klękał przed mensą ołtarzową wykonaną z kamienia i

cegły gotyckiej, pomieszczenie służyło jako przejście do strzelnic pod dachem. Sklepienie

kaplicy zdobi płaskorzeźba z herbem Sulima - kolejny ślad po Oporowskich. Ten sam herb

widnieje jeszcze w towarzystwie infuły biskupiej i trzech lilii w prawym górnym narożniku

portalu kaplicy.

Na pierwszym piętrze jest salonik łączący efektowną i bogatą Salę Rycerską (z wejściem na wspomniany balkon) z Jadalnią w wieży zachodniej. Ta pierwsza ma przepiękną

klasycystyczną rozetę na suficie, piec w narożniku północno-wschodnim z XIX wieku, a

oświetlają ją dwa barokowe okna wychodzące na dziedziniec. Gdyby skonstruować wehikuł

czasu i zaprosić tutaj Sherlocka Holmesa albo Herkulesa Poirot, to ci wielcy detektywi

natychmiast by odnotowali różnice dotyczące czasu powstania owych elementów dekoracyjnych. Chociaż, aby to zauważyć, wystarczyło być historykiem sztuki. To samo w

Sali Jadalnej! Mamy tam bowiem posadzkę z gwiazdnymi motywami, dębowe neogotyckie szafy w ścianach i belkowany, ozdobiony motywami roślinnymi strop z XVII wieku. Na środku tej sali stoi ogromny stół, przy którym odbyło się wczoraj spotkanie detektywów. Dzisiaj jednak, przy dziennym świetle, sala wyglądała inaczej. Wszystkie te pomieszczenia, wielokrotnie odnawiane i przerabiane w różnych epokach przez kolejnych właścicieli, zostały bogato przyozdobione; powstawiano w nich zabytkowe fotele, świeczniki czy też stylowe komody, stoliczki, a większość ścian uszlachetniono gobelinami, drobnymi eksponatami albo obrazami. Drugie piętro wieży przeznaczono obecnie na pokoje gościnne. Wiedziałem, że w jednym z nich przebywał teraz Harry, ale nie miałem czasu, aby przedstawić go moim nowym znajomym. Na parterze jest jeszcze kilka mniejszych salek. Pierwszą izbę na parterze domu mieszkalnego, pełniącą kiedyś funkcje usługowe, podzielono w XIX wieku na dwie mniejsze. Dzisiaj mieści się w nich sekretariat. Do kolejnych pomieszczeń w tym skrzydle, to jest byłej sieni i sklepionego skarbczyka, wstawiono eksponaty. Po drugiej stronie sieni znajduje się jeszcze jedna mała salka z renesansowym sklepieniem. Jedynym eksponatem związanym bezpośrednio z historią zamku (nie licząc murów, zabytkowych podłóg i stropów) były dwie kule armatnie z okresu potopu szwedzkiego wyłowione z fosy otaczającej zamek. Tyle pierwszych wrażeń z pobieżnej inspekcji w zamku, bo oto przed mostek za fosą zajechał żuk pana Andrzeja. Kierowca zniecierpliwiony raz po raz przyciskał klakson, a mnie się zdawało, że tym hałasem wypłoszył stado kuropatw z parkowych krzaków. - Na Jowisza! - poczęstował mnie niedzisiejszym przekleństwem starszy mężczyzna z łysinką na czubku głowy, namiętny palacz kiepskich papierosów. Poza tym był sympatycznym człowiekiem. - Spieszę się jak diabli. Muszę zdążyć do Warszawy przed czwartą, kurde bele. Pożegnałem Agatę i Krzyśka, zapraszając ich na dzisiejsze ognisko. Podróż nie była nudna. Pan Andrzej opowiadał z humorem o swoich posadach w muzeum, o tym, że zanim został kierowcą, był stolarzem, cieślą, sadił drzewka i tak dalej, a ja w pewnym momencie zauważyłem jadący za nami samochód. Granatowy golf. Nie ulegało wątpliwości, że oto jedzie za nami człowiek pałacy marsy. A zatem śledził mnie, nie skapitulował, a ja nadal nie wiedziałem, z kim mam do czynienia. Pan Andrzej był innego zdania. - Jest pan przewrażliwiony - stwierdził i odpalił kolejnego papierosa. - Samochód jak samochód. Ach, wy detektywi! - Mówię panu, że kierowca tego golfa chodził w nocy po parku. Nabił mi nawet solidnego guza - A to łobuz! - ożywił się pan Andrzej. - Pewnie to on poprzebijał opony BMW. - Któż by inny? - Na Jowisza! - zaklął i z brawurą, o jaką bym go wcześniej nie posadzał, wyprzedził jadące przed nami auto, unikając cudem czołowego zderzenia z wielką ciężarówką. - 1:0 dla

nas, kurde bele!

Odetchnąłem z ulgą.

A potem zdecydował łut szczęścia. Przed przejazdem kolejowym w pobliżu wsi Arkadia, pan Andrzej doprowadził wynik tego pojedynku na szosie do stanu 2:0 - w ostatniej

chwili uciekając przed opadającym szlabanem, tak że golf nie mógł nas już dogonić. Za

Skierniewicami, już dla świętego spokoju, skręcił jeszcze w gorszą drogę na Żyrardów, aby

zmylić ewentualny pościg.

W Warszawie byliśmy przed czwartą. 3:0!

Dwie godziny zajęło mi załatwianie formalności na policji, ale Traktora nie chciano

mi niestety wydać, tłumacząc odmowę rutynowym zabezpieczeniem śladów kradzieży.

Samochód działał, był sprawny i złodziej niczego nie uszkodził. Po prostu wsiadł do niego i

porzucił go na Pradze. Obiecano oddać mi go w przyszłym tygodniu.

- Chyba, że wycofa pan zgłoszenie kradzieży? - zaproponowano mi.

Nie zrobiłem tego. I chociaż wydawało się mało prawdopodobne, aby policja ustaliła

tożsamość złodzieja, to liczyłem w duchu, że może tym razem będzie inaczej.

Zdaje się, że

policja jest także po to, aby ścigać przestępców. Każde wycofanie takiej sprawy podważa sens

istnienia tej instytucji.

\*

Jola znowu okazała się wspaniałomyślna.

Kiedy dotarliśmy do Oporowa, było już po ósmej. Mijając Domek Szwajcarski przy wjeździe na teren parku, widziałem ludzi stłoczonych wokół ogniska na gazonie i w tej

parkowej scenerii było coś z horroru. Czy była to zasługa upiornego tła złożonego z

milczących, ale niepokojąco obecnych drzew, czy może ostrzegawczych pohukiwań puszczyka? Nie wiedziałem. W miarę jak zbliżaliśmy się do ogniska, uczucie grozy szybko

ustępowało atmosferze pikniku. Na ogniu pieczono kiełbaski, popijano piwo i wino, a z

detektywów brakowało jedynie Harry'ego oraz Miss Marple. Zerknąłem dyskretnie na okna

na drugim piętrze wieży. Paliły się w nich światła, co oznaczało, że Harry pracował u siebie

na górze, emerytowana pisarka zaś odpoczywała.

Na początek przedstawiłem Jolę jako mojego kierowcę.

- I jak podróż do stolicy, młody człowieku? - zapytał Porucznik Columbo. - Wrócił

pan bez swojego Traktora? Coś mi się zdaje, że auta nie są pana najmocniejszą stroną. Jeśli

jednak chodzi o kobiety, to stanowi pan chodzącą zagadkę.

To mówiąc, zerkał na speszoną tymi wyrafinowanymi żarcikami Jolę. Już chciałem coś odpowiedzieć, gdy Ewa zwróciła się do mnie z lekką pretensją w głosie:

- Pytała o pana Krysia.

- Krysia? - zdziwiłem się, ale zaraz sobie przypomniałem bibliotekarkę. - A tak, racja,

Krystyna Ratajczyk...

- Bardzo nieśmiała osóbką - dodał Hannussen i uśmiechnął się do Joli.

- Zapomniałem na śmierć - uderzyłem się dłonią w czoło. - Zaprosiłem ją na ognisko.

Nieładnie. I co?

- I nic - zaśmiał się Hannussen. - Smutne dziewczę poszło z powrotem do domu.

- Razem z dwójką miejscowych dzieciaków - wtracił Bond.

- Agata i Krzysiek?

- Mają do pana żal, drogi Liberalesie - dodał smutno Porucznik. - Szczególnie Krystyna.

- Och - jęknęła zgorszona Jola, co mile polechtało moją męską próżność. - Widzę, że nie marnuje się tu czasu.

- A Liberales nie wygląda na uwodziciela, prawda? - nabijał się ze mnie Bond. Niespodziewanie mój braciszek zaczął recytować:

Giuseppe Casanovą  
któremu tak zazdrościsz  
nie był wcale bardzo bogaty  
ani bardzo silny  
a jego epoka  
znała mężczyzn równie pięknych  
jak on  
lub piękniejszych od niego  
ale był grzeczny  
tkliwy  
rycerski... \* [Andrzej Bursa, Casanovą, [w:] Zbigniew Nienacki, Uwodziciel, Olsztyn 1988.]

- Nie jestem żadnym casanovą! - zachnąłem się.

- Nie uważa się pan za pięknego? - naigrawał się ze mnie Porucznik Columbo. - Czy też nie jest pan dość rycerski?

- To ciekawe - zainteresowała się Ewa. - Jak pan to wytłumaczy?

Musiałem odpowiedzieć i nie mogłem się zbłaźnić byle jaką ripostą. Na szczęście znałem wiersz Andrzeja Bursy, podobnie jak mój brat, wszak wychowywaliśmy się na tych samych książkach i tomikach poezji, więc jedyne, na co było mnie stać w tym momencie, to dokończyć ów rozpoczęty przez niego fragment wiersza.

...więc jeśli chcesz  
tak jak on  
zdobywaj serca kobiet  
i nie zrażaj się trudnościami  
Zacznij od własnej żony.

- Panowie! - zapiszczała zachwycona Ewa. - Wprawdzie zostaliście zaproszeni na pojedynek detektywów, a nie na konkurs recytatorski, ale bardzo pięknie deklamujecie!

Ta spontaniczna reakcja pięknej pani kustosz dodała mi wiary we własne siły. Inaczej zareagowała Lara, która ograniczyła się do pogardliwego wzruszenia ramionami.

- Często się kielbaskami, Jolu - zagaiła moją sąsiadkę-pianistkę. - Zanim panowie skończą te poetyckie gody, my kobiety umrzemy z głodu.

- Przyłączy się pani do nas? - gorąco zapraszał Jolę Hannussen. - Kim jesteś i co porabiasz, młoda damo? Bo chyba nie kierowcą Liberalesa.

- Studiuję w konserwatorium - odpowiedziała grzecznie Jola. - Klasa fortepianu.

- O! - zachwycił się Hannussen i zamruczał pod nosem zachwycony: - Temperamentum.

- Czyżby Liberales wykorzystywał wszelkie dostępne muzy, aby odnaleźć skarb? - zagadnął Porucznik Columbo.

- Co pan chce? - śmiał się Bond, ale czułem, że jest trochę nie w sosie. - Liberales znaczy „wyzwolony”, a więc robi, co mu się podoba.

- Rozumiem - zachnęła się Ewa. - To od artes liberales. Ale czy wolność nie dotyczy w pana przypadku sfery obyczajów?

- Mój liberalizm obejmuje głównie sferę umysłu - zapewniłem ją.

Może się i myliłem, ale odniosłem wrażenie, że obecni tutaj mężczyźni jakby

zazdrościli mi znajomości z młodą Jolą, a i kobiety patrzyły na mnie nieufnym wzrokiem.

Wcześniej przyszła tutaj zaproszona przeze mnie bibliotekarka Krystyna, teraz pojawiła się drobna, płowowłosa i w gruncie rzeczy bardzo ładna pianistka, więc zgromadzeni przy ognisku ludzie sami już nie wiedzieli, co o mnie sądzić. A mnie ta dwuznaczna sytuacja po prostu śmieszyła.

- Liberales? - szepnęła zdziwiona Jola.

- Tu wszyscy noszą pseudonimy.

Kiwnęła głową na znak, że zrozumiała, ale nie potrafiła ukryć zażenowania. Znała mnie wyłącznie jako cichego osobnika, nauczyciela matematyki i nigdy nie miała do

czynienia z takimi dziwakami, jakimi bez wątpienia byli oporowscy detektywi.

Kobięcym

instynktem wyczuła, że atmosfera wokół niej gęstnieje. Nie była przyzwyczajona do roli

gwiazdy. Jak wspomniałem, była to skromna dziewczyna i dlatego zmieszala się, nie wiedząc,

co powiedzieć. A tu jeszcze wyłapałem pełne zainteresowania spojrzenie, jakim James Bond

zaszczycił moją pianistkę.

- Nie chcę państwu przeszkadzać - bąknęła zawstydzona i popatrzyła na mnie z wyrzutem. Wstała energicznie. - Dobranoc. Muszę przeciwżyć jeszcze jedną sonatę.

Poszedłem za nią odprowadzany niezbyt dyskretnymi uśmiezkami detektywów.

- Zostań na noc, Jolu - poprosiłem, gdy stanęliśmy wśród parkujących samochodów przed mostkiem. - Nie lubisz przecież jeździć w nocy.

- Ostatnim razem, wczoraj, wygnał mnie pan do domu.

- To było wtedy. I mów mi, Artur.

- Kim jest ta Krystyna? - popatrzyła na mnie uważniej niż zazwyczaj, tak jakby dopiero co mnie zobaczyła albo była zazdrosna. - Tak tylko pytam, bo rzeczywiście nie

wyglądasz na uwodziciela. Ale zasuwasz takimi wierszami, że już sama nie wiem, co o tobie

myśleć.

- Nie znam jej - odparłem spokojnie. - Szukałem dzisiaj dobrej książki o Oporowie.

Pomyślałem, że bibliotekarka przyda się ze swoją wiedzą i nawet zaprosiłem do współpracy.

Podobnie zresztą jak parę wiejskich dzieciaków.

Po krótkim namyśle i serii kilku rozczulających męską duszę niewieścich westchnień

Jola zgodziła się przenocować. Wracaliśmy w stronę roześmianej gawiedzi, gdy nagle

stanąłem i złapałem Jolę za łokieć.

- Zaraz! Czy przedstawiałaś się z imienia przy ognisku?

- Kiedy?

- No przed chwilą? Skąd Lara Croft wiedziała, że masz na imię Jola? Pamiętasz, jak

zwróciła się do ciebie po imieniu?

- Tak, pamiętam. Nawet mnie to zdziwiło.

- Dziwne rzeczy się tutaj dzieją. Pod żadnym pozorem nie dziel się z nikim naszymi

spostrzeżeniami. Rozumiesz?

- O rany - szepnęła z przejęciem.

Nagle towarzystwo zaczęło nas wołać, ale przeważnie były to takie niewinne naigrywania się z mojej osoby.

- Chodźcie tutaj!

- Panie Liberalesie, daj pan spokój dziewczynie!

- Nie łam pan serca następnej!  
- Mamy panu coś ważnego do zakomunikowania!  
Podeszliśmy do strzelającego iskrami ogniska, gdzie natychmiast wypilem duszkiem pół szklanki wina i zabrałem się za kiełbaski. Z największą przyjemnością nabiłem jedną z nich na patyk i ustawiłem nad ogniem. Jola nie musiała się trudzić, gdyż za nią tę skomplikowaną czynność wykonał z największą ochotą Hannussen. Albo byłem dzisiaj przewrażliwiony na punkcie tematów męsko-damskich, albo naprawdę wydawało mi się, że ten jasnowidz upodobał sobie szczupłą i delikatną niczym pajęczka nić Jolę. Wzruszyłem obojętnie ramionami i zerknąłem na skuloną po drugiej stronie ogniska kobietę - Ewę. Jej twarz migotała od zmieniającego swój kształt złotego ognia, była ni to smutna, ni to radosna, ale bez wątpienia piękna, nieodgadniona niczym ledwo widoczne w zachodzącym księżycu kształty posągu. Tańczące w jesienną noc ognie oddzielały nas od siebie, symbolicznie wyznaczając przepaść, której nie mogłem pokonać. Bond jakby wyczuł, o czym myślę w tej chwili, i natychmiast sprowadził mnie na ziemię.

- Wyobraź sobie, Liberalesie, że po twoim wyjeździe do Warszawy przyszedł z laboratorium Wydziału Historii Sztuki telegram w sprawie odkopanej na terenie gospodarstwa Matusiaków trumny ze szczątkami Władysława Oporowskiego. Biesiadny gwar urwał się w jednej chwili. Nawet pojawienie się za naszymi plecami Miss Marple, wiedzionej instynktem ćmy lecącej do ognia, nie zburzyło tego nastroju. Starsza pani, zawiąawszy się mocniej w koc, stanęła obok Ewy i słuchała razem ze wszystkimi.

- Powtórzę raz jeszcze treść sensacyjnego doniesienia z laboratorium, o którym wszyscy z nas już wiedzą oprócz Liberalesa - kontynuował Bond. - Otóż odkopane w Drzewoszkach kości z całą pewnością nie należą do Oporowskiego!  
- A do kogo? - wyraziłem szczerze zdumienie.  
- Nie wiadomo, ale kości te dźwigały kiedyś ciało osobnika o wiele niższego - wyjaśniła pani kustosz. - Poza tym, to szkielet mężczyzny żyjącego w XVII wieku, a to automatycznie eliminuje Oporowskiego. Przez chwilę nikt się nie odzywał i zdawało się, że wszyscy wbili wzrok w ognisko, koncentrując się na syczącym ogniu.

- Liberales i ja mieliśmy chyba rację - odezwała się Miss Marple - że zagadki przeora nie należy za bardzo wiązać z osobą Oporowskiego.  
- Czy drewniana skrzynia również pochodzi z XVII wieku? - zapytał Bond Ewę.  
- Bez wątpienia tak.  
- W takim razie należy wykluczyć Oporowskiego i zająć się samą tabliczką - oświadczyła Miss Marple. - Tak jak to robi nasz Harry Potter.  
- Nie przepracuje się nasz młody magik? - zażartował Porucznik Columbo. - Mam nadzieję, że nie używa prawdziwych czarów.  
- Komputera - zaśmiała się starsza pani. - I to dobrego. Twierdzi, że nie interesują go niuanse historyczne i całą uwagę skupia na tabliczce.  
- On jest „obojętny” - zauważył Hannussen tonem wytrawnego jasnowidza i zwrócił się do Lary. - Pani Laro, była pani dzisiejszego ranka z Liberalesem w gospodarstwie Matusiaków. Czy coś ustaliliście?  
- Nic - skłamała.  
- Doprawdy?  
- Arturze! - zawołał ostrzegawczo Bond, wskazując palcem na przypalającą się nad ogniem moją kiełbaskę.



Wyrzuciłem ją, gdyż pochłonięty rozmową nie spostrzegłem, że z wędliny został czarny zwęglony ochłap. Nałożyłem zatem nową kiełbaskę i ustawiłem ponownie nad ogniem.

- Myślę - zastanawiał się Hannussen - że może warto wybrać się do tych Drzewoszek i popatrzeć na dół, z którego wykopano trumnę. Może uda mi się nawiązać kontakt i w ten

sposób ustale, kim był pochowany w nim człowiek. To jest myśl, temperament.

- On nie został tam pochowany, panie Hannussen - wtrącił Bond. - Przeor Gabriel przeniósł zwłoki fundatora klasztoru z krypty oporowskiego kościoła. To raczej pewne. Ale

tak naprawdę, to nie wiemy, czy znalezisko w Drzewoszkach możemy wiązać z osobą przeora. Na samym początku założyliśmy tak, podpierając się miejscową legendą, ale prawda może być inna.

Trzeba przyznać, że zgadzałem się z Bondem, tyle, że to samo starałem się wyperswadować rywalom wczorajszego wieczora, w czym poparła mnie ochoczo Miss Marple. Bond - pomimo młodego wieku - był jednak mistrzem w zbieraniu poklasku, potrafił

okraść człowieka nie tylko z pieniędzy, ale i z pomysłów. Umiał się przyczaić, a kiedy trzeba,

sprytnie włączyć do dyskusji i cudze poglądy sprzedać jako swoje.

Postanowiłem zachować zimną krew i dalej uczestniczyć w tym pojedynku z pozycji outsidera.

- To jakaś beznadziejna sprawa z tą tabliczką - westchnął niepokieszony Porucznik

Columbo. - Zupełnie nie wiem, jak się za nią zabrać.

- Tak samo mówił w serialu porucznik C. - zauważyła cierpko Miss Marple. - Czyż nie chce pan uspić naszej czujności, sprawić wrażenia nieboraka, aby po cichu odszukać skarb?

- Nie, droga Miss Marple! Proponuję jednak co innego, a mianowicie rozwiązać ją wspólnie, a nagrodą się podzielić.

- Udziałowcy mi niepotrzebni! - warknęła Lara. Wstała błyskawicznie od ogniska, burząc tym wesoły skądinąd nastrój.

- Może ja coś zaproponuję - rozsierdziła się Lara Croft. - Bez urazy, ale nie będziemy

dzielić się informacjami. Koniec! Jak to jest, że jeden wpadnie na coś, podzieli się z innymi, a

ktoś wykorzysta to do swoich celów, nie wnosząc w zamian nic nowego. Protestuję.

- Masz rację, dziewczyno - poparła ją Miss Marple. - Przecież przed chwilą byliśmy

świadkami, jak nasz czarujący James z właściwą sobie elegancją, ubierając słowa w pomruki

mędrca, powtórzył to samo, co wczoraj mówił Liberales? Ale wczoraj Bond tak nie myślał!

Dopiero sensacyjne doniesienie z laboratorium zmieniło jego poglądy na całą sprawę...

- Ależ... - Bond próbował protestować.

- Koniec ze współpracą - syknęła Lara. - Niech każdy działa na własną rękę.

Jola kiwnęła kilka razy głową na znak poparcia dla stanowiska Lary. Klasnęła nawet

w spontanicznym odruchu w dłonie, ale Bond zmierzył ją groźnym wzrokiem, czym ją speszył.

Ja, z kolei, byłem zadowolony. Zostałem wszak doceniony, a Bondowi - dla odmiany -

zasłużenie się oberwało. Coś jednak było tutaj nie tak! Ten atak Lary na Bonda był nie na

miejscu, o czym tylko ja mogłem wiedzieć. Oni się przecież spotkali potajemnie w parku.

Skąd zatem ten agresywny ton? Kara za spędzenie przedpołudnia z panią kustosz w

Żychlinie?

Jednocześnie stało się dla wszystkich jasne, że nie było co marzyć o współpracy pomiędzy detektywami, skoro nagroda była tylko jedna. Nie byliśmy zespołem, a rywalami!

Weźmy Larę - dopóki brała mnie za oferwę, dopóty służyła pomocą, co zrobiła zresztą rano, zabierając mnie ze sobą na przejażdżkę. Szybko jednak doszła do wniosku, że powinna działać sama. Prawdopodobnie trop prowadzący przez Matusiaków do tajemniczego gościa jeżdżącego ffordem fiesta okazał się strzałem w dziesiątkę. Lara coś przed nami ukrywała.

- Mam pewną formalną sprawę do pani Ewy - przerwałem kłopotliwe milczenie, które zapadło po oświadczeniu Lary. - W sprawie noclegu Joli. Nie wiem, gdzie mogłaby przenocować...?

- A właśnie! - zmartwiła się Ewa. - Nie mamy wolnych pokoi.

- Masz u siebie fotele? - spytała mnie Jola.

- Owszem - odpowiedziałem.

- To świetnie! Wystarczy je złączyć i nakryć kocem.

- Dziewczyno, chcesz spać na fotelach? - zdziwił się Hannussen.

- Mówiąc szczerze... myślałam o Arturze.

- No nie wiem - stęknęła niezadowolona Ewa. - Nie wiem, czy to wypada.

- Jak to? - uśmiechnęła się dobrotliwie Miss Marple. - To dorośli ludzie.

- Oczywiście - spieszyła się pani kustosz. - Nikt nie mówi, że są dziećmi. Ale może

ktoś z pozostałych detektywów ma jakieś zastrzeżenia. Lepiej będzie przeprowadzić jawne

głosowanie za i przeciw. Dla świętego spokoju.

„O rany, czyżby nasza Ewa była o mnie zazdrosna? - pomyślałem z radością! - E, pewnie robi mi na złość”.

- Pełna demokracja - zachichotał Porucznik Columbo.

- Kto jest za tym, aby Jola nocowała w pokoju Liberalesa? - szybko przeszła do rzeczy piękna kustosz.

Wszyscy, oprócz Ewy i Joli unieśli ręce ku górze.

- A kto jest przeciw? - zadałem to pytanie z nutką triumfu, posyłając Ewie spojrzenie pełne przekory.

Ewa chrząknęła zdawkowo, zmieszana się i nie podniosła ręki.

- Tylko o to mi chodziło, aby wszystko było OK - tłumaczyła się zmieszana.

Ale nie wszystko było w porządku. Gdzieś pomiędzy iskierkami zabawy i błyskami słownych utarczek unosiła się w chłodnym październikowym powietrzu i mieszała z dymem

ogniska zawieszona atmosfera bezwzględnej konkurencji - walki o dwadzieścia tysięcy euro.

Ognisko skończyło się przed dziesiątą. W dalszej części dyskusji nikt nie poruszał

tematu skarbu przeora, śmiano się wprawdzie, wcinano kiełbasę i popijano ją piwem, ale wraz

z upływem czasu i spadkiem temperatury powietrza oziębiały się nasze wzajemne relacje. A

może wszyscy byliśmy już po prostu znużeni?

Na koniec Miss Marple dogadała się z Porucznikiem Columbo w kwestii zamiany pokoi. Ostatecznie kobieta miała się przenieść do Domku na parter, Porucznik Columbo zaś z

Harrym mieli zająć dwuosobowy pokój w wieży (Lara miała trafić do wolnego pokoju po

chłopcu). Jeszcze tylko Ewa rozdała wszystkim po jednym kluczu od Domku i rozstaliśmy

się, życząc sobie „dobrej nocy”.

Wpół do jedenastej wieczorem poprosiłem Jolę o przysługę.

- Muszę koniecznie wyjść. Zamknij się dobrze w pokoju i nikogo nie wpuszczaj. Jeśli

ktoś zapuka i zapyta o mnie, to powiedz, że śpię i nie można mnie zbudzić. Dobrze?

- Ale po co to wszystko? - zdumiała się.

- Potem wszystko ci wyjaśnię, a nawet we wszystko wtajemniczę, ale teraz naprawdę muszę już wyjść.

Wyszedłem cichaczem na zewnątrz. Miałem przecież do wykonania bardzo ważne zadanie w terenie - chciałem się zakraść na skrzyżowanie dróg za sklepem i cukrownią. Tam

bowiem nieznanne mi osoby z naszego grona miały wyznaczone na jedenastą w nocy spotkanie.

Widziałem jak alejką, otaczającą łukiem szczyt gazonu przyległy do fosy, szła wolnym krokiem Miss Marple, a Porucznik Columbo pomagał jej nieść rzeczy. A zatem

musiałem zachować największą ostrożność, aby nikt mnie nie zauważył.

Przeszedłem park od południa i minąłem stawek po jego wschodniej części. Potem sforsowałem krzaki i znalazłszy prześwit między nimi, wdrapałem się na parkowy mur.

Zeskoczyłem na drogę na wysokości wschodniego brzegu stawku, nieopodal biblioteki, tam

gdzie uchodzi z niego Sułdwia, a droga przyległa do muru łagodnym wzniesieniem brnie na

Święchów. Kilkadziesiąt metrów dalej znajdowało się owo skrzyżowanie. Na wyznaczone

miejsce spotkania dotarłem okrężną drogą, od strony starych zabudowań rozsypanych przy

szosie. Było tu pusto, chłód ziemi mieszał się z chłodem powietrza, a ciemność gęstniała z

każdym krokiem. Szkoda, że nie mogłem używać latarki. Ledwie widoczne na nieboskłonie

gwiazdy dawały przez zmatowiałe chmury bardzo mało światła, więc potykałem się na

nierównym terenie.

Aż wreszcie przystanąłem w pobliżu owego skrzyżowania dróg na Święchów i Jastrzębie, w szczerym polu obok jakiejś starej drewnianej szopy, której niewyraźne zarysy

zauważyłem kilka metrów przed sobą. W odnalezieniu tego miejsca pomógł mi motocykl,

który nadszedł od strony Oporowa i poleciał na północny wschód. Znajdowałem się niecałe

trzydzieści metrów od drogi. Przykucnąłem na stercie kamieni i czekałem.

Jednak nikt się nie zjawiał. Po mniej więcej dwudziestu minutach wydarzyło się coś

nieoczekiwanego. Usłyszałem przed sobą stłumiony dźwięk przypominający skrzypienie

starej podłogi. W szopie ktoś musiał się przyczać. Poruszył się i stare deski zaskrzypiały.

Moje serce natychmiast zaczęło walić jak młotem, a nogi zrobiły się jak z waty. Przełamałem jednak strach i zrobiłem krok do przodu. W tej samej chwili skrzypnęły stare

zawiasy drzwi. Przykucnąłem niżej. Starąłem się wyłowić z ciemności sylwetkę człowieka

wychodzącego z szopy. Tak, ktoś tam był, szedł wolno przez pole w kierunku drogi. Miałem

go. Usłyszałem też odgłosy elektronicznego dzwonka. Człowiek, który wyszedł z szopy,

musiał do kogoś dzwonić z telefonu komórkowego. Usłyszałem bardzo cichy szept, gdy

mówił, do telefonu i zaraz się rozłączył.

I nagle kopnąłem w jakiś stary garnek. Przewróciłem się na ziemię, tłumiąc okrzyk bólu. Jednakże znajdujący się przede mną człowiek już uciekał. Zorientował się, że jest śledzony i biegł ciężko w stronę drogi. Nie ruszyłem za nim, bo za wszelką cenę chciałem zachować swoją anonimowość. Poza tym byłem ciekawy, czy ujawni się drugi osobnik.

Zamiast niego od strony Święchowa nadjechał samochód i z piskiem opon zahamował naprzeciwno szopy. Miał włączone światła pozycyjne, a kiedy zbliżył się do niego ten, którego spłoszyłem - zgasły. Zawył silnik i samochód ruszył z impetem na Oporów. Dopiero po kilku sekundach odważył się zapalić światła.

Moja misja się nie powiodła - wciąż nie wiedziałem, co jest grane. Mijając ową szopę, poczułem subtelny aromat cygara. Przystanąłem zaskoczony tym odkryciem. Ten, kto tutaj był - palił cygara. Porucznik Columbo! Tak, to on był miłośnikiem tych podłużnych, brązowych „zeppelinów”, to on nosił je w kieszonce koszuli albo płaszcza. To on był tutaj!

Rzuciłem się biegiem przez pola w kierunku zamku. Miałem jeszcze szansę zauważyć samochód, który zabrał miłośnika cygar. Czy był to ford fiesta czy może granatowy golf?

Biegłem i myślałem intensywnie. Jeśli Porucznik Columbo używał zegara z kukułką jako skrzynki kontaktowej, to dlatego, że współpracował z kimś z wewnątrz.

Jednakże samochód, który przed chwilą nadjechał od strony Święchowa nie mógł należeć do żadnego z detektywów. Który z nich odważyłby się bowiem używać w nocy auta? To musiał być ktoś spoza naszego grona!

To odkrycie mną wstrząsnęło, ale i zmusiło do szybszego powrotu. W pobliżu fosy nikt się nie kręcił. W Domku paliło się światło w pokojach Bonda i Hannussena, okna salonu były ciemne. Zerknąłem też na wieżę zachodnią zamku - na okno pokoju Pottera i Columbo. Tam także paliło się światło. Tyle, że niczego to nie wyjaśniało.

Porucznik mógł już wrócić, ale równie dobrze mogło go tam nie być i to Harry pracował intensywnie przy komputerze.

Wszystkie samochody stały przed fosą: alfa romeo Lary, BMW Bonda, fiat bravo Hannussena, maluch Joli i nissan Porucznika Columbo.

Stałem schowany za rzeźbą lwa zdobiącego kamienne schody prowadzące do fosy i w napięciu obserwowałem przedzamcze. Po pięciu minutach odważyłem się wreszcie podbiec do samochodów i sprawdzić ich maski. Wszystkie były zimne, a więc - tak jak przewidywałem - samochód, do którego wsiadł Porucznik Columbo, był z zewnątrz.

Po skrzypiących schodach udałem się wolno na piętro. Słyszałem, jak w pokoju obok Hannussen rozmawia z Bondem. Jola spała smacznie w łóżku, ale jeszcze przed zaśnięciem przygotowała mi posłanie na dwóch złączonych fotelach. Teraz oddychała miarowo przez sen - jak mała, niewinna dziewczynka.

Nie od razu zasnąłem. Sięgnąłem po zdjęcia tabliczki oporowskiej, które wręczył mi dwa dni temu Demiurg. Do późna oglądałem je w świetle nocnej lampki, potem jeszcze

próbowałem popracować na laptopie nad analizą częstości znaków wyrytych na tabliczce.

Ostatnie pół godziny spędziłem, buszując w Internecie, w którym znalazłem ciekawy artykuł o życiu w XVII-wiecznej Polsce. Lekturze towarzyszyła cisza, przerywana skrzypnięciami drewnianych elementów budynku, stuką na strychu, a ze ścian nieustannie coś odpadało, tworząc niepowtarzalny klimat starego domu i wprowadzając pewną atmosferę grozy. Ale przynajmniej byłem pewny, że do drugiej w nocy nikt nie opuścił Domku, ani nie chodził wokół niego.

Gdzieś po pierwszej zgasło też światło w zamkowej wieży. Przed zaśnięciem wyjąłem jeszcze z torby ołówkę, po czym wydobyłem z niej grafitowy wkład. Starłem go na parapecie na proch i powstała kupkę proszku przesypałem do torebki papierowej. Z tym zestawem zszedłem ostrożnie na dół do kuchni. Sprawdziłem zegar z kukułką. Wewnątrz obudowy nie było żadnej karteczki.

6

Rano wciąż miałem przed oczyma tabliczkę i jej czterdzieści dziewięć znaków. Rutynowa analiza częstości niewiele wyjaśniła. Nie pomógł mi w tym laptop. Po prostu nie potrafiłem dopatrzeć się żadnej logicznej zależności w występowaniu liter ani w ich konfiguracji. Mogłem ułożyć kilka, a nawet kilkanaście słów z występujących na tabliczce liter, ale zawsze kilka z nich zostawało wolnych. To była gra w ciemno. I jak wyjaśnić obecność „krzyża”? Jaka rola przypadła wreszcie dwóm arabskim cyfrom znajdującym się na tabliczce, to jest „zeru” w samym jej środku i „czwórce”? A matematyczny znak nierówności?

W rzymskim zapisie daty na górze tabliczki uwagę zwracała też dziwnie zapisana litera „L”. Bez jakiegoś klucza nie sposób było złamać szyfru. Założyłem bowiem, że

tabliczka zawiera zaszyfrowaną wiadomość o miejscu ukrycia skarbu.

- Na jakiej podstawie pan tak sądzi? - zapytała mnie o to Jola, gdy rankiem opowiedziałem o wydarzeniach z nocnej misji i efektach medytacji nad tabliczką. Czułem się niewyspany, potwornie bolało mnie stłuczone kolano i od zadrapań piekła

twarz, ale sprawa tabliczki ponownie ożyła w mojej głowie wraz z pierwszymi promieniami

słońca. Była ósma z minutami - pierwsza październikowa niedziela na oporowskiej ziemi.

Jola siedziała na łóżku nakryta kołdrą w rozkosznej i niewinnej pozie, z podkurczonymi

nogami, opierając brodę na kolanach. Zdaje się, że zapomniała o powrocie do Warszawy.

- Jeśli uważa pan, że zapis na tabliczce jest bez sensu, to jak może zaprowadzić nas do skrytki ze skarbem?

Zapomniała już, że byliśmy na „ty”. Wciąż byłem dla niej nauczycielem matematyki!

I nic nie znaczył fakt, że jestem od niej starszy zaledwie o kilka lat.

- Czy komuś chciałoby się dla hecy wyryć w miedzianej tabliczce aż czterdzieści dziewięć znaków? - ziewnąłem. - Ale może pogadamy o tym później. Kawa, to jest to, czego

mi w tej chwili potrzeba.

- Zrobię panu pysznej kawy, najlepszej, ale najpierw proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Pańska zadrapaną twarz świadczy o tym, że ociera się pan tutaj nie tylko o gałganie i

kamienie, ale i o prawdziwą przygodę. To fascynujące na swój sposób. Niech pan opowiada.

Kto wie, może zostanie z panem dłużej i pomogę odnaleźć skarb?

Westchnąłem i sięgnąłem po zdjęcia tabliczki leżące na stoliku pod nocną lampką.

- W przeszłości zapisywano tajne wiadomości w różny sposób, na przykład litery tekstu jawnego oddzielano od siebie dwoma czy trzema literami. Pisano je także prymitywnie

wspak, układano proste anagramy, słowa zastępowano znakami i rysunkami albo używano

bardziej skomplikowanych metod. Co sprytniejsi wymyślali różnego rodzaju tablice alfabetyczne do odczytywania haseł, ale prawdziwym utrudnieniem dla niepowołanych oczu

było wprowadzenie specjalnych słów-kluczy. Tylko ten, kto znał takie słowo, mógł odczytać

tekst jawny. Pewnie widziałas na filmach matryce służące do odczytania właściwego tekstu

na przykład z książki? Zwykłą kartkę z wyciętymi w odpowiedniej kolejności otworami

nakładało się na stronę jakiejś książki i odczytywało tekst jawny. Nie wiem jednak z jakim

szyfrem mamy do czynienia w przypadku tabliczki oporowskiej. Prawdopodobnie przeor,

jeśli to on wykonał tę tabliczkę, zastosował własny, specyficzny język kodowania. To

utrudnia sprawę. Gdyby wzorował się na jakiejś znanej metodzie szyfrowania, nawet tej

najbardziej wymyślnej, to może udałoby nam się złamać ten szyfr. Ale tak?

Amatorzy są w

takich przypadkach najgorsi, bo nieobliczalni i nielogiczni albo niezbyt konsekwentni. Nie

wiem od czego zacząć. Uważam, że najpierw musimy odgadnąć, co oznacza ów znak „krzyża” - symbol kościoła.

- Pewnie symbolizuje kościół, prawda? - zgadywała Jola.

- Nie wiem. Może i kościół. Ale jaki kościół? Czy ten w Oporowie? Dużo mamy kościołów.

- To ja już nic nie wiem - opadły jej ręce. - Twierdzi pan, że nie możemy niczego

odczytać z tej tabliczki, a jednocześnie mówi, że tabliczka zaprowadzi nas do skarbu.

- To proste - uśmiechnąłem się do niej. - Ta pozorna niedorzeczność wynika z faktu,

że jestem matematykiem.

- Nie rozumiem - poirytowana zmarszczyła czoło.

- Zobacz, pianistko. Niemożliwe jest zbadanie każdej piędzi ziemi, aby udowodnić, że

coś w niej nie istnieje, prawda? Nie możesz udowodnić, że pod ziemią nie ma wielkich tortów

orzechowych, przekopując całą ziemię na naszej planecie. Po prostu nie zdołasz wszystkiego

przekopać. Tak samo jak nie możesz w ten sposób udowodnić, że nie ma w niej skarbu

paulinów. A co nam proponuje królowa nauk? Matematyka stworzyła piękną strategię dochodzenia do prawdy. Otóż nie zakłada ona, że coś nie istnieje. Wręcz

przeciwnie!

Założenie wyjściowe jest takie, że coś istnieje, tym bardziej, gdy są przesłanki zmuszające do

przypuszczeń, że jest to prawdopodobne. Jeśli zatem w założeniu istnienia tego czegoś

znajdziemy później jawne sprzeczności, to wtedy można powiedzieć, że coś nie istnieje. Na

przykład możemy udowodnić, że ryby nie żyją w ziemi, gdyż oddychają tylko w

środowisku  
wodnym zaopatrzoną w tlen. Fakt ten wyklucza życie ryb w ziemi. Jest to sprzeczne z naturą. To dobra strategia, gdyż zwalnia nas z obowiązku przekopania całej Ziemi. Jako matematyk przyjąłem zatem założenie, że skarb paulinów istnieje. Rozumiesz?

- Istnieje?! - zdziwiła się, jakby wcale nie słuchała mojego wywodu, a jej zdumienie było tak niewinne i urocze, że tylko się zaśmiałem. - Gdzie? I skąd, do licha, pan to wie?

- To wynika z faktu, że jestem matematykiem.

- A tak, faktycznie, racja, wspominał pan o tym. Ale to takie skomplikowane, co pan mówi. Nic już nie rozumiem. Boże, jak ja kocham swoje sonaty i preludia!

- Jak chcesz, abym cię przynajmniej polubił, to zrób dobrej kawy.

- A nie lubi mnie pan?

Takie żarty zapełniły nam niedzielny poranek. Jola parzyła kawę na parterze, słyszałem gromkie śmiechy dochodzące z kuchni albo z salonu, a ja w tym czasie guzdrałem się na piętrze. Złapałem się na tym, że co pewien czas zerkałem nachalnie na wieżę zachodnią zamku. Dopiero gdy zauważyłem na moście zmierzających prosto do nas Porucznika Columbo i Harry'ego Pottera, poszedłem pod prysznic zmyć z siebie ciężar poprzedniej nocy.

Próba wyśledzenia tajemniczych spiskowców z wczorajszej nocy nie powiodła się, ale oni dobrze wiedzieli, że ktoś deptał im po piętach i to był mój atut w tym pojedynku. Nie byli pewni, kto wpadł na ich trop? Należało zatem dalej trzymać ich w niepewności. Ogolony, świeży i pachnący mogłem teraz zejść na dół na kawę i, udając obojętność, dyskretnie obserwować twarze wszystkich detektywów. Istniała szansa, że któryś z nich będzie bardziej nerwowy niż zazwyczaj, może zdradzi się jakimś gestem albo słowem.

Towarzystwo siedziało w salonie i sprawiało wrażenie, jakby nie przyjechało tutaj po to, aby rozwiązać zagadkę historyczną, a na pogawędkę. Byli wszyscy oprócz Lary bawiącej w kuchni i Miss Marple, która, jak nam wyjaśniono, poszła do kościoła na mszę.

- Idź do kuchni i pilnuj Lary - szepnąłem Joli na ucho, nie wyjaśniając, że chodziło mi o zegar z kukułką.

Nie mogłem jej o tym powiedzieć, gdyż co niektórzy patrzyli na nas. Taki Hannussen od razu zauważył, że mówię coś na stronie do dziewczyny.

- Nie nagadali się państwo przez cały wieczór? - żartował.

Zamiast na Porucznika Columbo - mojego podejrzanego numer jeden - popatrzyłem na siedzącą na kanapie Ewę, jak zareaguje na tę dwuznaczną zaczepkę, co zrobi? A ona siedziała obojętna, jak postać z obrazu Toulouse-Lautreca, jakby wcale nie słuchała tych docinków i nie obchodziło ją, co właściwie robię z młodymi studentkami. Gdyby chociaż się oburzyła albo mi dogadała! Ale nie - ona spokojnie popijała kawę i co pewien czas dyskretnym ruchem ręki odgarniała pasemka jasnych włosów z policzka.

- W nocy przeważnie śpię - odburknąłem.

Postanowiłem całą swoją uwagę skupić na Poruczniku Columbo. Detektyw ubrany był w płaszcz, pod którym nosił sztruksy i górę od pidżamy. Jednakże jego garderoba

była

pozbawiona szczególnego elementu - cygara, które miał zwyczaj wkładać do górnej kieszonki. Cygara nie było! On je wypalił! Zrobił to w starej szopie przy skrzyżowaniu na Święchów.

- Pan Artur, to jest Liberales - odezwała się Jola - całą noc pracował nad tymi znakami na tabliczce.

- Każdy z nas nad tym pracuje - powiedział Porucznik Columbo i siorbnął zbyt głośno

aromatyczny płyn z filiżanki. - Pytanie brzmi: czy złamał szyfr?

- Jestem blisko - skłamałem i dałem Joli dyskretnego kuksańca w bok, aby wyszła z salonu do kuchni.

- On mówi, że skarb paulinów istnieje, bo to wynika z tego, że jest matematykiem

-  
powiedziała jeszcze.

I zniknęła za drzwiami.

- A gdyby był filozofem? - dopytywał się Porucznik Columbo. - To co? Skarb by nie istniał?

- Liberales nic nie mówi, więc może jednak na coś wpadł - prowokował mnie Bond.

-  
Zdradzisz nam cokolwiek?

- A ty? - zapytałem go.

- Jeszcze niczego nie odgadłem.

- A mnie nie daje spokoju to „zero” w środku - wtrącił się Hannussen. - Ono promieniuje. Wyczuwam wodę, co sugeruje, że może to być oczko wodne. Wiem, wiem, wydaje się wam, że brzmi to śmiesznie, ale ja naprawdę coś wyczuwam, temperamentum.

Ono coś znaczy!

Nikt nie podjął tematu poruszonego przez Hannussena, gdyż prawdopodobnie nikt nie brał jego słów na poważnie. O tym, że było inaczej, mieliśmy się przekonać niebawem.

- A ty, Harry Potterze?

Zwróciłem się do milczącego chłopaka, który siedział na krześle przy stole, plecami

do okna. Poza tym dzisiaj wyglądał na bardziej zdrowego niż zazwyczaj, bez tego swojego

cierpiętniczego wyrazu twarzy. Był jednak zamyślony, a nawet nieobecny myślami.

- Nie musisz mówić wszystkiego - zachęcał go Hannussen. - Powiedz tylko: tak albo nie?

- Nie - odpowiedział chłopak. - Nic nie potrafię zrobić i nie wiem, jakim cudem pan

Liberales jest bliski rozwiązania. Zastosowałem różne metody obliczeniowe, ale wydaje mi

się, że tabliczka to dzieło wariata.

- Liberales to matematyk - powiedział Hannussen.

- A ja mam specjalny program komputerowy do łamania kodów i nic - żalił się Potter.

- Może nie uważałeś na lekcjach matematyki, Harry Potterze.

- Mam same szóstki z matematyki! I nie lubię tego „Harry Potterze”.

- Może trzeba być czarodziejem, aby odczytać ukryty zapis na tabliczce - zażartowała

Ewa. - Matematyka może nie wystarczyć?

Wtedy to zaświtał mi pewien pomysł.

- Matematyka ma dużo z magii - palnąłem.

- O! - zadrwił Bond. - Ty i magia, Liberalesie?

- A tak! - ożywiłem się i zawołałem przez uchylone drzwi salonu: - Laro, jesteś



tam?!

Przyjdź do nas na chwilę! Jolu?! Przyniesiesz serwetki?!

Zdziwienie wszystkich było tak ogromne, że nikt się nie odzywał, wszyscy patrzyli na

mnie z lekkim uśmieszkiem albo jawnym pobłażaniem.

- Co to, drogi Liberalesie? - zakpił Porucznik Columbo. - Zrobi pan teraz klasówkę?

Dziewczyny weszły do salonu i Jola natychmiast wręczyła mi serwetki.

- Nie - odmówiłem przyjęcia serwetek. - Rozdaj je Larze, Harry'emu, Porucznikowi Columbo i Hannussenowi.

- A Bond? - zdziwiła się Lara.

- Bond ma matematykę w małym palcu - odparłem, na co Lara zaśmiała się pod nosem i posłała mi wymowne spojrzenie, które znaczyło: „to jednak się znacie?”

- A ja? - podniosła się Ewa.

- Chciałem zrobić to w gronie detektywów - odpowiedziałem. - Dla pani przygotuję specjalną zagadkę.

I chyba piękna pani kustosz się obraziła, że traktują ją inaczej od pozostałych, ale nie

miałem teraz czasu, aby jej wytłumaczyć, że udział w quizie mogli wziąć tylko detektywi.

- Czy wszyscy mają coś do pisania? - zapytałem ich.

- Tak.

- To proszę podpisać się w górnym rogu serwetki.

- A nie mówiłem? - jęknął Porucznik Columbo. - Klasówka.

- To nie klasówka - zaśmiał się Bond. - To pokaz magii w wykonaniu Liberalesa. Hokus-pokus.

- Temperamentum - dodała żartobliwie Lara.

- Dobrze - westchnąłem i z niegasnącym na twarzy tajemniczym uśmieszkiem godnym Mony Lizy zwróciłem się do Lary. - A teraz napisz na swojej serwetce, tak aby nikt

tego nie widział, trzycyfrową liczbę... Już? Dobrze. Obok niej dopisz tę sama trzycyfrową

liczbę...

- Zrobione.

- Dobrze. A teraz podejdź do Harry'ego i pokaż mu tę sześciocyfrową liczbę... Harry!

Przepisz ją na swoją serwetkę i podziel ją przez 7. Nie martw się o resztę.

- Już.

- Podejdź ze swoją serwetką i pokaż iloraz Porucznikowi Columbo.

- I mam podzielić to przez 7? - zapytał Porucznik.

- Nie. Proszę podzielić ten nowy wynik przez 11. Pan także nie musi się martwić o

resztę. Nie będzie jej.

- Zgadza się! Jest pan genialny!

- Dziękuję, Poruczniku Columbo. Proszę teraz pokazać wynik dzielenia Hannussenowi. Panie Hannussen, proszę go przepisać i podzielić przez 13.

- Reszty nie będzie?

- Nie będzie.

- Zgadza się. Jest pan wielki. I co teraz?

- Teraz proszę odczytać na głos wynik, który panu wyszedł.

- 934.

- To moja trzycyfrowa liczba! - zawołała zdumiona Lara, wpatrując się ze zdumieniem

w swoją serwetkę z zapisaną liczbą.

- Jakim cudem? - ktoś wykrzyknął.

- Jestem czarodziejem!

- Tu nie ma żadnej magii - uspakajał wszystkich rozbawiony James Bond. Poprawił mankiet u koszuli i uśmiechnął się jak gwiazdor. - Po prostu zapisanie trzycyfrowej liczby jest

tym samym co pomnożenie jej przez 1001. Dzielnikami jej są właśnie 7, 11 i 13.

Bond chełpił się swoją wiedzą, był przecież tak jak ja matematykiem z

wykształcenia,  
ale chciał przy okazji osłabić uznanie, jakie zebrałem po odtworzeniu tej niewinnej matematycznej sztuczki. Ale ja nic sobie z tego nie robiłem. Po prostu - on mówił, a ja, jak gdyby nigdy nic, pozbierałem wszystkie zapisane przez detektywów serwetki i schowałem je do kieszeni.

- Zapisanie trzycyfrowej liczby dwukrotnie - perorował dalej Bond - równoważne jest pomnożeniu jej przez 7, 11 i 13.

- Rozumiem - klepnął się w czoło Potter. - I kiedy dzielimy ten iloczyn przez te trzy liczby, to wynik jest liczbą początkową? Jakże to proste!

- Otóż to!

- A mówił pan, że jest czarodziejem - odezwała się z udawanym żalem Ewa. Na zewnątrz zagrzemiał dostojnie dzwon na kościelnej dzwonnicy. Ten niezłomny i uroczysty strażnik minionych stuleci, nieczuły na upływający czas, wypełnił swoim metalicznym wołaniem całą okolicę - jakby ostrzegał nas przed czymś. Szybko coś przekąsiliśmy w kuchni i zaproponowałem Joli spacer do kościoła. Miałem nadzieję spotkać tam panią Krystynę z biblioteki, a także Agatę i Krzyśka. Winny im byłem przeprosiny za moje wczorajsze spóźnienie, w którego rezultacie nie wzięli udziału w ognisku.

Całe szczęście, że Jola wozila w bagażniku malucha trochę bielizny i ubrań na zmianę, to był jej bardzo praktyczny, studencki nawyk, więc nie musieliśmy szukać sklepu z ciuchami. Założyła wytarte, obcisłe dżinsy na swoje chude jak patyczki nogi, na wierzch zarzuciła czerwoną wiatrówkę i byliśmy gotowi.

- Zostanę z panem do końca całej sprawy - poinformowała mnie, otwórz drzwi. - Nie pozbędzie się mnie pan tak szybko.

Włożyłem jeszcze kawałek zapalniczki w szparę drzwi - w celu sprawdzenia, czy ktoś nie odwiedzi nas podczas spaceru - i leniwym krokiem udaliśmy się przez park do kościoła.

W połowie alei pociągnąłem Jolę za rękaw kurtki i zaprowadziłem na skraj parku, pod wielki, schorowany dąb. Niestety, dziupla była pusta, więc tylko ukryliśmy w niej serwetki i niedopałki z Żychlina - istotne dowody w naszej sprawie.

- Nie wiedziałam, że pan lubi takie zabawy - zachichotała Jola. - Zdziwiła mnie pan.

- To dobrze, czy źle?

- Myślałam, że jest pan nudny i poważny, a pan chyba naprawdę wierzy, że jest detektywem.

Co miałem jej odpowiedzieć? Faktycznie czułem się nudziarzem, z którym nie można było pogadać o ostatniej płycie Madonny lub najnowszym filmowym wcieleniu Toma Cruisa.

Jedynie, co burzyło ten monotony portret, to kilkudniowy zarost porastający moje policzki i brodę, który Anglicy zwa five o'clock shadow. Nie goniłem za uciechami życia, byłem systematyczny, obowiązkowy i oddany wyłącznie swojej pracy. Natomiast to wszystko, co się tutaj działo, uwolniło ze mnie dużego dzieciaka, a podobno taki gość siedzi w każdym dorosłym mężczyźnie.

Bibliotekarki nie spotkaliśmy pod kościołem, za to udało mi się wypatrzeć Krzyśka w tłumie opuszczającym kościelne mury. Dawałem mu ręką znaki, chłopak z początku mnie nie zauważył, a raczej udawał, że mnie nie dostrzega, jednak po chwili zbliżył się do nas zdjęty ciekawością.

- Obecna tu ze mną Jola - przedstawiłem ją chłopakowi - jest świadkiem, że nie mogłem na czas dotrzeć na wczorajsze ognisko. Przepraszam najmocniej.

- Nie ma sprawy - wymamrotał.

- Bardzo byliście na mnie źli?

- Nie, wcale - skłamał.

- To dobrze - poklepałem go po plecach. - Bo mam dla was prawdziwe detektywistyczne zadanie.

- Poważnie? - ożywił się w mgnieniu oka. - Zaraz polecę po Agatę.

- Jestem na tropie człowieka palącego cygara - mówiłem szeptem. - Chyba wiem, kto

to jest. Ale na wszelki wypadek sprawdźcie szopę na polu przy skrzyżowaniu na Święchów.

Nie miałem powodów sądzić, że owe poszukiwania pomogą w naszym dochodzeniu, ale chciałem dzieciakom dać jakieś detektywistyczne zadanie do wykonania, aby nie czuli się

odsunięci od sprawy tabliczki.

- Wiem, o którą szopę panu chodzi - śmiał się ze mnie.

- To takie śmieszne?

- Trochę. Bo to nie szopa, a stary wychodek!

Jola parsknęła śmiechem i zaraz przytknęła swoją drobną, wypielęgnowaną dłoń do ust, zakrywając dwa rzędy błyszczących białą zębów.

- Było ciemno - tłumaczyłem się.

- To znaczy, że pan kogoś śledził?

- Tak. I miejcie na oku ten wychodek, dobrze?

- Tak jest! - zaszutowałem dla zgrywy Krzysiek.

- Szukajcie mnie w Domku albo zostawiajcie wiadomości w dziupli dębu - zawołałem za nim.

Pobiegł na wieś zadowolony, że znowu może wziąć udział w naszym dochodzeniu.

Wtedy to podeszła do nas Miss Marple.

- O, widzę, że wydaje pan rozkazy swojej drużynie - powitała nas uśmiechem.

- Dzień dobry pani - ukłoniłem się nisko. - Jeśli złamię szyfr, to będzie to zasługa

całego zespołu.

Miss Marple popatrzyła uważnie na Jolę.

- A pani w jakim charakterze występuje w szeregach Liberalesa?

- Jest moją mużką - odpowiedziałem za dziewczynę, która nie za bardzo wiedziała, jak

rozmawiać ze starszą panią.

- Ach tak - mruknęła kobieta. - Wybieracie się gdzieś, czy wędzycie w Oporowie?

- Zrobimy sobie małą przejażdżkę. A pani?

- A co mi pozostało, mój drogi? Spacery, spacer i jeszcze raz spacer. Wtedy mogę

myśleć do woli. Ale, prawdę powiedziawszy, nie mogę nic wymyślić. Kiedy pisałam kryminały, to wszystkie zagadki wydawały mi się takie proste i eleganckie.

- Może dlatego, że to pani je wymyślała - zauważyłem.

- Pewnie dlatego - westchnęła. - Ale co to znaczy życie! Wymyślone historie bledną w

obliczu rzeczywistych przygód. Czy wiecie państwo, ile skarbów kryje polska ziemia?

- A o ilu wykopanych skarbach nie wiemy! - wtrąciła się Jola.

- Interesujesz się skarbami, moje dziecko?

- Czytałam artykuł w prasie.

- Masz rację. Wielu odkrywców skarbów milczy, znalazca bowiem dostaje marny procent od znaleźnego. Symboliczną sumę. Niewielu mamy maniaków zdolnych oddać

cenny

skarb państwu, nie otrzymawszy w zamian nic. A wy, czy gdybyście znaleźli skarb paulinów,

oddalibyście go państwu?

- To zależy - odpowiedziałem po namyśle. - Od kondycji państwa. Jeśli eksponaty niszczałyby w muzealnych magazynach, to lepiej dla potomnych, aby przetrwały w rękach

prywatnych. Wiem, że na Zachodzie wielu prywatnych kolekcjonerów udostępnia swoje

zbiory publicznie, wypożyczając je państwowym muzeom bądź organizując wystawy.

Miss Marple pogadała z nami jeszcze o tym i owym, ale po pewnym czasie podszedł do nas jeden z księży.

- To ksiądz Ignacy - starsza pani przedstawiła nam ubranego w sutannę niskiego i szczupłego mężczyznę z kręconymi włosami, trzymającego kurczowo pod pachą jakieś stare

akta.

- Niech będzie pochwalony!

- Na wieki wieków amen - rzucił ksiądz, a Miss Marple chwyciła go za łokieć i skierowała w stronę plebani przyległej do klasztoru.

Słyszeliśmy jeszcze, jak ksiądz mówił podekscytowany do kobiety „mam te siedemnastowieczne metryki, proszę pani”, ale nasza Miss Marple dyskretnie go uciszała; a

kiedy znikali w drzwiach plebani, nie omieszkała obejrzeć się jeszcze za nami.

- Czy to autorka serii kryminałów o przygodach inspektora Kota? - wyszeptła Jola,

gapiąc się na opasły budynek plebani.

- Ta sama.

- Mój tata uwielbiał kryminały i miał ich cały regał. Były tam również jej książki. Czy

ona przypadkiem nie wpadła na jakiś trop?

- Niewykluczone - pokiwałem głową. - Ksiądz zachowywał się konspiracyjnie. Miss Marple nie chciała, abyśmy wiedzieli, jaki ma do niego interes. Księgi metrykalne z XVII

wieku. Po co im one?

Usiedliśmy jeszcze na ławeczce przed wejściem do kościoła i patrzyliśmy na jego fasadę i barokową dzwonicę na szczycie wieży. Część ludzi wypędziło na wieś do domów, a

nowi zajęli miejsce w kościele na kolejnej przedpołudniowej mszy. Następni przyjdą tutaj

dopiero w południe na trzecią niedzielą mszę.

Z kościoła dochodziły do nas organowe dźwięki pieśni religijnej, a ja starałem się

wyobrazić ludzi przybywających pod ten kościół prawie trzysta pięćdziesiąt lat temu. Jak

wyglądali? Jak się zachowywali? I co robili po mszy? Czy szli do swoich chałup i izb

czeladnych na folwarkach, aby przy wtórze śpiewów kwasić kapustę, robić przetwory, drzeć

pierze i naprawiać narzędzia? Kiedyś nie znano urlopów i pracowano od świtu do nocy,

jednakże w dni świąteczne kościół zabraniał pracować, podkreślając, że czas wolny od pracy

powinien służyć modlitwie i refleksji. Tamtejszy lud jednak często szedł na łatwiznę i szukał

po prostu zwykłej rozrywki. Nie chodził wprawdzie - tak jak dzisiaj - do supermarketów, ale

miał inne uciechy.

Coś jednak zostało z tamtych dni, pamięć o dawnych czasach przetrwała w ludzkich zwyczajach, bowiem tak jak niegdyś, tak i obecnie przychodzono tutaj, aby

ukłęknać przed

ołtarzem i zmówić tę samą zdrowaśkę z tych samych, co kiedyś, powodów.

Z krótkiej notki wywieszanej na tablicy informacyjnej na placyku przed kościołem mogliśmy wyczytać, że kościół i klasztor wielokrotnie borykały się z trudnościami finansowymi (zupełnie jak w czasach obecnych!). W drugiej połowie XVII wieku nastąpiło apogeum nieszczęść i w 1697 roku wybuchł pożar. W 1710 roku pojawili się anonimowi dobrodziej, którzy na szczęście odnowili budynek klasztorny, ale kościół dalej popadał w ruinę. Dopiero Jan Sołłohub i generał zakonu paulinów ojciec Konstanty Moszyński odnowili oporowską świątynię. W drugiej połowie XVIII wieku dobudowano zachodnie skrzydło klasztoru, od wschodu powstała nowa zakrystia, wzniesiono też kaplicę św. Jana Chrzciciela na miejsce starej gotyckiej. Przez lata kościół i klasztor z pewnością zmieniły swój wygląd, ale czy to miejsce aż tak bardzo uległo metamorfozie? Wsunęliśmy nasze głowy przez drzwi, zaglądając do zaludnionego kościoła. Jego wnętrze miało barokową architekturę ołtarza głównego, którego kartusze zdobiły herby właścicieli Oporowa. Dzisiejsze sklepienia i ściany pławiły się w żółtych i białych kolorach farby, udekorowane złotymi figurkami i ozdobnikami. Wyszliśmy. Na dziedzińcu pomiędzy kościołem a jednopiętrowym klasztorem znajdowała się na południowej ścianie kościoła gotycka kruchta wykonana z czerwonej, palonej cegły, zwieńczona na górze trzema charakterystycznymi wieżyczkami. Przez jej ciężkie drzwi wchodziło się pewnie kiedyś do kościoła, a siedzący w oknie klasztoru naprzeciwko przeor mógł oglądać przybywających do świątyni wiernych z okolicznych dóbr, które należały w XVII wieku do rodziny Tarnowskich. To miejsce, jak żadne inne w Oporowie, pamiętało tamte dawne czasy. To tutaj krzyżowały się ludzkie żywoty, gdyż przez wieki przychodzili tu niemal wszyscy - panowie i ich poddani. To tutaj pod kościołem spoczywali w kryptach kolejni właściciele Oporowa, to gdzieś w pobliżu kościoła, gdzieś poza jego obecnymi murami, znajdował się pierwszy miejscowy cmentarz grzebalny. To wreszcie z tego miejsca wyjechał w mroźną noc przeor Gabriel, w tajemnicy wywożąc skarb. Po tej metafizycznej porcji wspomnień udaliśmy się z Jolą na zamek. Zauważyliśmy tam przechadzającego się wolno wzdłuż fosy Hannussena, teatralnie skupionego, jakby nieobecnego i pogrążonego w medytacyjnym transie, ale naszą uwagę pochłonęło zaraz coś zgoła innego. Okazało się, że maluch Joli nie chciał zapalić. - Co za grat! - złościła się Jola i kopnęła w oponę. - Akurat w takiej chwili musiał się zepsuć. Otworzyliśmy tylną maskę i zajrzeliśmy do silnika, ale na oko wszystko wyglądało dobrze. Jola zamykała klapę, gdy mój wzrok natrafił na rozsypane na ciemnej ziemi, tuż przed tylnym kołem malucha białe, znajome kryształki. Cukier! Nie było tego dużo, ale białe kropeczki nie pozostawiały złudzeń, że ktoś tutaj był i coś z cukrem robił. Mój wzrok

natychmiast powędrował do wlewu paliwa.

- Ktoś go odkręcił i dosypał cukru do baku - oświadczyłem i popatrzyłem zły na krążącego wokół fosy Hannussena.

- Bez kluczyka?

- Może otwiera zamki zaklęciem „Sesamie otwórz się”?

A potem rozejrzałem się uważnie dookoła, jakbym miał nadzieję ujrzeć sprawcę ukrywającego się za drzewem. Mógł to zrobić Hannussen, ale niewykluczone, że dowcipnisi

dosypującego cukier do baku powinniśmy szukać w parku, w zamku lub przede wszystkim w

Domku. Na parkingu, oprócz malucha, znajdowało się tylko auto Hannussena. On sam chodził dookoła zamku jak nawiedzony, pozostali detektywi zaś wyruszyli na wycieczkę.

Mógł to zrobić jeden z nich przed wyjazdem w teren, ale mogli to uczynić ci, którzy zostali na

miejscu. A zatem wspomniany Hannussen i Harry Potter, który z pewnością był w zamku.

Nawet Miss Marple mogła dosypać cukru do baku, gdy szła rano na mszę, a wszyscy siedzieli

w salonie Domku.

Ja oczywiście miałem swojego faworyta, ale moimi domysłami postanowiłem podzielić się z Jolą później. W tej chwili dziewczyna była zdenerwowana i słała gromy na

wszystkie strony świata.

- Co za drań! Co za łobuz! - syczała ze złości. - A mogłam wczoraj wieczorem wracać

do Warszawy. Zachciało mi się przygód i zabawy w detektywa!

- To już nie chcesz nim być?

- Jak teraz wrócę do domu? Jak? Autostopem?

- Coś wymyślimy. I pamiętaj, że znalazca skarbu otrzyma wielką nagrodę.

Podzielimy

się nią i wtedy kupisz sobie nowe auto. Ja zresztą też.

Jola nie podjęła tematu. Ruszyła pospiesznie do Domku, a ja poszedłem za nią.

Natychmiast pobiegłem do kuchni i zajrzałem do kredensu. Tak jak myślałem - torebka z

cukrem znikła.

Czerwony na twarzy od biegu Hannussen zaskoczył nas myszkujących w kuchni.

Widać przekleństwa rzucone przez Jolę przerwały mu seans.

- Co się stało? - zapytał zdumiony naszym podnieceniem.

- Jakiś kretyn wsypał do baku cukier! - wypaliła Jola, ale zaraz zawstydziała się tego

niekontrolowanego wybuchu złości.

Hannussenowi spodobała się reakcja dziewczyny.

- Gdy się złościysz, to jesteś jeszcze piękniejsza.

Tymi słowami Hannussen dokonał całkowitej przemiany Joli - zamienił ją znowu w miłą i spokojną istotę. Czarodziej - nie ma co!

- Cukier, powiadacie? - zawiesił na nas wzrok. - Komuś zależy na tym, abyście nie

ruszali się z miejsca? Czyżbyście odkryli coś poza Oporowem? A może to zwykły kawał?

- A jedzie mi tu tramwaj? - przyłożyłem palec do oka.

Hannussen zrobił niezwykle poważną minę i zajrzał bezczelnie do mojego oka, jakby

faktycznie coś zauważył.

- Widzę! - podskoczył podekscytowany. - Temperamentum, widzę! Nawet dwa tramwaje!

Hannussen najzwyczajniej w świecie nabijał się z nas.

- Co pan robił przy fosie? - zapytała go Jola.

- Nie, nic - bronił się jak sztubak. - Podziwiałem sobie zameczek. Odpoczywałem. Spaceruję, spaceruję i jeszcze raz spaceruję.

- Czy przypadkiem nie wiąże się to z tym „zerem” w środku tabliczki? -

zagadnałem

go. - Mówił pan, że to „zero” wysyła jakieś fale, które pan odbiera. A fosa ma kształt zbliżony

do koła, a więc właśnie do „zera”.

- O Boże - wyrwało się Joli. - W fosie jest skarb?!

- Nie, to tylko takie moje spekulacje - uśmiechnął się niewyraźnie Hannussen i szybko

zmienił temat. - Ale gdzie chcieliście pojechać? Mówcie prędko, to chętnie was podwiozę.

Już po kilku minutach opuściliśmy zamek i Oporów, kierując się na Drzewoszki.

- Mam nadzieję, że zdradzi pan, co ustaliliście z Larą Croft u Matusiaków? - zagadywał

mnie Hannussen, prowadząc auto przez okoliczne pola. - Ta młoda dama o zimnym spojrzeniu i ironicznym uśmiešku ciągle gdzieś wyjeżdża, zamiast siedzieć na miejscu i

rozwiązywać zagadkę. Wczoraj nawet pojechałem za nią, ale szybko się zorientowała, że ją

śledzę. Cwana żmijka. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to ona dosypała cukru do malucha

panny Joli.

- Pewności nie ma - odparłem. - Każdy mógł to zrobić.

- Oprócz nas trojga - rzucił.

Popatrzyliśmy dyskretnie na siebie z Jolą.

- Oprócz naszej trójki - powtórzyłem rozbawiony jego reakcją.

- Ale gdyby pan to zrobił - zwróciła się Jola do Hannussena - to pewnie i tak by się

pan nie przyznał.

- Przyznałbym się - gorąco zapewniał Hannussen. - Dla pani zrobiłbym ten wyjątek i

przyznałbym się. Przysięgam na temperamentum.

- A co to jest? To „temperamentum”? Chyba nie jakiś specjalny magiczny termometr?

- Zakłęcie - odpowiedział tajemniczo. - I nieważne, co to jest. Ważne, czy działa.

Po kilkunastu minutach zajechaliśmy pod dom Matusiaków. Przywitał nas pies, szczekający tak samo ambitnie jak wczoraj. Na całe szczęście był przywiązany do budy.

Natomiast zamiast Matusiakowej wyszedł nam naprzeciw jej mąż. Wczorajsza niechęć Matusiakowej została zastąpiona ostentacyjną gościnnością męża.

- Żona mówiła, że byliście wczoraj - nadawał Matusiak.

Mówił przy tym niewyraźnie, bełkotał, i chociaż starał się zrobić na nas jak najlepsze

wrażenie, o czym świadczył grymas wykrzywający jego czerwoną twarz w kwaśny uśmiech,

od razu przypomniałem sobie cytaty z Liber chamorum Waleriana Nekandy Trepki, który tak

scharakteryzował plebeja udającego szlachcica: „szepluniel z mazowiecka jak chłop, a o

ślachectwie swym bajął”. To samo można było powiedzieć o Matusiak.

- Kobiecie coś tam się pokręciło - gadał. - Oczywiście, chceta, to oglądajta ten dół.

Zapraszam! Chodźcie, państwo, za mną. Burek! Do budy!

Jednakże pies nie przestawał ujadać. Wydawało się, że robił to głośniejsze i z

większą zawziętością.

Dół za stodołą nie zrobił na nas większego wrażenia - pusty, ponury i głęboki na półtora metra. Jedynie Hannussen wyjął z kieszeni wahadełko i chwilę je ustawiał nad dołem,

coś sprawdzał, powtarzał w kółko to swoje „temperamentum” i marszczył czoło.

- Dziwne - zamruczał pod nosem. - Zbrodnia?

I zaraz popatrzył na nas i schował wahadełko. Wyjął niewielkie urządzenie

elektroniczne i skierował je w stronę dołu. Patrzyliśmy zdumieni z Jolą, jak wskaźnik urządzenia odchylił się na kilka centymetrów, a twarz Hannussena opromienił ledwo

zauważalny, ale triumfalny uśmiech.

- Co pan odkrył? - zapytała go Jola.

- Złe moce - odpowiedział. - Silne pole elektromagnetyczne. Zbrodnia.

- Jakie znowu złe moce? - powtórzył przestraszony Matusiak. - Ki diabeł? O co się

rozchodzi? Jakaż znowu zbrodnia?

Ale Hannussen nie był skory do podzielenia się z nikim swoim odkryciem.

- Czy mógłby pan pokazać mi swoje urządzenie? - zapytałem jasnovidza.

- Kupiłem je w Niemczech. Proszę tylko spojrzeć. Zmyślne cacko, nieprawdaż?

U uruchomiłem ów miernik natężenia pola elektromagnetycznego i skierowałem go na przerażonego w dalszym ciągu Matusiaka.

- To jak? - popatrzyłem groźnie na rolnika, ku ogromnemu zdziwieniu Joli oraz Hannussena. Zgrywałem się. - Powie mi pan całą prawdę, panie Matusiak? Emanują z pana

złe moce. Jest pan naładowany „minusami”. Osiem w skali Lucyfera!

Hannussen, który był zawodowym jasnovidzem i wiedział, że moje słowa mają na celu nabranie chłopca, w lot pojął mój podstęp.

- Że co? - pobladł Matusiak. - O czym pan gadasz?

- Nie jest pan szczery.

- Temperamentum - wyszeptał Hannussen i zabrał mi miernik. - Nie do wiary!

Niedługo nie starczy skali, aby zmierzyć kłamstwo tego człowieka. Co pan ma na sumieniu?

- Panowie! - krzyknęła przerażona naszym zachowaniem Jola, czym jeszcze bardziej zdenerwowała Matusiaka. - Przestańcie!

- Panie Matusiak - nie posłuchałem Joli i dalej oskarżycielsko patrzyłem na rolnika. -

Odkopał pan trumnę z nie tym człowiekiem, który powinien tutaj leżeć.

Niewykluczone, że

ten człowiek został zgładzony...

- Żem ja go ukatrupił? - zrobił wielkie oczy.

- Tego nie powiedziałem. To było trzysta pięćdziesiąt lat temu.

Matusiak chyba wreszcie pojął, że się nabijamy i podstępem pragniemy wydusić z niego trochę informacji, więc groźnie na nas spojrział.

- Wynocha z mojej ziemi! - wrzasnął, tupnął nogą i jeszcze bardziej poczerwieniał ze

złości. Od strony domu doleciało do nas szczekanie psa. - Paszoł won!

Uciekliśmy stamtąd chyżo, gdyż gniew Matusiaka rósł z każdą chwilą. Dopiero w samochodzie poczuliśmy się bezpiecznie. Odjechaliśmy kawałek i zatrzymaliśmy się przy

drodze.

- Co panowie najlepszego zrobili? - z wyrzutem zapytała Jola.

Opowiedziałem im o wizycie osobnika jeżdżącego fordem fiesta, który odwiedził wczoraj Matusiaków.

- Dzisiejsze zachowanie Matusiaka było podejrzanym, ten fałszywy uśmiech, szeroki gest, zupełnie jakby chciał zatrzeć ślad wczorajszej niegościnnosci swojej żony

-

stwierdziłem. - To musi wiązać się z wizytą osobnika jeżdżącego fordem. Być może to on

kazał im zmienić nastawienie do gości pragnących odwiedzić dół po trumnie.

- Kto to może być? - zgadywał Hannussen. - Temperamentum. Pewnie nasza Lara chce go wytropić. Albo już go wytropiła. Mówił pan, że fiesta miała kutnowską rejestrację?

- Owszem - skinąłem głową. - Ale nie na wiele zda nam się ta informacja.

- Nie dla Lary Croft! Panie Liberales, niech pan nie zapomina, że dziewczyna pracuje

w agencji detektywistycznej. Od ręki zdobędzie namiary tego osobnika. Cwana żmijka...



Zamyślony Hannussen ruszył z piskiem opon na Oporów. Pożegnaliśmy go przed cmentarzem. On wrócił do zamku, a my z Jolą postanowiliśmy pochodzić po miejscowym cmentarzu położonym przy skrzyżowaniu dróg na zachodniej stronie wsi, nieco na uboczu, ale w zasięgu wzroku mieszkańców. Cmentarz tonął w jesiennych tonacjach brązu, żółci, czerwieni i zgaszonej zieleni, a rosły tutaj dorodne akacje, graby, kasztanowce, jawory i lipy, które zrzucały na październikową ziemię martwe liście. We wschodniej części nekropolii szybko odszukaliśmy pomnik wystawiony ku pamięci Orsettich i powstała w XVIII wieku kapliczkę w formie latarni - w miejscu dawnego domu, w którym kiedyś urodził się błogosławiony Stanisław z Oporowa. Był on prowincjałem zakonu paulinów, postacią tyle barwną, co prawa, gorliwie walczącą z ówczesnym nowinkarstwem innowierczym.

- Czego my właściwie szukamy? - zapytała znużona Jola, omiatając wzrokiem dziesiątki płyt nagrobnych stłoczonych przy głównej alejce cmentarza. - Myślałam, że będziemy rozwiązywać zagadkę tej tabliczki, a jak na razie uprawiamy zwykłą turystykę.

- „W tym szaleństwie jest metoda” - zacytowałem słowa znanej sentencji z Hamleta. - Pomyślałem, że warto poznać tę ziemię i zacząć od kontaktu z najbardziej popularnymi tutaj miejscami. To wokół kościoła i klasztoru, cmentarza i zamku tętniło życie Oporowa na przestrzeni wieków.

Niedługo potem szliśmy miękkim parkowym dywanem, podziurawionym przez setki słonecznych sztyletów, którym udało się przebić przez łysiejące korony drzew. Zaszliśmy na południowy skraj parku, pod stary dąb, który w tej chwili wydawał się mniej ponury niż za szarego dnia i wykazywał jakąś niemożliwą do opisanego aktywność. Jakież było nasze zdziwienie, gdy z dziupli wyjąłem plastikową torebkę, w której znajdowało się niedopalone cygareto - wynik szybkiego dochodzenia naszych młodszych detektywów - Agaty i Krzyśka.

7

Porucznik Columbo był jedynym z naszego grona, który palił cygara. Dlatego założyłem, że to on czekał w wychodku przy drodze na Święchów. Nie to mnie nurtowało. Zastanawiałem się, ilu współników miał detektyw? Pierwszy z nich, ten w samochodzie, nie mógł mieć dostępu do zegara z kukułką! Był z zewnątrz. Istniał zatem drugi współnik, z którym Porucznik Columbo wymieniał się informacjami zostawianymi w zegarze w kuchni Domku. Czy jego przeprowadzka na zamek nie była sfingowana? Czy nie dopuścił się małej mistyfikacji, narzekając na Domek i zdrowie? Pewne fakty świadczyły, że chciał być bliżej Harry'ego Pottera, inne temu przeczyły i wskazywały na innego podejrzanego.

Ale o tym chciałem porozmawiać z Jolą przy obiedzie, więc na razie odłożyliśmy kwestię Porucznika Columbo.

Na moją prośbę Jola schowała wypalone cygareto do kieszeni wiatrówki i w chwili, gdy zamierzaliśmy ruszyć przez park, naszą uwagę zwrócił przechodzący główną aleją w parku Hannussen. Częściowo zasłonięty przez opadające pod ciężarem lat gałęzie drzew,

szedł

zwawym krokiem w stronę wsi. Po chwili minął bramę, obejrzawszy się za siebie kilka razy i,

daję słowo, że był nielicho podekscytowany.

Zamiast na obiad poszliśmy za nim.

- Gdzie on tak pędzi? - zastanawiałem się.

- Może na południową mszę? - zgadywała Jola.

Wszystko wskazywało na to, że miała rację. Jasnowidz kierował się w pośpiechu w stronę kościoła, ale wcale nie wyglądał na człowieka pobożnego. Czy rzeczywiście poczuł

nieodpartą potrzebę modlitwy? Może korzystał z okazji, że większość detektywów rozplynęła

się gdzieś po oporowskich zakątkach, i wykonywał jakąś tajemniczą misję?

Nie wiedział, że szliśmy za nim, zresztą przezornie zeszedliśmy na drugą stronę jezdni,

chowając się najpierw za kiosk, potem za przystanek i wreszcie za pawilony.

Zanim znikł

nam z oczu za murem parafii, obejrzał się za siebie, ale my wtedy byliśmy zasłonięci przez

grupę wiejskich kobiet, które wracały skądś i głośno rozmawiały.

Ostrożnie zakradliśmy się pod kościół. Jola dyskretnie zajrzała do wypełnionego zbiorową modlitwą wnętrza świątyni i po chwili uczepliła się mojej ręce.

- Hannussen jest na mszy - szepnęła mi do ucha, aż poczułem jej ciepły oddech. - Nie

wygląda na kogoś, kto się modli. Jest niespokojny.

- Po co w takim razie tu przyszedł? - głośno myślałem.

Nie mogliśmy wtedy odpowiedzieć na to pytanie. Zresztą nasza rozmowa została przerwana niespodziewanym pojawieniem się za naszymi plecami proboszcza.

- Śmiało - zaprosił nas do środka. - Msza dopiero co się zaczęła.

- Byliśmy rano - skłamałem.

Moje kłamstwo miało swoje uzasadnienie. Nie chciałem wchodzić do świątyni.

Gdybyśmy teraz wtargnęli do kościoła, mogliśmy obudzić w Hannussenie

podejrzenia, że go

śledzimy.

- Czym mogę państwu służyć? - zapytał proboszcz. - Czy nie jesteście przypadkiem detektywami z zamku?

- Ano jesteśmy - uśmiechnąłem się, a zadowolona z tak zaszczytnej nominacji Jola wyprostowała się dumnie. - Interesują nas księgi metrykalne.

- Ach! - ożywił się i pokiwał głową. - Zdaje się, że ta starsza pani z zamku już je

przeglądała. Ksiądz Ignacy jej pomagał. Niech mi państwo powiedzą, co jest w nich tak

szczególnego, że ta kobieta już dwa razy tu była?

- Nie wiemy, proszę proboszcza, ale również chcielibyśmy je przejrzeć.

- W takim razie zapraszam na plebanię.

Usiedliśmy w niedużej kancelarii, skromnie umeblowanej, ale jasnej, schludnej i pachnącej trochę wiejską rezydencją, a trochę Panem Bogiem. Proboszcz przyniósł nam starą

księgę metrykalną parafii Oporów z XVII wieku i z namaszczeniem położył na wysłużonym

blacie biurka.

- Znajdziecie tutaj metryki kościelne naszej parafii z lat 1627-1829 dla chrztów i

małżeństw, a także pochówków. Księgi zostały przepisane ręką celebransa na początku XIX

wieku, ale zachowały się też oryginalne. Mam reprinty tych stron.

- Interesuje nas przeor Gabriel - podsunąłem proboszczowi.

- Tak się składa, że mamy jedną stronę listu przeora Gabriela do prowincjała.

Tak

nazywał się zwierzchnik kościelny, który mianował przeorów i proboszczów. W liście

napisanym po łacinie przeor zasięga rady u zwierzchnika w sprawie mianowania nowego rektora szkoły zwanego inaczej ministrem. Mam przynieść? Skinąłem głową. Proboszcz wyszedł, a my wzięliśmy się za przeglądanie starych metryk. W zasadzie to ja przeglądałem. Jola wyglądała przez okno na plac przed kościołem. Znalazłem setki aktów chrztów, małżeństw i rejestrów pochówków z różnych wsi, jak Święchów, Jastrzębia, Kurów, Jaworzyna, Dobrzewy, Wólka, Wola Owsiana i Kamienna. Przede wszystkim jednak dane dotyczyły Oporowa. Oprócz tych wpisów były rejestry metrykalne dotyczące mieszkańców sąsiedniej parafii Mnich, która kiedyś należała do tak zwanego dekanatu gostynińskiego pod archidiakonatem płockim. Była to nużąca i niewdzięczna lektura - często w zapisach występowały przerwy w rejestrach w okresie, gdy kościół był zamykany z powodu złego stanu budynku; wiele adnotacji było niepełnych. W aktach zaślubin brakowało nazwisk świadków, zdarzały się pominięcia dat dziennych, miejscowości, wieku i przynależności stanowej parafian. Wraz z rejestrami metrykalnymi odnotowane zostały kontrole wpisów przeprowadzone podczas tak zwanych wizyt generalnych. Mnie zainteresowała notatka z 1657 roku o konwersji wyznaniowej z luteranizmu na katolicyzm niejakiego Georgiusa Basa przybyłego z Niderlandów. Na jej marginesie zauważyłem bowiem świeży ślad wykonany długopisem - ledwo widoczny „ptaszek”. Kogoś zainteresowało to odległe wydarzenie i odruchowo bądź świadomie zaznaczył odpowiedni wiersz. Domyśliłem się, że zrobiła to Miss Marple. Czyżby uważała, że rozwiązanie zagadki przeora Gabriela znajduje się w historii parafii i odkryła jakiś holenderski trop? Nagle Jola podskoczyła podniecona jakimś widokiem za oknem. - Hannussen! - podniosła głos. - Wychodzi z kościoła. Podszedłem do okna i zobaczyłem opuszczającego oporowski kościół zdenerwowanego Hannussena. Szedł szybko i zaraz znikł za murem. - Jolu - złapałem ją za ramiona i spojrzałem głęboko w oczy. - Idź za nim. Wybadaj, co on knuje. Nie uszło mojej uwagi, że podobasz się naszemu jasnowidzowi. Wykorzystaj to i spróbuj z nim porozmawiać. Może uda ci się coś z niego wyciągnąć? A ja popatrzę sobie jeszcze na ten list. Kiwnęła z przejęciem głową, aż pasemka włosów zasłoniły jej usta, i szybko opuściła plebanię. A potem przebiegła klasztorny ogródek i przez łukowatą bramę wyszła na wewnętrzny dziedziniec klasztoru. Do kancelarii wrócił proboszcz. - O, widzę, że panience znudziła się praca archiwistki - zażartował i położył na stole sznurowaną tekturową teczkę. - Niech sobie pobiega na powietrzu - westchnąłem w formie żartu. - A mnie starszemu zostawi tę niewdzięczną pracę. - No wie pan, młodzieńcze! Nie jest pan przecież stary. - W sam raz, aby zostać helluo librorum. Tak żartując (helluo librorum znaczyło po łacinie „mól książkowy”), obejrzałem w pośpiechu list przeora Gabriela do prowincjała. Było w tym niemyym kontakcie z

kawałkiem

starego papieru coś fantastycznego, jakieś metafizyczne uczucie poznawania, niewytłumaczalne i nieprzekładalne na normalny język pojęć i zmysłów, co upodabniało je do

głębokiej modlitwy. Nie byłem mocny w łacinie, więc proboszcz naprędce przetłumaczył mi

ów list. Jednakże w jego treści nie znalazłem niczego szczególnego, co mogło naprowadzić

mnie na rozwiązanie tajemnicy przeora.

Mój wzrok powędrował w końcu na dół pożółkłej kartki, gdzie widniała zapisana piórem data:

AD MDCLVII

Podobny zapis występował na tabliczce. Ale coś było nie tak z tymi literami.

- Co się stało? - zainteresował się proboszcz, widząc moje poruszenie.

- Czy mogę dostać kopię listu? - wydukałem z trudem.

- Dobrze. Mam kilka reprintów. Proszę poczekać.

I znikł w pokojach plebani, podczas gdy ja siedziałem nieruchomo za jego biurkiem.

Byłem mocno podekscytowany, jak detektyw, który wpadł na właściwy trop. Trwałem w tym

dziwnym osłupieniu kilkanaście sekund, aż trzęsącą się z podniecenia ręką wyjąłem z

wewnętrznej kieszeni dżinsowej kurtki zdjęcie tabliczki oporowskiej. Spojrzałem na zapisane

na niej drukowane litery, jakie miał wyryć w miedzi przeor Gabriel.

Zanim proboszcz wrócił z kopią listu, zdążyłem już schować zdjęcie tabliczki i wstać

od biurka.

- To wszystko? - zapytał.

- Bardzo dziękuję księdzu proboszczowi - uścisnąłem jego rękę. - Naprawdę bardzo dziękuję.

- Ale co się stało? - dopytywał się.

- Sam nie wiem - wyszeptałem tajemniczo w progu.

I zostawiwszy go osłupiałego na środku kancelarii, pognałem na zamek.

Na miejscu nadziałem się na Bonda, który przed Domkiem zabawiał Ewę. Hannussen zaś prowadził nad fosą przy kamiennych schodkach ożywioną rozmowę z Jolą. Jeśli nie

myliły mnie moje oczy, to nasz jasnowidz obejmował ją delikatnie, łąpał za łokieć, a gdy

dziewczynie udawało się wyrwać z jego objęć, ten znowu zaczynał swoje igraszki od nowa.

James Bond znał mnie jak własną kieszeń. Wystarczyło mu tylko spojrzeć na mnie, aby zauważyć, że byłem czymś poruszony. A że był człowiekiem nieprzeciętnie

inteligentnym, w mig pojął, że dokonałem przed chwilą jakiegoś ważnego odkrycia.

- Witamy, Liberalesie! - zawołał radośnie, a jego oczy zdawały się prześwieślać mnie

niczym promienie Roentgena. - Co się stało? Czy może rozwiązałeś zagadkę?

- I tak bym ci nie powiedział, Jamesie - odparowałem i spojrzałem na panią kustosz. -

Ale pani Ewie mógłbym powiedzieć.

- Bardzo proszę - otworzyła szeroko ze zdumienia oczy, co odebrałem jako pierwszy zwycięski punkt w rywalizacji o jej względy z Bondem. - To prawda, co sugeruje James? Coś

pan odkrył?

- A może się tylko przechwalasz? - warknął Bond.

- Niczego jeszcze nie rozszyfrowałem - odpowiedziałem spokojnie, bo odkrycie na plebanii dodało mi jedynie wiary we własne siły, ale niczego tak naprawdę nie wyjaśniało.

O ileż bardziej pragnąłem zająć jego miejsce u boku pięknej kustosz i tylko z nią

rozwiązywać zagadkę przeora. Bond machnął na mnie lekceważąco ręką, jakbym

niepotrzebnie zabierał mu czas. Pożegnaliśmy się.

- Ale obiecuję - dodałem jeszcze przez ramię - że jak już będę wiedział, gdzie jest

skarb, dam znać pani Ewie. Choćby i na pięć minut przed północą w czwartek. Odeszli bez słowa.

W pokoju spostrzegłem leżącą przed drzwiami zapałkę, co świadczyło o tym, że ktoś

tutaj wchodził podczas naszej nieobecności. Nie mogła to być sprzątaczką, gdyż mieliśmy niedzielę.

Jak to dobrze, że dałem Joli do przechowania dowody rzeczowe dostarczone nam przez dzieciaki z Oporowa. Szybko przeszukałem swoje rzeczy, ale ustaliłem, że nic nie

zginęło i wszystko było na swoim miejscu. Nie grzebano w laptopie. Jednak nie mogłem

oprzeć się smutnej refleksji, że pojedynek detektywów wkroczył w fazę bezwzględnej walki,

w której każda metoda zdobycia informacji była dobra. Nawet kradzież mogła być na

porządku dziennym. Co do mnie, postanowiłem dalej grać po swojemu - uczciwie. Niebawem wróciła Jola z sensacyjnymi wieściami.

- To Hannussen dosypał cukru do malucha - oświadczyła zasapana i ciężko usiadła na

swoim łóżku.

- Jesteś pewna?

- Tak, jestem pewna. Kiedy mnie bajerował, niepostrzeżenie włożyłam rękę do jego kieszeni. To nawet nie jest takie trudne.

- I co?

- Wyczułam kryształki cukru pod palcami. Musiał trzymać w kieszeni torebkę z cukrem, którą wcześniej zabrał z kuchni.

- Na to wychodzi. Na to wychodzi.

- Na co wychodzi?

- Hannussen specjalnie uszkodził malucha, aby osobiście podwieźć nas do Drzewoszek. Nasz jasnowidz chciał nas podejść, aby wyciągnąć ode mnie, co takiego

odkryłem z Larą Croft u Matusiaków.

- To nieudany jasnowidz. Powinien sam wiedzieć, a nie się nas pytać.

- Znam jego magiczną moc - stwierdziłem rozbawiony. - Ten człowiek na moich oczach opędzłował mi jajecznicę, a ja nawet tego nie zauważyłem. To on powinien nazywać

się Harry Potter.

Wyszliśmy z Domku na obiad do knajpy znajdującej się naprzeciwko cukrowni.

Przedtem zabraliśmy z dziupli dębu dowody rzeczowe. Dopiero podczas drogi na obiad

powiedziałem jej o intruzie w pokoju.

- O rany - rozdziawiła usta. - Kto to był?

- Nie mam pojęcia

W miejscowej knajpie kłęby dymu unosiły się w powietrzu, a ludzki gwar mieszał się

z muzyką disco polo z radia. Jak bardzo różniło się to miejsce od tych karczem, które kiedyś

musiały tutaj służyć miejscowej ludności. Z pewnością panował dawniej taki sam gwar, ale

inne były zapachy, muzyka i tematy poruszane przy strawie.

Dzisiaj muzyka w knajpach i kawiarniach przeszkadza nie tylko w jedzeniu, ale i w

rozmowach, w efekcie czego klienci muszą głośniejszymi głosami rozmawiać nad kuflem piwa, co automatycznie stanowi sygnał dla barmanki do podgłośnienia muzyki.

Zamówiliśmy po kotleciku schabowym.

- Wprawdzie powinniśmy zamówić półmisek grochu z płatkami żółtej słoniny położonej na wierzch - powiedziałem - ale zadowolimy się schabowym.

- Dlaczego grochu? - zdziwiła się Jola.

- To był popularny obiad naszych dalekich krewnych w XVII wieku.

- Jak to dobrze, że mamy XXI wiek. A co mieli do tego grochu? Rosół?

- Rosół to francuski wynalazek, inaczej zwany bulionem. W Polsce rzadko go jadano, ale chętnie.

- A na śniadanie? Co wcinali?

- Śniadań wcale nie jadano. Piło się zazwyczaj zupę z grzanego piwa zabielaną jajami, zaprawioną mocno imbirem i cukrem. W ogóle Polacy używali kiedyś bardzo dużo przypraw.

Aha, był jeszcze taki zwyczaj, że przynoszono na ucztę swoje sztuce.

- Zważywszy, że w wielu lokalach w Polsce sztuce nie są dokładnie myte, a noże są tępe - zauważyła Jola, czyszcząc widelec serwetką - ten zwyczaj można by przenieść do naszych czasów.

- Powinniśmy także przed przestąpieniem progów tej karczmy uścisnąć rękę gospodarza i pozdrowić pozostałych bywalców.

- Stare, dobre czasy - westchnęła żartobliwie.

- O tak. A jakie atrakcyjne były wtedy ceny: jajko kosztowało jeden grosz, gęś trzy, za parę trzewików należało się piętnaście groszy, za lepsze z cholewami aż pięćdziesiąt, ale za siodło już dwa i pół złotego, a za konia aż osiemnaście złotych.

- Przelicznik ten sam - mruknęła po namyśle. - I dzisiaj kupi pan za równowartość trzydziestu jaj gęś.

- Wiesz co? - zaśmiałem się. - Kiedyś był chyba nawet lepszy przelicznik. Weźmy podatek płacony na rzecz kościoła zwany dziesięciną. Był niższy niż obecne podatki! W XVII wieku płaciło się jedną dziesiątą części zbiorów lub dochodów. Dziesięcina pojawiła się w XI wieku i przetrwała, aż do XIX.

Dziewczyna naraz spoważniała i popatrzyła na mnie.

- Ale co pan chciał mi powiedzieć? Niech pan mówi, bo tracę cierpliwość.

- Wyciągnij dowody rzeczowe - poprosiłem ją. Jola położyła wszystkie przedmioty na blacie stołu.

- Wyjmij teraz serwetki, na których detektywi zapisali rachunki w salonie Domku.

- Nie rozumiem, dlaczego te serwetki są dla pana tak ważne?

- Otóż w nocy, kiedy smacznie spałaś, zszedłem na dół do kuchni i posypałem grafitem haczyk przy zegarze, ten, który blokuje dostęp do domku z kukułką.

- Ale po co?

- Nasi detektywi dostali te serwetki do liczenia. Otóż moja zagadka z trzycyfrową liczbą była czystym wybiegiem. Pomyślałem, że jeśli ktoś rano spróbuje zajrzeć do domku z kukułką po kolejną karteczkę z wiadomością, to będzie musiał chwycić w palce haczyk i wyciągnąć go z zatrzasku. Nie zauważy grafitu na haczyku i, gdy dostanie później białą serwetkę, to zostawi na niej brudny ślad. Odczytaj nazwisko na serwetce, na której znajdują się brudne ślady po palcach. Jak pamiętasz, kazałem detektywom podpisać swoje prace, jakby byli uczniami w szkole.

- Pewnie zrobił pan to z przyzwyczajenia - powiedziała i zaczęła uważnie oglądać serwetki.

- Nie. Dla wygody.

- Harry Potter! - wykrzyknęła zdumiona i aż podskoczyła z wrażenia. - I

Hannussen!

Tylko na ich serwetkach są ciemne ślady po palcach. Można z nich nawet odczytać linie

papilarne. To niesamowite! A czemu pominął pan w zabawie Jamesa Bonda? Przecież to on

mógł być tym, który dobierał się do domku z kukułką. Tak samo Miss Marple.

- Masz rację, ale Bond zna rozwiązania wszystkich zagadek, więc proponowanie mu udziału w grze mogło się wydać mocno podejrzane. Miss Marple zaś była nieobecna. Poza

tym, gdy dostałem wszystkie serwetki, od razu szukałem na nich śladów palców. Znalazłem

je, więc nie musiałem przeprowadzać dodatkowych testów. Miałem te dwie osoby, ludzi,

którzy przekazywali sobie wiadomości. A jeśli nie znalazłbym śladów na serwetkach, to

wiedziałbym wtedy, że podejrzаныmi są najprawdopodobniej James Bond i Miss Marple.

Mogło być i tak, że Hannussen i Potter z sobie tylko znanych powodów nie zajrzeli rano do

domku z kukułką i na serwetkach nie zostawili żadnych śladów. Ale mieliśmy szczęście!

Zostawili.

- A cygaro Porucznika Columbo? To on powinien być jedną z dwóch osób zagląających do domku z kukułką. To on przecież czekał w wychodku przy drodze na

Święchów.

- To mi nie daje spokoju - ściszyłem w zadumie głos. - Myślałem, że znajdziemy ślady

Porucznika Columbo na serwetce. Pomyliłem się.

- Myli się pan także w innej sprawie - odezwała się Jola i odsunęła od siebie talerz z

zimnym schaboszczakiem, którego nie zdążyła ruszyć. - Bond nie zna rozwiązań wszystkich

zagadek. Nie zna tej jednej, teraz najważniejszej, gdzie przeor Gabriel ukrył skarb.

Przerwaliśmy naszą rozmowę, gdyż przez brudne firanki ujrzeliśmy idącego ulicą Harry'ego Pottera. Chłopak szedł w miarę szybko w stronę skrzyżowania na Święchów i

zdawało mi się, że jego zgarbiona sylwetka nieco się wyprostowała. Sto metrów za nim

podążali w charakterze jego Aniołów Stróżów - Agata z Krzyśkiem.

- Nasi młodzi detektywi śledzą Pottera - wstałem od stołu.

Położyłem obok talerza banknot i wyszliśmy z gospody głodni, ale zżerani ciekawością, dokąd zmierzał Potter. Z tego wszystkiego nie powiedziałem Joli, jakiego

odkrycia dokonałem na plebani. Ruszyliśmy wolno na północny wschód do skrzyżowania

dróg i cały czas rozglądaliśmy się, gdzie podziiali się Harry Potter oraz Agata z Krzyśkiem.

Wszyscy jakby się rozplynęli.

Doszliśmy spacerkiem do skrzyżowania, ale nie spotkaliśmy nikogo. Po obu stronach

jezdni pola stały nieruchome aż po horyzont, i tylko wrony dziobały świeże redliny, słońce

zaś leczyło podrażnioną ranę ziemi swoim ciepłym dotykiem.

Wracając na zamek nieoczekiwanie napotkaliśmy Krystynę w towarzystwie

Porucznika Columbo. Detektyw zagadywał, a właściwie czarował, bibliotekarkę, a ta

ograniczała się do kiwania głową.

- Liberales! - zawołał speszony, gdy nas spostrzegł. - Nie próżnuje pan, jak widzę. Co

słysząc?

- Właśnie przed chwilą widzieliśmy Harry'ego Pottera, jak zasuwiał na Święchów - oznajmiłem i obejrzałem się za siebie. - Nie wie pan, gdzie on tak pogonił?

- A skąd ja mogę wiedzieć? Cały dzień siedzi przed komputerem, to pewnie teraz poszedł zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Co on takiego widzi w tych komputerach? - zapytała Jola.

- A ja wiem? - uniósł ramiona ku górze Porucznik Columbo. - Nie znam się na tym. Co innego moja żona...

Porucznik Columbo żartował w stylu swego telewizyjnego pierwowzoru, ale jakoś nie

było nam do śmiechu.

- Pan też widzę nie próżnuje - popatrzyłem na Krystynę, na co ta zareagowała pasem,

Columbo zaś zaczął ni stąd, ni zowąd chrząkać i mruzczyć coś o przypadkowym spotkaniu.

Postanowiłem się wytłumaczyć bibliotekarce.

- Bardzo panią przepraszam za wczorajsze spóźnienie...

Tłumaczyłem się gęsto, a Krystyna kiwała tylko głową, cały czas zerkając nieufnie na

Jolę. Jola, jak to kobieta, odwzajemniała się bibliotekarce tym samym z nawiązką. A mnie ta

scena przede wszystkim rozbawiła, gdyż nie ma nic lepszego na męską próżność niż dwie

zazdrosne (bez powodu!) kobiety.

- I co? - przerwała mi Krystyna. - Wpadł pan na rozwiązanie miejscowej zagadki?

- Nie - odparłem, przyglądając się z zainteresowaniem cygaru, jakie Porucznik Columbo wetknął w kieszonkę swojego płaszcza. - Ale odkryłem coś, co zmienia mój dotychczasowy pogląd na tę sprawę.

- Mianowicie?

- Ogłoszę to na dzisiejszym spotkaniu.

- Mamy dzisiaj jakieś spotkanie? - zdziwił się Porucznik Columbo.

- Nie, ale poproszę o to panią Ewę.

W tym momencie zauważyłem powracających od strony cukrowni Agatę i Krzyska, więc przeprosiwszy Krystynę i Porucznika Columbo, oddaliliśmy się szybko.

- Panie Liberalesie! - krzyczał Krzysiek.

- Ciszej, na Boga! Wiem, wiem. Widzieliśmy. Śledziliście Harry'ego Pottera.

Porucznik Columbo patrzył na nas podejrzliwie, ale zaraz ruszył z Krystyną na dalszą

przechadzkę.

- On nam uciekł - opowiadała z przejęciem Agata. - Obszedł cukrownię, zrobił kółko i

wsiąkł jak kamfora.

- Ciekawe, gdzie się tak spieszył?

- Nie wiem - wtrącił Krzysiek - ale na bank zorientował się, że idziemy za nim. Moim

zdaniem szedł po cygaro w wychodku, po to samo, które my dzisiaj znaleźliśmy.

- Poza tym on wcale tak bardzo nie kuleje.

Spojrzałem zdumiony na Agatę.

- O czym ty mówisz, dziewczyno?

- Agata ma rację - wyjaśnił chłopak. - Ten Potter najpierw szedł tak dziwnie przekrzywiony, ale kiedy zniknął za ogrodzeniem, to widziałem przez sekundę, jak szedł

wyprostowany.

- To czarodziej, panie Liberalesie! - zawołała Agata. - Potrafi wszystko.

- Jeśli taki z niego czarodziej i wszystko potrafi, to czemu wcześniej się nie uzdrowił?

- powątpiewałem. - A może jest zdrowy? I tylko udawał chorego? Bo w czary jakoś nie

wierzę.

- My też - odparły dzieciaki. - O co w tym wszystkim może chodzić?

- Columbo podrywa miejscowe dziewczyny, a w tym czasie jego wspólnik usuwa



ślady - myślała na głos Jola.

- Jeśli są współnikami - mruknąłem. - Nie zapominajmy o naszym odkryciu, że Potter

współpracuje z Hannussenem.

- Jak to? - zdziwiła się Agata.

Opowiedziałem im o porannym odkryciu.

- I jeszcze jedno - dodałem na zakończenie. - Rozmawiając przed chwilą z Porucznikiem Columbo, dokładnie przyjrzałem się jego cygaru. Porucznik nosi

ciemne cygara o wydłużonym kształcie. To znalezione przez was w latrynie jest grube i jasne, zrobiono je z pierwszorzędnego gatunku liści. W nocy czułem subtelny miodowy aromat...

- Nie rozumiem - zdumiała się Jola. - Co chce pan powiedzieć?

- Ze to nie Columbo stał w nocy w wychodku i palił cygaro? - wyręczył mnie Krzysiek.

- Tego nie powiedziałem. Ale miejcie go na oku. Kto wie, może uda wam się zdobyć próbkę jego cygara.

Wieczorem, gdy za oknem nikłe światło lamp rozpraszało ciemności i unosząca się nad fosą upiorną mgłę, udało mi się zaprosić wszystkich detektywów na małe spotkanie do

Sali Jadalnej zamku.

Przy dużym prostokątnym stole zasiedli wszyscy zainteresowani i oczywiście moja asystentka Jola (tak nazwał ją Porucznik Columbo). Udało mi się, przy dobrych chęciach i

pomocy pani kustosz, przygotować kilka folii do rzutnika. Sprawa była ważna i - choć

powinienem był zachować ją w sekrecie, aby nie ułatwiać zadania pozostałym detektywom -

uważałem, że wszyscy zabrnęliśmy w ślepią uliczkę.

- Oglądałem dzisiaj zupełnie przypadkowo list przeora Gabriela do prowincjała zakonu paulinów - rozpocząłem prelekcję, stanawszy przy ekranie, podczas gdy Jola

obsługiwała rzutnik i na moje polecenie zmieniała folie.

Dyskretnie zerknąłem na twarz Miss Marple, którą moje słowa zaniepokoiły.

- Przypatrzmy się zapisowi niektórych wyrazów z listu przeora, szczególnie tym drukowanym literom na dole kartki.

AD MDCLVII

James Bond - ubrany w lnianą koszulę i jaśniejszy garnitur od Brioniego - wstał od

stołu i podszedł do mnie.

- Pokaż tabliczkę oporowską - polecił Joli.

Jola zmieniła folię i naszym oczom ukazała się znana już wszystkim tabliczka pochodząca z 1657 roku.

Litery wyryte na tabliczce różniły się od tych z listu. List napisano wprawdzie nieco

zamaszyście, pismem pochyłym, w stylu renesansowym, jednakże na samym dole datę zapisano niemalże antykwą, co w pewnym zakresie umożliwia porównanie tego ręcznego

zapisu ze średniowieczną majuskułą daty wyrytej na tabliczce.

Poszczególne litery tworzące datę w liście sprawiały wrażenie pisanych z osobna i ta

surowość była nadto widoczna - zupełnie jakbyśmy oglądali podręcznik Urbana Vyssa z 1583

roku. Oczami wyobraźni widziałem, jak przeor opierając swoje przedramię o blat stołu,

kurczowo zaciska palce trzymające pióro. Renesansowe ułożenie ręki, która napisała ów list -

tutaj znikło. Prawdopodobnie przeor miał w zwyczaju pisać daty pismem bliższym pismu

dawnemu, średniowiecznemu, a zmieniające się mody nie wytrzebiły tego nawyku.

Co innego jednak pisać piórem na pergaminie, a co innego rylcem w miedzi. Ta druga sztuka jest o wiele bardziej żmudna i bardziej ogranicza swobodę piszącego. To dlatego litery na tabliczce są bardziej surowe, „średniowieczne”, bez poziomych zakończeń trzonów. Nadal zakładamy, że to przeor był autorem obu porównywanych zapisów. A oto pierwsza istotna różnica - w liście nie występują kropki w skrócie Anno Domini. Tak zwane obcięcie wyrazów, czyli suspensja, było bardzo popularne w XVII wieku i nie dziwi jej zastosowanie w 1657 roku. Anno Domini zapisywano jako „A.D.”, Crux jako „C.”, a Ordo Cisterciensis jako „O.C.” - niektórzy nie stosowali kropek, jak chociażby przeor. Czemu zatem zakonnik wyrzył kropki w niemal identycznym zapisie na tabliczce? - Porównajmy cyfry rzymskie tworzące wspomnianą datę „1657” - zaproponowałem. Na tabliczce jest: A. D. MDC`LVII W liście występuje: AD MDCLVII - No cóż - odezwał się Porucznik Columbo. - Pomijając zasadnicze różnice w wielkościach liter i to, że list pisany jest kursywą, wydaje się, że te daty zostały napisane przez dwie różne osoby. - Tak - uniosła się Lara. - Liberales ma rację! - Generalnie litery na tabliczce nie są zbyt ostre - wtrąciła zadumana Ewa. - Widać, że te w liście mają poziome elementy kończące ich trzony, tak zwane szeryfy. Na tabliczce ich nie ma. Ale to zrozumiałe, gdyż ich wyrycie w miedzi jest uciążliwe, a przeor pewnie się spieszył i nie przywiązywał wagi do szczegółów. Na tej podstawie nie można niczego sądzić... - Ale ludzkie nawyki są niezmiennie - broniłem swojego odkrycia. - Jeśli przeor nie stosował w piśmie kropek w skróconym zwrocie Anno Domini, to czemu nagle miałyby zmienić przyzwyczajenie? I skąd to utrudnienie, skoro, jak sama pani stwierdziła, spieszył się, przygotowując tabliczkę? O ileż łatwiej postawić kropkę za pomocą pióra! Jeśli tego nie robił na pergaminie, to wyrycie ich w miedzi wydaje się czymś wyjątkowo nieracjonalnym. - Nie musisz dalej mówić, Liberalesie - stęknął Bond. - Na pierwszy rzut oka widać, że autorami listu i tabliczki są dwie różne osoby. Zapanowała cisza, którą odebrałem chętniej niż fanfary grające na cześć zwycięzcy. - Chce nam pan wmówić, że tabliczkę spreparował ktoś inny? - zapytała zaskoczona przebiegiem spotkania Ewa. - Liberales ma rację! - krzyknęła Lara i zaśmiała się nerwowo. - Popatrzcie na literę „L” w obu datach. Ta z tabliczki ma dziwny łuk na górze wygięty w lewo. - Hm... ta litera nie pasuje do średniowiecznej kapitały - przyznała Ewa. - To jakiś ozdobnik. Który nie występuje w liście przeora do prowincjała. Sami zobaczcie. Nie znajdziecie tam takiego „L”. Moim zdaniem, osobnik, który wykonał tabliczkę, zapomniał się podczas pracy nad nią. Zamiast solidnego, średniowiecznego „L” odruchowo dorobił niewielki łuk na górze litery w dacie. Nawyk zwyciężył. Potem się

opamiętał i w polu tabliczki wyrył już proste, łacińskie „L”. A może po prostu stracił cierpliwość do kaligrafowania po wyryciu kilku liter.

Hannussen, Porucznik Columbo, Harry Potter i Miss Marple milczeli, patrzyli jednocześnie to na siebie, to na ekran rzutnika. Porucznik Columbo sięgnął nawet po swoje cygaro i przez chwilę nerwowo obracał je w palcach.

- Do czego właściwie zmierzamy? - zapytała piękna kustosz, wbijając we mnie swoje śliczne oczy.

- To proste - Bond poprawił krawat marki Turnbull and Asser, których miłośnikiem był od czasów studenckich, a które zakładał także agent 007, i przejął inicjatywę. W roli gwiazdy czuł się jak ryba w wodzie i nie przeszkadzał mu w tym jego młody wiek.

- Już to powiedzieliśmy, Ewo. Tabliczkę przygotował ktoś inny! Czy był nim współnik przeora Gabriela, tego nie sposób teraz ustalić, ale wzięwszy pod uwagę fakt, że w trumnie zamiast szkieletu Władysława Oporowskiego znalazły się kości kogoś innego, na całość musimy spojrzeć inaczej.

- Ma pan głowę na karku, młodzieńcze - rzuciła komplement Miss Marple.

- Dziękuję - ukłonił się jej w pas Bond.

- Miałam na myśli Liberalesa - uściśliła starsza pani, ale Bond nawet się nie spieszył.

- Może to faktycznie pismo dwóch różnych osób - kręciła głową Ewa.

- Pewne nawyki nas zdradzają - odezwałem się. - Gdyby to przeor wykonał tabliczkę, to litery tworzące datę zachowałyby ten sam charakter, a już na pewno zabrakłoby tam kropek.

- Ale przeor Gabriel mógł z niewiadomych dla nas powodów świadomie zmienić styl pisma na tabliczce - walczyła ze mną Ewa - a nawet użyć zmyłki.

- Tylko po co? - zapytała Lara.

- Nie wiem. Myślę jednak, że szczegółowa analiza charakterologiczna wykaże, czy przeor jest autorem zapisu na tabliczce. Zajmę się tym od poniedziałku. Przez chwilę rozmawialiśmy o moim dzisiejszym odkryciu.

- Wiecie co? - odezwał się Hannussen. - Kiedy teraz patrzę na tę tabliczkę, to mam wrażenie, że coś jest nie tak z tym „zerem” w środku tabliczki.

- Co pan opowiada? - zakpiła z niego Miss Marple. - Skąd pan wie, że to „zero”, a nie przypadkiem litera „O”?

- Hannussenowi tak się tylko wydaje - wtrącił Porucznik Columbo. - Mnie też, przyznam się. Litera „O” byłaby szersza.

- Nie mamy skali porównawczej - wtrąciła Lara. - Nie ma innego znaku w kształcie koła.

- Może być też i tak, że to „zero” w środku może wcale nie być „zerem.” ani literą „O” - szepnął Potter.

- Czemu to? - zdziwił się Porucznik Columbo i puknął końcem cygara o blat stołu.

- Na tabliczce występują nie tylko litery i cyfry, ale i dwa dziwne znaki. Mamy „krzyż” i znak nierówności. To „zero” pana Hannussena może być symbolem czegoś. Jak państwo wiecie, tabliczka zachowała się w stanie umożliwiającym jako takie odczytanie znaków, ale nie ma żadnej gwarancji, że właściwie je odczytaliśmy.

- O czym my rozprawiamy? - skrzywiła się z niesmakiem Miss Marple. - O przywidzeniach Hannussena?

- Dlaczego tak bardzo się pani piekli, gdy tylko wspomnę o tym „zerze”? -

obruszył

się jasnowidz.

- Ja się piekę, drogi panie? - zaczęła spokojniejszym tonem kobieta. - Co też pan

opowiada? Po prostu szlag mnie trafia, że ignoruje pan odkrycie dokonane przez Liberalesa i

za wszelką cenę chce przeforsować swoje „zero“!

Miss Marple przy dreptała do ekranu rzutnika i dotknęła palcem jednego z pól tabliczki. Chodziło o znak „krzyża“.

- Ten znak może być kluczowy dla całej sprawy - oświadczyła.

- Zgadzasz się - poparł ją Porucznik Columbo - Ale ciekawi mnie też to przecięcie się dróg.

- To raczej znak nierówności - wtrąciłem.

- Może. Ale dzisiaj po południu dowiedziałem się od pewnej uroczej i uczonej niewiasty, że w średniowieczu niedaleko zamku biegła droga. Zwano ją via orloviensi i

prowadziła ona ze stolicy powiatu Orłowa, przez Drzewoszki, do Oporowa. To był szlak

łączy Orłów z Oporowem. Nie wiadomo jednak, gdzie dokładnie ta droga przebiegała.

Tutaj było wiele dróg, część zachowała się do dzisiaj, część przykryły pola.

- W istocie - szepnęła Ewa. - Była taka droga.

- Jeśli odkrycie Liberalesa jest prawdziwe - zniecierpliwiła się Lara - to co nam po

tych wszystkich znakach? Liberales chce udowodnić, że tabliczka jest fałszywa. Kto byłby

takim świrusem, żeby wyryć w miedzi tyle literek? Chyba nie robił tego dla picu?

- Właśnie - przyznała jej rację Ewa.

- Spostrzeżenie Liberalesa jest z pewnością interesujące - wtrącił zadowolony z przebiegu dyskusji Bond, a konkretnie z podważenia mojego odkrycia. - Ale niczego nie

zmienia w naszej sprawie. Jeśli nawet zamiast Władysława Oporowskiego w trumnie znalazł

się inny nieboszczyk, to jednak tabliczka pozostaje nadal tabliczką. Jej forma zdradza, że

zawiera zaszyfrowaną wiadomość. Tak czy inaczej musimy ją rozszyfrować.

Czymkolwiek

by ona nie była.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Patrzyli na mnie jak na intruza i stało się jasne, że

wzięli moje popisy za próbę zmylenia i zniechęcenia przeciwników.

Porucznik Columbo włożył nawet do ust cygareto i ssał je zamyślony.

„Teraz - pomyślałem. - Teraz!“

Podszedłem do niego i wyciągnąwszy z kieszeni zapalniczkę zabrane przezornie z

kuchni,

próbowałem zapalić jedną z nich.

- Służę uprzejmie - przystawiłem płomień pod końcówkę cygara.

Porucznik Columbo wyjął je z ust i popatrzył na mnie zdziwiony.

- Ależ ja nie palę, drogi Liberalesie - wydukał wreszcie. - Rzuciłem ten potworny

nałóg dawno temu.

- Rzucił pan? - powtórzyłem. - Nie rozumiem.

- To proste. Palenie szkodzi. A to cygareto...

Porucznik Columbo uśmiechnął się jak przyłapany na gorącym uczynku łobuziak i schował cygareto z powrotem do kieszeni płaszcza.

- To zwykły rekwizyt - oświadczył zawstydzony. - Tak dla zabawy. Przecież Columbo

palil cygara.

Kompletnie zaskoczony tym oświadczeniem, zdmuchnąłem powoli płomień trawiący zapalniczkę. Jeśli Porucznik Columbo nie palił cygar, to kim, u licha, był facet

czekający w  
wychodku przy szosie na Świąchów?

8

Chłód mocniej ścisnął ziemię i dawno powyganiał ludzi do chałup. W taką noc nawet drzewa milkły. I tylko księżyc z gwiazdną gwardią u boku prowadził nas w ten samotny spacer przez Oporów. Dochodziła jedenasta w nocy. Rozmawialiśmy szeptem, jakbyśmy bali się spłoszyć niewidocznego żandarma nocy. Sprawy tabliczki nie poruszaliśmy, byliśmy nią zmęczeni, a spacer był dla zacerpnienia przed snem wiejskiego powietrza, odetchnięcia po bogatym w wydarzenia dniu, nabrania doń dystansu, wyluzowania się.

Nie wytrzymałem po kwadransie i zadałem Joli to samo pytanie, które dręczyło mnie na zamku.

- Jeśli Porucznik Columbo nie pali, to kim, do licha, był osobnik czekający w wychodku?

Żadne z nas nie potrafiło odpowiedzieć.

- Dwóch detektywów z naszego grona używa zegara z kukułką jako skrzynki kontaktowej - mówiłem cicho. - Ale jakim cudem wziął się samochód, do którego wsiadł ów

miłośnik cygar, skoro nie był to nikt z zamku?

- A matematycznie nie można tego wyjaśnić?

- Pewnie i można, ale ja nie potrafię. Einstein wykorzystał matematykę do wyjaśnienia

nowej teorii względności. Aby tego dokonać, potrzebował jednak czegoś więcej niż matematyki. Geniuszu? Intuicji? Matematyka to język, a język służy do opisu i do komunikowania się. Aby sięgnąć wyżej, potrzebna jest inspiracja. Inspiracją może być

spadające jabłko Newtona. Ową iskrą zapalną może być intuicja - niedoceniona broń, której nie przecenia żaden wielki umysł. Jest jak ukryta inteligencja. Ale i ona nie wystarcza do

wyjaśnienia wielu zjawisk, gdy brakuje danych. Rozumiesz?

- Nie.

- Za mało wiemy, aby cokolwiek wyjaśnić. Nawet intuicja zawodzi.

- To fakt. Nie wiemy wielu rzeczy: tego, co łączy Larę Croft z Bondem, po co poszedł

Harry Potter do cukrowni, Hannussen do kościoła, a Miss Marple na plebanię.

- Masz zadatki na detektywa.

W drodze powrotnej, mijając stawkę przy skrzyżowaniu przed wielką bramą, Jola złapała mnie kurczowo za łokieć i nieco wtuliła się we mnie. Poczułem ciepło jej ciała, co

było przyjemnym doświadczeniem, ale zaraz pojąłem, że dziewczyna była spięta i czymś

podekscytowana.

- Słyszysz pan? - zapytała szeptem.

- Co?

- Ktoś rozmawia.

Jola była muzykiem, więc miała słuch idealny. Dopiero po chwili posłyszałem urywek

rozmowy dochodzącej zza stawu, gdzieś z pola ciągnącego się za równoległym pasem domów

przy głównej ulicy.

Przystanąłem i pociągnąłem Jolę ku pochyłemu drzewu stojącemu nad samym brzegiem nieruchomej tafli wody.

- To Zapłocie - szeptałem. - To tutaj spotyka się kasztelanka z przeorem klasztoru paulinów.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Potajemna schadzka? Czy to żdziebko nie demoralizujące? Duchowny uwodzący szlachciankę...  
- Może to ona go uwiodła?  
- E, żarty. To tylko legenda. Teraz nie ma kasztelanek.  
Zachichotała i zaraz zaczęliśmy wsłuchiwać się intensywniej w nocną ciszę.  
- Kobieta - oznajmiła wkrótce Jola.  
- Ależ ty masz słuch...  
- To pan nie słyszy?  
- Nie za bardzo.  
- Powinien pan odwiedzić laryngologa.  
- Nie mów mi na „pan”. Nie jestem taki stary...  
- Ciii...

Przerwała mi. Teraz i ja wyraźnie usłyszałem kobiecy głos. Mówił też mężczyzna, ale jego niższy tembr był ledwo słyszalny. Jola słuchała uważnie, a ja starałem się wyłowić z tych pomruków znajomy głos.

Po chwili rozmowa urwała się. Schowawszy się za trzcinę porastającą brzeg, obserwowaliśmy Zapłocie. Ktoś szedł w naszą stronę. Zanim ten ktoś zbliżył się do nas, pięćdziesiąt metrów dalej trzasnęły drzwiczki parkującego przy głównej ulicy samochodu.

Pojazd zaraz ruszył, ale nie widzieliśmy go, gdyż szereg domów zasłaniał nam widok na ulicę. I wnet ujrzeliśmy biegnącą brzegiem stawu postać. Truchtała Lara Croft ubrana na sportowo z obowiązkową czapeczką na głowie. Sprawiała wrażenie jakby wyszła pobiegać przed snem, ale wiedzieliśmy, że przyszła na schadzkę. Pytanie brzmiało: z kim i w jakim celu? Nie był to tym razem Bond, a ktoś z zewnątrz.

Gdy Lara zniknęła w parku, wyszliśmy z kryjówki.

- Nie słyszałaś przypadkiem, z kim nasza amazonka rozmawiała?

- Z mężczyzną. Ale nie znam go.

- Hm - zastanowiłem się. - Może to osobnik pałacy cygara? Wróciliśmy do Domku, nie napotkawszy po drodze żywego ducha, odprowadzani jedynie przez milczące drzewa. Jola

straciła całą swoją energię i szybko zrobiła się senna, i trochę marudna.

Zgasiliśmy światło i

położyliśmy się spać.

Tej nocy spało mi się całkiem dobrze. Nic mi się nie śniło i nic mnie nie obudziło.

Zdażyłem się już przyzwyczać do niewygody, jaką gwarantował fotel i dwa krzesła, ale

skoro świt wstałem wypoczęty. Za oknem ostre promienia słońca rozmyły

październikową

szarość, zapowiadając słoneczny dzień.

Po porannej toalecie zostałem wezwany do zamku w sprawie telefonu z policji.

Przed

Domkiem już czekali na mnie wynudzeni Agata i Krzysiek. Na mój widok wyraźnie się ożywili.

- Cześć wam - rzuciłem w ich stronę. - To wy nie w szkole?

- Dzisiaj mamy na jedenastą.

- Rozumiem - mruknąłem i ruszyłem w stronę zamku. - I zamiast odrabiać lekcje, przyszliście mi pomóc?

- Odwiedzić - zachichotała Agata. - A lekcje już odrobione. Jesteśmy ciekawi, czy coś

wiadomo na temat tych cygar? A może ustalił pan, dokąd spieszył się wczoraj Harry Potter?

Szliśmy prosto na zamkowy most i widzieliśmy powracającą z porannej gimnastyki

Larę. Biegła w stronę zamku piaszczystą alejką po drugiej stronie gazonu i nawet nie

odpowiedziała na nasze pozdrowienie.

- To żmija - odprowadziła ją wzrokiem Agata.

- Może nas nie zauważyła?

- Akurat.

- Spotkajmy się dzisiaj przed kościołem - zaproponowałem. - Po waszym powrocie ze

szkoły. Zgoda? Muszę ustalić kilka faktów. Mam dla was parę ciekawostek, z którymi

podzieliłem się wczoraj z detektywami.

- Dlaczego dzieli się pan informacjami? - skrzywił się z niesmakiem Krzysiek. - Ułatwia im pan robotę.

- Jezu, szkoda nagrody - jęknęła Agata. - Dziesięć procent piechotą nie chodzi.

- Pięć - poprawiłem ją. - Ale jeśli tabliczka jest fałszywa, to przecież nikomu nie

ułatwię odnalezienia skarbu, prawda?

- To ona jest fałszywa???

- Tak sądzę.

- Moim zdaniem niepotrzebnie im pan to powiedział - ponownie skrzywił się chłopak.

- Ja to bym siedział cicho. A niech myślą, że to prawdziwa tabliczka!

Zza drzwi prowadzących na zamkową sień wychyliła się głowa strażnika, który szykował się do wyjazdu po nocnym dyżurze.

- Dzień dobry panu - powitałem mężczyznę. - Co za piękny dzionek dzisiaj.

Prawda?

- Ja tam idę spać, panie.

W sekretariacie pani kustosz miała dla mnie ważną wiadomość. Otóż z samego rana otrzymała telefon ze stołecznej komendy. Policja prosiła mnie o przyjazd w sprawie kradzieży

Traktora. Ale kiedy patrzyłem na idealnie kobiece kształty, nieco uwydatnione pod

eleganckim zakietem i wdychałem z samego świtu jej zmysłową woń, nie chciało mi się

jechać do Warszawy. Wolałbym siedzieć tutaj w Oporowie i patrzeć na nią. Chociaż ostatnio

Ewa trzymała mnie na dystans. Na szczęście sen przegnał wszelkie uprzedzenia, jakie do niej

żywiłem.

„Zbyt poważnie siebie traktujesz, Arturze - zbeształem się w myślach. - Jej stosunek

do ciebie może być obojętny i nie możesz od niej wymagać zainteresowania twoją osobą”.

A wiadomo, że nie ma nic gorszego niż obojętność.

- Dziękuję za wiadomość - uśmiechnąłem się.

Nie odwzajemniła uśmiechu, co natychmiast popsuło mi humor.

- Maluch Joli jest popsuty, więc pojedę pekaesem.

- Pekaesem? - lekko się zdumiała. - Nie, nie. Zabierze się pan z panem Andrzejem.

Znowu musi jechać do stolicy.

Nawet słowem nie wspomniała o moim wczorajszym odkryciu i sugestiach, jakie próbowałem zaszcześcić w umysłach detektywów na temat tabliczki. To prawda, że chciałem

tym całym przedstawieniem zaimponować Ewie i zagrać na nosie Bondowi. Tylko co mi z

tego przyszło? Obojętność zamiast podziwu.

Więcej z nią nie rozmawiałem.

„Młodzi mają rację - myślałem wychodząc z zamku. - Od dziś buzia na kłódkę. Żadnych prelekcji i dzielenia się z innymi swoimi odkryciami”.

Pan Andrzej stał już przy szoferce żuka i rozmawiał z Agatą i Krzyśkiem.

- Za godzinę wyruszam - oznajmił i podał rękę, ale zaraz łypnął wzrokiem na

parkujące dalej samochody. - Aha, podobno macie jakiś popsuty samochód?

- A tak, maluch Joli. Dowcipniś dosypał cukru do baku.

- Kiepska sprawa. Coś często przydarzają się tutaj wypadki. Najpierw te opony BMW,

a teraz maluch. Na szczęście mój siostrzeniec nareperuje, co trzeba. Mieszka w Oporowie.

- To świetnie! W takim razie przedstawię propozycję właścicielce.

Jola oczywiście ogromnie chciała jechać ze mną do Warszawy, ale jej to wyperswadowałem i przekonałem ją, że powinna zająć się samochodem. Siostrzeniec pana

Andrzeja proponował atrakcyjną cenę za usługę, więc dziewczynie wypadało przypilnować tej sprawy.

- Zostań, Jolu - poradziłem, kiedy byliśmy w naszym pokoju. - I miej oko na wszystko.

Później Jola przygotowała w kuchni lekką przekąskę, na którą załapał się Hannussen.

Na szczęście udało mi się zjeść dwie kanapki, zanim jasnowidz opróżnił cały talerz.

Wyszliśmy na zewnątrz. Pan Andrzej stał z młodzieżą przy maluchu i pokazywał im, jak za pomocą kawałka drutu można dostać się do baku.

- O, patrzcie - mówił i jednocześnie majstrował drutem w zamku plastikowego korka.

- Trzeba przekręcić w lewo i dociskać. Proste jak drut.

- Mówił pan, że drut musi być lekko zgięty - protestował Krzysiek.

- Nie o ten drut mi chodzi, smarkaczu. Tak się tylko mówi.

- Demoralizuje pan młodzież - zmarszczyłem gniewnie czoło, gdy podszedłem do nich.

- Kiedy to porządne dzieciaki - zaśmiał się. - Co mają się zdemoralizować? Ten się

zdemoralizuje, kto bardzo tego chce. A wiedzieć nie zaszkodzi, kurde bele.

Kiedyś oglądałem

w telewizji serial o Poruczniku Columbo. Panie, gdybym zastosował się do tych wszystkich

pomysłów, jak wyprawić kogoś na tamten świat, to... Ech, szkoda gadać. Toż to był poradnik,

jak zamordować własną teściową. I co? Teściowa ma się dobrze.

- Źle - zagrzmiał za naszymi plecami zaspany głos.

Z zamku wyszedł nie kto inny jak nasz oporowski Columbo, ubrany - jak przystało na

serialowego porucznika - w pomięty płaszcz.

- Źle - powtórzył i stanął obok nas. - Źle pan kombinuje, drogi panie. Wszyscy mordercy w serialu zostali przez mój pierwowzór złapani, więc jeśli któryś z panów planuje

tutaj kogoś zamordować, to serdecznie odradzam.

- Jak to dobrze, że nie mam teściowej - westchnąłem żartobliwie.

- To czas najwyższy na żeniaczkę - poradził kierowca.

- Tylko niech pan starannie dobierze teściową, drogi Liberalesie, abym nie musiał

pana zapuszkować za morderstwo - pogroził palcem Porucznik Columbo.

- Chyba, że to będzie zbrodnia doskonała - puściłem do niego oko.

Przerwaliśmy rozmowę. Patrzyliśmy na Ewę, która niezauważona wyszła z zamkowej sieni.

- W tym gronie - wtrąciła nieoczekiwanie piękna pani kustosz - Liberales nie odważy

się na takie szaleństwo. Za dużo mamy detektywów. Poza tym zbrodnia doskonała nie istnieje.

Zastanowiłem się nad jej słowami.

- Problem by nie istniał - popatrzyłem na nią wymownie - gdybym ożenił się z właściwą osobą.



Dzieciaka zachichotały.

- Liberales miał już żonę - poinformowała wszystkich Jola.

Jola była w błędzie. Myślała pewnie o mojej byłej narzeczonej, z którą, rzeczywiście,

zamierzałem wziąć ślub. Tylko skąd ona w ogóle o tych sprawach wiedziała?

- Miał żonę? - powtórzyła głucho Ewa. - I co?

- Znaczy się, zamordował ją? - zdziwił się komicznie Porucznik Columbo.

- Nie zdażyłem - odpowiedziałem z powagą.

Ewa przestała na mnie patrzeć. Wzruszyła ramionami i tylko Jola z dzieciakami śmiały się z mojego dowcipu. Porucznik Columbo stał niczym nieborak i drapał się po

głowie, próbując odgadnąć sens moich słów.

Musieliśmy już jechać, więc pożegnałem się ze wszystkimi i wsiadłem posłusznie do

kabiny obok kierowcy.

- Mój siostrzeniec mieszka za sklepem - poinformował jeszcze Jolę. - Pójdiesz do

niego i szepniesz słówko, a przeczyści silnik.

Ruszyliśmy.

- Panie Arturze! - Jola przez szparę w szybie podała mi jakieś klucze. - Pan podleje w

moim mieszkaniu azalie. Lubią dużo wody!

- No dobra - bąknąłem i zerknąłem na nią badawczo. - Skąd ty wiedziałaś o tym, że

miałem się ożenić?

- To pan się nie ożenił? - zdziwiła się.

- Miałem narzeczoną - wyjaśniłem. - Kiedyś.

- Naprawdę? - ucieszyła się. - Musiałam coś pomylić. Dozorca kiedyś wspominał o panu i jakiejś kobiecie.

Dziwne. Skąd dozorca wiedział o tym, skoro nie utrzymywałem kontaktu z sąsiadami.

W bloku w Warszawie ludzie potrafili mieszkać obok siebie kilkadziesiąt lat i nie znać się

wcale. Machnąłem na wszystko ręką - przed kobietami trudno było cokolwiek ukryć.

Gdy zbliżaliśmy się do bramy, zerknąłem za siebie i ujrzałem odzianego w skórzaną

kurtkę i ciemne spodnie Bonda. Jego osoba wprawiła mnie w kiepski nastrój. Tym bardziej,

że bez ceregieli podszedł do Ewy i jął ją zabawiać.

- Nieobecni przegrywają - westchnąłem ciężko. - Poza tym świat należy do bogatych.

- Że co? - zdziwił się pan Andrzej.

- Nie, nic. Tak sobie marudzę.

\*

Wizyta na komendzie policji w Warszawie przyniosła kilka rewelacji.

- Panie Burski - zaczął znany mi już z wcześniejszego spotkania policjant. - Przebadaliśmy odciski palców z karoserii pańskiego gruchota, o przepraszam, samochodu. W

zasadzie to mieliśmy je już wtedy, kiedy był pan tutaj za pierwszym razem, ale należało je

jeszcze zidentyfikować. Zaraz po pańskim wyjściu w sobotę komputer trafił na właściwe

odciski z bazy danych.

Sierżant położył na blacie szarą papierową teczkę i rozwiązał ją. Wyjął z niej jakieś

akta, które zawierały czarno-białe zdjęcia pewnego ponurego osobnika i podał mi je.

- Oto złodziej pańskiego samochodu.

Popatrzyłem na zdjęcie i zdębiałem z wrażenia. Toż to był ostrzyżony na jeża osobnik

jeżdżący granatowym golfem i pałący marsy. Pewnie ten, który przyłożył mi w łeb.

Kim był?

Uwieczniona przez policyjnego fotografa, w trzech pozycjach, twarz ukazywała oblicze łobuza.

- Pewnie pan go nie zna - mówił sierżant - ale zapytać nie szkodzi.

- Nie znam faceta.

- A zatem mamy podejrzanego i możemy wszcząć śledztwo. Mieliśmy dużo szczęścia, że był już notowany za kradzieże. On nawet odsiedział krótki wyrok, ale został zwolniony.

Miał się zająć uczciwą robotą, ale widać ciągnie wilka do lasu i znowu zachciało mu się coś

ukraść. Dlaczego pokusił się o kradzież pańskiego auta, tego nie wiem. Niewiele by na nim

zarobił. I pewnie sam doszedł do podobnego wniosku, bo porzucił je na Pradze.

Zachował się

jednak jak amator, gdyż nie użył rękawiczek.

„On nie ukradł Traktora dla zysku - pomyślałem, wpatrując się w zdjęcie młodego osobnika. - On chciał utrudnić mi dostanie się do Oporowa. On współpracuje z którymś z

naszych detektywów”.

I zaraz przypomniałem sobie wczorajszą schadzka na Zapłociu, której byłem świadkiem razem z Jolą. Czy ten ogolony na jeża jegomość nie współpracował przypadkiem z

Larą Croft? Mógł wykonywać dla niej pewne zlecenia w terenie, na przykład śledzić Bonda i

uprzykrzać mu pobyt w Oporowie (pamiętacie przebitą oponę BMW?). A to świadczyło o

tym, że Lara nie ufała Bondowi.

- Jak nazywa się ten ktoś? - popukałem palcem w zdjęcia.

- Nazwisko nic panu nie powie - odpowiedział sierżant. - Oni noszą pseudonimy.

Ten

ma ksywkę Bużka.

- Faktycznie, całkiem wyjściowa - zażartowałem spoglądając na twarz osobnika z fotografii.

- Już my go złapiemy.

- Niepotrzebnie - wstałem od biurka. - Wycofuję sprawę.

- Nie rozumiem - zdziwił się policjant. - Jak to pan wycofuje?

- Ano normalnie. Samochód się znalazł, prawda? Jest na chodzie. A Bużka powie wam z uśmiechem na twarzy, że chciał się nim tylko przejechać. I co zrobicie?

Nic. Mamy

takie prawo, które zachęca wielu ostrzyżonych na jeża młodzieńców do używania cudzych

pojazdów w celach turystycznych.

- Panie Burski! - sprzeciwił się gwałtownie sierżant i wstał. - Ale to recydywa.

Mamy

okazję wsadzić go za kratki. Nieważne, czy wsiadł do pańskiego grata, o

przepraszam,

samoochodu, w celach turystycznych, czy z zamiarem kradzieży! Ważne, że mamy pretekst,

aby go ponownie wsadzić.

- Ma pan rację, ale to już wasz problem. Ja tam odzyskałem swój samochód.

Najzupełniej zgadzałem się z sierżantem, powinienem był go posłuchać, tyle że ja miałem swój plan związany z Bużką. Pomyślałem sobie, że na złapaniu złodzieja i osadzeniu

go w areszcie nic nie zyskam. Policja będzie wprawdzie zadowolona, ale ja stracę okazję do

wybadania, co właściwie łączyło owego Bużkę z Oporowemu

Ostatecznie wycofałem sprawę kradzieży Traktora i pożegnałem wściekłego sierżanta.

Udałem się na policyjny parking znajdujący się na drugim końcu miasta. Minęło południe,

gdy silnik Traktora zawarczał znajomo i wyjechałem na warszawską ulicę. Udałem się od razu na Okęcie, gdzie czekały na mnie spragnione wody azalie w mieszkaniu Joli i kilka paprotek w moim własnym. Jola miała mniejszy metraż, ale kwiatów było u niej kilkakrotnie więcej i dlatego u niej zeszło mi dłużej. W trakcie podlewania słuchałem tkwiącej w kieszeni odtwarzacza płyty CD. Nawet się zdziwiłem, że Jola, studentka konserwatorium, lubiła rocka. Aerosmith! Ostre rockandrollowe granie! Nagrań tego zespołu słuchało się namiętnie kilka ładnych lat temu, ale widocznie ten rodzaj muzyki był także dzisiaj jeszcze popularny wśród młodzieży, nawet tej o wyrafinowanym smaku. Jednak wszechobecne w pokoju zeszyty nutowe powiedziały mi, że prawdziwą miłością mojej sąsiadki pozostanie na zawsze muzyka Jana Sebastiana Bacha i Roberta Schumanna. I zdaje się, że także kwiaty. Do Oporowa zajechałem wpół do trzeciej po południu. Malucha Joli nie było przed Domkiem, więc domyśliłem się, że siostrzeniec pana Andrzeja trzyma go wciąż w swoim warsztacie. Zresztą nie było ani jednego samochodu - wszyscy wybrali się w teren na przeszpiegi. Zaparkowałem Traktora i podrzucając kluczyki w dłoni, udałem się do warsztatu samochodowego, który miał się znajdować za sklepem. Jakież było moje zdziwienie, gdy na dziedzińcu niedużego gospodarstwa leżącego za pawilonami ujrzałem BMW Bonda! Maluch stał na środku placu, a ktoś pochylony za nim zawzięcie majstrował. Wszedłem przez otwartą bramę i za rogiem domu natknąłem się na opartego o ścianę domu Bonda. Stał blisko Joli i coś do niej szeptał. Na mój widok nieco się wyprostował i chrząknął. Dziewczyna też wreszcie mnie zauważyła.

- O, już pan wrócił? - wyszeptała.

- Zaoferowałem Joli pomoc w naprawie silnika - tłumaczył Bond z właściwą sobie gracją. - W Żychlinie poznałem dobrego mechanika.

- Nie trzeba! - krzyknął zza malucha pucołowaty, młody człowiek w drelichu. - Już prawie skończyłem.

- Już ty lepiej nie oferuj swojej pomocy - zwróciłem się do Bonda, ale patrzyłem wyłącznie na Jolę. A było to spojrzenie pełne wyrzutu, że rozmawiała z naszym przeciwnikiem. - Zajmij się lepiej skarbem przeora albo... Lara. To był błąd. Niepotrzebnie się uniosłem i w zdenerwowaniu wypowiedziałem imię Lary.

- Lara? - zdziwił się i uniósł brwi ku górze. - Dlaczego właśnie nią?

- A co? - prychnąłem. - Wolisz podrywać panią kustosz? Bo chyba nie Miss Marple. Bond zaczął się głośno śmiać, czym zwrócił uwagę nawet mechanika, gdyż ten przerwał pracę i patrzył na nas z zaciekawieniem.

- Arturze - uśmiechnął się z wyższością. - Ty jesteś zazdrosny?

- Zazdrosny? - zdenerwował mnie. - A może ty podrywasz Jolę?

- Nic z tych rzeczy - mówił dalej. - Tak sobie rozmawiamy z Jolą.

- O, widzę, że już jesteście po bruderszafcie - zakpiłem. - Czego to się nie robi, aby zdobyć informację od konkurencji.

- Panie Arturze! - oburzyła się Jola. - Niczego nie powiedziałam.

- Jesteś przewrażliwiony - poklepał mnie po ramieniu Bond. - Może i chciałem pociągnąć twoją asystentkę za język, ale to twarda sztuka. Mój nos podpowiada mi, że na coś wpadliście. Ale zostawiam was samych. Przepraszam za wszystko. Zrobił krok w stronę BMW, ale podszedł jeszcze do mnie i szepnął mi na ucho:

- A jednak zazdrosny.

Chciałem zaprotestować, więc dodał:

- Jolę ci zostawiam. Jest lojalna i zdaje się, że ma do ciebie słabość. Na razie. I

zapamiętaj, że nigdy nie uda ci się poderwać Ewy. Ona jest moja.

Popatrzył na mnie z lekceważeniem i oddalił się leniwym krokiem. Odjechał, a ja jeszcze przez chwilę odprowadzałem go pełnym wściekłości spojrzeniem.

- Co panu powiedział? - zainteresowała się po chwili Jola.

- Nic.

- Przecież widziałam.

- Powiedział, że zakochał się w pani Ewie.

- Tak powiedział?

Jola nie kryła zdumienia i nawet się zaczerwieniła. A to mogło być dowodem na to, że

Bond ją podrywał w celu zdobycia informacji. Umiał wszak wzbudzić w kobietach zainteresowanie i był przystojny jak diabli. A moja asystentka, co zdążyłem już zauważyć,

niezbyt stanowczo odrzuciła jego zaloty. Inaczej nie byłaby zazdrosna o Ewę!

Jakże miałem ją potępiać, skoro i mnie nie było obce to uczucie, a słowa Bonda dotyczące naszej pięknej gospodyni dosłownie mnie rozwścieczyły. Nie dość, że odkrył moją

słabość do Ewy, to jeszcze dał mi bezczelnie do zrozumienia, że nie mam u niej żadnych

szans.

Z trudem się opanowałem.

- Pewnie oszukiwał - powróciłem do poprzedniego wątku. - Bond to zawodowy kłamca. Moim zdaniem on nie kocha kobiet. On je nienawidzi. Tylko ten, kto pozna dobrze

jedną kobietę, zna je wszystkie.

Jolę zdumiały moje słowa, ale i zezłościły. Na szczęście podszedł do nas mechanik i

złagodził owo napięcie związane z niedawną obecnością Bonda.

- Zrobione na cacy - oświadczył siostrzeniec pana Andrzeja. - Oczyściłem i zmieniłem

jeden zawór. Zapłon też poprawiłem.

Zadowolona Jola zapłaciła i wróciliśmy maluchem pod zamek. Przy alejce obok Domku Szwajcarskiego stała zdenerwowana Agata. Kazałem się Joli zatrzymać i wysiadłem.

- Co się stało? - zapytałem dziewczynę.

- Lepiej tutaj nie rozmawiajmy - poprosiła.

Jej wystraszona buzia, strach kryjący się w ciemnych oczach, kazały mi zaprosić ją do

malucha. Pojechaliśmy pod kościół.

- A teraz powiedz, co się stało? - zwróciłem się do niej.

- Pamięta pan, jak rano pan Andrzej, ten kierowca z zamku, pokazywał nam, jak się

otwiera wytrychem zamki?

- Pamiętam. I co?

- Później poszliśmy do szkoły, ale dzisiaj mieliśmy tylko dwie godziny -

kontynuowała opowieść. - Po powrocie zaszliśmy pod zamek. Widzieliśmy jak Lara Croft

szycuje się do wyjazdu. Poszła jeszcze do zamku i wtedy Krzysiek to zrobił! Ale to był jego

pomysł, proszę pana. Ja mu odradzałam. ..

- Ale co takiego zrobił? - niecierpliwiłem się.

- Otworzył drucikiem bagażnik alfy romeo i zamknął się w niej.

- Po co? - odezwała się Jola.

- Chciał sprawdzić, dokąd udaje się Lara Croft.

Popatrzyłem zdumiony na Jolę, a potem zgromiłem wzrokiem Agatę.

- I co dalej?

- To wszystko - jęknęła i wyjęła z kieszeni telefon komórkowy. - Tylko, że Krzysiek

miał zadzwonić do mnie na komórkę, jak już uda mu się wyjść z bagażnika i ustalić miejsce pobytu Lary. A minęły prawie trzy godziny, a on milczy. Jezu, może jemu coś się stało?

- Ot i szkolni detektywi - westchnąłem. - A prosiłem was, nie działajcie więcej na

własną rękę. Będę musiał porozmawiać z waszymi rodzicami...

- Nie, tylko nie to! - wystraszyła się Agata. - Błagam. Może Krzysiek się odezwie.

Poczekajmy... błagam pana...

I jak na zawołanie zapiszczała komórka Agaty. Dziewczyna natychmiast przystawiła telefon do ucha, ale po chwili mi go oddała.

- Pan Liberales? - usłyszałem głos Krzyśka.

- Gdzie jesteś?!

- W Kutnie - mówił podekscytowanym głosem. - Niech pan sobie wyobrazi, że Lara Croft śledziła jakiegoś gościa mieszkającego w centrum miasta. Nie wiem, jak się gość

nazywa, bo dom jest duży i mieszka tam kilka rodzin. To na Barlickiego. Właśnie teraz tam

jestem. Powtarzam: na ulicy Barlickiego.

- I Lara Croft pomogła ci wyleźć z bagażnika?

- Nie! Usłyszałem jak zamknęła samochód i gdzieś poszła. No to, hyc, wylazłem na zewnątrz. Miałem szczęście, bo zaraz, zmija jedna, wróciła.

- Chwileczkę - przerwałem mu opowieść. - Przecież bagażnika od środka nie da się otworzyć...

- Można, panie Liberalesie! Pan Andrzej twierdzi, że wszystko da się otworzyć.

Powiedzieć panu, jak otworzyć bagażnik od wewnątrz?

- Nie! - odmówiłem stanowczo i westchnąłem niepokieszony. - Pogadam z nim sobie. Pan Andrzej ma zły wpływ na młodzież.

- Dzięki niemu wylazłem z tego bagażnika.

- A co było dalej?

- Gdy Lara Croft odjechała, to podszedłem pod ten dom i cały czas go obserwuję.

- Nie pojawił się tam przypadkiem ford fiesta?

- Niestety. Nawet nie wiem, czy jest taki na podwórzu, bo z ulicy nie widać niczego.

Po chwili zapytał z wyraźną prośbą w głosie:

- Czy nie przyjechałby pan po mnie z panią Jolą?

Dom na ulicy Barlickiego znaleźliśmy bez trudu. Znajdował się nieopodal parku im.

R. Traugutta i szkoły. Był to dwukondygnacyjny budynek z poddaszem, częściowo podpiwniczony i zamieszkanym przez dwie albo trzy rodziny. Fasada tego szarego domu

wychodziła prosto na ulicę, z boku zaś znajdowała się brama prowadząca na podwórze.

W pierwszej chwili nigdzie nie mogliśmy dostrzec Krzyśka, ale gdy tylko wyszliśmy z

samochodu, chłopak wyszedł z budki telefonicznej stojącej za rogiem domu.

- Nikt nie przyjechał i nikt nie wyjechał - poinformował nas na powitanie.

Zabraliśmy go stamtąd i w czwórkę podjechaliśmy bliżej kutnowskiego pasażu ciągnącego się z rynku aż po kościół św. Wawrzyńca, którego losy były nierozzerwalnie

związane z historią Kutna.

Zaproponowałem wszystkim ciastka i herbatę, w związku z czym ulokowaliśmy się w przytulnej cukierni nieopodal Placu Wolności, z widokiem na fasadę wspomnianej świątyni.

Siedzieliśmy przy stoliku na wydzielonym skwerku brukowanej uliczki

przyprószonej

gdzieniegdzie pożółkłymi liśćmi, po której kręciło się sporo ludzi zwabionych ostrym

jesiennym słońcem. Ulica Królewska pełniła w Kutnie rolę deptaku pełnego sklepów,

punktów usługowych, kawiarni i przeróżnych firm. Tętniła kolorami i kłóciła się z surową i majestatyczną fasadą parafii, której dwie charakterystyczne wieże wznosiły się ponad dachy niskich kamieniczek.

- Zjemy ciastka i przejdziemy się z powrotem na ulicę Barlickiego - zaproponowałem, gdy kelnerka podała nam aromatyczną herbatę. - Może uda nam się wpaść na jakiś trop. Lara

Croft nie marnowałaby czasu w Kutnie. Widziałem ją w akcji. To zawodowiec. Jeśli przyjechała na Barlickiego, to znaczy, że ma konkretny powód.

- Panie Liberalesie - odezwał się chłopak. - Kiedy siedziałem w bagażniku, to słyszałem jak Lara rozmawia z kimś przez telefon.

- Zapamiętałeś może nazwisko albo imię?

- Kiedy ona mamrotała. Zrozumiałem tylko, że dzisiaj w nocy ma się z kimś spotkać.

- To świetnie!

- Zaczaimy się i sprawdzimy, z kim się spotka?

- Wykluczone! - zaprotestowałem. - W nocy powinniście spać. Zresztą dzisiaj przesadziliście z zabawą w detektywów.

- Kiedy nam się nie chce spać. Ile można?

- To się uczcie, zamiast spać.

- Kiedy nauka jest taka nudna - skrzywiła się z niesmakiem Agata. - A praca detektywa jest interesująca.

- Co to za detektyw, kiedy jest głabem? - poparła mnie Jola.

Krzysiek popatrzył chytrze to na nią, to na mnie.

- Ale nie wie pan, gdzie się umówiła Lara - zachichotał i posłał Agacie kuksańca. - A ja wiem. Zrobimy wymianę. Ja panu zdradzę miejsce spotkania Lary z tajemniczym osobnikiem, a pan zgodzi się na nasz udział w nocnej wyprawie.

- Nie musisz nic mówić - uśmiechnąłem się.

- Jak to? Nie jest pan ciekaw?!

- Nie.

- Nie rozumiem pana! - pieklił się. - Taka okazja może już się nie przytrafić.

- Ale ja wiem, gdzie Lara ma się spotkać z tym kimś - zaśmiałem mu się prosto w twarz. - Nie musisz mi mówić.

- Jasnowidzem chyba pan nie jest? - próbowała żartować Agata.

- Pan mnie nabiera - złościł się Krzysiek.

- Nie nabieram cię. Po prostu wiem i już, temperamentum.

Podroczyłem się z nimi jeszcze przez chwilę i później rozbawiona Jola opowiedziała dzieciakom o naszej nocnej przygodzie przy stawku, kiedy to wypatrzyliśmy Larę wracającą ze schadzki z nieznajomym. Nie ulegało wątpliwości, że dzisiejsze spotkanie miało się odbyć w tym samym miejscu. I rzeczywiście! Krzysiek potwierdził moje przypuszczenia.

- To pewnie ten sam gościu - zatarła z zadowoleniem ręce Agata. - Mamy szansę dowiedzieć się, kto to jest.

- Nocne zadania zostawcie nam - wstałem od stolika. - O której zaczynacie jutro zajęcia?

- O ósmej - odpowiedzieli zgodnie.

- Jakie lekcje?

- Polski, geografii i historię.

- Ile wam zadano?

- Niedużo.

- Kłamiecie!

- No trochę tego jest - jęknęli.

- A co z matematyki? - męczyłem ich dalej.

- Równania z dwiema niewiadomymi.

- O widzicie, to prawie jak z naszym śledztwem. Też mamy niewiadome. Tyle, że więcej niż dwie. Agato, czy umiesz rozwiązywać zadania?

- Nie.

- W takim razie mogę udzielić ci darmowych korepetycji - zaproponowałem. - Ale obiecaj, że się przyłożysz.

Agata nie odpowiadała. Czuję, że coś ją gnębi.

- Agata ma problemy w szkole - wyręczył ją Krzysiek. - Dlatego płakała w nocy, wtedy kiedy się poznaliśmy.

- Przestań! - zawstydzona uderzyła chłopaka pięścią w ramię. - Przestań!

- A jak stoicie z historią? - byłem uparty. - Tylko bez krętactwa.

- Słabo. Ale poczytamy trochę o średniowieczu, aby szybciej rozgryźć zagadkę przeora Gabriela.

- XVII wiek to barok - weszła w słowo Jola. - A wcześniej było jeszcze odrodzenie.

- Czego? - zdziwił się Krzysiek.

- Co czego?

- Czego odrodzenie?

- Tak się nazywał ten okres - zezłościła się Jola. - Inaczej renesans!

- Sami widzicie, że aby zostać detektywem, trzeba dużo umieć - ruszyłem deptakiem w kierunku zaparkowanego samochodu. - Nasza oporowska zagadka ociera się o kilka dziedzin. Mamy trochę historii i trochę matematyki. Trzeba być też niezłym psychologiem, aby poznać tok rozumowania przeora.

- Czasami wystarczy mieć dużo szczęścia - zachichotała Agata.

- Albo być jasnowidzem - dodała Jola. - Jak Hannussen. Chociaż nie widać, aby zrobił jakieś postępy. Wciąż gada o tym „zerze” w środku tabliczki.

- Ale wracając do tematu - popatrzyłem na młodzież - jeśli obiecacie mi, że przyłożycie się do nauki, to pomyślę o was jako o współnikach. Inaczej wycofam się z tych pięciu procent od nagrody. Nie żartuję.

- Pan to jest okropny - wykrzywiła usteczka Agata.

- To jak? - zrobiłem groźną minę.

- Zgoda.

Maluchem pojechaliśmy na Barlickiego. Mieliśmy wyjątkowe szczęście. Przed dom podjechał właśnie ford fiesta. Ten sam, który nie tak dawno odwiedził Matusiaków w Drzewoszkach.

9

Z forda wysiedli dwaj mężczyźni w średnim wieku: lekko łysiejący kierowca i wysoki blondyn sprawiający wrażenie cudzoziemca. Uścisnęli sobie ręce i pożegnali się przed bramą, następnie blondyn oddalił się w kierunku centrum. Właściciel forda szybko wjechał na dziedziniec i zamknął bramę.

Pojechaliśmy za blondynem, właścicielem forda mogliśmy zająć się później. Blondyn szybko dostał się na pasaż uliczką rozdzielającą ciąg szarych kamienic, więc musieliśmy się zatrzymać. Na deptaku obowiązywał zakaz ruchu. Zaparkowawszy na Barlickiego, niewiele dalej od miejsca poprzedniego postoju, wyszliśmy całą czwórką na chodnik.

- Idziemy na przeszpiegi - poinformowałem dziewczęta.

Na deptaku zgubiliśmy jednak nieznanego blondyna. Przeczesał kamienny trakt, aż po samą cukiernię, ale nigdzie nie mogliśmy go dostrzec.

Wypatrywaliśmy go na sąsiednim placu wśród dziesiątków spacerowiczów, ale mężczyzna przepadł w tłumie.

- Musimy zacząć się na Barlickiego i poczekać, aż właściciel forda znowu spotka się z blondynem - powiedziała Agata.

- Ale oni dopiero co się rozstali - zdziwiła się Jola. - To bez sensu. A może blondyn zorientował się, że go śledzimy?

- Wątpię. Wszedł do jakiegoś sklepu albo poszedł do fryzjera - odezwałem się. - Zaczajmy się jutro. Być może ford naprowadzi nas na trop blondyna. Ci dwaj odwiedzili kilka dni temu Drzewoszki, a w drodze do Kutna ford zgubił samochód Lary. Oni mają jakiś podejrzaną interes do Matusiaka. Tak, tak. Tutaj coś śmierdzi. I to by wyjaśniało dziwne zachowanie Matusiaka podczas naszej ostatniej wizyty. Nasza Lara wpadła na ich trop i pewnie już wie, kim są.

- To dlatego ciągle wyjeżdża z Oporowa - powiedziała Jola. - Ona poluje na tego dryblasę.

- Dobra, koniec na dziś! - klasnąłem. - Wracamy do zamku. Młodzież musi odrobić lekcje.

Te słowa zostały wnet zagłuszone przez jęk zawodu młodych. W kwestii szkolnych obowiązków byłem jednak nieugięty.

W Oporowie rozstaliśmy się przy pawilonach.

- Tylko pamiętajcie - upomniałem ich. - Żadnego działania na własną rękę. Spotykamy się jutro po szkole.

- O pierwszej przy zamku - rzucił w naszą stronę Krzysiek.

Po posiłku poszliśmy z Jolą na spacer pod klasztor i kościół. Usiedliśmy zmęczeni na ławeczce przed kościołem i prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, a gdy ludzie powoli zaczęli się schodzić na popołudniową mszę, ruszyliśmy ospałym krokiem na tyły kościoła. Nagle Jola mnie zatrzymała.

- A to niespodzianka - dawała mi znaki, abym zerknął na furtkę. - Niech pan patrzy.

Ulicą szedł Hannussen. Zanim wszedł na wybetonowany dziedziniec, obejrzał się jeszcze za siebie, jakby spodziewał się szpiegów, po czym dał nura do kościoła. Na szczęście wcześniej szybko schowaliśmy się za róg świątyni

- Hannussen zrobił się ostatnio pobożny - stwierdziłem. - Pewnie nagrzeszył.

- Jest taki tajemniczy. I po co ta cała konspiracja?

Stanęliśmy przed starą kruchtą - martwym świadkiem oporowskiej historii. Patrzyliśmy chwilę na jej ceglana fasadę zwieńczoną trzema arkadkami i zdawało się, że chcemy wydrzeć z niej tajemnicę przeora. Nieczuła na nasze błagalne spojrzenia budowla milczała. Potem oglądaliśmy piętrowy klasztor ciągnący się za alejką i kawałkiem trawnika.

To stąd przeor codziennie doglądał swojej trzódki kierującej się niegdyś przez kruchtę do świątyni.

Z prostopadłej do klasztoru części mieszkalnej wyszedł proboszcz udający się w kompletnej liturgicznej szacie na mszę.

- Witani państwa - pozdrowił mnie przyjaźnie. - Znowu szukacie skarbu?

- Wczuwamy się w osobę przeora Gabriela - odpowiedziała za mnie Jola.

- Próbujemy sobie wyobrazić, co myślał przeor, patrząc z tego okienka na parterze na kruchtę i na kościół - dodałem. - Jakie myśli kłębiły się w jego głowie zimą 1657 roku...

- Bardzo państwa przepraszam, ale śpieszę się na mszę - przerwał uprzejmie. - Dodam tylko, że na parterze klasztoru mieścił się kiedyś dół kloaczny. Wiecie, co mam na myśli, prawda? Chodzi o zbiornik na odchody. To były inne czasy niż teraz i nie było kanalizacji w



tej formie, co obecnie. Przeor z pozostałymi zakonnikami przesiadywali na piętrze. Ale już muszę iść. Zapraszam na mszę.

I oddalił się, pozostawiając po sobie świątobliwą woń zmieszana z delikatnym zapachem dobrych, męskich perfum.

Staliśmy jeszcze z kwadrans między kruchtą a południową ścianą klasztoru, próbując odgadnąć, gdzie przeor Gabriel ukrył skarb.

- Była zima - myślałem na głos. - Rok 1657. Szwedzi zbliżali się od północy. Z jednej strony, przeor nie miał zbyt wiele czasu na przygotowanie skrytki. Z drugiej, nie mógł

zakopać skarbu w pierwszym lepszym miejscu. Z pewnością miał kilka dni na przygotowanie skarbu. Ale gdzie jest to miejsce? Gdzie? Gdzie?

- Przecież w trumnie nie było zwłok Oporowskiego - poprawiła mnie Jola. - Nawet nie wiemy kto to.

- Masz rację, Jolu. Zagalopowałem się. Nie wiemy, czyją trumnę wywiózł. Ale musimy założyć, że jakaś trumna była.

- Znowu ta matematyka? - jęknęła.

- Tym razem legenda.

- Może wywiózł trumnę na cmentarz? Albo przewiózł do innego kościoła?

- Wszystko możliwe. Jednak najbliższy kościół jest bodajże w Mniechu. To wioska leżąca na północnym zachodzie od Oporowa. Studiowałem mapę z książki pożyczonej z

tutejszej biblioteki, więc wiem. Kościoły w czasie potopu nie były bezpiecznymi miejscami.

Płonęły jeden za drugim. Szwedzi dobrze wiedzieli, że w skarbcach kościelnych i klasztornych przechowuje się cenne przedmioty. I chociaż parafia oporowska nie należała do

bogaty, to jednak jej skarbiec mógł zawierać cenny dla nas dzisiaj skarb. Ów wariant z kościołem wydaje mi się mało prawdopodobny.

Jednakże nie przypuszczałem wtedy, że moje przewidywania miały się nieco z prawdą, chociaż w zasadzie byliśmy na dobrym tropie.

- Pomyślmy. Szwedzi zbliżali się z północy, więc pewnie przeor odruchowo wywiózł skarbiec i trumnę w kierunku przeciwnym. Na południe. To by zgadzało się z miejscem

odkopenia trumny. Drzewoszki leżą na południe od Oporowa. W dalszym ciągu zakładamy,

że odkrycie Matusiaka ma związek z legendą o przeorze, bo jeszcze nie udowodniliśmy, że

nie jest. Trumna została zakopana w ziemi. I to wydaje się trochę dziwne, zważywszy, że

przeor nie miał zbyt dużo czasu (pamiętajmy, że działał w nocy), oraz z powodu tęgiej zimy.

Kiedyś zimy nie były takie jak dzisiaj. Mrozy dochodziły do trzydziestu, nieraz do

czterdziestu stopni poniżej zera. Mróz przenikał wszystko, ziemię i powietrze, którym ciężko

było oddychać. A jak chłop splunął, to ślina zamarzała, zanim doleciała na ziemię. Gleba

zamieniła się w skorupę nie do przebiccia. Można by o nią połamać tuzin kilofów albo łopat i

nic. Wątpliwe, aby przeor wykopał pamiętnej zimowej nocy półtorametrowej głębokości dół.

Nawet jeśli jakimś cudem zrobił to wcześniej, to gdzie ukrył zawartość skarbcza?

- Sugeruje pan, że są dwie skrytki?

- Nie wiem, próbuję głośno myśleć.

- A może skarb zabrał Matusiak, a światu pokazał tylko trumnę z kośćmi?

- Ciekawa hipoteza.

Wyszliśmy spacerkiem przez furtkę w murze okalającym teren kościoła i zespolony z

nim klasztor.

- Przeor siedział na pierwszym piętrze budynku klasztornego - snułem dalej swoje przypuszczenia - i w strachu oczekiwał szwedzkiej inwazji na kutnowską ziemię. Obmyślał

plan ukrycia cennych rzeczy i trumny. Lokalnej relikwii. Może siedział w którymś z tych

okien na pierwszym piętrze, marszczył czoło i wpatrzony w hektary zaśnieżonych pól

zastanawiał się, gdzie wywieźć skarb.

- Jak pan pięknie mówi - westchnęła zauroczona Jola. - Zupełnie jakby nie był pan

matematykiem, a poetą.

- Matematyka też jest poezją.

Jola wzruszyła tylko ramionami, nie chcąc podejmować tej wątpliwej dla niej kwestii.

- Zastanawiam się też, czy przeor mógł współpracować w owym czasie z właścicielem

okolicznych dóbr? - kontynuowałem. - Z książki pożyczonej od Krystyny wynika, że od 1632

roku właścicielami Oporowa byli Barbara (z Oporowskich) i Piotr Tarnowski herbu Rola,

kasztelan gostyniński. Po nich dobra objął Kazimierz, kanonik łowicki, a po nim jego

bratanek Zygmunt, też kanonik łowicki. Wtedy gdy zamek był w posiadaniu Tarnowskich,

podczas potopu szwedzkiego, nastąpiło pierwsze duże zniszczenie tej budowli. Szwedzi

podpalili bowiem klasztor i zamek, którego remont trwał do końca XVII wieku. Moim

zdaniem i przeor, i Tarnowscy zdawali sobie sprawę z zagrożenia i jeśli przypadkiem

współpracowali, to nikomu nie przyszło do głowy ukrycie skarbu w zamku. To by było zbyt

niebezpieczne. Szwedzi plądrowali kościoły, klasztory, pałace i zamki, a potem je podpalali.

Poza tym po wydarzeniach 1642 roku stosunki klasztoru z zamkiem się pogorszyły. Ba,

doszło nawet do poważnego konfliktu.

- A co takiego się stało?

- Pierwszego listopada 1642 roku słudzy kasztelanowej, Barbary Tarnowskiej, zamordowali cieślę klasztornego, protestanta. Przed śmiercią ów człowiek

postanowił nawrócić się na katolicyzm, ale idący z ostatnią posługą ksiądz został napadnięty przez tych

samych ludzi Tarnowskiej. Podobno istniał jakiś poważny konflikt Barbary Tarnowskiej z

klasztorem. Ksiądz zmarł następnego dnia, arcybiskup Łubieński zaś nałożył na dziekanat

kutnowski interdykt (rodzaj kary zakazującej udzielania sakramentów), ciało księdza

wystawiono na widok publiczny, Tarnowskiej udało się jednak całą winę zrzucić na służbę

dworską. Paulini zabiegali o jej ukaranie, ale kasztelanowa oczyściła się z zarzutów przed

samym królem. Uważam, że w piętnaście lat po tej tragedii paulini nie współpracowały z

Tarnowskimi, mając nawet na uwadze perspektywę utraty skarbcza i relikwii. Zresztą przeor

Gabriel największą czcią darzył Władysława Oporowskiego, fundatora klasztoru. Nie! Skarbu nie znajdziemy ani w krypcie podziemnej kościoła, ani w tajemnym schowku w zamku. Wyczytałem też o założonym w 1652 roku z fundacji Kazimierza Tarnowskiego i Mateusza Kucieńskiego szpitalu w Oporowie oraz szkole. Ale nie wiadomo nawet, gdzie te budynki stały. I nie sędzę, aby w nich ukryto skarb. Na tym przerwałem swój wykład. Zauważyliśmy bowiem Hannussena wracającego z kościoła. Szedł szybko poboczem ulicy w stronę zamku, a widzieliśmy tylko jego głowę przesuwającą się ponad murem. To było dziwne. Hannussen przyszedł na mszę, ale bardzo szybko z niej zrezygnował. - Po co on tutaj przychodzi? - zastanawiałem się, odprowadzając jasnovidza wzrokiem. - Przecież nie na mszę. Weszliśmy do kościoła. Wewnątrz nie było wielu ludzi, więc usiedliśmy w pierwszej wolnej ławce z tyłu. Nie słuchałem kazania proboszcza, tylko zastanawiałem się, po co przyszedł tutaj Hannussen. Ostatnim razem, gdy tu zajrzałem, zobaczyłem go siedzącego po prawej stronie w środkowej ławce. Może powinienem usiąść teraz na jego miejscu i sprawdzić ową ławkę? Ale trwała msza i nie chciałem zakłócać spokoju wiernych łażeniem po świątyni. Dopiero, gdy skończyła się msza, zajęliśmy poprzednie miejsce Hannussena. - Tutaj siedział Hannussen - powiedziałem, rozglądając się dookoła. - Pytanie brzmi: dlaczego tutaj, a nie gdzie indziej? Na zewnątrz panowała ciemność, a my w pustym kościele, wypełnionym bladym światłem dogasających świeczek, siedzieliśmy nieruchomo w nawie głównej wpatrzni w ołtarz. Nasze spojrzenia powędrowały także na kamienne epitafium kaznodziei oporowskiego, ojca Wesołowskiego, tego, który zginął z rąk służ Barbary Tarnowskiej. Opowiedziana niedawno przeze mnie historia o konflikcie kasztelanowej z klasztorem i śmierci księdza nagle nabrała innego znaczenia, jakiejś dosadnej głębi i w mojej wyobraźni przeobraziła się w realny byt. W pewnej chwili, zupełnie nieświadomie, zapragnąłem zmienić pozycję. Twarda ławka gniotła niemiłosiernie w pośladki, więc przytrzymując się jej krawędzi, przechyliłem się nieco w drugą stronę. Wtedy to moje palce przypadkowo natrafiły na jakiś papier znajdujący się pod siedziskiem ławy. Była to zwykła kartka papieru złożona na czworo i przyklejona gumą do zucia pod spód siedziska. - Skrzynka kontaktowa - wyszeptalem, gdy odkleiłem papier i pokazałem go Joli. Niestety, nie mieliśmy ze sobą latarki, więc musieliśmy podejść pod jeden ze świeczników zawieszonych na ścianie prezbiterium. Z drżącymi z podniecenia rękami rozprostowałem kartkę i odczytałem w bladym świetle treść wiadomości: Żądam całego szkicu. Inaczej zrywam układ. Brak było podpisu, ale wiedzieliśmy, że autorem tej wiadomości był nie kto inny jak tylko Hannussen. W przeciwnym razie po co by tutaj przychodził? A zatem nasz jasnovidz

zjawia się na początku mszy i zostawia pod ławką wiadomość; potem ktoś inny przychodzi tu po liścik. Sprytne. Tym bardziej, że zegar z kukułką od pewnego czasu przestał służyć za bezpieczny punkt kontaktowy, a do kościoła może przyjść każdy.

- Tylko z kim on współpracuje? - dopytywała się Jola.

- Nie wiem - odpowiedziałem, zamocowawszy kartkę z powrotem pod ławką. - Ale mamy szansę go zdemaskować. Ukryjemy się tutaj i zaczekamy na niego.

- A jak przyjdzie jutro? - jęknęła.

Miała rację. Nie mieliśmy pewności, kiedy ów wspólnik Hannussena zjawi się po wiadomość. Mogło to nastąpić za chwilę, mogło też i jutro. Jak często bywa w życiu rozwiązanie przyszło niespodziewanie samo. Za naszymi plecami coś zaszurało, usłyszeliśmy czyjeś kroki. Odwróciliśmy się i w bladym, migoczącym już świetle świeczek ujrzeliśmy postać wymykającą się z sieni kościoła na zewnątrz. Było zbyt ciemno, aby zdemaskować intruza. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ktoś nas podsłuchiwał. To mógł być wspólnik Hannussena!

Na potwierdzenie tych domysłów zatrzasnęły się z hukiem wrota świątyni. Grzmotnęło, jakby zakaszał sam Pan Bóg, co tylko podwoiło nasz strach. Ale to nie był Stwórca, a zwykła ludzka istota, ktoś przekręcił klucz w zamku i w najlepsze uciekł.

Nastąpiła cisza.

Po omacku dopadliśmy ciężkich i drewnianych wrót odgradzających nas od świata i na zmianę waliliśmy pięściami w ich potężne, metalowe okucia. Nasze wysiłki w celu zaalarmowania księży nie przyniosły jednak rezultatu. Niedługo potem wypaliły się świece i zostaliśmy sami w ciemnym kościele.

- Ten ktoś przyszedł pod koniec mszy po wiadomość zostawioną przez Hannussena - odezwał się, aby przerwać złowieszczą ciszę i zapomnieć o chłodzie przesiąkniętym zapachem kadzidła. - Zauważył nas tutaj, a gdy odkryliśmy liścik ukryty pod ławką, wolał nas zamknąć, niż narazić się na zdemaskowanie. Bo gdybyśmy zaraz wyszli na zewnątrz, moglibyśmy go spotkać. A do zamku jest ładny kilometr. Nie zdążyłby przed nami uciec.

Zakładam, jak widzisz, że zamknął nas ktoś z grona detektywów.

- I co z tego? - zaczęła jęczeć Jola. - Co mnie to obchodzi, kto to zrobił i dlaczego? Po co ja się zgodziłam zostać w tym przeklętym Oporowie? Czy my spędzimy tutaj całą noc?

Nie, nie, nie! Mam dosyć tej zabawy w detektywów! Ja chcę do domu.

- Ja też.

- Wiem! No jasne! To ten gówniarz nas tu zamknął! - wściekała się dalej moja znajoma. - Ten cały Harry Potter. To jego odciski palców i tego wybrylantowanego Hannussena były na serwetce, prawda? A to znaczy, że oni dwaj mieli w zegarze z kukułką swoją skrzynkę kontaktową. A teraz w kościele!

- A mówiłaś, że nie obchodzi cię, kto nas zamknął.

- Coś muszę mówić - odparła płacząco. - Dodaje mi to odwagi.

Jola zaczęła walić pięściami w drzwi i drzeć się wniebogłosy, a potrafiła to robić wspaniale. Jej wysoki pisk przypominał odgłos szorowania styropianem po szkłe, ale, jak na złość, nikt z plebanii nie zjawił się po nas.

Zostawiłem całą rozdygotaną ze strachu Jolę przy drzwiach i, idąc wzdłuż ściany, dotarłem z trudem do prezbiterium, na którego południowej ścianie powinny być drzwi do

zakrystii. Niestety, zamiast nich moje dłonie wymacały chłodną powierzchnię muru. Wejście do zakrystii i dawnej kaplicy zostało zamurowane i do kościoła wchodziło się dzisiaj wyłącznie głównym wejściem. Nie istniało żadne inne wyjście! Jola przestała walić pięściami w drzwi.

- Ksiądz proboszcz wyszedł z kościoła po ostatniej mszy, nie zamknawszy kościoła - odezwałem się. - Pewnie przyjdzie tutaj niebawem. Ale tak się nie stało. Mijały minuty, godziny, a nikt nie przychodził. Oboje czuliśmy narastający niepokój, ponadto zdawaliśmy sobie sprawę, że pojedynek detektywów wszedł w niebezpieczną fazę i przeciwnicy (już nie konkurenci!) gotowi byli użyć wszelkich skutecznych metod zapewniających zwycięstwo. Zamknięcie nas w kościele było tego najlepszym przykładem.

- O jakim szkicu Hannussen wspomniał w liście? - zastanawiałem się nad treścią przechwyconej w kościele wiadomości. Ale faktycznie mówiłem sam do siebie dla samego mówienia. - I jaki układ chce zerwać?

- Nie wiem, nie wiem! - jęczała dziewczyna.

- Pamiętam, że widziałem Hannussena z Miss Marple wracających od strony kościoła. Zachowywali się trochę dziwnie. I jak tylko mnie zauważyli, zaraz weszli do pawilonów.

- Czy ja wiem? Tu wszyscy zachowują się dziwnie. Czasami myślę, że to nie pojedynek detektywów, a dziwaków. W pewnym momencie Joli zaczęło być zimno, co podkreśliła wymownym szcękaniem zębami. Odniosłem przy tym wrażenie, jakbym to ja był winny sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Oczywiście nie poczuwałem się do żadnej winy, ale szarmancko zdjąłem z siebie dżinsową kurtkę i okryłem nią plecy dziewczyny.

- Proszę, nie - protestowała. Ale kurtki nie oddała.

W rezultacie po dwóch kwadransach skostniałem z zimna. Dla rozgrzewki zrobiłem kilka przysiadów, a potem dalej cierpiałem, wsłuchując się z niepokojem w zimny kościół.

Z dziewczyną było gorzej. W pewnej chwili usłyszałem nawet jej cichy szloch. Podeszedłem do niej i objąłem jej wiotkie i drobne ciało. Postąpiłem jak przyjaciel - marny, bo marny, ale w tej sytuacji jedyny. Nie broniła się. Wtuliła się we mnie mocniej, jakby tylko tego w życiu pragnęła. Żadne z nas nie próbowało już walić pięściami w drzwi. Skapitulowaliśmy.

A potem usiedliśmy blisko siebie na ławce. Moją kurtką okryłem ją i siebie. W milczeniu, niemal złączem ze sobą jak marmurowe posągi, czekaliśmy na wybawienie. Może nie uwierzycie, ale poczułem się lepiej. Bliskość jej ciała uwolniła ze mnie resztkę energii. Ta namiastka ciepła uspokoiła mnie i usnąłem ze zmęczenia, położywszy jeszcze w półśnie głowę na jej ramieniu.

Obudziły mnie potężne akordy kościelnych organów. Było ciemno i zimno, ale głośne dum-dum-durn-dum, dum-dum-dum-dum zdawały się rozsadzać od wewnątrz kościelne mury i moją głowę. Od tych akordów rozpoczynających IX symfonię wielkiego kompozytora Ludwika van Beethovena zrobiło się nawet cieplej. Ale i groźniej! Muzyka płynęła dalej, tak

jak znałem ją z płyt i z kilku koncertów w filharmonii, ale jeszcze nigdy nie czułem się tak

bardzo związany z tym dziełem.

Joli nie było obok mnie, a moje wołanie nie potrafiło się przebić przez ścianę dźwięku. Grały dostojnie organy. Dum-dum-dum-dum powtórzyło się niczym monstrialne

walenie do drzwi, przytłaczające i bluźniące spokojowi świątyni. Aż wreszcie zrozumiałem!

To grała Jola! To ona zakłóciła świętość ołtarza i medytujących figurek, ale to była jedyna

metoda na zaalarmowanie i poinformowanie plebani o naszym tutaj pobycie.

I faktycznie. Po kilku minutach zachrobotał klucz w zamku i ujrzałem wpełzające do

świątyni światło latarni. Organy ucichły jak na komendę i do kościoła wkroczyła ostrożnie

jakaś postać w nałożonym na pidżamę serdaku, a po niej dwie kolejne.

- Co tu się dzieje? - pytał przerażonym głosem proboszcz i zaświecił mi latarka prosto

w oczy. - To Dom Boży.

Za nim chowali się dwaj pozostali księża.

- Proszę się nie bać - rzuciłem. - Przepraszamy...

- Ktoś nas zamknął! - krzyknęła Jola, zbiegając ze schodów prowadzących na chór.

-

Hurra! Jesteśmy uratowani!

- Nie może być? - dziwili się księża.

- Ten ktoś zamknął nas przypadkowo - mruknąłem i złapawszy dziewczynę za łokieć, wyprowadziłem obok zdumionych księży na zewnątrz. - Dziękujemy za pomoc.

- Jak pani pięknie gra - pochwalił ją jeszcze proboszcz. - Nie to co nasz organista.

Potwornie fałszuje.

- Ale można się przyzwyczaić - dodał inny ksiądz.

Popatrzyłem na zegarek. Było wpół do dwunastej, a o dwudziestej trzeciej Lara Croft

miała wyznaczone spotkanie na Zapłociu.

- Dobranoc - pożegnałem naszych wybawców uniesieniem ręki. - Niech będzie pochwalony.

- Na wieki wieków.

Oddaliliśmy się pośpiesznie w kierunku zamku.

- Aj, niech pan mnie puści - wrywała się Jola. - Co pan nagadał proboszczowi? Że

ktoś nas zamknął przypadkowo? Sam pan mówił, że zrobiono to specjalnie.

- Nie chciałem wywoływać sensacji we wsi.

- Ten ktoś i tak domyśla się, że coś podejrzewamy.

- Ale póki nie znamy jego tożsamości, dopóty będzie w miarę spokojny. Chociaż bardziej ostrożny. Ale po co rozgłaszać wszem wobec, co nas spotkało? Nie lubię rozgłosu.

- Już dobrze, dobrze. Która właściwie jest godzina?

- Późno. Obawiam się, że straciliśmy okazję zdemaskowania współnika Lary - westchnąłem.

Nie była to dobra pora na rozmowy. Poszliśmy czym prędzej w stronę zamku, ale w świetle słabych latarni już z daleka było widać pustą ulicę. Nie parkował żaden podejrzany

samochód. A pamiętaliśmy, że wczoraj Lara spotkała się z osobnikiem, który przyjechał

samochodem.

Skręciliśmy z drogi w ścieżkę między domami. Wyszliśmy na ciemne pola. Tej nocy księżyc zasłonił się ledwo prześwitującą woalką chmur, znikły gdzieś gwiazdy, więc

widoczność była kiepska. Żaden ludzki głos nie dochodził na Zapłocie, więc śmieiej

ruszyliśmy po przyschniętych redlinach w pogrążoną we śnie okolicę.

Tak doszliśmy aż do samego stawku przy skrzyżowaniu dróg za parkiem.

- Po Larze i jej współniku ani śladu - zaszeptałem w ciemności do Joli. - Spóźniliśmy się.

- Chce mi się spać - ziewnęła.

- Wracamy - zakomenderowałem ku ucieście Joli. - Dostyc wrażeń na dziś. I kiedy zbliżaliśmy się do parkowego muru, ujrzeliśmy w oddali, od strony Żychlina, dwa świetlne punkciki. Po chwili miękko zawarczał silnik samochodu i z każdą sekundą stawał się coraz lepiej słyszalny. Dwa światełka powiększały się.

- Wskakuj! - ponagliłem Jolę.

Pomogłem jej wdrapać się na mur, a potem sam go pokonałem. Zeskakując, potknąłem się o dziewczynę i w rezultacie tego oboje wyładowaliśmy na wilgotnej ziemi.

Samochód mijał właśnie główną bramę, tyle że przez niewielkie szczeliny w murze z trudem mogłem rozpoznać jego markę. Miał z pewnością ciemną karoserię i był długi. Nie skręcił w drogę na kościół, tylko minął narożnik parku i pojechał wzdłuż muru.

- Podejrzany samochód - odezwała się Jola.

- I drogi. Słyszałaś tę dostojną i zarazem miękką pracę silnika? Masz doskonały słuch, z pewnością to słyszałaś.

- Ale nie znam się na samochodach.

Szybko znaleźliśmy się z powrotem po drugiej stronie muru. Czerwone światełka samochodu minęły właśnie boczną bramę prowadzącą do zamku i w dalszym ciągu oddalały się od nas. Ale na szczęście auto jechało wolno, jakby jego kierowca szukał drogi albo...

„A może tym samochodem przyjechano na spotkanie?” - pomyślałem.

Poszliśmy za nim, kryjąc się w bezpiecznej ciemności, jaka przykleiła się do długiego muru. Samochód przejechał wolno rzeczkę, minął bramę starej cukrowni i skręcił za betonowym ogrodzeniem w prawo. Ale zanim to zrobił, w świetle latarni rozpoznałem limuzynę. Poczulem jak nogi uginają się pode mną i kurczy się mój żołądek.

- Demiurg! Jak pragnę zdrowia, to Demiurg.

- Jaki znowu demiurg? - zdziwiła się Jola. - Czy pan dobrze się czuje?

- Niezbyt, ale znam właściciela limuzyny - szepnąłem podekscytowany. - On mnie wynajął. Spóźniliśmy się na potajemną schadzke Lary, a przypadkowo natrafiliśmy na kogoś innego. Chyba, że to Demiurg spotyka się z Larą. O tym nie pomyślałem. A to by oznaczało, że panna Croft współpracuje z nim. To ona jest jego drugą wtyczką. Niesamowite. I wiesz co ci powiem, Jolu? Ten Demiurg pali cholernie drogie cygara.

Nie do końca wiedziała, o czym mówię, ale sen sfrunął jej z powiek i już po chwili ruszyliśmy ostrożnie w kierunku cukrowni.

Światło latarni spoczęło na brudnym, betonowym murze. Za rogiem zaczynała się zwirowa droga biegnąca wzdłuż ogrodzenia z siatki, ale nią nie mogliśmy pójść ze względu na to, że tam właśnie skręciła limuzyna. Musieliśmy przeskoczyć przez zardzewiałą bramę i podejść do wschodniego ogrodzenia cukrowni. Tak zrobiliśmy. Cicho, dosłownie na paluszkach, pokonaliśmy dystans dzielący bramę od niszczącego magazynu, mając przed sobą starą, zgarbioną halę produkcyjną. Obok niej wyrastał ku niebu gigantyczny kikut

komina i zdawało się, że podciera w niemych żalu nieboskłon.  
Bardzo, ale to bardzo nie lubiłem opustoszałych placów budowy i pozostawionych na  
pożarcie czasu i brudu wielkich zakładów produkcyjnych, ale w tej chwili nie  
mieliśmy czasu  
na roztkliwianie się. Posłyszeliśmy strzép rozmowy za siatką. Podejść tam nie  
mogliśmy,  
gdyż rozmawiający osobnicy z pewnością by nas usłyszeli, przyłgnęliśmy więc do  
chropowatej ściany magazynu i wzdłuż niej przemykaliśmy ostrożnie.  
Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy poczułem delikatny miodowy aromat cygara.  
- Podejrzewasz kogoś, chłopcze? - pytał poważnym głosem Demiurg, a ja widziałem  
jak rozbłyska czerwony, tytoniowy ogień.  
- Każdego - odpowiedział głos Harry'ego Pottera.  
Wstrzymaliśmy z wrażenia oddechy. A zatem ten młodzik był wtyczką Demiurga!  
Kto by pomyślał?! Ten smarkacz bezczelnie nabrał wszystkich, udając  
niepełnosprawnego,  
bo przecież Agata z Krzyśkiem widzieli jego normalny chód. Pewnie spotykał się  
tutaj z  
Demiurgiem i o wyznaczonej porze zdawał mu relację z pobytu na zamku. I to oni  
mieli się  
spotkać w nocy na skrzyżowaniu dróg na Święchów. Czy Potter współpracował także  
z  
Hannussenem, tego nie wiedziałem? W końcu obaj, Potter i Hannussen, dobierali  
się do  
zegara z kukułką. Niewykluczone, że jasnowidz był kolejnym agentem Demiurga.  
- A jak sprawuje się Liberales? - pytał dalej Demiurg, czym wyrwał mnie z  
zamyślenia.  
- Jest dobry - odpowiedział Potter. - Odkrył, że tabliczka z Drzewoszek jest  
fałszywa.  
- Nie doceniłem belfra. Ale chyba nie podejrzewa cię o współpracę z nami?  
- Oczywiście, że nie. Taki bystry nie jest, proszę pana. Woli zadawać się z  
kobietami i  
wieśniakami. Zdaje się, że podrywa panią Ewę, kustoszkę zamku, ale nie ma u niej  
szans. Co  
innego Bond, ten bogaty playboy.  
- To właśnie mnie interesuje, chłopcze. Skąd ten facet ma szmal?  
Zabolały mnie poprzednie słowa Demiurga. Te o Ewie i Bondzie.  
- Obserwuj dyskretnie Bonda, chłopcze.  
- Dobrze. Tak między nami, to sprawia on wrażenie trochę roztargnionego.  
- Tak, wiem o tym - powiedział cicho szef agencji CIOS i zaciągnął się głośno  
cygarem. - Nawet hochsztaplerzy mają miękkie serce.  
- Nie rozumiem.  
- Jesteś za młody, aby to rozumieć. Marek Burski, czy jak wolisz James Bond,  
jest  
zakochany. To dobrze. To bardzo dobrze.  
Nie podzielałem entuzjazmu Demiurga. Poczułem się gorszy. Bond zakochany na  
zabój w Ewie! Oni o tym wiedzieli. Być może Potter był świadkiem ich intymnego  
spotkania,  
a wyjazd do Żychlina stanowił jedynie preludium do wielkiej miłości.  
„A może Demiurg myśli Larze Croft, a nie o Ewie?” - pomyślałem, przypomniawszy  
sobie schadzki Bondy z Larą o świcie w parku.  
Zdaje się, że za wszelką cenę szukałem pocieszenia. Wystarczyło spojrzeć na Larę  
i  
Bondy, by stwierdzić, że nie pasowali do siebie. Jeśli coś ich łączyło, to  
raczej ciemne  
interesy. To Ewa była obiektem westchnień Bondy i to ją miał Demiurg na myśli.  
- Powiadom mnie, chłopcze, kiedy Bond rozwiąże zagadkę - poprosił Demiurg.  
- Uważa pan, że to on pierwszy znajdzie skarb?  
- Jest najbardziej inteligentny z waszego grona. Poza tym ma doświadczenie. Kto  
inny  
by to zrobił? Byłbyś w stanie go pokonać?



- Hm - chrząknął niepokieszony opinią Demiurga Potter, co miało znaczyć, że poczuwa się do tytułu najlepszego detektywa.

- Ale nigdy nic nie wiadomo. Amatorzy nie raz mnie zadziwili. Pech chciał, że Jola nieświadomie nadepnęła na kawałek blachy leżącej na żwirze, który to śmieć wydał z siebie alarmujący zgrzyt. Rozmowa za siatką natychmiast się urwała, a my wstrzymaliśmy oddech z wrażenia. W chłodnym powietrzu czułem narastające napięcie, a po chwili doszły do nas kroki oddalających się Demiurga i Harry'ego. Wyrząłem na chwilę za róg magazynu i w słabym świetle księżyca, który akurat jaśniej poświecił, ujrzałem idącego szybko Pottera. Ten nastolatek był okazem zdrowia. Słyszałem jeszcze, jak mówił coś do Demiurga, a ten odpowiedział mu, że to pewnie koty hałasują. Spłoszyliśmy ich, ale i tak, widać, zamierzali skończyć.

- Przepraszam - jęknęła Jola, ale pobrzmiwała w jej głosie nutka żalu zmieszana ze złością.

I zaraz dodała:

- Nie wiedziałam, że zakochał się pan w Ewie. Ładne rzeczy!

- Szczeniakowi się wydaje - broniłem się.

Silnik limuzyny przyjemnie zawarczał, a my odczekaliśmy jeszcze z dziesięć minut dla pewności i dopiero wtedy ruszyliśmy z powrotem na zamek. Na piętrze Domku spotkaliśmy czytającego Bonda. Na nasz widok odłożył książkę, wstał z fotela i uważnie nam się przyjrzał.

- Gdzie się szwendacie? - zapytał z lekkim niepokojem. - Wasze umorusane twarze i ubrania świadczą, że zbyt poważnie traktujecie zagadkę przeora Gabriela.

- Doprawdy? A dlaczego?

- Ewa coś mi powiedziała w zaufaniu - wyprężył dumnie pierś. - Nie wiem, czy mogę wam powiedzieć, gdyż chce to ogłosić jutro przy śniadaniu. Poczekajcie do rana. Tylko nie zaśpijcie.

- Nie ma obawy - burknąłem.

- Nie widzieliście Hannussena? - zatrzymało nas jeszcze jedno jego pytanie.

- Nie.

- Już po północy, a jego nie ma od kilku ładnych godzin.

- Martwisz się o niego, Jamesie?

- A broń Boże! - wstał i pomachał rękami. - Ale mógł wpaść na jakiś trop, a tego bym mu nie darował, Liberalesie.

Bond uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiedziałem, że jeszcze jeździsz tym starym gratem - zatrzymały mnie jeszcze w drzwiach jego słowa. - Pasujecie do siebie.

Bond miał na myśli oczywiście Traktor, samochód naszego ojca. Zawsze nabijał się z mini-morrisa, ale ja nie miałem teraz ochoty wysłuchiwać jego drwin. Zamknęliśmy się w pokoju. Jola nie odzywała się do mnie, zła za Ewę, i wiedziałem, że lepiej będzie milczeć, aby kobieca zazdrość wywietrzała. Położyła się szybko, a ja poczytałem jeszcze o historii Oporowa. Włączyłem także laptop i popracowałem nad literami, cyframi i symbolami z tabliczki. Miałem je wszystkie wprowadzone w pola arkusza zwykłego Excela i trochę się nimi pobawiłem. Bez rezultatu. Ciekawe, jakiego programu używał Harry

Potter? Miałem dobry pretekst, aby z nim jutro pogadać. Przystawiając na różne sposoby w komputerze znaki z tablicy myślałem gorączkowo o wydarzeniach kończącego się dnia. Jeszcze długo nie dały mi zasnąć. Mieliśmy wprawdzie człowieka palącego cygara, zdemaskowaliśmy wtyczkę Demiurga - którym okazał się Harry Potter - ale kilka spraw wciąż pozostawało niejasnych. Nie wiedzieliśmy na przykład, jaką rolę odgrywał w całej historii Hannussen i kto był jego współnikiem? Z pewnością nie był nim Harry Potter; w przeciwnym razie wyszłoby to w rozmowie z Demiurgiem. A może Potter korespondował z kimś innym, Hannussen zaś przypadkowo dotknął posypanego grafitem haczyka zamykającego zegar? Nie wiedzieliśmy też nic o Larze i zamiarach Bonda. Mój brat sprawiał wrażenie, jakby chciał uspić czujność pozostałych swoją biernością. Dziwne było też jego zauroczenie piękną panią kustosz. Zakochał się. Ale czyż nie z wzajemnością? Nie ma co - zostałem odstawiony na boczny tor i nie mogłem mieć o to pretensji do nikogo. Ewa mogła się zakochać, w kim tylko chciała. Poza tym nie dałem jej najmniejszego sygnału, że czuję coś do niej. Niesłusznie założyłem, że piękna pani kustosz jest moim ideałem i że należy do mnie. Nie należała! Pycha nie wybiera i wymyka się racjonalnej ocenie sytuacji, a stąd już blisko do urojeń. Były i sukcesy! Nowy trop prowadził do Kutna, a dokładnie na ulicę Barlickiego, do właściciela forda fiesty powiązanego z tajemniczym blondynem i rodziną Matusiaków. Był też jeżdżący golfem Buźka, złodziej Traktora i mój niedawny napastnik. Pomyślałem jeszcze o Demiurgu. Z jednej strony zakładał, że w tej rozgrywce James Bond był niekwestionowaną gwiazdą i tylko Harry Potter mógł mu stawić czoła. Mnie nie traktował poważnie. Ponadto mnie oszukał. Z drugiej strony, nie należało rezygnować z dalszych poszukiwań. Niech myślą, że jestem niegroźnym belfrem! Bardzo dobrze. Uśpię tym czujność wszystkich, łącznie z Demiurgiem, i spokojnie, krok po kroku, będę poznawał prawdę aż do ostatecznego rozwiązania zagadki przeora. Wtorkowy dzionek przywitał mnie bólem głowy. Za oknem było szaro i wnet pojąłem, że przyszła zmiana pogody. Nieco się zachmurzyło i oziębilo. Jola dostroiła się do złej pogody - guzdrała się i była tego dnia markotna. Zszedłem na dół, zrobić nam obojgu kawę. W kuchni zastałem Larę ubraną w dresy. - Jak poranna gimnastyka? - powitałem ją pytaniem. - A jaka może być? - odpowiedziała, nie patrząc na mnie. - Kilka kilometrów w tę i z powrotem, nic szczególnego. Postawiłem czajnik na gazie i czekałem, zastanawiając się nad tym, z kim Lara spotkała się wieczorem na Zapłociu. Szkoda, że nie mogłem zapytać jej o to wprost. Lepiej było bowiem zachować milczenie. Lara piła sok pomarańczowy, oparta o ścianę, i obserwowała uwięzionego w zlewie dużego, tłustego, czarnego pajaka, który chodził sobie po białej emalii. Nie

zdając sobie sprawy, że jest w śmiertelnej pułapce, czarny uparciuch starał się wydostać ze zlewu, ale wciąż zjeżdżał po jego śliskiej ścianie niczym sanki ze stoku. Nie poddawał się. Wspiął się za każdym razem z nową wiarą. W tej beznadziejnej walce pajaka o życie było coś godnego współczucia i wielkiego.

- Podobno pajaki przynoszą pecha - odezwała się niespodziewanie Lara.

- Komu? - zdziwiłem się.

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Tak się mówi. To głupie, co? Codziennie je widuję i jakoś nic złego mi się nie przytrafiło...

- Owszem, ściągają na człowieka nieszczęście. Gdy się je zabija.

- Głupie przesady - skrzywiła się i wypila sok. - OK! Spróbujmy. Zobaczmy, co się

stanie, jak go zabijemy? Na wszelki wypadek, ty go zabij, kolego detektywie. Wypróbujemy,

czy ten przesąd działa. No, na co czekasz?

- Nie będę niczego zabijał.

- Ale to głupie zwierzę - podpuszczała mnie. - Chociaż mądrze się nazywa: Nuctenea

umbratica. Pokaż, że jesteś prawdziwym mężczyzną. A może się boisz?

- Jeśli już, to ciebie.

- Nie przesadzaj. Nic ci nie zrobię. Po prostu jestem ciekawa, czy zabicie pajaka coś

znaczy.

- Sama go sobie zabij.

- Co z ciebie za dżentelmen - pokręciła z dezaprobatą głową i z pustą szklanką stanęła

nad zlewem. Próbowałem jej przeszkodzić, ale Lara uspokoiła mnie ruchem ręki. Nakryła pajaka szklanką i sprawnie uwięziła go w niej, a następnie odwróciła naczynie ze stawonogiem w

środku. - Mam cię, stary - wyszeptała pieszczotliwie.

Nie miała złych zamiarów. Wyglupiała się i nabijała ze mnie.

I wtedy weszli do kuchni Jola z Bondem. Lara odwróciła się do rozmawiającej pary i

przez chwilę ich obserwowała. Bond wszystkich pozdrowił, a Jola zdjęła za mnie

parujący na gazie czajnik. Lara nie spostrzegła w porę, że pajak skorzystał z jej nieuwagi i po śliskiej

powierzchni przekrzywionej nieco szklanki przełazi na rękę. Przerażona pani detektyw

drgnęła i wypuściła naczynie z ręki. Usłyszeliśmy brzdęk szkła i amazonka podskoczyła,

wymachując energicznie ręką, chcąc zrzucić z niej pajaka. Nie widziałem stawonoga, ale

musiał skryć się głębiej w rękawie bluzy, bo dziewczyna zapiszczała i zaczęła w pośpiechu

zdejmować odzienie.

- Gdzie to ohydztwo?! - darła się i tańczyła po parkiecie, próbując jednocześnie zdjąć

z siebie bluzę. - Aj! Czuję go! Rusza się! Jest! Wlazł pod koszulkę...!

Wybiegła z kuchni, wciąż wykonując nieskoordynowane ruchy ciałem i głośno piszcząc. W hallu spotkał ją pech - cena za wcześniejsze igranie z przesadami (w

które,

notabene, i ja nie wierzyłem). Niespodziewanie otworzyły się drzwi salonu i Lara wpadła na

nie z hukiem. Uderzyła głową w ich solidną, drewnianą powierzchnię i przewróciła się.

Wstała jednak błyskawicznie i rzuciła się pędem ku schodom.

Zza drzwi salonu wyjrzała przerażona Miss Marple ubrana w kolorowy szlafrok.

- Co tu się dzieje?!

- Pająk - zaśmiałem się nerwowo. - Zwyczajny pająk.

- Jaki pająk?

- Nuctenea umbratica.

I poruszyłem palcami, naśladowując ruchy pająka.

10

Niebawem, na życzenie Ewy, zjawiliśmy się w salonie, z wyjątkiem przebywającej w zamku Lary Croft i Hannussena, który nie wrócił do Domku na noc. Jola zrobiła wszystkim

pyszną kawę i herbatę. Zanim jednak ogłoszono rewelacje z laboratorium, poruszono sprawę

niedawnego epizodu w kuchni. Tak naprawdę, nic się nie stało, ot, po prostu, Lara nabiła

sobie guza na głowie i narobiła krzyku.

- Wiecie, co ja myślę o tym pająku? - zabrał głos Porucznik Columbo i siorbnął głośno

z filiżanki. - Że to był duch byłego kucharza - odpowiedział za nas i zmrużył oczy dla

lepszego efektu. - Tak, tak, moi państwo. Zły duch kucharza, Szymona

Bajerowskiego,

żyjącego tutaj w XVIII wieku i pichącego dla Józefa Sołłohuba i jego pięknej małżonki

Teresy Ogińskiej. Ten pająk to był właśnie on.

- Co pan wygaduje? - zachnęła się Miss Marple.

Ewa uśmiechnęła się pod nosem i zniecierpliwiona odłożyła jakąś kartkę na ławę, ale

nie przerywała tej rozmowy.

- W tym Domku mieściła się kuchnia - opowiadał niezrażony Porucznik Columbo - i ów kucharz Szymon miał ręce pełne roboty, gdyż w zamku często biesiadowano. Jak tylko

Sołłohub wracał z Litwy, organizowano w zamku bibki. Gotował w tym Domku, a że pracował bez wytchnienia, sił dodawał sobie trunkiem. Pewnego razu przygotowywał kolejną

uczczę z okazji przyjazdu Sołłohuba i posłyszał przed zamkiem dziwne odgłosy zapowiadające

przyjazd gości. Ale było nieco za wcześnie na przybycie orszaku gospodarza.

Kiedy wyjrzał

na dziedziniec, ujrzał ku swemu zdumieniu złote karety, z których wyłoniły się cudaczne

postacie pospiesznie zdążające ku zamkowej sieni. Po chwili zamek pojaśniał światłami, a

przez okna w komnatach dostrzec można było cienie tajemniczych gości. Tańczono przy

dziwnej muzyce. I nagle wszystko się urwało! Zamek pograżył się w ciemności, a przerażony

kucharz musiał sobie golnąć. Oczywiście nie wspomniał swojemu panu o nocnej wizycie,

gdyż wojewodzie i tak wmawiano konszachty z diabłem.

- A może to sam diabeł odwiedził nas tutaj i wcielił się w pająka? - odezwałem się. -

Może dlatego Porucznik Columbo przeprowadził się do zamku, bo wyczuł tutaj obecność

Belzebuba.

- Głupstwa gadacie - mruzczała Miss Marple.

- Albo duch pijanego kucharza - wtrącił żartobliwie Bond. - Liberales ma jednak chyba rację. Stawiam na czarta.

- Skąd pan to wszystko wie? - zwróciła się Miss Marple do Porucznika Columbo. - Z

tym kucharzem.

- Pani Krysią z miejscowej biblioteki opowiedziała mi trochę o tym miejscu - odpowiedział.

- To legendy - zaśmiała się uroczo Ewa. - Józef Sołłohub był bogaty, więc z zazdrości snuto dziwne opowieści o jego konszachtach z diabłem, a kucharz Szymon był po prostu pijakiem. Dzisiaj wysłano by go na leczenie.

- Ale po śmierci Sołłohuba mieszkańcy Oporowa widywali galopującego na koniu jeźdźca bez głowy. To był ponoć sam właściciel.

- Jak zobaczę galopującego na koniu osobnika bez głowy pomyślę, że to pan - zadrwiła Miss Marple.

- To wszystko legendy - Ewa wstała, przybierając uroczystą pozę. - Nie możemy traktować ich poważnie, chociaż niektórzy pracownicy muzeum i goście tu mieszkający twierdzą, że Sołłohubowie z portretów na pierwszym piętrze czasami wychodzą z nich i o północy tańczą w swojej sypialni.

- Nic nie słyszałem - oświadczył poważnie Porucznik Columbo.

Nagle Ewa zaczęła recytować.

- „Dziś zniknął z tych miejsc połysk pancerzy i szyszaków, ucichły dźwięki lśniących się mieczy i ostróg, nie słychać tu więcej stapań dzielnych biegunów, ani wrzawy zbrojnych jeźdźców, ustały brzmienia srebrzystych pucharów i odgłosy trąb i kotłów witających zwycięzców wracających z pola sławy. Wieki przeminęły, a z nimi dobre i niefortunne wypadki i zdarzenia”\* [Grażyna Majewska, Historia i legendy, Oporów 1981.]

Pierwszy zacząłem bić brawo i już po chwili przyłączyli się do mnie Porucznik Columbo i James Bond.

- Tak pięknie pisał o dziejach Oporowa jego badacz Henryk Gawarecki - wyjaśniła.

-

Ale powróćmy może do rzeczywistości. Gwarantuję, że jest ciekawsza od legend. Prysnał nastrój gawędy. Wpatrzeni w panią kustosz zamieniliśmy się w słuch.

- Pierwsze wyniki badania szkieletu znalezione w Drzewoszkach pokazują, że w trumnie Oporowskiego znajdowało się ciało szlachcica żyjącego w XVII wieku. A może nawet już w XVI wieku. Świadczy o tym fragment guzika znaleziony wśród szczątków.

Prawdopodobnie należał do któregoś z właścicieli dóbr skupionych w okolicach Oporowa.

Jeśli dobrze odczytano wygrawerowany na nim symbol, to był to ktoś z rodu Kucińskich. A wiemy, że fundatorem kościoła w pobliskim Mniczu był już w XVI wieku niejaki Stanisław Kuciński...

- W Mniczu? - ktoś zapytał. - To daleko stąd?

- To wioska oddalona od Oporowa zaledwie sześć kilometrów na zachód. Badania potrwać pewnie jeszcze długo, ale nie ulega wątpliwości, że jakimś cudem w trumnie Oporowskiego znalazł się inny szlachcic.

To była wielka sensacja! Dzięki niej należało inaczej spojrzeć na całą sprawę. Na chwilę zapomniałem o tym, że w naszym gronie znajdowała się osoba, która nie tak dawno zamknęła mnie i Jolę w chłodnym wnętrzu kościoła, zapomniałem o owym tajemniczym współniku Hannussena, ale także o innych intrygach, których autorami byli pozostali uczestnicy naszego pojedynku.

- A teraz kolejna wiadomość - kontynuowała kustosz. - Wysłałam znajomemu profesorowi szkic naszej tabliczki oporowskiej i kopię listu przeora Gabriela.

Profesor nie ma czasu zająć się tą sprawą, więc jedynie zerknął na dokumenty. Jest pewny, że autorem tabliczki nie był przeor. Poczuję smak wygranej bitwy. Miałem rację! To ja pierwszy z tego grona zasugerowałem taką możliwość. Jednakże w tej chwili nikt na mnie nie patrzył. Cała uwaga była skupiona na pięknej Ewie i jej sensacyjnych doniesieniach. W kominku trzasnęły głośniejsze drwa, Ewa dalej mówiła.

- W rzymskim zapisie daty „1657” na tabliczce znajduje się dziwnie wyryta litera „L”.

Pamiętacie?

- Liberales o tym wspominał - przypomniała Miss Marple. - Czyżby miał rację? Cóż z tego, że miałem, skoro chłód Ewy zastąpił należny mi zaszczyt.

- Litera „L” na tabliczce ma wyraźny łuk u góry wygięty w lewo - mówiła Ewa. - Zdaniem profesora to charakterystyczna majuskuła pisma neogotyckiego stosowana do 1600 roku we Francji. Była stosowana przez kancelarię królewską, ale i przez szerokie koła niemające wykształcenia humanistycznego. Podobne pismo występowało też w Holandii, gdzie wpływ francuskiej kultury był olbrzymi. Przeor Gabriel z pewnością nie używał tej majuskuły, co widać po pobieżnej lekturze jego listu. Ten, który siłą przyzwyczajenia wyrył ją na miedzianej tabliczce, znał to pismo używane dawniej w innej części Europy.

- Czy to znaczy, że autorem zapisu na tabliczce jest jakiś Francuz? - zapytał Harry Potter. - Skąd wziął się Francuz w Oporowie?

- W tych okolicach osiedlali się w XVII wieku Holendrzy - zauważył Bond. - Może chodzi o Holendra, a nie o Francuza. Zerknąłem na Miss Marple, która mogła już o tym wszystkim wiedzieć, skoro przeglądała stare metryki kościelne i odruchowo postawiła „ptaszek” przy pewnej dacie związanej z konwersją wyznaniową holenderskiego emigranta. Jednakże teraz twarz starej kobiety spowiła maska obojętności i to właśnie wydało mi się podejrzane. Przez jej twarz nie przemknął nawet cień zainteresowania, a powinna była coś dodać od siebie, skomentować cokolwiek. A zatem Miss Marple grała. Znowu powróciło pytanie o notatkę ze starej księgi metrykalnej. Czyżby emerytka odkryła tożsamość autora zapisku na tabliczce? I miałby nim być właśnie jakiś przybyły tutaj ponad trzysta lat temu Holender?

Porozmawialiśmy jeszcze o Hannusenie, ktoś szeptał nawet o jego zniknięciu, ale nikt nie wiedział, dokąd się udał.

- Prawdopodobnie wpadł na jakiś trop i węszy po okolicznych wsiach - ustaliliśmy roboczą wersję.

Sensacyjne wieści ogłoszone tego ranka przez Ewę towarzyszyły nam przez cały dzień. A był on bogaty w inne wydarzenia i wydawało się, że z każdą godziną jesteśmy coraz bliżej rozwiązania tajemnicy przeora klasztoru. Ale nie wyprzedzajmy faktów.

- Co robimy? - zapytała Jola, gdy staliśmy przed zamkiem i obserwowaliśmy zgromadzonych tam rywali.

Lara przeszła energicznie przez mostek i minawszy nas bez słowa, wsiadła do swojego auta. Trzasnęły głośno drzwiczki i zawarczał silnik. Bond wyszedł z Domku i odprowadzał wzrokiem odjeżdżający samochód. Pozdrowił nas ruchem ręki i z udawaną obojętnością

wsiadł do swojego BMW. Opuścił teren zamku wolno, ale gdy tylko znalazł się na drodze, znacznie przyspieszył. Czy gonił Larę?

Miss Marple z kolei rozmawiała z Potterem przy fosie w pobliżu schodków. Chłopak wciąż udawał kalekę, kłůła w oczy jego przygarbiona, neurotyczna sylwetka i tylko my wiedzieliśmy, że to mistyfikacja. Nasz Harry Potter nie był czarodziejem, a jedynie udawaczem.

Wreszcie w zamkowej sieni pojawił się Porucznik Columbo i gdy tylko nas zauważył, podszedł do nas.

- Dobrze, że pana widzę, drogi Liberalesie - uśmiechnął się sztucznie. - Pani Krysia z biblioteki mówi, że pan pożyczył od niej książkę o Oporowie...

- Zgadza się, poruczniku - popatrzyłem na niego pytająco.

- Coś za długo ją pan przetrzymuje - chrząknął zdawkowo.

- A... rozumiem aluzję. Mam ją zwrócić?

- Też chciałbym się dowiedzieć nieco więcej o tej okolicy. Ostatnie doniesienia kustosz Ewy każą nieco inaczej spojrzeć na sprawę. Historycznie, że tak powiem. Wprawdzie Krysia ładnie opowiada mi o wszystkim, ale co książka, to książka.

- Nie ma sprawy, już oddaję.

- To ona została pana współnikiem? - zapytała bez ogródek Jola.

Porucznik Columbo się zafrasował, ale po chwili uśmiechnął się jak urwis z ostatniej ławki przyłapany na figlach.

- A co w tym złego? - zapytał speszony. - Liberales może mieć ładnego współnika, a ja nie mogę?

Jola się zaczerwieniła. Szybko pognałem do Domku i przyniosłem pożyczoną kilka dni temu książkę. Po chwili zadowolony Porucznik oddalił się pieszo do biblioteki.

- A my? - powtórzyła Jola. - Co my robimy?

Najpierw poszliśmy na spacer do parku. Rześkie, choć nieco wilgotne powietrze uwięzione między drzewami było wspaniałym balsamem dla naszych umysłów. Wiedzeni intuicją udaliśmy się pod ów schorowany dąb z dziuplą rosnący na skraju parku. Jakież było nasze zdziwienie, gdy znalazłem w niej nową wiadomość od Krzyska i Agaty.

- Co napisali? - zainteresowała się Jola.

Podaliśmy ją dziewczynie.

- Nie może być! - zdumiała się. - Byli tam wczoraj!

- Wbrew mojemu zakazowi - pokiwałem smutno głową.

- Co pan chce? Dzięki temu wiemy, z kim spotkała się Lara na Zapłociu.

- Co za nieznośne dzieciaki.

- Czy wszyscy nauczyciele są tacy nieżyciowi?

- Jolu - popatrzyłem na nią z wyrzutem. - Czy wiesz, co by się stało, gdyby Lara i jej współnik nakryli ich? Mogliby zrobić im krzywdę albo gdzieś wywieźć.

- Ale nie nakryli!

- To fakt.

Zadowoleni ruszyliśmy z powrotem na zamek.

Przy samochodach zastaliśmy czekających na nas Miss Marple i Harry'ego Pottera. Udawało mi się nie patrzeć na chłopaka i on, zdaje się, unikał moich rzadkich spojrzeń.

- Co za śmieszny gruchocik - Miss Marple patrzyła z rozbawieniem na Traktora. - Że takie jeszcze jeżdżą...

- To lewy pojazd - rzucił Potter.

- Dlaczego tak uważasz? - zdziwiłem się.

- Bo ma kierownicę z drugiej strony.

- Po prawej - dodałem. - Czyli, że nie jest lewy. Poza tym to mój samochód. Traktor.

- Traktor? - zdziwiła się Miss Marple i uśmiechnęła się. - Ów słynny Traktor? Myślałam, że go panu ukradli?

- Złodziej go nie chciał.

- Ależ dlaczego? - zmieniła taktykę. - To takie przyjemne auto.

- Też tak sądzę, droga pani.

- A właśnie! Czy państwo nie wybierają się przypadkiem na małą wycieczkę? - zapytała nieśmiało kobieta.

- Dokąd?

- Do Mnicha.

Popatrzyłem na Jolę, jakbym od niej żądał odpowiedzi.

- Czemu nie - uśmiechnęła się, ale wiedziałem, że myśli inaczej.

Pojechaliśmy w czwórkę Traktorem. Nie była to jednak długa podróż, gdyż wieś leżała blisko Oporowa. Sam kościół znajdował się po jednej stronie wąskiej drogi ciągnącej

się od wsi, nieco na uboczu, w pobliżu cmentarza. Kościół z dwiema charakterystycznymi

wieżami wydawał się na pierwszy rzut oka zaniedbany, okolica sprawiała wrażenie wyludnionej, gdyż budowle otaczały pola. Jedyne z tyłu kościoła przed plebanią kręcili się

jacyś robotnicy.

- Co właściwie spodziewamy się tutaj znaleźć? - zapytałem, gdy wysiedliśmy z samochodu.

- A kto to wie? - wzruszyła ramionami Miss Marple. - Brniemy w ślepa uliczkę. Pani

Ewa zaskakuje nas co dnia rewelacjami. Dobry jest każdy trop.

- Wszystko w tej historii jest fałszywe - dorzucił swoje trzy grosze Harry, a ja musiałem przyznać mu rację. Przecież nawet detektywi byli fałszywi. - Fałszywa tabliczka,

fałszywy szkielet...

- Tabliczka jest prawdziwa - stwierdziłem. - Tak samo jak prawdziwy jest szkielet.

Przecież te kości w trumnie do kogoś w końcu należą. Musimy ustalić, kim był ich właściciel,

a wtedy prawda ukaże nam się w nowym świetle. Dla mnie osobiście ta cała układanka, jej

wszystkie elementy w postaci trumny, tabliczki i szkieletu, sprawiają wrażenie jakby

przetasowanej talii kart. Czy świadomie albo nieświadomie, tego nie wiem.

Miałem wtedy wielką rację, a mój wywód był dziełem intuicji. Większość ludzi woli

ufać faktom oraz wyrachowanym sądom. Jednakże intuicja to nic innego, jak instynkt

wrośnięty w przeszłość naszej planety, coś w rodzaju myślenia ciała. Z

łacińskiego znaczy:

„przyglądanie się”.

Wielki Albert Einstein, twórca słynnego  $E = mc^2$ , przyznał kiedyś, że nigdy nie lekceważył intuicji. Podobno Wielki Albert dostał palpitacji serca, gdy odkrył zgodność

swojej teorii z danymi obserwacyjnymi. Tak silne emocje powstają u tych, którzy wnikliwie

przyglądają się światu, chcąc wyrwać tajemnice Kosmosu i odczytać jego ukryty porządek.

Prawdy nie można często przeżyć zmysłowo, ale można ją przeczuć. A wzory matematyczne

zawsze powstają później.

Nie każdy wie, że schedę po romantykach przejęli właśnie naukowcy zajmujący się wielkimi teoriami opisującymi wszechświat. Starą jak świat irracjonalną tęsknotę za pięknem

- której rozkwit znajdziemy u Greków - kierowali oni ku bezmiernej przestrzeni



wszechświata

i w tym celu poszukiwali uniwersalnego języka pozwalającego wczuć się w uniwersum.

Jednakże w przeciwieństwie do romantyków nie przeciwstawiali uczucia rozumowi. I to jest ich zwycięstwem.

Dzisiaj matematyka jest najdoskonalszym językiem kosmosu, bo w liczbach ujawnia się jego tajemnica i cała metafizyka. To właśnie Einstein mówił o inner perfection, czyli

„wewnętrzny pięknie”, którym można określić - poza doświadczeniem - prawdziwość każdej teorii. A przecież piękno jest pojęciem abstrakcyjnym i niedającym się zmierzyć. Owa

tęsknota do piękna jest czymś w rodzaju namiętnego instynktu. Piękno się czuje. A tu już

blisko do intuicji, do przeczuwania prawdy, które rodzą później owe nudne i niezrozumiałe

przez większość ludzi piękne wzory.

I pewnie intuicja sprawiła, że przyjechaliśmy do Mnicha.

Nie zdążyliśmy wejść na dziedziniec mnichowskiego kościoła, gdy szosą nadjechał niebieski nissan Porucznika Columbo.

- A ci co tutaj robią? - zachnęła się Miss Marple.

Z nissana wysiedli detektyw i Krystyna z biblioteki. Już na pierwszy rzut oka było

widać, że nie są zadowoleni z naszej obecności tutaj, podobnie zresztą jak Miss Marple, Jola i

Harry Potter - z ich wizyty. Co do mnie, nie byłem zły. Nie przeszkadzała mi konkurencja,

wręcz przeciwnie - zawsze dopingowała do działania. Jestem typem nieco flegmatycznym i

potrzebowałem impulsu, solidnego bata w postaci zagrożenia, aby wykrzesać z siebie dość

energii na wykonanie jakiegoś zadania.

- Dzień dobry państwu - powitał nas z daleka Porucznik Columbo, chociaż widzieliśmy się nie tak dawno i pociągnął Krystynę do kościoła.

Obecność u jego boku młodej bibliotekarki dodała mu wigoru i uczyniła nawet młodszym o kilka lat.

- Czyżby biblioteka była dzisiaj nieczynna? - zażartowała starsza pani.

- Nic dziwnego, że tutaj przyjechali - wyjaśnił Potter. - Po tym, co nam dzisiaj powiedziała pani Ewa, trop wiedzie do Mnicha.

- A pani Krystyna zna okolice Oporowa bardzo dobrze - dodałem. - Napisała nawet książkę. Columbo wie, co robi.

Obeszliśmy wolno kościół i na jego tyłach natknęliśmy się na dwóch robotników mieszających zaprawę przed otwartym prostokątnym oknem prowadzącym do podziemnej krypty. W jej szarym i zawilgoconym wnętrzu znajdowały się jakieś stare trumny.

Na nasze

pytanie o proboszcza odpowiedzieli, że na plebani nie ma teraz nikogo, bo ksiądz załatwia

interesy w Kutnie.

- Ciągłe jest tutaj coś do roboty - narzekał starszy mężczyzna z wasami. - Proboszcz

szuka pieniędzy. Ostatni remont przykładowo zrobiłem dziesięć lat temu. Dach pokrylim

blachą miedzianą, elewację barankiem, a teraz trza nam się wziąć za cokół i fundamenty.

Kryptę woda zalewa po zimie, a wczoraj to ktoś nawet włamał się tutaj...

- Włamał się? - zawołaliśmy jednym głosem.

- Ale nic nie ukradł z krypty - machnął ręką. - Bo co można ukraść? Stara trumnę? No

i proboszcz kazał zamurować nowe ramy i wstawić porządną dębową okiennicę.

- Nie widział pan nikogo obcego kręcącego się ostatnio przy kościele? - zapytałem.

- Mało ludzi tu przychodzi, to bym zauważył kogo podejrzanego - pokręcił głową.

-

Chociaż...

- Tak?

- Kilka razy przystanął tutaj samochód...

- Może rozpoznał pan markę?

- Ciemny wóz, zagraniczny, ale nie powiem o jaki konkretnie się rozchodzi.

- Może granatowy golf? Albo ford?

- A bo ja wiem?

- Nie wiemy - wtrącił się drugi robotnik. - Szukał drogi.

- A kto leży w tych trumnach? - zapytała Miss Marple, zmieniając tym samym temat.

- Dziedzice. Grotowski... Stępowski...

- A Ruczyński?

- A ja tam wiem? Proboszcza trza zapytać.

- Warto by przejrzeć akta metrykalne - mruknąłem, czym na dobre obudziłem czujność Miss Marple.

Popatrzyliśmy przez okienko na stare trumny leżące na postumentach i poszliśmy dalej.

- Ciekawe czego szukano w tej krypcie? - zainteresował się Harry Potter.

- Pewnie tego, czego i my - odpowiedziałem. - Tylko miał więcej odwagi i wlaź do

krypty.

- On wczoraj szukał czegoś, czego my szukamy dopiero dzisiaj - zauważyła Miss Marple.

To było słuszne spostrzeżenie. Od razu pomyślałem o owym Buźce, złodzieju samochodów. Ale mógł to być też Bond! Przecież wygadał się, że Ewa zdradziła mu treść

najnowsze raportu z laboratorium dotyczącego szkieletu znalezione w Drzewoszkach.

Bond wiedział o tym już wczoraj, gdy pozostali dowiedzieli się o tym dopiero dziś rano.

- Panie Liberalesie? - zagadnęła Miss Marple. - Wspominał pan o jakimś fordzie. Kogo miał pan konkretnie na myśli?

- Właśnie - zaciekał się także Harry.

Popatrzyłem na Jolę, która wzięwszy się pod boki, ostentacyjnie odwróciła się do mnie plecami. Była wściekła. Wściekła za to, że dzielę się z innymi detektywami informacjami tak ciężko wspólnie zdobytymi. A przecież nagroda była jedna.

- Ford? - powtórzyłem za nimi. - Tak tylko powiedziałem. Dla przykładu. To mógłby

być opel albo ford. A nawet BMW.

Zdaje się, że z trudem mi uwierzyli.

Niebo zakryła stalowa pierzyna i zaczął siąpić drobny deszczyk. Zrobiło się chłodno i

nieprzyjemnie. Minąwszy kruchtę północną i dzwonnice stojącą po drugiej stronie alejki,

weszliśmy do kościoła, rezygnując z dokładnego obejrzenia budowli od zewnątrz.

W sieni usłyszeliśmy wysoki głos Krystyny unoszący się dźwięcznie w kościele.

- Osada Mnich należy do najstarszych na ziemi kutnowskiej. Jej początki niestety gina

w pomroce dziejów - opowiadała z przejęciem. - Nie pozostały żadne dokumenty, ale odkryte

tutaj cmentarzysko szkieletowe pochodzi już z X wieku. Parafia była erygowana już w 1399

roku przez Stefana z Ciechomic Ciechomskiego. Pierwszy kościół był drewniany, następny

murowany, a zbudował go Stanisław Kuciński w 1536 roku. Jednakże świątynia szybko

popadła w ruinę. W XV wieku toczyły się spory terytorialne o parafię Mnich pomiędzy

śasiadnymi dekanatami. Kościół ten często nie miał księdza. Ponoć przed rokiem

1790, przez

ponad sto lat nie było tu stałego plebana!

- Może w 1657 roku kościół stał pusty? - szepnęła Jola.

Usiedliśmy w ławach i dalej słuchaliśmy opowieści Krystyny.

- W latach 1860-1862 Władysław Grotowski, nowy fundator, rozebrał mury kościoła do parapetów okiennych. Postawił nowe. Zbudowano też wtedy dwie wieże w stylu renesansowym.

Dziewczyna mówiła, a Porucznik Columbo kiwał tylko głową i dotykał ręką ścian, jakby czegoś szukał; nie słuchał uważnie. Detektyw tego kombinował, czy gdzieś tutaj w tym

kościelnie nie znajdzie śladów łączących parafię mnichowską z oporowską.

- Czy zachowały się akta metrykalne? - zapytałem na cały głos.

Tym pytaniem doprowadziłem Miss Marple niemalże do furii, którą z trudem w sobie zdusiła. Byłoby jednak dziwne, gdybym ukrywał zainteresowanie metrykami, skoro

na plebani w Oporowie szukałem czegoś w tamtejszych aktach, a starsza pani z pewnością już o

tym wiedziała. Tutaj w Mniechu metryki również mogły okazać się pomocne.

- Akta metrykalne? - zareagowała żywo Krystyna. - Z pewnością są. O ile pamiętam,

obejmują okres od początku XIX wieku...

Porucznik Columbo stanowczo zakazał jej udzielania jakichkolwiek informacji, więc

bibliotekarka nagle zamilkła.

- Czego pan szuka, Poruczniku Columbo? - spytała wreszcie Miss Marple.

Detektyw uśmiechnął się tajemniczo i nic nie odpowiedział.

Stał w rogu za ołtarzem, obok drzwi do zakrystii, i oglądał nagrobek rycerza wbudowany w ścianę prezbiterium. Podeszliśmy tam i stanęliśmy za jego plecami.

- Nagrobek pierwszego fundatora murowanego kościoła Stefana Kucińskiego - poinformowała nas Krystyna. - Świadczy o tym napis „Stephanus Kuczinsky” i herby rodowe.

- Pani Krysiu! - fuknął na nią Porucznik Columbo i z pretensją wskazał na nas. - Litości. Niech pani tyle nie mówi.

- Poruczniku Columbo! - warknęła z kolei Miss Marple. - Robi pan tajemnicę z płyty

nagrobkowej? I tak byśmy ją znaleźli.

- A o metryki można spytać tutejszego proboszcza - wtrąciłem.

- Co pan z tymi metrykami? - zirytowała się starsza pani.

- To panią denerwuje?

- Nie, ale jak pan wspomina o tych metrykach, to jakoś dziwnie pan na mnie patrzy.

- Wydaje się pani.

- O, jest i inny nagrobek! - przerwał nam podniecony głos Joli dochodzący z nawy.

Dziewczyna zaczęła zaraz odczytywać jakiś napis.

- Władysław Grotowski... mamy też tablicę pamiątkową księdza Flawiana Kalinowskiego. Proboszcza.

Porucznik Columbo i Krystyna szeptali coś sobie na ucho i nagle ruszyli przez zakrystię na zewnątrz. Po chwili stanęliśmy na ich miejscu przed nagrobkiem Kucińskiego.

Dobrze zachowana płaskorzeźba przedstawiała XVI-wiecznego fundatora stojącego w zbroi, z mieczem przypiętym do pasa. Gapiliśmy się na ten nagrobek kilka minut, potem

uważnie obejrzelśmy ołtarz i pozostałe płyty nagrobne. Aż nagle usłyszeliśmy triumfalne

okrzyki pod nami. Dochodziły one z krypty, grobowiec bowiem znajdował się pod samym

ołtarzem. Znieruchomieliśmy. To krzyczał Porucznik Columbo, a jego triumfalny rechot

zdawał się łaskotać nasze stopy.

- Co tam się dzieje? - zaniepokoiła się Miss Marple. Ruszyliśmy pędem do

zakrystii, a przez nią wydostaliśmy się na zewnątrz. Przed okienkiem do kruchty zastaliśmy siedzących w kucki robotników, którzy zaglądali zaintrygowani do ciemnego pomieszczenia w dole.

Zupełnie nie przeszkadzał nam siąpiący mocniej deszcz, gdyż wnet zdaliśmy sobie sprawę, że przebywający w kruchcie Porucznik Columbo z bibliotekarką coś odkryli.

- Biorę tych dwóch panów za świadków - wrzeszczał w naszą stronę Porucznik Columbo, wskazując na robotników - że to ja pierwszy odkryłem te znaki! Panowie! Stawiam wam duże piwo.

- Czemu nie - ucieszyli się. - Ale lepiej flaszkę. Od piwa głowa się kiwa.

- Ale co pan odkrył, Poruczniku Columbo? - zainteresowała się Miss Marple. Ten zaś podszedł bliżej okienka i zadowolony popatrzył na nas z dołu.

- Jedna z trumien ma trzy znaki - oznajmił i wyjawszy latarkę, poświecił na jedną z nich w głębi kruchty. - Już na oko widać, że to stara trumna. Ale widać tam, o patrzcie, trzy wyżłobione nożem krzyżyki! Widzicie?

Kłęczeliśmy na zmianę przed okienkiem i patrzyliśmy na ową oświetloną trumnę. Faktycznie. Coś tam było. Trzy krzyżyki, z których jeden znajdował się niżej od dwóch pozostałych.

- Co to jest, na Boga? - zdziwiła się Miss Marple.

- Właśnie - bąknęła Jola.

- Jak to co? - zaśmiał się detektyw. - Być może odkryłem skarb przeora! Wygrałem!

Hurra!

- Pani Columbo - zaprotestowała żywo Krystyna. - Odkryliśmy! A właściwie, to ja zwróciłam panu uwagę na te krzyżyki układające się na podobieństwo trzech kamieni Sulimy.

- Ach, to o to chodzi! - zawołał Harry Potter i zwrócił się do Miss Marple. - Herb Sulima, jakim posługiwał się Władysław Oporowski, miał w tarczy trzy kamienie, w układzie dwa i jeden w tak zwany rozstrój. Z pewnością każdy z nas widział ten herb w portalu kaplicy zamku w Oporowie i na zworniku jej sklepienia.

- Ale ja nie rozumiem - zezłościła się Jola - co mają wspólnego jakieś trzy krzyżyki z tymi kamieniami z herbu?

- Nie rozumiesz? - prychnął z wyższością Potter, czym tylko jeszcze bardziej rozsierdził dziewczynę. - Trzy kamienie kwadratowe z herbu przypominają te krzyżyki. Dwa na górze, jeden na dole. W rozstroju!

- Prędzej dostanę rozstroju żołądka, niż pojmę, o co ci chodzi - fuknęła na niego.

- Pani Jolu - zaczął wyjaśniać zadowolony Porucznik Columbo i nawet wyjął z kieszeni płaszcza swoje cygaro. - W trumnie znalezionej w Drzewoszkach leżał prawdopodobnie Kuciński, a powinien spoczywać w tej oto krypcie! Z kolei w tej tutaj trumnie spoczywają kości Władysława Oporowskiego, o czym świadczą owe trzy krzyżyki, symbolizujące trzy kamienie z herbu Sulima. A być może wraz z jego kośćmi znajduje się tam również skarb paulinów.

- Ciekawe - mruknęła Miss Marple. - Przeor przeniósł zwłoki Oporowskiego do Mnicha, trumnę z Kucińskim zaś wywiózł do Drzewoszek. I tam ją zakopał. Ciekawe, ale...

- Ale to bez sensu! - dopowiedziała za nią Jola.

- Nieważne, że bez sensu - krzyczał Porucznik Columbo. - Ważne, że razem z panna Krysią znaleźliśmy trumnę ze szkieletem Oporowskiego. On musi tam być...

I Porucznik Columbo podszedł do starej trumny, próbując podważyć jej obszyte pajęczą siecią wieko, aby dostać się do skarbu.

- Proszę zostawić! - ryknął na niego wasaty robotnik. - Natychmiast! Nie wolno niczego ruszać! Trza zawiadomić o wszystkim proboszcza! Proszę opuścić kryptę!

- Zaraz, chwileczkę! - ryknął w odpowiedzi Porucznik Columbo. - Przecież tę trumnę

już ktoś otwierał przed nami! Teraz widzę dopiero podejrzone smugi i rysy.

Domyśliłem się, że to sprawka nieznanego kierowcy, o którym wspomnieli robotnicy.

- Jazda stąd! - nie dawali za wygraną.

- Już dobrze, dobrze - uspokajał mężczyzn Porucznik Columbo i odsunął się wraz z bibliotekarką od trumny z trzema krzyżkami. - Ale proszę pamiętać, że to my pierwsi

odkryliśmy trumnę. Jesteście panowie świadkami.

Ci w milczeniu skinęli głowami i mocniej naciągnęli kołnierze wystające spod serdaków, jakby chcieli się w ten sposób ochronić przed siąpiącym deszczem.

Odkrycie

Porucznika Columbo i jego muzy Krysi zrobiło na nich wielkie wrażenie, podobnie jak na nas

wszystkich, ale jednocześnie byli przestraszeni, jakby trumna miała sprowadzić na nich i na

całą wioskę jakieś nieszczęście.

Jola westchnęła i popatrzyła na mnie smutno.

- Przegraliśmy, panie Arturze - szepnęła. - Przegraliśmy dwadzieścia tysięcy euro.

11

Czasami odkrycia dokonują się zbyt szybko. Tak było w wypadku naszej zagadki, która - jak się wydawało - znalazła swój epilog w Mnichu. To wszystko odbyło się nijak i bez

naszego udziału. Gdybyśmy przyjechali pół godziny wcześniej przed Porucznikiem Columbo,

to niewykluczone, że i my natrafilibyśmy w końcu w krypcie na ślad trzech wyrytych z boku

trumny krzyży symbolizujących układ kamieni z herbu Sulima. Ale łatwo jest biadolić post

factum, wszakże byliśmy tam, rozmawialiśmy z robotnikami i mieliśmy taką samą szansę jak

Porucznik Columbo i Krystyna, jednak to oni pierwsi zeszli do krypty. My tego nie

uczyniliśmy. Niemniej jednak zrobił to także nieznanomy kierowca, ale odbyło się to w

głębokiej tajemnicy i splendor znalazcy spłynął wyłącznie na Porucznika Columbo. Na pocieszenie pozostała nam szansa na ustalenie kolejności wydarzeń, które

miały

miejsce pamiętnej nocy 1657 roku. Wiele było wątpliwości i nijak nie

potrafiliśmy wyjaśnić,

skąd wzięły się kości Władysława Oporowskiego w mnichowskiej krypcie. Byłem przekonany, że to tam właśnie przeor Gabriel wywiózł trumnę z arcybiskupem.

Jakim jednak

cudem szczątki Kucińskiego znalazły się w Drzewoszkach? Powód wywiezienia trumny z

ciałem Oporowskiego do Mnicha można było jeszcze zrozumieć. Był to opuszczony kościół,

a wiadomo, że Szwedzi w pierwszej kolejności splądrowaliby i spalili kościół należący do

bogatszej parafii. Ukrycie trumny z arcybiskupem stanowiło sprytne posunięcie, gdyż nikomu

nie przyszłoby do głowy plądrować kruchą opuszczonego kościoła.

Ale co wydarzyło się później? Jaka rolę odegrała w tej sprawie znaleziona w

Drzewoszkach tabliczka? Tego nie wiedzieliśmy. Jak i tego, czy w trumnie w Mnichu znajdował się skarb paulinów?! Z niecierpliwością czekaliśmy na przyjazd policji i przedstawicieli Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków po południu. Po obiedzie w miejscowej knajpie udałem się z Jolą na spacer po Oporowie. Ale tak naprawdę poszliśmy odwiedzić Agatę, zasięgnawszy wcześniej u ludzi języka, gdzie mieszka. Nie mogliśmy zapominać, że ona i Krzysiek zrobili wiele w naszej wspólnej sprawie i należało powiadomić ich o dzisiejszym odkryciu. Trochę się o nich niepokoiłem, gdyż nie dawali znaku życia. Kiedy zaszliśmy pod zagrodę, w której mieszkała Agata z rodziną, wyjaśniła się przyczyna dzisiejszej nieobecności młodych ludzi pod zamkiem. Wyszedł nam naprzeciw i stanął za bramą, nie zważając na żonę, ojciec dziewczyny. Był to mężczyzna pod czterdziestkę, dobrze zbudowany i ubrany w bawełnianą koszulę i drelichowe spodnie.

- Czego pan chce od Agaty? - zapytał szorstko.

- Nie przyszła dzisiaj po szkole do zamku i pomyślałem, że stało się coś złego...

- Coś złego? - powtórzył ponuro. - I kto to mówi? Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

- Jest pan jednym z tych detektywów z zamku? - gderał dalej. - To niech pan wie, że Agata ma w szkole nieprzyjemności. Zostałem dzisiaj wezwany przez dyrektora na rozmowę.

- Ale co się stało?

- A to, że córka zamiast wbić do głowy wiedzę, wałęsa się po okolicy i zabawia w detektywa. Podobno obiecał jej pan jakieś pieniądze. To prawda?

- Chodziło o procent od nagrody - wyjaśniłem. - Ale co się stało?

- Agata wcale nie chodzi do szkoły!

Dopiero teraz zrozumiałem - Agata i Krzysiek mnie oszukali - Opuszczali zajęcia, przestali nawet chodzić do szkoły. Zostali detektywami kosztem nauki. Był to policzek dla mnie jako nauczyciela. Klęska i hańba.

- W zeszłym roku miała problemy z matematyką! - grzmiał ojciec. - Przeszła cudem.

Ale teraz mamy nowy rok i znowu zaczęła wagarować. Co za wstyd. Co to się teraz porobiło z dzieciakami?

- Moim zdaniem są takie same jak kiedyś, tylko my wydorosleliśmy i inaczej widzimy świat. Poza tym świat się zmienia. Niekoniecznie w dobrym kierunku.

- Gadanie! - zachnął się. - To znaczy, że popierasz pan łażenie Agaty z tym całym Krzyśkiem po okolicy?

- Nie popieram! Mało tego, jest mi przykro, gdyż sam jestem nauczycielem i...

- Że co? - zerknął na mnie zaskoczony. - I pan przyzwoliłeś dzieciakom na zabawę w Sherlocka Holmesa w godzinach szkoły?! Kto tu wydorosłał?! Ludzie! Co za czasy! Nauczyciel powinien być w szkole i dzieci uczyć! Co nie? Ale może to i dobrze, że pan nie uczy... bardzo dobrze. Dla dzieciaków.

Ojciec Agaty odszedł od bramy i ruszył w stronę domu. Odchodząc stamtąd, miałem wrażenie, że w oknie na pierwszym piętrze zafalowała firanka, a za nią pojawiła się głowa Agaty. Tak, to była ona! Dawała nam ręką znaki. Zatrzymaliśmy się. Agata

otworzyła okno i wyrzuciła przez nie jakieś zawiniątko, które poszybowało nad ogrodzeniem i spadło na ziemię tuż przed naszymi stopami. Był to zmięty papier. Ta wizyta przygnębiła mnie do reszty. Wracając w zacinającym deszczu, zdałem sobie sprawę, że to ja byłem odpowiedzialny za szlaban, jaki miała w domu Agata. Krzysiek także się nie pojawił, co źle wróżyło. Liścik od Agaty nie poprawił mi humoru. Dziewczyna donosiła, że ma problemy z ojcem (ani słowa o nauce!) i nie może się z nami spotkać. Było kilka słów o Krzyśku - chłopak pojechał rano do Kutna na ulicę Barlickiego i do tej pory nie dał znaku życia. Na dole kartki widniała treść zadania matematycznego, którego dziewczyna nie rozumiała, a musiała je rozwiązać na jutro. „Błagam pana - pisała w liściku - niech pan włoży rozwiązanie zadania do dziupli dębu. Rano je stamtąd zabiorę. Ratunku, panie Liberalesie!” Zadanie było łatwe. Należało obliczyć objętość Jowisza na podstawie niektórych tylko danych, jak chociażby czas podróży wokół równika tej planety przez wymyślony statek kosmiczny. Smutne było to, że Agata nie potrafi sama rozwiązać zadania i prosi o to... nauczyciela matematyki. Niestety nie było końca. Wróciliśmy na zamek i natknęliśmy się na starszego brata Krzyśka. Chłopak miał około osiemnastu lat i poznał nas bez trudu. - Krzyśka nie było dzisiaj w szkole - powiedział smutno. - Wiem, że pojechał do Kutna, śledzić kogoś... podejrzanego gościa. Myślałem, że może wrócił... Rozejrzał się dookoła, jakby szukał brata. Głośno westchnąłem i bezradnie rozłożyłem ręce. - Agata też nie wie, gdzie jest Krzysiek. Obiecałem mu, że jeszcze dzisiaj pojedę do Kutna i odnajdę jego brata. A potem w minorowych nastrojach pojechaliśmy do Mnicha. Przy otwarciu trumny obecni byli wszyscy detektywi, oprócz jak zwykle zmęczonej Miss Marple. Przybył proboszcz mnichowskiego kościoła pod wezwaniem św. Joachima. Zjawili się wysłannicy lokalnej i ogólnopolskiej prasy. Na jutro zapowiedziała się także ekipa telewizyjna. Kilkunastu gapiów ze wsi wolało obserwować nas z pewnej odległości. - Jakim cudem ta trumna przeleżała tu trzysta pięćdziesiąt lat? - zadawaliśmy sobie wszyscy to pytanie. - Wiecie, państwo - opowiadał zadowolony z rosnącej popularności swojej świątyni proboszcz. - To dziwna parafia i dziwny jest sam kościół. Często nie było w nim stałego plebana, a miejscowa ludność kradła wyposażenie kościoła. Chodzili też ludzie po innych parafiach na mszę. Znowu w czasie drugiej wojny światowej, gdy wszystkie kościoły kutnowskie pozamykano i pozamieniano na składy, ten nasz był przez cały czas czynny. Przez te lata nie zginął ani jeden XIX-wieczny obraz z ołtarzy, nie zginęły też trumny. Ale po co komu trumny i stare kości? A i ludzie nauki nie kwapili się, żeby zbadać ten kościół. Aż do dzisiaj. W kościele w Mnichu jeszcze przed nastaniem zmroku otwarto trumnę, a w jej wnętrzu znaleziono zmumifikowane ludzkie szczątki tkwiące w resztkach czegoś

przypominającego całun. Dotknięcie groziło rozsypaniem się ich w proch. Tak ponoć często dziano się z ciałami, które przeleżały kilkaset lat w suchym miejscu. Te były szczelnie zamknięte i przeleżały przez wieki nietknięte. Udało nam się zerknąć dosłownie na kilka sekund do wnętrza trumny, ale żadne z nas nie zauważyło wewnątrz skarbów. Aby się o tym przekonać, musieliśmy czekać.

- Rano przysłaliśmy pierwszy raport - powiadomił Ewę zaprzyjaźniony pracownik laboratorium. - Do jutra.

Przed wyjazdem do Kutna pojechaliśmy jeszcze do Oporowa. Dowiedzieliśmy się, że podczas naszej nieobecności pojawił się Hannussen. Widziało go kilka osób: strażnik, pracownica sekretariatu pani Bogusia i Miss Marple. Jasnowidz pojawił się na chwilę i szybko odjechał.

- To był on - opowiadali. - W płaszczu i kapeluszu wysiadł z samochodu i poszedł prosto do Domku. Zaraz wyszedł z bagażem i odjechał.

- Nie mówił, gdzie był? - pytał Bond. - I co zamierza robić?

- Nie rozmawiałem z nim - poinformował strażnik.

- Ja z nim rozmawiałam - odezwała się Miss Marple. - Jak tylko zobaczyłam, że zajechał, wyszłam do hallu. Ale nie chciał niczego powiedzieć. Zostawił jedynie wiadomość dla wszystkich, że rezygnuje z pojedynku detektywów.

- Niedługo wszyscy opuścimy to miejsce - stwierdziłem. - Porucznik Columbo okazał się najlepszy i znalazł trumnę Oporowskiego.

- Wstrzymajmy się z werdyktem do rana - zauważyła Ewa.

- Racja, racja - mruknął zadowolony Porucznik Columbo i spojrział na zegarek. - O, przepraszam państwa. Muszę was opuścić.

- A co? - ironicznie zagadnęła go Lara. - Zamykają właśnie bibliotekę? Porucznik Columbo zamiast odpowiedzi posłał jej czarujący uśmiech i oddalił się pośpiesznie w stronę biblioteki, po swojego współnika w spódnicy - Krystynę. Pod zamek zajechała niespodziewanie taksówka. Okazało się, że zamówiła ją Miss Marple.

- Wybiera się pani może do Kutna? - zapytałem ją. - Właśnie tam jedziemy.

- Nie, nie do Kutna - zaprzeczyła. - Bardzo dziękuję. Muszę do Łodzi. Dostałam telegram. Wrócę niebawem. Wieczorem. A może i rano.

Przed wyjazdem do Kutna włożyłem w szparę drzwi naszego pokoju kolejną zapałkę. Od pewnego czasu bowiem ktoś nieustannie składał nam wizyty, gdy opuszczaliśmy na dłużej Oporów. Wydawało mi się, że dobierał się także do laptopa, którego tajemnic strzegło założone przeze mnie hasło.

\*

W Kutnie nie natknęliśmy się na Krzyśka. Zmartwieni i znużeni obserwacją domu na ulicy Barlickiego poszliśmy do znanej nam już cukierni na deptaku. Było pełno ludzi, ale nic dziwnego, skoro pogoda się pogorszyła i ludzie woleli siedzieć w ciepłe, popijając herbatę i zajadając ciastka. W dalszym ciągu siąpił ten przeklęty kapuśniaczek, który przyniósł nam dzisiaj pecha. To był czarny wtorek.

- Chyba wracam do Warszawy - smutno oznajmiła Jola, gdy na stoliku pojawiły się filiżanki z gorącą czekoladą.

- Poczekajmy jeszcze jeden dzień na wieści z laboratorium.

Byliśmy jacyś markotni, a nasze milczenie umilały nam ludzki gwar i subtelna muzyka Vivaldiego.

- Już od kilku dni nie ćwiczyłam - odezwała się niespodziewanie Jola, ale tym



razem

uderzyła w sentymentalny ton. - W wygodnym i ciepłym domu czeka na mnie mój fortepian i

dopomina się o pasaża. Biedna jestem. Zamknięta w domu, odizolowana od świata ćwiczę

dniami i nocami wielką muzykę i wydaje mi się, że to jest cały świat, że jestem w stanie

zrozumieć duszę tej muzyki. Jak mogę to osiągnąć, ćwicząc do znudzenia sonaty, preludia i

pasaża, a jednocześnie będąc odizolowana od epoki, od problemów, które trawiły genialnych

kompozytorów. Nie można czegokolwiek zrozumieć bez znajomości historii danego człowieka. Każda fraza Sonaty księżycowej jest fragmentem życia Beethovena,

porcją jego

nieszczęścia i pasji, jego krwią i marzeniem. Każdy dźwięk to kawałek ludzkiego dramatu i

chwila szczęścia. Jak je odnaleźć w tych dźwiękach, panie Arturze? Podobnie jest z tabliczką

przeora, gdzie każdy element układanki wymyka się interpretacji, jakby bronił się przed

intruzami gotowymi wydrzeć im tajemnicę. Ślady przeszłości, czy to będą nuty, czy rękopisy,

czy hieroglify, błagają o pokorę. Tak, za mało mamy w sobie pokory, panie Arturze. Nigdy

nie zostanę dobrą pianistką...

- Grasz świetnie - pocieszyłem ją, bo tylko tyle mogłem dla niej zrobić.

- Ale tu nie o to chodzi - machnęła zrezygnowana ręką. - Ja tylko odgrzewam cudzą

muzykę. Ale jak ją zgłębić? Chciałabym wiedzieć, ile naprawdę waży każda nuta Bacha,

Mozarta czy Chopina. Jaki był ich pierwotny smak?

- Obawiam się, że tego nie sposób się dowiedzieć - odparłem zdumiony głęboką mądrością jej słów. - I to jest właśnie piękne. Tajemnica. Ona nas inspiruje, czaruje i uwodzi.

Zmusza do interpretacji. A interpretacja może być twórcza.

- Więcej pokory wobec świata i historii - szepnęła jeszcze.

- Pokory nigdy za mało. Ale i nie za dużo.

Po siódmej wieczorem poszliśmy znowu na ulicę Barlickiego. Stanęliśmy pod drzewkiem i czekaliśmy, modląc się w duchu, aby nadjechał ford. W oknach na parterze

obserwowanego domu paliło się światło, ale oczekiwany samochód nie przyjeżdżał, ani nie

wyjeżdżał. Być może kierowca siedział już w domu i szykował się do snu.

- Wracamy? - zaproponowała Jola i zaczęła szczerkać z zimna zębami. - Marzy mi się

kubek gorącej herbaty.

Dalsza obserwacja nie miała sensu. Był już wieczór, a my skostnieliśmy w przenikliwym chłodziu, poza tym chciało się nam spać. Wróciliśmy do

zaparkowanego

Traktora i nagle w głębi ulicy ujrzałem owego wysokiego blondyna, który wczoraj wysiadł z

forda. Wychodził z zamykanego właśnie sklepu i niósł duże zakupy, a właściwie dźwigał je

oburącz, podtrzymując dla pewności brodą. Wczoraj znikł nam w tłumie przechodniów, ale

teraz nadarzała się wymarzona okazja do wyśledzenia go.

- Po co mu tyle jedzenia? - zdziwiła się Jola. - Wybiera się na piknik?

- Idziemy za nim - przyciągnąłem Jolę do siebie. - Na wszelki wypadek udawajmy parę.

Jola nie protestowała i mocniej uchwyciła się mojej ręki.

„Nie daj Boże, żeby zobaczyli mnie teraz moi uczniowie” - pomyślałem rozbawiony

sytuacją, chociaż wcale nie było mi do śmiechu.

Mężczyzna skręcił w jakąś mniejszą uliczkę i kluczył. Szedł bez parasola i wcale nie

zważał na siąpiący na jego jasną czuprynę deszcz, kierował się na południe bliżej Ochni

przepływającej przez Kutno. Na nasze szczęście, ani razu nie obejrzał się za siebie. Po chwili

wyszedł wprost na fasadę trzygwiazdkowego hotelu i wnet znalazł się na jego wysłużonych schodkach.

- Mieszka tutaj - szepnąłem. - Mieliśmy rację. To cudzoziemiec.

- Przypomina Niemca albo Skandynawa!

- Albo Holendra.

- Tylko dlaczego kupił tyle prowiantu? Przecież mieszka w hotelu i ma restaurację pod nosem.

- Nie wiem, ale na początek warto by było ustalić jego tożsamość - zaproponowałem.

Zapomnieliśmy o deszczu, o jesiennym chłódzie i o całym przeklętym wtorku.

Przybyliśmy do Kutna po Krzyśka, a przypadkowo spotkaliśmy cudzoziemca. Jednakże ten

trop należało zbadać. Intuicyjnie czułem, że to pomoże nam w odnalezieniu chłopaka. O ile

Krzysiek nie wrócił już do Oporowa!

Weszliśmy za cudzoziemcem do hotelu, zastanawiając się, jak zdobyć jego nazwisko albo choćby numer pokoju? Przebierając się za kelnera, czy udając boya hotelowego? W

filmach bohaterowie z łatwością wkładają na głowę perukę, zmieniają głos i nakładają fartuch

kelnera. Ale w rzeczywistości trudno o podobne rekwizyty.

Cudzoziemiec podszedł do recepcji po klucz, a my przyczailiśmy się za dorodną palmą.

- Pan tu zostanie, a ja ustalę numer jego pokoju - zaproponowała Jola.

- Ale jak?

- Później panu powiem. Teraz nie pora na wyjaśnienia.

I opuściła mnie. Wsiadła do windy razem z blondynem, a wtedy wyłowiłem z grupki hotelowych gości opuszczających drink bar znanego mi osobnika. To był ostrzyżony najeża

wspólnik Lary Croft: Bużka.

Schowałem się głębiej za palmą i w napięciu obserwowałem złodzieja Traktora, obawiając się, że widział Jolę wsiadającą z cudzoziemcem do windy. Wszystko wskazywało

na to, że jej nie rozpoznał (mokre włosy pozlepiane w strąki potrafią zmienić niejedną twarz).

Ale nawet jeśli Bużka nie rozpoznał dziewczyny przed chwilą, to mógł to uczynić niebawem,

gdy ta wróci na dół. Jednakże Jola nie wracała, a Bużka kursował między barem a hallem.

Po pół godzinie czekania skorzystałem z okazji, że wszedł do baru, i wylazłem z za

palmy. Podszedłem do kiosku, kupiłem gazetę i rozsiadłem się na miękkim fotelu, który w

moim domu na Okęciu mogłyby z powodzeniem służyć za wersalkę. Usiadłem w takim miejscu, aby mieć widok na wejście do baru i nie być widocznym dla Bużki. Dla świętego

spokoju otworzyłem gazetę, którą zasłoniłem sobie pół twarzy.

Wreszcie pojawiła się podekscytowana Jola i pędem rzuciła się w moją stronę.

Wyszedłem jej naprzeciw.

- Nie tędy - syknąłem przez zęby i pociągnąłem ku schodom.

Z korytarza udało nam się wyjść na zewnątrz wyjściem ewakuacyjnym.

- Mamy go! - podskoczyła z radości. - Holender jest zamieszany w sprawę

tabliczki!

- Skąd wiesz? - zdziwiłem się.

- Że to Holender?

- To też - zniecierpliwilem się. - Opowiadaj wszystko po kolei.

W drodze do zaparkowanego Traktora Jola opowiedziała, co porabiała przez prawie trzy kwadranse na drugim piętrze trzygwiazdkowego hotelu.

- Mieszka w pokoju numer trzydzieści osiem - mówiła z przejęciem, nie zważając na

chłód nocy. - Nazywa się Eric van Klomper. Poszłam za nim i udałam, że zgubiłam klucz.

Blondyn zaraz mnie zauważył kręcącą się po korytarzu. Holendrzy to uprzejmi ludzie i znają

angielski. Zaprosił mnie do siebie i pozwolił skorzystać z telefonu. Wykręciłam fałszywy

numer i udawałam, że rozmawiam z recepcją. I jakoś tak niespodziewanie Holender zaproponował drinka.

- I wypijaś? - zapytałem nie bez cienia zazdrości.

- A co miałam robić? - broniła się. - Byłam w paszczy lwa, musiałam improwizować.

- To umiesz nieźle - mruknąłem, nie wiedząc czemu poirytowany. - Często nie mogłem zasnąć od tych twoich improwizacji na fortepianie.

- Ale teraz musiałam improwizować inaczej - stwierdziła i uchwyciła się mojej ręki

tkwiącej w dżinsowej kurtce. - Jako detektyw! Przecież po to tutaj jesteśmy, nieprawdaż?!

- No dobra, co dalej?

- W pokoju Erica van Klompera nie było żadnych map na stole, zapisków, notatnika,

żadnego śladu mogącego nas na cokolwiek naprowadzić. Spytałam go, co porabia w Polsce.

Odpowiedział, że przyjechał w interesach. Poza tym szykował się do snu, gdyż taktownie

ziewnął. Bąknął coś o porannym spotkaniu z biznesmenami. Nie było innej rady. Musiałam

opuścić pokój. Zresztą wyglądałoby dziwnie, gdybym się ociągała z wyjściem. Ale z kosza na

śmieci wyciągnęłam to. Podała mi pomiętą kartkę.

- Eric van Klomper dzwonił do recepcji - opowiadała dalej - żeby zbudzili go rano i

wtedy włożyłam rękę do kosza.

Było ciemno, drobne krople deszczu wciąż spadały na ziemię, więc dopiero w samochodzie udało mi się obejrzeć zapisaną kartkę. Był to rysunek!

Zazwyczaj na kartach powieści stosuje się zwrot mający na celu opisanie stanu emocjonalnego bohatera, krótką, szablonową formułą typu: „odjęło mu mowę”. Nigdy ta

ograna fraza nie pasowała lepiej do mojego stanu ducha.

Wyobraźcie sobie pomiętą, żółtą kartkę papieru wyrwaną z notatnika formatu A-4, a

na niej odręcznie wykonany szkic oporowskiej tabliczki! Z tym, że to była inna tabliczka od

tej znalezionej w Drzewoszkach. Różniła się kilkoma detalami. Na marginesie widniały

bohomyzy, zakreślenia, znaki zapytania i wyglądało na to, że autor tych zapisków męczył się

nad rozszyfrowaniem znaków wpisanych w pola tabliczki.

- Co za czort? - udało mi się w końcu coś powiedzieć. - To, że ten van Klomper jest

zamieszany w historię ze skarbem paulinów wiedzieliśmy już wcześniej, ale skąd, do diabła,

ten blondyn wytrzasnął ten szkic? O co tutaj chodzi?

Nowa tabliczka wykradziona przez Jolę z pokoju Holendra wyglądała tak:

W słabym świetle samochodowej żaróweczki zainstalowanej nad naszymi głowami nie potrafiliśmy rozszyfrować przesłania tej tabliczki, ale nie uszły naszej uwagi pewne

zmiany w rozmieszczeniu niektórych znaków i ich kształtu w porównaniu z tabliczką z

Drzewoszek.

- Spójrz na nasze „zero” - powiedziałem podekscytowany. - Jest grubsze i mniejsze. I

nie wiadomo, czy to „zero”, czy litera „0”. Harry Potter miał rację. Ale to Hannussen wyczuł ten znak!

- Jakim cudem? Przecież oni nie widzieli rysunku z nową tabliczką.

- Może Potter naprawdę jest magiem, a Hannussen nieprzeciętnym jasnowidzem?

Dalej. Popatrz na arabską czwórkę w prawym górnym rogu. Nieco niżej mamy znak nierówności. Na tabliczce z Drzewoszek te znaki znajdziemy w innym miejscu.

- Tak samo jak i „M” w dolnym lewym rogu! - zauważyła Jola.

- Brawo! Ponadto litera „M” i arabska „czwórka” zmieniły kształty. Popatrz na literę

„L” w rzymskim zapisie daty. Nie ma tego łuku wygiętego w lewo. Hm - zamyśliłem się -

niby ta sama tabliczka, a jednak inna.

- Musimy ją dokładniej przestudiować.

- To już nie wracasz do Warszawy?

- Pan żartuje? Po tym odkryciu?!

Popatrzyłem na nią ciepło.

- Gratuluję, Jolu. Spisałaś się znakomicie. Dziękuję.

Cmoknąłem ją w policzek. Nie odezwała się i czułem, że się spieszyła. Pewnie w pełnym świetle ujrzałbym jej rumieńce.

Najgorsze, że misja odnalezienia Krzyśka nie powiodła się i musieliśmy wracać do Oporowa bez niego. Liczyłem w duchu, że chłopak wrócił do domu z jakichś wagarów, ale

miałem przeczucie, że to porwanie.

- Powinienem zadzwonić do Demiurga i poprosić go o nazwisko mężczyzny

mieszkającego na ulicy Barlickiego - powiedziałem i zapaliłem silnik. - Pora wykorzystać

znajomości.

Ta myśl pozwoliła nam spokojnie pojechać do Oporowa. Nasz nastrój zmienił się wraz z wejściem do pokoju w Domku.

Zostałem w nim ślady świadczące o tym, że znowu ktoś tutaj buszował. Zapałka znikła ze szpary w drzwiach, szafa zaś była niedomknięta. Ktoś znowu dobierał się do

laptopa, ale założone hasło uniemożliwiło mu przejrzanie moich plików. Cwaniak szukał

rozwiązania szyfru i pewnie myślał, że mogę być bliski sukcesu. Kto tak bardzo mnie cenil?

- To ktoś z naszego grona! - zdenerwowała się Jola.

- Wykluczam Porucznika Columbo, gdyż ten świętuje już swoje zwycięstwo -

powiedziałem, rozsiadłszy się w fotelu. - Hannussen opuścił nas, więc on również odpada.

Zostają nam James Bond, Harry Potter i Miss Marple.

- Ale starsza pani wyjechała do Łodzi.

- Właśnie. To był albo Potter, albo Bond. Stawiam na tego drugiego.

Były to czyste spekulacje, chociaż Bond mieszkający po sąsiedzku miał najłatwiejszy

dostęp do naszego pokoju. Poza tym ostatnio był dziwnie skupiony, przyczajony, zupełnie

jakby szykował się do ataku. Tygrys przed atakiem także wyczekuje ukryty na gałęziach

drzew. A kiedy uśpiona ofiara drwi sobie ze strachu - zrywa się do morderczego skoku.

W świetle lampy dokładnie obejrzeliliśmy odręcznie narysowany szkic tabliczki i

porównaliśmy ze starą, odkopaną w Drzewoszkach. Sumaryczna liczba znaków była identyczna, nawet ich konfiguracja nie uległa zasadniczym zmianom. Tabliczki różniły się tym, że zmieniło się położenie tylko niektórych znaków. Na przykład litera „M” znalazła się w dolnym lewym rogu, arabska „czwórka” zaś w górnym rogu po przekątnej. Znak „krzyża” umieszczony został na dole tabliczki, znak nierówności na górze. Jedynie „zero” pozostało na swoim miejscu, to jest - w samym środku tabliczki. Inny był zapis litery „L” w rzymskiej dacie na samej górze tabliczki. Ta „nowa” miała prostą, „średniowieczną” formę. Pozostałe litery nie zmieniły układu i nadal nie potrafiłem nic z nich wyczytać. Ciekawe były też notatki cudzoziemca naniesione na marginesie tabliczki, choćby niewyraźne słowo „Modrzew”.

- Co pan o tym sądzi? - zapytała mnie Jola.

- Nie wiem, nie wiem - zastanawiałem się. - Wygląda na to, że Holender jakimś cudem zdobył inną tabliczkę. Może prawdziwą? Nie wiem. Dlaczego te a nie inne znaki

zostały przetasowane? Co oznaczają: litera „M”, „zero”, znak nierówności i arabska „czwórka”.

- Może Matusiak podrobił tabliczkę? - myślała na głos Jola.

- Wykluczone. Tamta z Drzewoszek została przebadana przez naukowców. Zrobiono ją w XVII wieku! Może były dwie tabliczki? Wygląda to tak, jakby szkic, który zabarałaś z

pokoju cudzoziemca, przedstawiał oryginalną tabliczkę. Ten rzymski zapis daty pasuje do

stylu pisania przeora.

AD MDCLVII

- Brak tu kropek po literach „A” i „D” i występuje zwykle „L” - kontynuowałem. - Wprawdzie przeor lubił stosować tak zwane szeryfy w literach stanowiących zapis dat, ale

chyba nie chciałoby mu się kaligrafować rylcem w metalu.

Myśleliśmy i myśleliśmy, ale nic nie potrafiliśmy wymyślić. Około pierwszej w nocy

przypomniałem sobie o prośbie Agaty i naprędce rozwiązałem dla niej zadanie matematyczne

na jutro.

- Co za ironia losu - zwróciłem się do sennej Joli. - Zawsze ścigałem uczniów za ściąganie, stawiałem za to pały, a teraz, proszę, sam pomagam im ściągać. Ba, nawet nie

ściągać. Ja robię gotowca! Ale co mogę zrobić? Nie mogę nauczyć jej matematyki, gdyż ma

szlaban. No, ale dzięki temu jest przynajmniej bezpieczna. A Krzysiek? Wolę nie myśleć, co

się z nim stało.

Z odpowiedzią musieliśmy poczekać do rana.

- Krzysiek nie wrócił - poinformowała nas nazajutrz opierająca się o pień starego dębu

blada Agata. - Była u niego nawet policja. Mnie też przesłuchiwali. Proszę pana, co się z nim

stało? Boję się.

- Nie wiem - poklepałem ją po ramieniu. - Ale daję ci słowo, że zajmę się tą sprawą.

Proszę, oto twoje zadanie. Idź teraz do szkoły. Może cię podwieźć?

- Nie - zaprotestowała. - Lepiej, żeby ojciec mnie z panem nie widział.

- Wiesz co? - wpadłem na pewną myśl. - A może Jola zawiezie cię do Żychlina? To był dobry pomysł. Jola pobiegła po malucha i wnet zabarała dziewczynę do

Żychlina. Ja tymczasem udałem się do pawilonów. Była siódma z minutami i właśnie je otwierano. Kupiłem coś do jedzenia, a w dziale przemysłowym nabyłem parę tanich zegarków elektronicznych, tak zwanych jednorazówek. Schowawszy je do kieszeni, ruszyłem na zamek. Zawieszona w ciężkiej mgłę, snującej się po parku, ceglana twierdza budziła się ospale do życia. Po parku biegała Lara, która przeczyła senności przyrody, przed fosą zaś parkował policyjny polonez, o którego bok opierali się dwaj funkcjonariusze. Zbliżyłem się do nich pełen obaw, złych przeczuć i zarazem wstydu. Sprawa Krzysztofa nie dawała mi spokoju. Jako pedagog poniosłem klęskę i zanosilo się, że przegram również jako detektyw.

- Panowie pewnie do mnie?  
- Pan Artur Burski? - spojrzeli na mnie niechętnie.  
- Liberales - wyrwało mi się, ale zaraz zamilkłem.

Zdażyłem już przywyknąć do tego idiotycznego pseudonimu. Tu na prowincji, z dala od współczesnego zgiełku cywilizacji, karmiony wspomnieniami zamierzchłej epoki i zahipnotyzowany bliskością zamkowych murów, pamiętających radość jego mieszkańców i jęki torturowanych w podziemiach - zatraciłem poczucie rzeczywistości.

- Panowie w sprawie Krzysztofa? - zacząłem nieśmiało.

Wysoki i szczupły policjant w kusym mundurze sięgnął po papierosa i patrzył na mnie spode łba. Na teren zamku wjechał służbowy żuk, z którego wysiadła Ewa.

- Jesteśmy z komendy w Kutnie - przedstawił się wreszcie policjant. - Rodzice Krzysztofa zgłosili zaginięcie syna. Podobno pan go zna?

- Tak, to prawda.  
- I nie ma pan pojęcia, gdzie chłopak przebywa? Jest pan nauczycielem i trudno pana podejrzewać o porwanie i tak dalej. Ale może Krzysztof zwierzył się panu z tego i owego?

- Pewnie pojechał na ulicę Barlickiego do Kutna...  
- A po co? - zapytał drugi policjant.

Opowiedziałem im o kierowcy forda fiesty, o Ericu van Klomperze i moich podejrzeniach związanych z osobą Matu-siaka ze wsi Drzewoszki.

- Rozumiem - westchnął pierwszy policjant. - Bawicie się w detektywów, co? Tak mówią na wsi. Wasza sprawa, ale po co mieszkacie w te głupoty miejscową młodzież. Podeszła do nas Ewa.

- Co się stało? - wystraszyła się.  
- Zaginał miejscowy chłopak - odpowiedziałem za nich. - Krzysztof. Niestety nie wiem, gdzie może przebywać w tej chwili. Wiem, że samowolnie opuścił szkołę i pojechał do Kutna. To wszystko. Mogę obiecać, że go poszukam.

- O nie, nie, nie - powstrzymał mnie pierwszy policjant. - My się tym zajmujemy! Policjanci ruszyli w stronę poloneza.

- A właściwie, to w co się tutaj bawicie? - zainteresował się drugi, wsiadając do wozu.

- Szukamy skarbu paulinów - odpowiedziała za mnie Ewa.  
- Doprawdy? Ludzie mówią, że na zwycięzcę czeka wysoka nagroda?  
- Dwadzieścia tysięcy euro.  
- Fiu, fiu - zagwizdali z podziwu policjanci. - Dla takiej sumy można zrobić niejedno głupstwo.

I odjechali.

- Na Jowisza! - zaklął przez otwartą szybę żuka kierowca, pan Andrzej, który słyszał moją rozmowę z policjantami. - Ale się porobiło, kurde bele.

Po chwili zostałem przed zamkiem sam z panią kustosz. Unikała mego wzroku, nie

patrzyła na mnie, zresztą szybko odwróciła się do mnie plecami i ruszyła do zamku.

Poczułem się nieco upokorzony.

- Kiedy otrzyma pani pierwsze wiadomości z laboratorium? - zawołałem.

Zatrzymała się na środku mostu i spojrzała w moją stronę.

- Wkrótce - odpowiedziała łaskawie i zatrzymała wzrok na kimś za moimi plecami. To był James Bond. Zbliżał się krokiem miękkim i sprężystym. Człowiek sukcesu, syn

marnotrawny, wieczny kawaler, który instynktownie wiedział, czego potrzebują kobiety.

Urodzony farciarz. Przeklęty inteligent. Marzenie kobiet i obiekt zazdrości mężczyzn. Płynął

piaszczystą alejką z wyprężoną piersią i z uwodzicielskim uśmiechem na twarzy. Szedł na

spotkanie z Ewą niczym spragniony miłości kochanek. Przywitali się, jak na mój gust, zbyt

czule i wnet ruszyli zadowoleni do zamku.

Zostałem sam przy mostku z poczuciem totalnej klęski. Nie dla mnie była ta Ewa. Im

bardziej pragnąłem jej towarzystwa, tym łatwiej mi się wyrwała, stawała obca, nieuchwytna.

Pod zamek zajechał maluch i wyrwał mnie z zadumy. Wsiadła z niego Jola, moja warszawska sąsiadka, z którą teraz dzieliłem pokój w Oporowie. Ta zupełnie różniła się od

Ewy. Przede wszystkim lubiła mnie. Ba, ona była nawet o mnie zazdrosna! Jej spojrzenie

odprowadzające piękną kustosza miało w sobie tyle samo dobroci, co ostrze sztyletu.

- Gruchające gołąbki - rzuciła w stronę znikających w zamkowej sieni Ewy i Bonda.

Nie odpowiedziałem. Poszliśmy zjeść śniadanie.

W hallu Domku spotkaliśmy Miss Marple, która niedawno wstała i krzątała się zaspana. Przyszedł Potter i zabrał się za mleko. Nikt nie był dzisiaj rozmowny.

Wszyscy

czekali na raport Ewy.

Wkrótce po śniadaniu zakomunikowano nam, że prace w laboratorium się przeciągają i nic jeszcze nie wiadomo o szkielecie znalezionym w Mnichu. Zawiedzeni rozstaliśmy się.

W pokoju odbyłem z Jolą naradę. Uzgodniliśmy plan postępowania. Tego dnia wypogadzało się, ale było jeszcze pochmurno. Zerwał się silniejszy wiatr z zachodu -

zapowiedź rychłej zmiany pogody. Póki co nie padało, ale szarość spowiła kutnowską ziemię,

karząc nas ponurą aurą.

Przed opuszczeniem pokoju włożyłem pod dywanik przed drzwiami dwa zegarki, które dzisiaj kupiłem w pawilonie.

- Co pan robi? - zainteresowała się Jola.

- Ktoś przychodzi tutaj, gdy nas nie ma. Musimy ustalić, kto to. Chciałbym dorwać

Bonda na myszkowaniu w mojej torbie. Och, jak bardzo chciałbym go dorwać!

- Pan jest zazdrosny? Prawda? - zazgrzytała zębami. - O tę Ewę? Niech pan to wreszcie wydusi z siebie!

- O czym ty gadasz? Masz przywidzenia.

- Lepiej niech pan spojrzy w lustro.

- Że nie ogoliłem się dzisiaj? O to ci chodzi? A tak, nie goliłem się dzisiaj i wczoraj.

Zdaje się, że Jola nie miała na myśli mojego zarostu. Zła na mnie zeszła na dół, zignorowawszy w ten sposób moje mętne wyjaśnienia. Dopiero usadowiwszy się na przednim

siedzeniu Traktora, ponownie zapytała o te zegarki, musiałem jej więc wyjaśnić, na czym

polega mój podstęp.

Przed wyjazdem do Kutna odwiedziliśmy na krótko plebanię w Oporowie.

- Chcę jeszcze raz zerknąć na te metryki - wyjaśniłem Joli. - Nie daje mi spokoju ten

odnotowany przez Miss Marple luteranin z Holandii z XVII wieku. Georgius Bas. Niby nic

wielkiego, ale jak wyjaśnimy zainteresowanie van Klompera sprawą tabliczki, i Miss Marple

jakimś jego dawnym rodakiem, który zawitał w te strony?

Proboszcz był w dobrym humorze i pozwolił nam na przejrzenie starych metryk.

Niestety, półgodzinna lektura nie przyniosła żadnych spodziewanych rezultatów. Żadnej

dodatkowej wzmianki o niejakim Georgiusie Basie nie znaleźliśmy.

- Jedziemy do Mnicha - poinformowałem dziewczynę, gdy ruszyliśmy spod kościoła.

- Po co? - zdenerwowała się. - Czego pan szuka?

Na plebani w Mnichu poprosiłem tamtejszego proboszcza o stare akta metrykalne.

- Metryki? - uniósł jedną brew ku górze. - Dobrze. Mam je przygotowane. Ta starsza

pani je wczoraj przeglądała. Mam je na wierzchu.

- Była tutaj Miss Marple? - popatrzyłem na niego zdumiony.

- Marple? Nie. Przedstawiła się jakoś inaczej. Ona, proszę państwa, jest autorka kryminałów.

Proboszcz przyniósł nam stos ksiąg metrykalnych, które pokrył kurz zapomnienia.

Teraz mogliśmy je przywrócić do życia, chociaż już wczoraj „reanimowała” je z powodzeniem Miss Marple. Podczas gdy my szukaliśmy odpowiednich dat i nazwisk, proboszcz pytał nas o badania trumny znalezionej wczoraj w kościele. Potem poszedł zrobić

nam herbaty, zostaliśmy więc w pokoju sami z grubymi księgami.

Wreszcie po dwóch kwadransach znalazłem pierwszy ślad. Były to akty zaślubin i chrztów z zimy 1658 roku. Niestety, kartka została wyrwana i wszystko wskazywało na to, że

uczyniono to niedawno. Ślad był świeży. Zresztą w aktach nie brakowało żadnej innej kartki,

a były tam setki pożółkłych prostokątów, na których wprawna ręka wpisywała dawno temu

tydzień po tygodniu kolejne fakty z życia osady.

- Ktoś wyrwał tę jedną kartkę celowo - stwierdziłem. - Nie wierzę w zbieg okoliczności.

- To pewnie sprawka naszej Marple.

- Czemu grzebie w metrykach kościelnych w Oporowie i tutaj? - pytałem sam siebie. -

Powiedziała, że jedzie do Łodzi, a tak naprawdę przyjechała tutaj wynajęta taksówką. To nie

wszystko. Ona musiała znaleźć coś ważnego, skoro wyrwała kartkę.

Na wszelki wypadek nie powiedzieliśmy proboszczowi o moim odkryciu. Zapytałem o inne księgi metrykalne, ale oświadczył, że wszystkie stare dokumenty są zamknięte w starej

szafie i nie ma wśród nich metryk.

- Pijcie państwo herbatę z cytryną - uśmiechnął się. - To najlepsze lekarstwo na tę

przeklętą pogodę. Jeśli chodzi o książki ślubów i inne metryki, to musicie wiedzieć, że zostały

one przepisane na początku XIX wieku, co jest odnotowane na stronie tytułowej. Stare,

oryginalne metryki znajdują się w archiwum w Kutnie, jeśli więc chcecie

przejrzeć oryginalne

wpisy w księgach ślubów, chrztów i pochówków, to proszę się tam udać. No i jak herbata?

Smakuje?

- Smakuje.

Zanim jednak odwiedziliśmy archiwum w Kutnie, pierwsze kroki skierowaliśmy do



trzygwiazdkowego hotelu, w którym zatrzymał się Eric van Klomper. Jola zapytała w recepcji

o cudzoziemca, ale szybko wróciła zasmucona.

- Nie ma Holendra - oświadczyła. - Opuścił hotel. Wczoraj. Zaraz po moim wyjściu.

12

Nie znaleźliśmy powodu, dla którego cudzoziemiec opuścił hotel. Ale wśród domysłów dominowało przekonanie, że go spłoszyliśmy.

- Pewnie sprawdził w recepcji, że nie mieszkam w hotelu i nabrał podejrzeń - piekliła

się Jola. - Co robimy?

- Sprawdźmy w miejscowym archiwum stare rejestry parafialne - zaproponowałem. - Nie mamy nic do stracenia, a trop Miss Marple może okazać się strzałem w dziesiątkę.

Ostatnio zrobiła się tajemnicza. W jej oczach odbija się subtelnie blask dwudziestu tysięcy

euro. Potem pojedziemy na ulicę Barlickiego. Tym razem musimy przyzwać się na faceta

jeżdżącego fordem.

Traktor zaparkowałem przy placu Wolności, a do archiwum poszliśmy pieszo.

Wypogadzało się, ale wciąż było pochmurno. Szliśmy sobie zatem, jakbyśmy byli na wczasach, ale nasze myśli wciąż zaprzętała sprawa zniknięcia Krzyśka. I oto, w głębi uliczki,

ukazał się naszym oczom odrestaurowany, piętrowy budynek z czerwonej cegły.

Archiwum.

Idąc ku niemu, zatrzymałem na dłużej wzrok na obcym mi człowieku pakującym zakupy do

bagażnika samochodu. Sam nie wiedziałem, czemu zwrócił on moją uwagę...

W archiwum załatwiliśmy trochę formalności, zanim uzyskaliśmy zgodę na przejrzanie starych ksiąg metrykalnych. Pomógł pewnie fakt, że jestem nauczycielem, chociaż

z początku nobliwa niewiasta w sekretariacie patrzyła podejrzliwie na mój zarost. Ostatecznie

dostaliśmy akta. Jak się okazało, lokalna prasa odnotowała obecność w Oporowie detektywów szukających skarbu paulinów i dlatego okazano nam łaskę.

- Jest pan sławny - zażartowała Jola.

Ale zaraz spowaźnialiśmy, gdy otworzyliśmy oryginalną metrykę na stronie, którą interesowała się Miss Marple. Bez trudu znaleźliśmy to, czego szukała pisarka.

- Jest! Zima. 1658 rok! Johann Klomp!

- Klomp? Czy nie brzmi znajomo?

- Klomp? - zastanawiałem się. - Czy ja wiem?

Stara kościelna metryka, którą przezorny pleban z Mnicha oddał pod kuratelę

miejskiego archiwum, zawierała dane, których miały nie ujrzeć oczy pozostałych detektywów. O jej istnieniu nie wiedziała zapewne Miss Marple, gdyż w przeciwnym

razie

odwiedziłaby archiwum i wyrwała tę kartkę. Co ta stara jędza chciała przed nami ukryć? Czy

nazwisko Klomp było kluczem do rozwiązania tajemnicy przeora Gabriela?

Pod datą 1658 roku we wpisie do księgi chrztów w kościele w Mnichu odnotowano narodziny dziecka Johanna Klompa i Ann Klomp. Zaraz, zaraz... Ann! To imię nie dawało mi

spokoju. Gdzieś już się przewinęło. Czyż nie w zapisach metrykalnych w Oporowie?

Przeszukaliśmy zatem wpisy do księgi ślubów i niebawem znaleźliśmy odpowiedź.

- W 1658 roku Johann Klomp poślubił Ann Bas - wbiłem wzrok w starą księgę.

- Rok wcześniej - myślała na głos Jola - Ann Bas wraz ze swoim mężem Georgiusem zmieniła w Oporowie wyznanie, przechodząc z luteranizmu na katolicyzm.

- Brawo! To ta sama osoba. A w rok później wyszła w Mnichu za mąż za innego

Holendra, Johanna Klompa. W tym rachunku zostaje nam jednak różnica. Georgius Bas.

Gdzie podział się pierwszy mąż Ann?

- Może tych Basów było więcej?

Z archiwum wyszliśmy zadowoleni. Zdaje się, że deptaliśmy Miss Marple po piętach i

byliśmy blisko wyjaśnienia pokrętej i mrocznej historii z przeszłości. Jednakże brakowało

nam odpowiedzi na kilka pytań. Gdybyśmy tylko wiedzieli, co stało się z Georgiusem

Basem?

Idąc ulicą, zapatrzyłem się na kobietę opuszczającą sklep z torbą zakupów.

Zaczynał

mię męczyć ten motyw z zakupami.

- Pamiętasz van Klompera? - zagadnąłem Jolę. - Zastanawialiśmy się, po co mu zakupy, skoro mieszka w hotelu. A co, jeśli planował wyjazd? Tereny na północ od Kutna, za

Gostyninem, są przepiękne. Jest tam dużo jezior i lasów. Teren ten zwany jest Pojezierzem

Gostynińskim, należy do Kotliny Płockiej. Słyszałem, że samych jezior polodowcowych jest

tutaj sześćdziesiąt.

- A jakie mamy tutaj lasy? - zapytała Jola.

- Lasy? Chyba sosnowe i mieszane.

- A modrzew?

- Co „modrzew”?

- Pamięta pan ten zapisek na kartce van Klompera? Holender napisał po polsku „Modrzew”. Może wybierał się do jakiegoś lasu modrzewiowego? I ciekawe dlaczego napisał

to dużą literą?

W samochodzie natychmiast sięgnąłem po mapę ukrytą w schowku.

- Mam! - krzyknąłem triumfalnie. - Modrzew! To miejscowość koło Lubina Kościelnego. Blisko Oporowa. Na północy.

- O! - zapatrzyła się w mapę Jola. - Jest tam nawet zbiornik wodny. Dobre miejsce na

biwak.

- Jezioro Szczawińskie.

Popatrzyliśmy na siebie.

- Jedziemy tam. Chociaż na biwak pora nie jest odpowiednia. Jest za zimno. Mamy jesień i cudzoziemiec nie wygląda na skauta. Ale warto się tam przejechać. Może wynajął

jakąś leśniczówkę?

Nie pojechaliśmy na ulicę Barlickiego. Doprawdy nie wiedzieliśmy, dlaczego ów prowadzący do Modrzewia trop był dla nas taki ważny. Jeśli miał się on okazać niewypałem,

to zawsze mogliśmy wrócić do Kutna i przycząć się na kierowcę forda. Skoro jednak van

Klomper czmychnął spłoszony naszym pojawieniem się w hotelu, to z pewnością wcześniej

zawiadomił właściciela forda i teraz nasi przeciwnicy mieli się na baczności.

Pojechaliśmy do Modrzewia. Podczas podróży rozmawialiśmy o tabliczce.

- Dzisiaj rano coś mi wpadło do głowy - mówiłem. - Zauważyliśmy wcześniej na szkicu van Klompera, że kilka znaków zmieniło miejsce na tabliczce w porównaniu do tej z

Drzewoszek. Tak się składa, że układają się one po przekątnej kwadratu. Na tamtej tabliczce

były rozmieszczone chaotycznie. Tutaj panuje pewien porządek. I właśnie wpadło mi do

łepetyny, że pozostałe litery wypełniające tabliczkę są śmieciami. To balast. A raczej pełnią

funkcję kamuflażu. Odwracają uwagę. Ważne są tylko te znaki, które leżą na przekątnej, plus

znak „krzyża”.

- Nie widzę żadnej przekątnej - naburmuszyła się Jola. - Tyle tu liter!

- Właśnie. W gąszczu liter nie widać tego, co trzeba! Spróbuj więc wymazać z

tabliczki wszystkie znaki, pozostawiając jedynie literę „M”, „zero”, znak nierówności, arabską „czwórkę” i ów znak „krzyża”.

- Wykreślić litery? To bez sensu. Jeśli komuś chciało się je wyryć w metalu, to chyba nie dla zabawy?

- Dla zabawy - nie! Ale dla zmyłki?

- Dobra. Mogę spróbować. Tylko, że trzęsie.

Jola zaczęła się bawić długopisem i kartką papieru i już po chwili pokazała mi kawałek kwadratu ze znakami. Z trudem rozpoznałem w tym rysunku naszą oporowską tabliczkę.

- Teraz widzę! - krzyknęła podekscytowana Jola. - Tę przekątną!

- Była tam cały czas. Dobra, ale co sądzisz o tym krzyżu? A jeśli to „plus”? Wyżej

mamy znak nierówności, więc to jakaś matematyczna łamigłówka?

- Nie wiem, ale to nie plus. Stawiam na krzyż!

- Powinienem wrócić teraz do szkoły - próbowałem żartować - i zrobić klasówkę. Założę się, że większość uczniów chętnie by rozwiązało takie zadanie. Nawet Agata mogłaby się przekonać do matematyki. Jeśli w ogóle tabliczka ma cokolwiek wspólnego z matematyką.

- I mnie zaczyna coraz bardziej interesować ta łamigłówka. Ale też i mocno wkurza. O

co tutaj tak naprawdę chodzi?

- Dostrzegam w niej podwójne dno.

- Jakie dno? Uważa pan, jak Hannussen, że skarb ukryty został w wodzie?

- A, o takie dno ci chodzi - uśmiechnąłem się. - Nasz jasnovidz naprawdę w to wierzył. A raczej jasno-to-widział. Mówiąc jednak o podwójnym dnie, miałem na

myśli prawdę ukrytą pod powierzchnią pozorów. Tabliczka może być zmyślnym kamuflażem. Moim zdaniem litery służą ukryciu właściwej konfiguracji wybranych przez nas znaków.

- Kiedy pan tak mówi, to przypominają mi się stare książki przygodowe i detektywistyczne!

- To fakt. Dzisiaj żaden detektyw nie zajmuje się takimi zagadkami. Pomyśl tylko:

zagadka sprzed trzystu pięćdziesięciu lat! Nie ma już pocziwych Holmesów! Ale może takie

zagadki wciąż istnieją, tylko nie ma komu ich rozwiązywać. Mamy za to superdetektywów

posługujących się komputerami, jeżdżących najszybszymi samochodami i potrafiącymi robić

w powietrzu salta. Współcześni detektywi zajmują się porwaniami dla okupu, kradzieżami

samochodów, włamaniami do prywatnych willi i ich komputerów albo po prostu śledzeniem

małżonków. Masz rację. O zagadce podobnej do naszej można już przeczytać wyłącznie w

starych książkach.

Od dłuższego czasu jechaliśmy wąską asfaltową drogą otoczoną zewsząd sosnami pachnącymi żywicą, obszarem należącym do południowych rubieży rezerwatu Osetnica.

Skręciliśmy na północ. Las się skończył i pokonaliśmy małą rzeczkę, której wąskie koryto

biegło leniwie przez zapuszczone pola i ginęło hen daleko w leśnym borze. Dwa kilometry

dalej na północy i na wschodzie rozciągała się wstążka lasu. Znaleźliśmy się w zacisznej

niecce zmaconej obecnością kilku zagród rozsypanych wzdłuż drogi. Nawet pies tutaj nie

szczał i było tak spokojnie, że zamiast uspokajać, owa cisza wręcz

denerwowała.

W pewnej chwili mapa nie była nam już potrzebna, gdyż minęliśmy wieś Modrzew, a przecież nie wiedzieliśmy nawet, czego szukamy. Wybraliśmy się tutaj wiedzeni intuicją,

pełni nadziei, że natrafimy na ślad cudzoziemca albo właściciela forda.

Niestety, nasza mapa

nie była ani dokładna, ani nie przewidywała miejsca pobytu kogokolwiek. Zresztą Holender

mógł wcale tutaj nie przyjechać.

Jak to się mówi, znowu musieliśmy zdać się na łut szczęścia i uzbroić się w cierpliwość. Przypomniały mi się słowa Lary Croft, która twierdziła, że w zawodzie

detektywa cierpliwość bywa wyjątkową zaletą. Mieliśmy okazję przeciwzyć to na własnej

skórce.

Zmierzch zbliżał się nieubłaganie, a my kręciliśmy się po okolicy bez sensu.

Mijaliśmy w kółko te same wsie, aż wreszcie ujrzeliśmy nadjeżdżający od zachodu samochód. Był to ford fiesta! A jednak intuicja nas nie zawiodła i trop do Modrzewia okazał

się właściwy.

Na widok samochodu poczuliśmy rosnące podekscytowanie. Wrzuciłem szybko wsteczny bieg i wjechałem tyłem w leśną głuszę. Obserwowaliśmy zbliżający się pojazd w

milczeniu, pewni, że wnet poznamy tajemnicę cudzoziemca i jego znajomego z Kutna. Ford

jechał w miarę szybko piaszczystym traktem wzdłuż skraju lasu i ciągnął za sobą chmurę

piasku, minął nas i oddalił się na wschód.

- Mamy ich! - zapiszczała triumfująco Jola. - Widziałam wewnątrz van Klompera!

Ford znikł nam z oczu, ale zupełnie się tym nie martwiliśmy. Ślady opon, które pojazd

zostawił na piachu, zaprowadziły nas na skraj lasu. Tam skręcały w leśną drogę wbijającą się

na północ w las.

Nagle coś zaświtało mi w głowie. Doznałem olśnienia, ale - między Bogiem a prawdą

- już dawno powinienem był na to wpaść.

- Klomper... Klomp... Klomper... - powtarzałem niby bez sensu. - Czy te nazwiska nie

brzmia podobnie? Co ma wspólnego współczesny van Klomper z owym Klompem zamieszkałym w XVII wieku w Mnichu, z tym, który poślubił Ann Bas?

- Klomper? Klomp? - zmarszczyła czoło Jola. - I sądzi pan, że van Klomper to daleki

kuzyn tamtego Klompa? Hm, sama nie wiem... Ale tak, te nazwiska brzmią podobnie, coś jak

w naszym języku „Kowalski” i „Kowal”.

- Za dużo tych zbiegów okoliczności.

Ford znikł nam z oczu. Wsiąkł w gęsty i szary las i aby go odszukać, należało po pierwsze, wyteńczyć wzrok i słuch, po drugie, zachować wszelkie środki ostrożności. Z

początku jechaliśmy wolno leśną drogą i w napięciu obserwowaliśmy teren przed przednią

szybą. Ślady opon forda były ledwo widoczne na pokrytym igłami trawie, a dalsza jazda

mogła oznaczać tylko jedno - wpadkę i tarapaty.

Postanowiłem ukryć Traktora i dalszą pogoń za fordem kontynuować pieszo.

- A co zrobimy, jeśli ford jedzie gdzieś daleko? - zaniepokoiła się Jola. - Nie uśmiecha

mi się spacer po lesie i to w dodatku nocą.

- Nie, nie. Oni daleko nie zajadą. Muszą mieć tutaj jakąś kryjówkę.

- Skąd ta pewność?

- Van Klomper chyba nieprzypadkowo zaznaczył na mapie wieś Modrzew. Jeśli tutaj przyjechał z kierowcą forda, to wnioskuję, że gdzieś w pobliżu musi być kryjówka albo inne

ważne miejsce. Inaczej, po co by tutaj przyjechali?

Nie myliłem się. Po kwadransie marszu przez las natrafiliśmy wreszcie na skraju niedużej polany na pustego forda. Ledwo widoczna ścieżka biegła między wysokimi sosnami

i domyśliliśmy się, że nasi „turyści” poszli właśnie nią. Zatoczyliśmy lasem spory łuk, z dala

od owej ścieżki. Potem szliśmy równoległe do niej, zachowując bezpieczny dystans i

ostrożność, aż wkrótce las się skończył i naszym oczom ukazał się niezwykle widok jeziora z

ciemną taflą wody, które porastały oczerety. Zbiornik miał owalny kształt i sprawiał wrażenie

martwego - nie słyszeliśmy bowiem ptasich pisków i trzepotu skrzydeł. Ciemna powierzchnia

wody przypominała porane zmarszczkami czoło pustelnika. Smutne to było jezioro.

Bliżej brzegu teren zrobił się bagienny, ale i oto dostrzeżliśmy mężczyzn. Szli pośpiesznie wzdłuż brzegu, a cudzoziemiec niósł pod pachą papierową torbę z zakupami.

Przedzierali się nerwowo przez zarośla i kierowali się ku otwartemu terenowi na zachodnim

brzegu. Dopiero po chwili, gdy wydostaliśmy się z lasu i przycupnęliśmy za wysoką trzcina,

zauważyliśmy kolejną niespodziankę. Wiatrak. Pięćdziesiąt metrów od grząskiego terenu

otaczającego jezioro sterczał ku szarzącemu niebu stary, zniszczony wiatrak. Nie znam się

na wiatrakach, więc nie wiedziałem, kiedy go tutaj postawiono, ale musiano go wybudować

dawno temu na niewielkim wzniesieniu. Dzisiaj pozbawiony skrzydeł oraz kamieni straszył, a

szerniałe deski dwudziestopięciometrowej wysokości obiektu dodawały mu iście diabelskiej

charyzmy.

- Wiatraki znam tylko z filmów o Holandii - odezwała się poruszona odkryciem Jola. -

A nasz van Klomper jest Holendrem.

Wyteżyliśmy wzrok. Cudzoziemiec i kierowca forda zbliżyli się do wiatraka i zagwizdali trzy razy. Wyszedł z niego szybko znany nam już z Drzewoszek

gospodarz,

Matusiak.

- O rany! - wyrwało się dziewczynie. - On współpracuje z Holendrem i właścicielem

forda.

Patrzyliśmy, jak mężczyźni rozmawiają o czymś z przejęciem. Tkwiliśmy zgarbieni za

jakimiś zaroślami, zbyt daleko, niestety, aby usłyszeć choćby strzęp rozmowy. Zniknęli w

wiatraku, korzystając zatem z okazji, zbliżyliśmy się do niego. Na naszą kryjówkę

wybraliśmy niewielki teren porośnięty wierzbami i olchami.

Nie zdążyliśmy na dobre usadowić się w dole, gdy mężczyźni wyszli niespodziewanie

z wiatraka. Rozmawiali jeszcze kilka minut, aż w końcu van Klomper i kierowca forda ruszyli

w drogę powrotną do ukrytego na leśnej polanie forda. Matusiak odprowadzał ich przez

chwilę wzrokiem, po czym wszedł do wiatraka i zamknął się w nim na dobre. Już wiedzieliśmy, że zakupy, które Holender zrobił wczoraj w Kutnie, były

przeznaczone dla

Matusiaka. Tylko co on, do diaska, robił w tym wiatraku? Czemu nie siedział z żoną w swojej

chałupie w Drzewoszkach?

- Co robimy? - Jola patrzyła na mnie wyczekująco.

- Dobrze by było wywabić Matusiaka na zewnątrz i zobaczyć, co takiego cennego znajduje się w wiatraku. Ale nie mam pojęcia, jak to zrobić?

- Zagwiźdźmy może trzy razy, tak jak tamci i, gdy Matusiak wyjdzie z wiatraka, damy

mu w łeb - zaproponowała. - To stary sposób. W każdym filmie tak robią.

- To napaść - sprzeciwiłem się kategorycznie.

- Wiem - smutno pokiwała główką. - Żartowałam.

Nie musieliśmy jednak żartować. Nie musieliśmy nawet niczego wymyślać. Zrobił to za nas ktoś inny. Po mniej więcej pięciu minutach biernego oczekiwania w wilgotnym

chłódzie, wyszedł z oddalonego na północ zagajnika jakiś osobnik. Szedł szybko w kierunku

wiatraka i dopiero po chwili rozpoznaliśmy współpracownika Lary Croft - Bużkę.

Jego

obecność tutaj świadczyła o tym, że Lara Croft już dawno wpadła na trop Holendra i

kierowcy forda, a osobnikiem, który ją na nich naprowadził, był właśnie zamknięty w starym

wiatraku Matusiak. Czy Bużka widział nas tutaj? Zanim znaleźliśmy kryjówkę, musieliśmy

przejąć kawałek otwartego terenu. Liczyłem na to, że współpracownik Lary patrzył raczej na

wiatrak i nasze chwilowe pojawienie się na brzegu jeziora, uszło jego uwagi.

Zresztą nic nie

wskazywało na to, że nas widział, gdyż szedł prosto do wiatraka. Gdyby wiedział, że tu

jesteśmy, najpierw rozprawiłby się z nami, nie ujawniwszy wcale swojej obecności.

- Co on chce zrobić? - zapytała Jola.

- Chyba to, co my - odpowiedziałem. - Jest ciekawy, co znajduje się wewnątrz wiatraka.

Bużka podszedł pod wiatrak i cicho zagwiźdał trzy razy.

- Chce wywabić Matusiaka na zewnątrz.

Jak łatwo przewidzieć, Matusiak otworzył drzwi i bojaźliwie wychylił głowę na zewnątrz. Rozejrzał się po okolicy. Trzykrotny gwizd powtórzył się zza wiatraka, więc

Matusiak, ściskając w ręku jakiś kołek, ruszył ostrożnie na zwiady, zostawiwszy otwarte

drzwi. Zniknął nam z oczu po drugiej stronie obiektu, a wtedy zza rogu wiatraka wyskoczył

Bużka i szybko wlaźł do środka. Dopiero po chwili pojawił się zdenerwowany Matusiak.

Rozglądał się biedak po okolicy wzrokiem czujnym i zarazem wystraszonego. Jeszcze raz dla

świętego spokoju obszedł wiatrak i dopiero wtedy odważył się wejść do środka.

Nie minęły trzy sekundy, gdy wiatrakiem dosłownie zatrzęsło.

- Oho, Matusiak dostał w łeb - stwierdziła Jola.

- A może to Bużka?

Czekaliśmy, tkwiąc w dole porośniętym drzewami. Na szczęście wyżej położony wiatrak był lepiej widoczny niż rozmywające się w zmroku jezioro i przyległy las.

- Zostań tutaj - szepnąłem. - Pójdę na zwiady. W razie niebezpieczeństwa, gdyby mi

się coś przytrafiło, uciekaj z powrotem do lasu. Masz kluczyki.

Zostawiłem Jolę i cichaczem podkradłem się pod wiatrak. Przystawiłem ucho do wilgotnej powierzchni desek i nasłuchiwałem. Coś słyszałem. Rozmowę, ale nie potrafiłem

zidentyfikować głosów.

Wszedłem do środka przez otwarte drzwi. Wewnątrz było cieplej niż na zewnątrz. Przywitał mnie zapach starego, wilgotnego drewna i żelastwa. Z wiszącej na belce lampy

naftowej sączyło się słabe światło, które nie uchroniło mnie przed upadkiem. Oto bowiem na

środku drewnianej i skrzypiącej podłogi ktoś leżał. Dopiero po chwili rozpoznałem

Matusiaka. Wyglądał jak nieboszczyk, ale, zdaje się, oddychał.

Na górze błysnął płomień zapalniczki i rozproszył panujące tam ciemności.

Ostrożnie

schowałem się w jakiś kąt, a mimo tego podłoga ostrzegawczo zaskrzypiała. Na moje

szczęście Bużka właśnie coś mówił i jego słowa zagłuszały jęki starej podłogi.

- Kogo ja tu widzę - usłyszałem.

Odpowiedział mu czyjś jęk.

- Hannussen! - zarechotał Bużka i zaraz zapytał szorstko kogoś innego. - A ty kto

jesteś?!

Pozbawił tę osobę knebla, gdyż na górze ktoś zaczął pluć i kasłać.

- Krzysztof - usłyszałem znajomy głos chłopaka.

Odetchnąłem z ulgą. W tej chwili to była najważniejsza wiadomość! Co tam skarb paulinów?! Co tam nagroda?! Wprawdzie Krzysiek był przetrzymywany przez jakies typy

spod ciemnej gwiazdy, ale się odnalazł. Był cały i zdrow!

Ukryty w ciemnym kącie mogłem dalej przysłuchiwać się rozmowie.

- Skąd jesteś?

- Z Oporowa - odparł wystraszonym głosem chłopak. - Ja tam mieszkam, proszę pana.

- Nie ty przypadkiem współpracujesz z tym nauczycielem?

- Z panem Liberalesem! Tak!

- Fajnie. W takim razie opowiesz wszystko, co wiesz o tabliczce. Inaczej zostawię cię

tu na zawsze. Nikt po ciebie nie przyjdzie. Zjedzą cię szczury. Kiedyś znajdą tylko twoje

kości.

Hannussen zaczął jęczeć, jakby się domagał uwolnienia albo wystraszyły go słowa osiłka. A może po prostu się dusił?

- A ty czego?! - warknął Bużka. - Spoko, panie jasnowidz. Mamy czas. Wszystko wyśpiewasz... o, żesz w mordę!

Drań syknął wściekle, gdy płomień zapalniczki zgasł. Widocznie wypalił się gaz i zapalniczka poparzyła mu opuszki palców. Bużka zbiegł bez słowa na dół, aż wiatrakiem

nieprzyjemnie zatrzęsło, i wnet znalazł się na samym dole. Przyszedł po lampę naftową

zwisającą luźno z belki kilka metrów od mojej głowy. Szybko wcisnąłem się w jakiś kąt. Na

szczęście stał tam rozwalony częściowo regał, zakurzony i opatulony kołnierzem pajęczyny;

za nim znalazłem w miarę bezpieczną kryjówkę.

I oto wydarzyło się coś niezwykłego. Gdy tylko młody mężczyzna wracał z lampą na górę i ominął leżącego Matusiaka, nieruchoma do tej pory ręka chłopca wystrzeliła w górę i

złapała draba za kostkę.

Zakotłowało się na starej, drewnianej podłodze, ale najgorsze, że lampa naftowa z

brzdękiem wylądowała gdzieś obok na podłodze. W jednej chwili pojaśniało wewnątrz

wiatraka, zasyczała rozlana nafta i zmieniła się w żółtą grzywę ognia, wyginając cienie

walczących mężczyzn w koszarne figury. Walczyli na śmierć i życie, a że obydwaj

byli  
silni, walka zapowiadała się na długi i wyczerpujący pojedynek. W tym czasie ogień narastał, pęczniał i z apetytem lizał drewniane ściany wiatraka i strop parteru. Wychyliłem się z regału i ujrzałem wystraszoną twarz Krzyśka spojierającego z nadkrawędzi stropu w dół. Pojął, że lada chwila cały wiatrak stanie w płomieniach.. Ale jak miał się ratować związany? Nie namyślając się dłużej, opuściłem kryjówkę za regałem. Złączeni w atletycznym uścisku mężczyźni z jękiem wypadli przez otwarte drzwi na zewnątrz i tam jęli się tłuc jak opętani. Pobiegnę na górę. Związany chłopak krzyczał. Hannussen jęczał, bo dodatkowo miał zaklejone usta szerokim plastrem. Drżącymi ze strachu palcami rozsupływałem więzy krępujące ich nadgarstki oraz stopy. I trzeba dodać, że z początku wcale mi nie szło. Wyjąłem nawet mały scyzoryk, dostępny w każdym kiosku, ale suchy sznur nie chciał puścić. Już sam nie wiedziałem, czy nie lepiej było wynieść każdego więźnia z osobna na zewnątrz, ale nie było na to czasu. Ogień coraz śmielej zaglądał na górną kondygnację, dym zaś szczypał w oczy. Hannussen - oddychający przez nos - od kilkunastu sekund zaczął się potwornie dusić. Czym prędzej zerwałem z jego ust szeroki plaster i, nie zważając na krzyk bólu jasnowidza, dalej rozwiązywałem sznur na stopach Krzyśka. Małym ostrzem rozluźniłem nieco supeł i po chwili chłopak miał już wolne nogi. Uwolniłem też jego ręce. Został mi już tylko Hannussen. I kiedy więźniowie byli gotowi do ucieczki, ogień zajął już schody. Próbował strawić strop od spodu, małe żółte języki wyłaziły między szczelinami w deskach, trawiąc je. Żywioł rozprzestrzeniał się błyskawicznie, bestia jakby wieki czekała na ten moment, na ten właśnie wiatrak. Droga na dół po schodach została odcięta. Bezlitosna ściana rosnącego ognia zajęła schody, a my staliśmy na palącym się i dymiącym podejściu bezbronni i wystraszeni. - Musimy skakać! - krzyczał do mnie Hannussen. - Nie ma innej rady! Raz kozie śmierć, temperamentum! Miał rację nasz jasnowidz. Mogliśmy ratować się wyłącznie skokiem w dół, wprost w buchającą ognistą kipieli. Nie zdążyłem nawet odpowiedzieć Hannussenowi, gdy ten zeskoczył desperacko z podestu i znikł w kłębach dymu i ognia. To samo zrobił Krzysiek. Po nich skoczyłem ja. Na dole musiałem jeszcze przeturlać się do drzwi i wreszcie opuściłem wiatrak na klęczkach. Chłód nocy dodał mi sił, a za moimi plecami pożar dokonywał bezlitosnej egzekucji na starym wiatraku. Należało stąd jak najszybciej uciekać. Ogień częściowo obejmował fasadę i boczne ściany, oświetlając teren przyległy do wiatraka, i stało się jasne, że lada moment wchłonie go na wieczność. Wewnątrz strzelały rozżarzone drwa, syczało i



nieznośnie dymiło. A ogień stawał się coraz większy i większy. Rozejrzałem się i zauważyłem gapiącego się na wiatrak Krzyśka. Nigdzie nie było Bużki i Matusiaka. Znikł także Hannussen. Radość z ocalenia mieszała się z uczuciem bólu w lewej nodze - nadwyrężyłem staw skokowy.

- Tam pobiegł! - krzyczał Krzysiek, wskazując na północ.

Ale nie pobiegliśmy tam, ruszyliśmy jedynie w stronę jeziora. W połowie drogi natknęliśmy się na Matusiaka. Leżał na ziemi bez ruchu i wcale nie reagował na moje szarpnięcia. Na szczęście żył.

- Jola! - wołałem zwrócony ku pomarszczonej, ciemnej tafli wody, której brzeg oświetlał ogień zajmujący wiatrak. - Jesteś tam?!

Dziewczyna nie odpowiadała, za to przebudził się Matusiak. W pierwszej chwili, gdy

otworzył oczy i ujrzał mnie pochylonego nad nim, wziął mnie za swojego niedawnego

przeciwnika. Zamachał rękami, jakby odganiał się od ciosów, ale zaraz pojął, że nie jestem

tym, który go tak urządził. Moją twarz oświetlał buchający z wiatraka ogień, więc gospodarz

z Drzewoszek szybko mnie poznał.

- To pan? - zacharczał i skulił się w sobie. - Co pan tu robi?

- A pan?

Wstał bez słowa i dojrzał chowającego się za moimi plecami Krzyśka.

- On współpracuje z Holendrem i Kłapickim z Kutna - poinformował Krzysiek. - Tym,

który mieszka na Barlickiego.

- Kłapicki? - zamyśliłem się. - Dziwne.

- Co w tym dziwnego?

- Kłapicki... Klomp... van Klomper...

Nie dokończyłem. Od strony wiatraka doszedł nas odgłos syczenia i w górę wystrzelił

gigantyczny płomień z milionami drobnych ogników, a po nim zawalił się strop, wpychając

dach do środka.

- Dokąd pan idzie? - rzuciłem za oddalającym się w las Matusiakiem.

Uciekał. Nie odpowiadał, więc powtórzyłem pytanie.

- Panie Matusiak! Policja interesuje się panem. Rozmawiałem, dzisiaj z nimi.

Będzie

pan oskarżony o porwanie chłopaka.

Matusiak zatrzymał się. Za nami definitywnie runął strop i ogień jakby zapadł się w

sobie, ale zaraz wystrzelił w górę z nowym impetem, dlatego widziałem wyraźnie twarz

chłopa. Był wystraszony i nie wiedział, co robić.

- To nie ja porwałem - wymamrotał niewyraźnie. - To nie ja! To tamci! Wpierw porwali tego bruneta. A ten zagranicznik to nawet perukę założył na łeb i

pojechał po jego

walizkę do zamku. A potem Kłapicki zgarnął z ulicy chłopaka...

A więc na zamku zamiast Hannussena pojawił się w przebraniu van Klomper.

Skorzystał z okazji, że niewiele osób przebywało na terenie zamku i postanowił podszyć się

pod jasnowidza. W ten sposób mieliśmy wierzyć, iż Hannussen dobrowolnie zrezygnował z

pobytu w Oporowie. Co za przebiegłość!

- Ale pan z nimi współpracuje, panie Matusiak - wypomniałem mu. - A policji ten fakt

wystarczy, aby pana wsadzić za kratki.

Zbliżył się do nas i chytrze na mnie spojrział.

- A jak panu wszystko wyśpiewam, to wstawi się pan za mną?

- Spróbuję, ale niczego nie obiecuję. A jak pan traktował chłopca?

Wzruszył ramionami i zerknął na Krzyśka. Ten popatrzył na mnie.

- Nic mi nie zrobił - stęknął i szybko zmarkotniał. - Ale dałem się im podejść. Myślałem, że śledzenie jest takie proste.

- Źle zrobiłeś, że poszedłeś na Barlickiego. Ale teraz idziemy! Szybko! Ruszyliśmy lasem do miejsca, w którym ukryłem Traktora. Założyłem, że Jola, widząc pożar wiatraka, dotarła tam i pojechała zawiadomić straż pożarną albo policję. Inne wyjaśnienie nie przyszło mi do głowy. Ale myliłem się. Mój samochód stał w lesie między drzewami z zapalonymi reflektorami, a o maskę opierała się Jola. Zachowywała się dziwnie i

powinien był wtedy wyczuć, że coś tutaj nie gra.

I nagle, nie wiadomo skąd, wyskoczył Bużka i dorwał Krzyśka. Na nic zdały się chłopaka krzyki i zamiatanie nogami. Bużka sprawnie uporał się z młodzianem i wtedy zza

samochodu wyszła Lara Croft.

- Puśćcie chłopaka - ostrzegłem ją.

- Nic mu nie zrobimy - powiedziała łagodnie. - To tak na wszelki wypadek.

Matusiak nie wiedział, co począć. Zrobił krok do tyłu, jakby zamierzał uciec, ale mój

wzrok go powstrzymał.

- Przepraszam - odezwała się Jola i popatrzyła na mnie smętnie. - Napadnięto na mnie

w tych wierzbach.

- Nie obwiniaj się, Jolu - pocieszyłem ją i spojrzałem na Larę. - Dobra, panno Croft. A

zatem porozmawiajmy.

13

Było już za późno na uratowanie wiekowego obiektu. Jedyne co mogliśmy zrobić, to zawiadomić straż pożarną. Zrobiła to anonimowo Lara i strażacy przyjechali na sygnale po

dwóch kwadransach. Schroniwszy się w lesie, ucieliśmy sobie dłuższą pogawędkę.

Odzyskałem Krzyśka i byłem teraz ciekawy, co Lara ma do powiedzenia. Losem Hannussena

nie interesowałem się wcale, choć intrygowała mnie rola jasnovidza w tej sprawie.

- Pamiętasz forda, którego wysledziliśmy w Drzewoszkach? - mówiąc to, Lara spojrzała na Matusiaka. - Moja agencja namierzyła właściciela, to Jan Kłapicki zamieszkały

na ulicy Barlickiego w Kutnie. Inżynier. Dzięki niemu trafiłam na Erica van Klompera.

- Rozumiem - kiwnąłem głową. - Obserwowaliście dom na Barlickiego i hotel w Kutnie. Widziałem tam twojego kumpla - zerknąłem na Bużkę. - A właśnie! Czemu wcześniej

ukradliście mi samochód?

- Eliminacja konkurencji - odpowiedziała bez ogródek. - Marek twierdził, że jesteś

groźnym przeciwnikiem...

- Proszę, proszę - mruknąłem zaskoczony. - Znasz mojego brata!

Dopiero teraz się speszyła.

- No dobra - westchnęła. - Pogadajmy szczerze... Chodziliśmy ze sobą! Z Markiem! Ale to już przeszłość. Przynajmniej dla mnie...

- Że co? - zdziwiłem się. - Miłość? Bond i gorące uczucie?

- Każdy ma swoje słabości - wyduła ironicznie usta, jakby uczucie było chorobą, a

przyznanie się do niej grzechem. - Nawet Bond. Słabo znasz swojego brata. On chciał się

nawet zaręczyć. A ja nie cierpię obrączek! Przy okazji trochę wygadał się o tobie, że masz

łepetynę nie od parady...

- Tak powiedział? - ucieszyłem się.

- Dokładnie. Chociaż, bez urazy, na wielkiego detektywa nie wyglądasz. Ale lepiej chuchać na zimne, co nie? Dlatego już w Warszawie postanowiłam utrudnić ci życie i zajęliśmy się twoim samochodem. Sorry, tak wyszło.

- Ale na tym nie poprzestaliście - kontynuowałam za nią. - Pierwszej nocy twój pomocnik przebił opony BMW Bondy. Aby utrudnić mu życie? Mam rację?

- Bond to spryciarz. A ty szwendałeś się po parku, to Buźka ci przyłożył. To on jest naszym oporowskim duchem.

- A wiecie, że niektóre zjawy mają swoje kartoteki na policji? - zapytałam uszczypliwie.

- Skąd wiesz? - odezwał się, nieco drżącym głosem, milczący dotąd Buźka.

- Nie doceniliście mnie - posłałam im kwaśny uśmiech.

Od strony jeziora doleciał do naszych uszu stłumiony przez las odgłos strażackiej syreny. Przyjechał drugi wóz. Przerwaliśmy rozmowę, ale po chwili z powrotem do niej powróciliśmy.

- Już wiem, że z moim samochodem to wasza sprawa - mówiłam dalej. - Co było dalej? W Kutnie wpadliście na trop cudzoziemca i odkryliście ten wiatrak w Modrzewiu.

Ostatnio często wyjeżdżałaś w teren. Zauważyłem, że Bond cię śledził...

- A ja jego w Żychlinie! - pochwalił się Krzysiek. - Widziałem, jak dowalał się do pani Ewy.

- Kto? Bond? - zachichotała detektyw. - To dla picu.

- No nie wiem - mruknąłem.

- Bond ją bajeruje, aby w razie czego mieć dostęp do raportów z laboratorium. Nasza Ewa ma inną niezaprzeczalną zaletę. Zna sponsora. Kapujesz, kolego detektywie? Poza tym ona nie jest w jego typie.

To było do przewidzenia! Bond adorujący piękną panią kustosz dla swoich nikczemnych celów. Uwodził ją z premedytacją. Wykorzystywał swój urok do omamienia biedaczki. Jednakże słaba to była dla mnie pociecha, skoro Ewa nie była wobec jego zalotów obojętna.

- Zaraz, zaraz... - Lara zmrużyła oczy. - Ty jesteś o nią zazdrosny, prawda? Ale numer!

- Ja? Pleciesz głupstwa! - zezłościłem się. - Wszyscy mi to wmawiają.

- Jestem spostrzegawcza, kolego detektywie - zaśmiała się.

- Tak jak i ja - dodała zła Jola.

- Pomówmy lepiej o sprawie - zmieniłem temat.

- A jednak - westchnęła niepokieszona Jola.

- Co wy mi tutaj imputujecie, baby? - zdenerwowałem się. - A poza tym, to moja sprawa, kto mi się podoba, a kto nie!

- Ach to tak?! - warknęła Jola i wzięła się pod boki.

Jednak szybko się wyluzowała i przybrała pozę obojętności.

- A co mnie to obchodzi - wzruszyła ramionami. - Twoja sprawa.

- Ano właśnie. Przejdźmy do sprawy - zwróciłem się do Lary. - Co z tym Bondem? Śledził cię, a ty jego...

- Tak mu się wydawało, że mnie śledził - wyjaśniła. - Wiedziałam, że jedzie za mną.

Nie wiedział jednak, że kiedy szwendałam się po okolicy dla zmyłki, Buźka czatował w Kutnie albo przy wiatraku.

- Buźka to twój wspólnik?

- Wyszedł za dobre sprawowanie i jest grzeczny. Ma znajomości w świątku przestępczym i stanowi dla mnie kopalnię wiedzy. To przydatne w pracy detektywa.

Potrafi

też przyłożyć.

Bużka zaśmiał się pod nosem, w rezultacie czego Matusiak na wszelki wypadek odsunął się nieco.

- Niech pan zostanie, panie Matusiak - upomniałem go. - Słyszysz pan? Teraz pańska kolej. Czego chcieli od pana van Klomper i Kłapicki z Kutna?

Bużka doskoczył błyskawicznie do wystraszonego chłopca, złapał go za rękaw i brutalnie przyciągnął do nas.

- Mów! - rozkazał mu.

- Ludzie kochani - zaczął bełkotać - ja naprawdę mało wiem. Odkopałem trumnę i tyle! A jak do zamku zjechali detektywi, to odwiedził mnie ten Kłapicki z Holendrem. O

czym oni rozmawiali, nie wiem, bo ja nie znam języków zagranicznych, ale żona mówi, że po

angielsku nawijali. Ten Kłapicki to inżynier jest.

- Zgadza się - potwierdziła Lara. - Skończył Politechnikę Łódzką dwadzieścia lat temu.

- Ja tam nie wiem, kiedy on skończył szkoły - znowu zaczął gadać Matusiak. - Przyszli

do mnie z interesem, że niby dadzą trochę dolarów, jak będę siedział cicho i współpracował z nimi.

- To dlatego nie chciał pan nam pomóc, gdy do pana przyszliśmy? - zagadnąłem go.

- Jak przyszedł pan z tą panią - tu wskazał na Larę - to akurat oni u mnie byli. Na

drugi raz kazali być miłym, w razie czego pokazać dół, ale na nic więcej nie mogłem się godzić...

- A na co miałby się pan godzić, panie Matusiak? - ponownie go zapytałem.

- A bo ja wiem? Nie wiem. Ja nic nie wiem. Wiem tylko, że w zamku mają swojego szpicla.

Spojrzałem pytająco na Larę, a ta z wrażenia zamilkła.

- Znaczący się szpiega? - Krzysiek aż podskoczył z wrażenia.

- To Hannussen! - wyszeptała Jola. - To na pewno ten obślizgły typ. Porwali i uwięzili

w tym wiatraku swojego szpicla. Prawdopodobnie pokłócili się o coś...

- Ten, którego trzymali związanego w wiatraku...

- Trzymaliście!

- ...nie był ich szpiclem. Słyszałem, że inżynier mówił do kogoś przez telefon, że

panują nad sytuacją i że jasnowidz nie zagraża ich interesom. Tak mówił. Ale musieli go

trzymać z dala od zamku, bo coś wiedział. Mnie dali do pilnowania, tak na wszelki wypadek.

Co wiem, to wam powiedziałem. Czy teraz mogę pójść do domu?

- Musi pan złożyć zeznania na policji - powiedziałem i spojrzałem na Larę.

- Moim zdaniem nie warto, kolego Liberalesie. Co to komu da? A policji pan powie,

że dzieciak sam się znalazł...

- Nie jestem dzieciak! - postawił się Krzysiek, ale Lara puściła tę uwagę mimo uszu.

- Wiatrak to opuszczony obiekt i nikt nie będzie po nim płakał. Jak pójdziesz na policję, to zrobi się niepotrzebny szum. Inżyniera i van Klompera szybko dojdą słuchy, że o

nich wiemy. W ten sposób ich spłoszymy. A chyba warto dowiedzieć się, kto jest ich

szpiegiem na zamku.

- I tak się domyśla, że coś jest nie tak. Spłonął wiatrak.

- Spoko. Matusiak im powie, że przypadkowo zaproszył ogień i wybuchł pożar. Z trudem uwolnił więźniów, aby nie spłonęli żywcem i więźniowie mu uciekli.

- Nie uwierzą.

- Lepsze to, niż nic.  
- Nie mogę pójść na ten układ.  
- Zrozum - przybliżyła swoją twarz do mojej. - Policja i bez ciebie ma co robić. Pójdiesz do nich, a oni ci powiedzą, że nie mają nikogo do tej sprawy, że priorytet nakazuje im zająć się inną, ważniejszą. Znam te ich śpiewki. W końcu jestem zawodowym detektywem i współpracuję często z glinami. Mówię ci, odpuść sobie. Wiatraka i tak nie uratujesz.  
- A Hannussen? Oni go przetrzymywali siłą...  
- Hannussen uciekł - wtrąciła zła Jola. - Tak pięknie podziękował swojemu wybawcy.  
Powinienem zawiadomić o wszystkim policję, to fakt, ale czy śledztwo cokolwiek by wyjaśniło? Lara miała rację. Winowajcy - kimkolwiek byli - nabraliby wody w usta lub rozpierzchli się po kątach, a sprawę umorzono by po kilku miesiącach. W ten sposób nigdy byśmy nie poznali prawdy. Kontynuując pojedynek detektywów - mogliśmy wyjaśnić kilka spraw. A policję zawsze można było zawiadomić.  
- Pojedziemy teraz do Kutna - zaproponowała Lara, widząc, że daję się przekonać.  
-  
Matusiak odwiedzi Kłapickiego i opowie o przypadkowym pożarze oraz ucieczce więźniów.  
- A chłapnij tylko co - pogroził mu pięścią Bużka. - Kulasy przetracę.  
- Dobra - zgodził się bez namysłu Matusiak. - Zrobię, jak każecie.  
Lara, Bużka i Matusiak zniknęli, udawszy się do samochodów pozostawionych gdzieś w lesie. Gdy opuszczaliśmy las, słyszałem jeszcze strażackie syreny. Spotkaliśmy się u wylotu ulicy Barlickiego, aby raz jeszcze przypomnieć Matusiakowi, co ma powtórzyć Kłapickiemu. Gdy ten poszedł do mieszkania inżyniera, dyskretnie śledzony przez Bużkę, ucieliśmy sobie z Lara jeszcze jedną pogawędkę, tym razem dotyczyła ona tabliczki oporowskiej. Lara nie chciała za dużo na ten temat powiedzieć albo po prostu nie miała nic do powiedzenia. Oboje jednak przeczuwaliśmy, że inżynier i van Klomper wiedzą coś, z czego nikt z nas nie zdaje sobie sprawy. Ich szpieg działał w zamku, więc od samego początku mieli nad nami dodatkową przewagę. I nie wiedzieliśmy, na czym ta przewaga polega. Kto był ich szpiegiem? Miss Marple? Nie wykluczałem takiej możliwości, że pisarka - podobnie jak my - wpadła przypadkiem na ich trop i dlatego czegoś szukała w metrykach. Do grona podejrzanych należał także Porucznik Columbo, chociaż nie pasował do tej roli. Czyż jednak można było ufać komukolwiek z grona detektywów?  
A  
Bond? Czy on nie mógł być szpiegiem? Ostatnio był dziwnie spokojny, niezbyt aktywny, jakby wiedział więcej, niż powinien. Na dobrą sprawę, to mógł on być nie tyle szpiegiem, co szefem inżyniera i van Klompera.  
W ramach wymiany informacji pokazałem Larze zdobyty przez Jolę szkic zabrany cudzoziemcowi i na tym etapie postanowiliśmy zakończyć naszą współpracę.  
- Czemu Bond wziął udział w pojedynku? - zagadnałem jeszcze Larę. - Dwadzieścia tysięcy euro nie wydaje się być nagrodą godną jego kieszeni.  
- Nigdy nie słyszałeś o chorobliwej ambicji? - uśmiechnęła się tajemniczo.  
- Zgoda. Marek zawsze był ambitny. Tylko, że skarb paulinów, to nie w jego stylu.

- Jak tylko dowiedział się, że biorę udział w tej sprawie, zaczął mnie nachodzić -  
wyjaśniała dalej. - Składał mi różne propozycje. zaproponował nawet układ: jeśli znajdzie skarb, to mi się oświadczy. Dla świętego spokoju zgodziłam się. Chyba wziął to na poważnie.

- Nie podoba ci się Marek?  
- Nie ufam mu. Poza tym chcę być lepsza od niego.

- Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta - wtrąciła się do rozmowy Jola.  
- Jola ma rację - przyznałem. - Skarb może odnaleźć ktoś inny. Weźmy takiego Porucznika Columbo! Ostatnio poczynił spore postępy.

- Drepczemy w miejscu, kolego detektywie. Mamy szpiega na zamku. Popatrzyłem na młodą i ambitną Larę. Czy aby nie chciała mnie przechytryć?  
- A jaką mam pewność, że nie powtórzysz naszej rozmowy Bondowi? - zapytałem wprost. - Możesz mu nawet dać rysunek tabliczki. Bond to matematyk. I to niezły. Szybko ją rozwiąże.

- Nie powtórzę mu ani słowa - zapewniła mnie, patrząc prosto w oczy. - Ja go nie znoszę! Tych jego uśmieszków, nienagannyh manier, odpowiedzi na każde pytanie, nawyków, nawet jego płyt z Aerosmith na czele!

- A ty czego słuchasz, Laro?  
- Liszta, Wagnera, Bartoka - wyrecytowała bez namysłu, a ja po raz pierwszy popatrzyłem na nią inaczej, wizerunek amazonki bowiem kłócił się z tak wysublimowanym gustem muzycznym.

Ale oto po drugiej stronie ulicy pojawił się Matusiak. Dwadzieścia metrów za nim dreptał czujny i groźny Buźka.

- I co? - zapytaliśmy chłopca, gdy podszedł do nas.  
- Kłapickiego nie ma w domu - opowiadał z przejęciem. - Jego żona powiedziała, że inżynier wyjechał za granicę. Ale to przecież nieprawda, bo dzisiaj przyjechał z Holendrem do wiatraka. Ona kłamie... Kłapicki był cały czas w Kutnie. Zgodnie doszliśmy do wniosku, że Kłapicki i van Klomper zabezpieczyli się na ewentualność wpadki. W razie czego mogli usunąć się na dalszy plan, zerwać ze sobą kontakt i nie przyznawać się do znajomości z Matusiakiem.

- A nie widział pan fordę na podwórzu? - zapytałem.  
- Nie widziałem.

Potem odwieźliśmy rolnika do Drzewoszek. W pobliżu jego gospodarstwa w charakterze anioła stróża ukrył się niezawodny w takich sytuacjach Buźka. Przewidywaliśmy bowiem, że wizyta Kłapickiego i van Klompera w Drzewoszkach była kwestią zaledwie kilku godzin.

W Oporowie odprowadziliśmy Krzyśka wzrokiem pod sam dom. Czekaliśmy aż rodzice otworzą mu drzwi i dopiero wtedy odjechaliśmy na zamek. Nie czułem się jednak dobrze. Byłem świadomy tego, że powinienem był o wszystkim zawiadomić policję. Jednakże Lara przekonała mnie przed wyjazdem z Kutna do Oporowa, że lepiej dla sprawy i dla samego chłopaka będzie, jeśli nie nagłościmy powrotu Krzyśka do domu. Rozpęta się lokalna afera, chłopaka posadzą o podpalenie wiatraka, ucierpi na tym jego reputacja w szkole. Wszyscy, łącznie z Jolą, prosili mnie, abym zrezygnował z wizyty na posterunku.

Zresztą musiałbym udzielić stosownych wyjaśnień i opowiedzieć o wydarzeniach w Modrzewiu, a przy okazji o zakulisowych niuansach pojedynku detektywów. Spokoju sumienia nie kupiłem, ale zgodziłem się z ich punktem widzenia.

Alfa romeo Lary stała już zaparkowana przed gazonem wśród innych samochodów, a

w oknach wieży paliło się światło. Tylko Domek zdawał się pogrążony w jakimś smutku.

Ciemny i nieruchomy niczym grobowiec, opuszczony przez wszystkich.

Ale ktoś tam był, czuwał. James Bond.

- Cierpicie na bezsenność? - wstał z fotela, gdy pojawiliśmy się na pięterku.

- Martwisz się o nas? - próbowałem się uśmiechnąć.

Nie było mi jednak do śmiechu. Tak naprawdę jego żarty przyjąłem za złą monetę.

Zakładałem, że to on jest człowiekiem, który współpracuje z Kłapickim i van Klomperem.

Czy nas sprawdzał? Jeśli moje obawy były uzasadnione, to doszły go już słuchy o wypadku w

Modrzewiu i o pożarze wiatraka. I ten fakt mógł połączyć z naszym późnym, bądź co bądź,

powrotem.

- Naprawdę nic ci nie jest? - zagadnął mnie Bond, gdy go mijałem. Patrzył na mnie

badawczo. - Wyglądasz jakbyś stoczył bitwę.

W dalszym ciągu dziwnie mi się przyglądał, a ja dopiero teraz zrozumiałem, że miałem nadpalone włosy i osmaloną dżinsową kurtkę - pamiątkę po pożarze starego wiatraka.

„Wpadliśmy - pomyślałem. - Bond już wie, że pożar to nasza sprawka i że to my pomogliśmy więźniom w ucieczce”.

- Nic się nie stało - palnałem bez namysłu. - Spokojnych snów!

- Czy Hannussen wrócił? - zapytała nieoczekiwanie Jola, jakby chciała zmienić temat.

- Hannussen? - zdziwił się Bond. - Przecież on nas opuścił. Wyjechał. Co z wami? Jesteście jacyś dziwni.

Uciekliśmy do swojego pokoju i zamknęliśmy się na cztery spusty.

Byliśmy wyczerpani. Jola słała się ze zmęczenia na nogach, więc nie powracaliśmy

do tematu ostatnich wydarzeń. Po wieczornej toalecie położyliśmy się spać bez kolacji - Jola

na łóżku, ja na prowizorycznym posłaniu. Przed zaśnięciem słyszałem jeszcze, jak w pokoju

za ścianą kręcił się Bond, ale i on wkrótce się uciszył. Zasnąłem szybko.

Śniły mi się duchy. Bezszelstnie poruszające się nocne stwory, białe, to znowu przezroczyste, zmieniające nieustannie kształty i wpełzające pod różnymi zniekształconymi

postaciami do wszystkich zakamarków. Pomieszczeń było tutaj znacznie więcej niż w

rzeczywistości, a one, te duchy, wciąż nawoływały. Słyszałem krzyk jednego z nich, a głos

dobiegał zza grubej ściany, którą bezskutecznie chciałem ominąć. A głos wciąż cicho

powtarzał: „Liberalesie, obudź się pan!” Duch nawoływał mnie jeszcze dwa razy, aż wreszcie

został zagłuszony przez czyjś przeraźliwy krzyk. Wtedy to się obudziłem.

Usiadłem w pidżamie na moim prowizorycznym łóżku w ciemnym pokoiku na piętrze Domku Neogotyckiego w Oporowie. Dla pewności, że to nie sen, zapaliłem nocną lampkę.

Było cicho. Dziwne było to, że Joli nie było w łóżku. Jednakże słyszałem jakieś kroki na

korytarzu, więc pomyślałem, że dziewczyna wraca z toalety.

Wyszedłem na korytarz. Ujrzałem Jolę w długiej flanelowej koszuli, spod której wystawały chude patyczkowate nogi. Niespodziewanie otworzyły się drzwi pokoju Bonda.

Wyszedł na korytarz w kapciach i wyglądał na całkowicie przytomnego.

- Co się stało? - zawołał.

- Byłam tutaj i usłyszałam krzyk - odparła przerażona i blada Jola. - Ktoś krzyczał na

dole...

- Miss Marple! - rzuciłem zaspanym głosem.  
Czym prędzej ruszyliśmy schodami na dół. Bond zapalił światło i ujrzeliśmy starszą panią leżącą na podłodze naprzeciwko otwartych drzwi wyjściowych. Miss Marple nie ruszała się. Leżała nieruchomo i zdawała się być martwa.  
- O Boże - przerażona Jola zasłoniła dłonią usta. - Ktoś ją zamordował. O mój Boże!  
Bond pobiegł do kuchni sprawdzić, czy nie ma tam intruza, a ja w tym czasie wymacałem na szyi starszej pani tętno. Pulsowała słabo i nieregularnie, ale istotne było tylko to, że kobieta żyła.  
Bond znalazł się już w salonie, w którym zapalił światło.  
- Nikogo nie ma - oświadczył.  
Po chwili wyszliśmy z Domku i rozejrzeliśmy się za niewidocznym przeciwnikiem. Park zamieszkiwała głucha ciemność, której spokój zakłócała jedynie szeleszcząca mowa starych liści na drzewach, zamek zaś milczał pogrążony w kamiennym śnie.  
Wróciliśmy z niczym.  
Miss Marple - która nie odniosła żadnych poważnych obrażeń, nie licząc guza na głowie - przeniesliśmy do jej pokoju na parterze. Na szczęście szybko odzyskała przytomność.  
- Kto tutaj był? - zapytał ją James Bond.  
- Nie wiem... nie wiem... - szeptała i z przerażeniem patrzyła na nas. Zaraz się jednak opanowała. Usiadła na krawędzi łóżka. - Ktoś chodził dookoła Domku... zdaje się, że krzyczał... jakby kogoś wołał.  
Jej relacja dziwnie współgrała z moim snem, w którym to wołał mnie duch.  
- Wyszłam z pokoju - opowiadała dalej Miss Marple - otworzyłam drzwi i wtedy ktoś mnie zaatakował.  
- Nie widziała pani, kto to? - dopytywał się Bond.  
- Nie. Było ciemno. Zresztą zostałam napadnięta z nienacka.  
- Kto to mógł być? - zmarszczył czoło Bond. - Dziwne, ale też słyszałem jakieś głosy na zewnątrz.  
- Myślałem, że spałeś i dopiero krzyk Miss Marple cię zbudził - zwróciłem się do Bonda.  
- No tak, oczywiście, było tak, jak mówisz - przytaknął mi. - Spałem i nagle zbudził mnie krzyk Miss Marple. Zerwałem się z łóżka i natychmiast wybiegłem na korytarz.  
Przecież sam widziałeś, jak wychodziłem ze swojego pokoju.  
Jego wyjaśnienie brzmiało przekonująco, ale zastanowiło mnie, że Bond zdążył przed wybiegnięciem z pokoju nałożyć na nogi kapcie.  
- A ty, Jolu? - zapytał ją Bond. - Niczego nie słyszałaś w toalecie?  
- Nic a nic.  
- Kto to mógł być? - zgadywałem. - Czyżby znowu odwiedził nas oporowski „duch“?  
- Wierzy pan w duchy? - zdziwiła się Jola. - Duchów nie ma.  
- A skąd wiesz, drogie dziecko, że nie ma? - zapytała Miss Marple. - Może to duch mnie zaatakował.  
- Pani też wierzy w te brednie? - zakpił Bond.  
- Może to duch, a może nie. Pewności nie ma, młody człowieku. Idźmy spać. I nie róbmy z tego sensacji.  
Zamknęliśmy drzwi Domku od wewnątrz i pożegnaliśmy się. Przez kwadrans wypatrywaliśmy „ducha” przez okno, ale zdawało się, że w pobliżu nikogo nie ma.  
- Gdzie byłaś, zanim Miss Marple krzyknęła? - zapytałem niespodziewanie Jolę.



- W toalecie - odpowiedziała po namyśle. - A czemu pan pyta?  
- Z ciekawości - mruknąłem. - Próbuję ustalić tożsamość „ducha”.  
Przed zaśnięciem długo myślałem nad tym, co usłyszałem z ust Bonda. Skąd, na Boga, wiedział, że Jola była w toalecie, skoro wybiegł z pokoju jako ostatni? Gdy znalazł się na korytarzu, ja i Jola staliśmy obok siebie, więc jakim cudem Bond zdążył wydedukować, gdzie przebywała dziewczyna? I te kapcie! Czy spłoszony przeraźliwym krzykiem Miss Marple mógł zerwać się z łóżka i przed opuszczeniem pokoju nałożyć jeszcze kapcie na nogi? To było nienaturalne zachowanie.  
Wyjaśnienie moich wątpliwości mogło być takie: Bond miał kapcie na nogach, jeszcze zanim Miss Marple krzyknęła. Nie twierdzę, że to Bond był „duchem” i przyłożył Miss Marple. Bond nie tylko miał kapcie na nogach przed incydentem w hallu, ale dobrze wiedział, gdzie znajdowała się wówczas Jola. James Bond bowiem nie spał. Nie spała także Jola. Tak, teraz dojrzałem swoją głupotę. Jola i Bond się znali! Pamiętacie wyznanie Lary Croft na temat gustów Bonda? Lara była melomanką, słuchała Liszta, Wagnera i Bartoka, Bond zaś to fan Aerosmith. A co znalazłem w mieszkanku Joli na Okęciu? Odkurzone płyty tego amerykańskiego zespołu rockowego! Dobrze wiedziałem, że Jola miała niezwykle wyrafinowany gust muzyczny. Skąd zatem wzięła się ta nagła potrzeba słuchania rocka?  
Wyjaśnienie było jedno - odwiedził ją mój brat. To odkrycie spowodowało, że nie mogłem zasnąć. Czułem się podle, ale zaraz wstąpiła we mnie nowa energia. Przecież nie przegrałem! Wprawdzie nie znałem motywów podwójnej gry Joli, nie wiedziałem też, co takiego planował Bond, ale zdołałem ustalić, że się znają. Odkryłem tajną broń Bonda! Jola! Jola! Jola! Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że moja pianistka nie okazała nawet cienia zdziwienia, gdy w lesie wyszło na jaw, że Bond jest moim bratem!  
Na wiele pytań nie znałem jeszcze odpowiedzi. Nie wiedziałem na przykład, kto bawi się w oporowskiego „ducha”. Nie był to z pewnością Buźka, gdyż dostał wyraźne polecenie od Lary Croft pilnowania zagrody Matusiaka. Kto zatem chodził w nocy koło Domku? Odpowiedź na to pytanie poznałem już po godzinie.  
Nie mogłem zasnąć nękany wspomnieniami ostatnich wydarzeń i bombardowany gradem pytań. Zdawało mi się, że Jola także ma problemy z zaśnięciem. Nad czym tak intensywnie myślała?  
I oto ciszę brutalnie przerwał odgłos głuchego uderzenia kamieniem o szybę. W pierwszej chwili znieruchomiałem, ale zaraz poderwałem się na równe nogi. Wstała także Jola.  
- Nie zapalaj lampki - upomniałem ją szeptem.  
Kolejny kamyk uderzył w szybę. Zaciekawieni podeszliśmy do okna wychodzącego na park i przyłgnęliśmy do szyby, mrużąc oczy przed mglistym światłem samotnej latarni. Na dole ktoś stał i machał na nas ręką.  
To był Hannussen.

Jego widok był dla nas prawdziwym zaskoczeniem, więc nic dziwnego, że staliśmy z Jolą w oknie i dłuższą chwilę gapiliśmy się na zdenerwowanego intruza na dole. To on był owym niespokojnym „duchem”, który próbował obudzić mnie wołaniem. Musiał mieć pilny interes, skoro o mało nie zabił Miss Marple. Hannussen dawał nam ręką znaki. Otworzyłem okno i wtedy ten człowiek rzucił w naszym kierunku jakiś przedmiot. Złapałem odruchowo kamień, w który zawinięty był jakiś papier; już po chwili Hannussen rozpląnął się szybko w parkowych ciemnościach. Bez słowa zamknęliśmy okno i zapaliliśmy nocną lampkę.

- „Spotkajmy się o szóstej rano na cmentarzu w Oporowie - przeczytałem pierwsze zdanie zapisane niecierpliwą ręką Hannussena. - Będę czekał za pomnikiem Orsettich”.

- Czego on od nas chce? - zapytała cicho Jola.

- Nie mam zielonego pojęcia. Ale to ważnego, skoro czyni tyle zabiegów, aby się z nami spotkać. Nie powiem, jestem ogromnie ciekawy, co ma mi do powiedzenia.

- „Mi”? - zmarszczyła gniewnie czoło. - Myślałam, że działamy razem.

- Och, przepraszam. Powiedziałem tak z rozpędu. Ale miałem na myśli nas. W duchu zganiłem się za tę lekkomyślność. Odkrycie spisku dziejącego się za moimi plecami, bolesna świadomość zdrady Joli, automatycznie skazywały mnie na samotność w tej grze. To dlatego podświadomie myślałem już wyłącznie w pierwszej osobie i wykluczyłem Jolę z grona przyjaciół. Musiałem jednak grać dalej. Z trudem usnałem, wierząc, że jutrzejszy dzień odsłoni przede mną nieco więcej prawdy i rozwieje przynajmniej część wątpliwości. Wstałem o wpół do szóstej i ledwo obudziłem nieprzytomną Jolę. Dziwne to uczucie, gdy zmęczenie i potrzeba snu zabijają w człowieku zapał i działanie, a tak właśnie czuliśmy się tego ranka - niewyspani i byle jacy. W takich chwilach każdy cel wydaje się mętny i daleki. Jednakże zmusiliśmy się do powrotu do rzeczywistości i wykrzesaliśmy z siebie resztki motywacji. Po krótkiej porannej toalecie dziewczyna doprowadziła moją czuprynę do jako takiego wyglądu, wycinając nadpalone przez ogień kosmyki włosów. Gdy tak pracowała z zaangażowaniem nożyczkami i kiedy patrzyłem na jej subtelne rysy, ładną buzię i szczere spojrzenie, nie mogłem uwierzyć, że ta dziewczyna jest szpiegiem Bonda. Bo to, że go zna, nie ulegało wątpliwości. A jeśli ktoś kłamał w tak uroczy sposób, to musiał być osobą zakłamaną. Z kolei udawanie przed nią stanowiło dla mnie najgorszą mękę, ale przeciwników mogłem pokonać tylko ich własną bronią. Do spotkania z Hannussenem zostało mało czasu. Opuściliśmy Domek cichaczem i pomaszerowaliśmy przez park. Rześkie powietrze dodało nam sił i powoli rozrzedzało ciemność, ale do wschodu słońca było jeszcze trochę czasu.

- To już siódmy dzień naszego pobytu - stwierdziłem.

- A jeśli nikt nie odnajdzie skarbu paulinów? - zapytała Jola. - Co wtedy?

- Jutro rozjedziemy się do domów i tyle. Ciężka cmentarna furtka była otwarta. Skrzypnęła rozpaczliwie, jakby chciała ostrzec przed nami żywych i umarłych, a tymczasem spłoszyła z murów i gałęzi drzew liczne wrony.

Ciemność rozpraszały jedynie resztki gwiazd i blady księżyc, ale majaczące wysoko nad naszymi głowami korony drzew chroniły wieczny spokój grobów. Mijaliśmy sterczące krzyże i kanciaste bryły marmurowych pomników, a stopy stawialiśmy delikatnie, jakbyśmy bali się zbudzić zmarłych.

- Hej! - usłyszeliśmy wołanie dochodzące z północnej części cmentarza. - Tutaj! Poznaliśmy po głosie Hannussena. Jasnowiedz krył się za jakimś grobowcem.

- Po co ta cała konspiracja? - zapytałem go, gdy wyłonił się zza strzelistego pomnika i wyszedł nam naprzeciw.

- Na pewno nikt za wami nie idzie? - dopytywał się i wypatrywał kogoś za naszymi plecami.

- Nie. A kto miałby za nami iść?

- Choćby ta przeklęta Marple - syknął.

- Czemu jej pan nie lubi, Hannussen?

- To stara, podstępna grafomanka - nie krył antypatii do starszej pani. - Tylko ja wiem, co z niej za ziółko. Zdemaskowałem ją, więc za dyskrecję obiecała mi połowę nagrody.

Niestety, nie dotrzymała słowa. Nie dość na tym! Porwali mnie i uwięzili w starym wiatraku...

Dopiero teraz zabrzmiało właściwie w moich uszach zdanie, które usłyszałem od dwóch osób: Hannussena i Miss Marple. Brzmiało ono: „spacery, spacery i jeszcze raz spacery”. Tak powiedziała do mnie Miss Marple podczas niedzielnego spotkania pod kościołem; o dziwo, to samo zdanie padło później z ust Hannussena. To nie był zbieg okoliczności. Miss Marple nadużywała pewnie tego powiedzenia, a ten podświadomie je zapamiętał i później odruchowo powtórzył w mojej obecności.

- Wie pan - kontynuował Hannussen - w tym starym zegarze z kukułką mieliśmy skrzynkę kontaktową. To był pomysł tej Marple, ale gdy zorientowaliśmy się, że ktoś zna nasz sekret, kazała zostawiać wiadomości w kościele. Pod jedną z ławek. Oczywiście zakazała wszelkich rozmów i wspólnych spacerów po Oporowie. To dlatego ta para tak często odwiedzała kościół.

- Ona nawet przeniosła się z zamku do Domku - gadał dalej jasnowiedz. - W tym celu podtruła Porucznika Columbo. Podczas wieczorku w salonie dosypała do jego kieliszka pewien specyfik wywołujący złe samopoczucie, halucynacje i tym podobne objawy. Ta jędza chciała go zmusić do przeprowadzki. I w końcu mu to zaproponowała. Faktycznie tak było. Porucznik Columbo skarżył się na źle przespaną noc. Rano podczas spaceru z Ewą widziałem go bladego i zmęczonego.

- Po co to wszystko, panie Hannussen? - nie wytrzymała Jola.

- Po pierwsze, Marple chciała mieć mnie na oku i po drugie, z Domku łatwiej wyjść, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Domek leży na uboczu, zamek jest wyeksponowany. W nocy dodatkowo siedzi tam strażnik.

- Ale po co ta cała konspiracja? - powtórzyłem pytanie.

Hannussen nie od razu odpowiedział. Przez chwilę nasłuchiwał, czy nikt nas nie podsłuchuje, a potem wycofał się z alejki i stanął przy pomniku Orsettich. Poszliśmy za nim.

- Miss Marple współpracuje z cudzoziemcem i pewnym mieszkańcem Kutna - odpowiedział. - To długa historia. Jak pan wie, ci ludzie uwięzili mnie w wiatraku. Wielkie dzięki, że mnie pan uratował, młody człowieku. Między innymi z tego właśnie powodu

przyszedłem do pana. Bo tylko wam ufam w tym gronie. Ufam też, że razem możemy odszukać skarb przeora Gabriela. Tak się składa, że wiem co nieco na temat owej tabliczki i

domyślałem się, gdzie może być ukryty skarb?

- Jeśli wie pan, gdzie jest skarb, to na cóż jesteśmy panu potrzebni?

- Chciałem powiedzieć, że mam przeczucie, ale nie jestem dobry w myśleniu dedukcyjnym - wyjaśnił poważnym tonem. - Pan, jak się zdażyłem już zorientować, ma

głowę na karku. Ścisły umysł. Wie pan, ja zawsze kierowałem się szóstym zmysłem, pan

myśli diabelnie logicznie. Pomyślałem, że moje przeczucie i pański ścisły umysł pozwolą

nam odnaleźć skarb, temperamentum! Prawdopodobnie nie mylę się z tym „zerem”.

Gdyby

było inaczej, Miss Marple zachowywałaby się spokojnie. A pamiętacie, że każda moja uwaga

o „zerze” wywoływała u tej starej baby furię.

- Tak było - przyznałem.

- Bo widzicie, ja trzymałem w ręku autentyczną tabliczkę! I miałem wizję. To „zero”

jest miejscem ukrycia skarbu. To może być oczko wodne.

- Pan to wie? - zdziwiła się Jola.

- Wiem, młoda damo - zabłysły mu na chwilę oczy, ale zaraz posmutniał. - Cóż z tego,

skoro nie wiem, gdzie to jest. Nie znam konkretnego miejsca.

- Może zamkowa fosa?

- Zbadałem ją za pomocą różdżki, ale uzyskałem efekt negatywny. Zamek i jego otoczenie musimy wyeliminować. Dlatego przyszedłem z tym do was. Połączymy siły i

znajdziemy skarb. A nagrodą podzielimy się na pół.

- Na trzy części - sprecyzowała Jola. - Jest nas troje.

- Wybaczcie, ale na to nie mogę się zgodzić - zaprotestował łagodnie, ale zarazem

stanowczo. - Ja dostanę dziesięć tysięcy euro, wy podzielicie się drugą połową. Inaczej pójdę

do Bonda.

Hannussen uderzył w moją czułą strunę. Zdawał sobie sprawę z własnych ograniczeń jako detektyw, dlatego szukał współnika, którego atutem jest umiejętne wykorzystanie

szarych komórek. Pochlebiał mi ten Hannussen! Ale niewykluczone, że informacje, które

posiadał, mogły ułatwić odszukanie skarbu. Wierzyłem w jego jasnowidzenie - przecież ten

człowiek bezbłędnie opisał złodzieja Traktora podczas pierwszego spotkania na zamku. Nie

mogłem lekceważyć zdolności Hannussena.

- To jak? - powtórzył z nadzieją. - Odpowiedzcie mi jeszcze przed nastaniem świtu, czy

mam szukać pomocy u kogo innego? Mieszkałem z Bondem w jednym pokoju, więc wiem, że to cwaniak nad cwaniaki. Nie ufam mu zanadto. Jeśli jednak odmówicie

współpracy, to

pójdę do niego. Cóż stracę? Ale wtedy to on, nie wy, odnajdzie skarb i podzieli się nagrodą.

Poza tym zdobędzie uznanie pani Ewy i nigdy jej pan nie zaimponuje. A na tym chyba zależy

panu najbardziej.

- Co pan wygaduje? - oburzyłem się.

- Bond mówił, że czuje pan do naszej pani kustosz miętę - uśmiechnął się. - Wyczuwam, bez pomocy różdżki, że ma rację.

- Wszyscy o tym mówią - westchnęła niepokieszona Jola.

- Wracajmy lepiej do tematu - ponagliłem jasnowidza, nie kryjąc złości.

- Przed nastaniem dnia chciałbym niezauważony opuścić Oporów. Szpieczy tej Marple mogą tutaj na mnie czyhać. Zwiąłem im, więc chcą mnie dorwać w swoje łapska i odizolować od pozostałych detektywów.

- Musi pan naprawdę dużo wiedzieć.

- Mowa! - zawołał z pychą w głosie. - To jak?

- Ja bym się nie zgodziła na taki układ, Arturze - grymasiła Jola.

Nic nie mówiłem. Myślałem intensywnie nad całą sprawą, mimo że ostatnie stwierdzenie Joli rozdrażniło mnie. Chyba wiedziałem, dlaczego dziewczyna nie chciała układu z Hannussenem! W wypadku odmowy z naszej strony wiedziała, że jasnovidz pójdzie do Bonda, a ten z pewnością przyjmie go z otwartymi rękami. Po prostu Jola pomagała Bondowi, więc nie mogła dopuścić do tego, abym to ja wszedł w ten układ.

- A ja wręcz przeciwnie - droczyłem się. - Interesuje mnie, co ma do powiedzenia pan Hannussen. Jak miemam, zna pan powody, dla których Miss Marple stara się ukryć pewne nazwiska albo fakty z przeszłości zapisane w aktach metrykalnych miejscowych parafii?

- O! - zdziwił się Hannussen. - Pan to odkrył? Gratuluje. Ale jestem pewny, że nie wie pan, co może łączyć ją z tym Holendrem i Kłapickim. No i, koniec końców, nie wie pan o prawdziwej tabliczce.

Wiedzieliśmy, że rysunek zabrany podstępnie van Klomperowi jest prawdopodobnie kopią prawdziwej tabliczki, tej wykonanej przez ojca Gabriela, i że to on stanowi klucz do rozwiązania tajemnicy przeora, ale nie wiedzieliśmy jednak, jakim cudem Miss Marple i jej wspólnicy weszli w posiadanie autentycznej blaszki. Hannussen wspomniał, że trzymał w ręku autentyk i wyjaśnienie tej okoliczności było tak samo istotne dla poznania prawdy, co interesujące.

Właściwie to nie musiałem wchodzić z Hannussenem w układ, aby odnaleźć skarb. Dzięki szkicowi van Klompera wiedziałem tyle samo, co Miss Marple i jej ludzie. Ale byłem ciekaw, co wydarzyło się pamiętnej zimowej nocy 1657 roku? Nie mogłem zapomnieć o ostatnim odkryciu w Mnichu, które gmatwało tę i tak już tajemniczą sprawę.

Wreszcie nadszarpnięta duma i honor kazały mi zrobić na złość Joli i Bondowi.

- Nie zgadzam się - oświadczyłem po namyśle, ku zdziwieniu Hannussena i zadowoleniu Joli. - Nie wchodzę z nikim w żaden układ. O mały włos nie zabiłby pan w nocy Miss Marple. To pan jest tym duchem-łobuzem. Powinienem pójść na policję i nie rozmawiać z panem. Nie jest pan lepszy od swoich prześladowców.

- To nie tak! - zaprotestował. - Chciałem z panem pogadać, ale pan nie odpowiadał na wołanie. Otworzyłem drzwi wytrychem. Wchodząc, uderzyłem stojącą za drzwiami Miss Marple. Nie wiedziałem, że ona tam stoi. Przysięgam..

Pomimo jego zapewnień nie zgodziłem się na propozycję współpracy. Hannussen nie wzbudzał mojego zaufania. Układ ów był też nieuczciwy ze względu na pozostałych detektywów. Nawet jeśli nie wszyscy grali fair.

- Dzięki za uratowanie życia - bąknął niemrawo chłopak. - Dzisiaj ojciec powiadomi policję. Ale może pan być spokojny, bo słowem nie wspomniałem o Hannussenie i tamtych facetach. Mało nie oberwałem od ojca...

- Należało ci się - zbesztła go Jola.  
Taktownie nie zabierałem głosu, byłem bowiem nie bez winy.

- I ja chciałabym panu podziękować - wtrąciła Agata i zachichotała. - Za rozwiązanie zadania z matematyki dostałam pierwszą szóstkę. Dzięki temu tato pozwolił mi znowu spotykać się z Krzyśkiem. Szkoda tylko, że ja nic nie kumam z tych obliczeń. Matematyka jest okropna.

Agata pokazała mi zeszyt, a w niej otrzymaną poprzedniego dnia ocenę. Targnęły mnie wyrzuty sumienia - nie powinienem był rozwiązywać tego zadania. To było oszustwo wobec kolegi po fachu w żychlinowskiej szkole. Ale obiecałem sobie, że jakoś zmuszę Agatę do nauki matematyki.

- Jak dostałam szóstkę, to się ucieszyłam - powiedziała to jakoś smutno. - A wszystkie dziewczyny w klasie mi zazdrościły. Szkoda, że nie umiem rozwiązywać takich zadań naprawdę.

- Wszystko przed tobą - zapewniłem, ucieszony jej skruchą.  
I zamilkłem. Wpatrywałem się w owo przepisane starannym piśmem przez dziewczynę zadanie z niezrozumiałym skupieniem. Co miały ze sobą wspólnego - prościutkie zadanie ze sprawą tabliczki? Tajemnicza siła kazała wpatrywać się w kartkę zeszytu z wyrysowanymi wzorami i treść zadania. Obliczyć objętość planety Układu Słonecznego Jowisz, przyjmując, że to kula idealna, na podstawie czasu drogi przebytej przez statek kosmiczny SPACETRACKER po jej równiku...

- Co się stało? - zaniepokoiła się Jola. - Panie Arturze!  
- Właśnie, co się dzieje? - zainteresowali się pozostali.  
- Nie, nic - wydukałem wreszcie. - Przepraszam. Trochę się zamyśliłem.  
- Czyżby? - zmrużyła chytrze oczy Jola. - Wyglądał pan tak, jakby miał krzyknąć „eureka“!

- A co to takiego? - spytał zaciekawiony Krzysiek.  
- Dawno temu Archimedes wybiegł nago z łaźni i krzyczał „eureka“ - wyjaśniłem. - To było zaraz po odkryciu przez niego prawa wyporu hydrostatycznego.  
- A pan co odkrył? Chodzi o skarb?  
- Poczulem mrowienie na karku - żartowałem. - Nie wiem, gdzie jest skarb, ale czuję, że rozwiązanie jest w zasięgu ręki.  
Dzieciaki zaczęły rozglądać się dookoła siebie.

- Nie w sensie dosłownym - zaśmiałem się.  
- Skomplikowana sprawa - zniechęciła się moim niejasnym wyjaśnieniem Agata. - Jak ma pan zamiar tak mi tłumaczyć matematykę...

- Och, matematyka jest prostsza! Ale są niektóre sprawy na tym świecie wymagające specjalnego wyjaśnienia, przy których proste równania matematyczne nie wystarczają. Nie wszystko da się opisać matematycznie. Istnieje inny poziom rozumienia świata - bez udziału świadomości, funkcjonujący poza sferą rozumu. Znacnie może paradoks Zenona z

Elei?

- Nie znamy gościa - stwierdzili chórem.

- Nie możecie go znać - zaśmiałem się. - Żył w starożytności, podobnie jak wspomniany Archimedes. Był przeciwnikiem możliwości jakiegokolwiek ruchu, co miały

potwierdzać stworzone przez niego paradoksy. Były one nierozwiązywalne przez około 2000

lat. Najsłynniejszy z tych paradoksów mówi o wyścigu Achillesa z żółwiem, który ukazuje

niemożliwość prześcignięcia żółwia przez słynnego biegacza.

- To jakieś nonsensy!

- Zenon z Elei rozumował, że Achilles w chwili startu znajduje się w pewnej odległości za żółwiem. Kiedy po sygnale startu przebiegnie tę odległość, znajdzie się on w

miejscu startu żółwia. Ale ten przesunie się już o pewien odcinek drogi. Kiedy więc Achilles

przebiegnie tę różnicę drogi, żółw również przesunie się o pewien odcinek. I tak dzieje się to

w nieskończoność. Rozwiązanie tego paradoksu wynika ze stwierdzenia, iż łączny czas

trwania nieskończenie wielu etapów jest skończony.

- Ale co mają wspólnego nagi Archimedes i Zenon, który nie potrafi dogonić żółwia, z

naszą sprawą? - zirytowała się Jola. - Chce pan nam wmówić, że nie dogonię żółwia albo

ślimaka?

- Codzienna praktyka nie pozostawia złudzeń, że paradoksu nie ma! - uśmiechnąłem się. - Achilles prześcignie żółwia, a ty, Jolu, bez trudu podniesiesz z ziemi ślimaka. Często

równania matematyczne nie wystarczają do opisu rzeczywistości, to narzędzie, którym

zgrabnie można opisać niejeden proces i zależności, tyle że są to zależności cząstkowe,

wybrane, albo (z drugiej strony) tak uogólniające rzeczywistość, iż nie sposób zastosować ich

do prozy życia. Nasze postrzeganie i zdolność pojmowania są ograniczone (czy ktoś widział

kiedyś atom albo całe Himalaje?). Na opisie matematycznym ciąży ograniczenie wynikające z

naszej niedoskonałości i z naszego dziedzictwa. To, że równaniem matematycznym można

opisać poruszające się wahadło, nie jest równoznaczne z tym, że matematyka jest jedynym

językiem poznawczym. Jak na razie - dzięki niej zdobywamy cząstkową wiedzę o świecie,

jesteśmy jak ślepiec opukujący swoją laską drogę, aby za jej pomocą dowiedzieć się, gdzie się

znajduje. Nasza wiedza (i technika poznawcza) przewyższa naszą zdolność pojmowania i

czasem rodzi paradoksy, przeczące zdrowemu rozsądkowi. Ale tak to jest, gdy nie znamy

Boga, choć częściowo znamy jego język (mowa o matematyce).

Patrzyli na mnie z rozdziawionymi ustami, nie wiedząc, o co mi chodzi. Prawdą było,

że uwielbiałem mówić o tych sprawach i stawałem się wtedy niezgorszym gadułą.

- Podsumowując, zdolności pojmowania nie można utożsamiać tylko z inteligencją, wiedzą, pięknym równaniem. Korzystamy tak samo z wiedzy, jak i sygnałów płynących z

naszego ciała czy spoza świadomości. (Kto wie, czy Hannussen nie był mądrzejszy, jeśli

potrafił to, czego nie potrafiła policja?) Gdyby było inaczej, to prosta maszyna

obliczeniowa

(komputer) potrafiłaby rozwiązać za nas zagadkę przeora Gabriela, sformułować twierdzenie

matematyczne, odkryć nowe prawo fizyczne lub postawić bezbłędnie diagnozę medyczną.

Święty Augustyn mówił, że wie, co to czas, dopóki ktoś go o to nie zapyta. On wiedział sobą.

To coś jest uczuciem mocnym jak skała, ale ulotnym jak duch. Nasz niewidoczny sufler.

- Jak na razie mieliśmy w nocy innego ducha - powiedziała Jola. - Niewidoczny i silny. Przyłożył nawet Miss Marple, aż ta o mało nie wyciągnęła nóg.

Opowiedziałem dzieciakom o nocnej przygodzie w Domku, nie wspominając o rozmowie z Hannussenem i jego rewelacjach. Nie chciałem dawać im zbyt wielu pretekstów

do zrobienia kolejnego głupstwa.

Już wyganiałem ich do szkoły, gdy ujrzałem nadjeżdżający od strony Żychlina samochód. To był ford fiesta z dwoma osobnikami wewnątrz.

- Schowajcie się! - upomniałem moich współników. Daliśmy nura w parkowe krzaki, gdyż z szosy można było nas łatwo wypatrzeć.

- Kłapicki z Holendrem nie rezygnują - powiedziałem. - Dwadzieścia tysięcy euro to

niezła sumka. Ale kto wie? Może skarb paulinów jest więcej wart?

Ford minął skrzyżowanie i skierował się wolno w górę wioski na klasztor.

- Nie mogę was tak puścić do szkoły - zwróciłem się do Agaty i Krzyśka. -

Niewykluczone, że tych dwóch poluje na Krzyśka.

- To co robimy? - zapytał.

Poszedłem po Traktor. Zabrałem dzieciaki i dla świętego spokoju zawiozłem pod samą szkołę w Żychlinie. Zrobiłem to dla ich bezpieczeństwa i dla własnego spokoju. Nie

chciałem ich mieć na sumieniu.

W drodze powrotnej rozmawialiśmy z Jolą wyłącznie o tabliczce.

- Czy wtedy w parku, patrząc na zeszyt Agaty, pan coś odkrył? - zagadnęła mnie.

- Jeszcze nie - przyznałem zgodnie z prawdą. - Ale musimy dzisiaj koniecznie przejrzeć stare księgi metrykalne.

- Znowu? - jęknęła.

- Może to i nudne, ale sama zobacz, jak wiele odkryliśmy dzięki wizycie na plebani w

Oporowie, Mnichu i.kutnowskim archiwum.

- Racja. Ale czas rozszyfrować te znaki na tabliczce. Wie pan, co myślę, że to dziwne

„M” w dolnym, lewym rogu tabliczki może oznaczać Mnich.

- Coś w tym jest. Jakkolwiek by było, to w Mnichu Porucznik Columbo znalazł trumnę z trzema wyrzniętymi krzyżami.

Byłem niemal pewny, że litery na tabliczce maskowały prawdziwe znaki, które wskazywały miejsce ukrycia skarbu. Tabliczka nie była żadnym skomplikowanym

matematycznym. To mogła być zwykła mapa!

- Czy zauważyłaś, że owa tabliczka jest w zasadzie podziałką? - myślałem głośno.

-

Siedem wierszy i siedem kolumn.

- Czterdzieści dziewięć małych kwadracików?

- Właśnie. Czy przypadkiem jeden taki kwadracik, w który wpisano określony znak, nie stanowi jednostki powierzchni?

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, że jeden taki kwadracik odwzorowuje w terenie konkretną powierzchnię.

- Rozumiem! - zapaliła się Jola. - Na przykład jeden kilometr kwadratowy?

- Jeśli to mapa i znak „krzyża” symbolizuje kościół w Oporowie, to litera „M” może

być kościołem w Mnichu. Zgodnie ze stronami świata owo „M” leży na zachód od „krzyża”,



tak jak Mnich od Oporowa.

- Nawet liczba kwadracików by się zgadzała - Jola wyciągnęła rysunek tabliczki zabrany van Klomperowi. - O, proszę! Znak „krzyża” oddzielają od litery „M” cztery

kolumny i jeden wiersz. To by było jakieś cztery do pięciu kilometrów. Ile jest z Oporowa do

Mnicha? Coś koło tego! Panie Arturze! Jesteśmy bogaci!

Naraz posmutniałem.

- Tabliczka może być mapą, ale teoria o kwadracikach upada.

- Dlaczego? - zrobiła zwiędzioną minę. - To bardzo fajna teoria.

- Ciekawa, nie powiem, tylko, że w XVII wieku w użyciu była inna jednostka długości. Zamiast kilometra posługiwano się milą polską.

- A ile miała metrów taka mila?

- Coś koło siedmiu kilometrów.

Jola ucichła, zrozumiawszy, że z tą podziałką zabrnęliśmy w ślepa uliczkę, chociaż

nasze rozumowanie szło w dobrym kierunku.

- Trzymajmy się jednak wersji, że tabliczka stanowi mapę okolicy i niektóre znaki

symbolizują szczególne miejsca w terenie - zaproponowałem po chwili milczenia.

Była jednak sprawa, która nie dawała mi spokoju. Zastanawiałem się, jaką rolę odgrywała fałszywa tabliczka znaleziona w trumnie Kucińskiego w Drzewoszkach?

Nie

ulegało wątpliwości, że miała ona związek z wydarzeniami zimowej nocy 1657 roku.

Zakładałem, że legenda jest prawdziwa i skarb rzeczywiście istniał! Zarówno miedziana

tabliczka z Drzewoszek, jak i trumna Oporowskiego znaleziona w kościelnej krypcie w

Mnichu wskazywały na prawdziwość legendy. Świadczył o tym także rysunek zabrany cudzoziemcowi.

- Na mój rozum, to ktoś wykonał drugą tabliczkę - powiedziałem. - To było za czasów

przeora. Chciał zakamuflować niezbędne do odnalezienia skarbu znaki, ukrywając je w

gąszczu nic nieznaczących liter. Konfiguracja tych szczególnych znaków ma bowiem kolosalne znaczenie. O tym jestem święcie przekonany, Jolu. Przeor chciał

zamaskować

ułożenie kilku ważnych znaków przed oczami niepowołanych osób, fałszerz zaś postąpił

podobnie, z tym że jeszcze bardziej utrudnił ich rozszyfrowanie.

Zastanawialiśmy się trochę nad znaczeniem znaków występujących na tabliczce, gdy,

dojeżdżając do Oporowa od południa, ujrzeliśmy idących opustoszałym polem Porucznika

Columbo i Krystynę. Było to gdzieś za wsią Pasieka.

Nissana Columbo dostrzegłem zaparkowanego pod drzewem na skraju świeżo zaoranej ziemi, a detektyw i bibliotekarka brnęli przez świeże redliny, jakby byli w amoku.

- Co oni robią? - zdziwiła się Jola.

- Nie wiem. Ale możemy zapytać.

Skręciłem w boczną, usłaną niebezpiecznymi dołami drogę biegnącą między polami. Wreszcie minęliśmy lśniącego w porannym słońcu nissana i ruszyliśmy śladami stóp pozostawionymi przez naszych konkurentów.

- Hej! Poruczniku Columbo! - wołaliśmy. - Znalazł pan coś?!

Detektyw zatrzymał się i popatrzył na nas z niechęcią. Rozmawiali z Krystyną na boku przez chwilę, a potem zawrócili w naszą stronę. Spotkaliśmy się w szczerym polu,

mając przed sobą Oporów na północy i bardziej na lewo majaczące dachy wsi Dobrzewy.

- Drogi Liberalesie! - przywitał mnie Porucznik Columbo. - Pan też, widzę, zwiedza

teren.

- Wszyscy to robimy, Poruczniku.

- Dzień dobry, państwu - zapiszczała Krystyna. Porucznik Columbo zauważył, że patrzymy z ciekawością na bibliotekarkę, szybko więc pośpieszył z wyjaśnieniami.

- Panna Krystyna rozpoczyna dzisiaj pracę o dziewiątej. Żebyście potem nie gadali we

wsi, że przeze mnie wiejskie dzieci nie czytają książek.

- I tak nie czytają - skrzywiła się bibliotekarka. - Tylko Internet im w głowie.

- Co tu robicie? - odważyła się zapytać Jola.

- My? - mężczyzna w prochowcu uniósł wysoko brew. - Jest takie powiedzenie: „szukajcie, a znajdziecie”.

- Zdaje się, że szukacie tej starej drogi? - zgadywałem. - Via Orloviensis! Porucznik Columbo chrząknął, przeprosił na chwilę Krystynę i zbliżył się do mnie,

jakby chciał ze mną pogadać w cztery oczy. I rzeczywiście, chwycił mnie za łokieć i

odprowadził kawałek od kobiet.

- Drogi Liberalesie - zaczął nieśmiało - z pana jest uczciwy człowiek. Znam się na

ludziach. Jeśli obieca mi pan, że nie wykorzysta moich informacji, to powiem mu to i owo.

Ale w zamian musicie nam także powiedzieć co nieco o swoich odkryciach.

- Postaram się. Zbliżyliśmy się do pań.

- Otóż, drodzy państwo, tak, szukamy tej drogi. Cóż innego może oznaczać na tabliczce znak w drugim rzędzie od góry, jak nie drogę? Matematyczny znak nierówności?

Przecież nie widzę żadnego wzoru! Nie, nie i nie!

- Drogi bywają nierówne - zauważyła Jola.

- Otóż właśnie! Dla mnie to oczywiste, że chodzi o przecięcie się dróg! Być może gdzieś tutaj biegła ta via Orloviensis? Może uda nam się wyczytać coś z rzeźby terenu?

- Dlaczego akurat tutaj? - zapytałem.

- Od północy nadciągali Szwedzi, więc przeor powinien ukryć skarb gdzieś na południe od klasztoru. Droga, o której myślimy z Krysią biegła od Orłowa położonego

właśnie na południu.

Porucznik Columbo - podobnie jak my - widział w tabliczce mapę z odwróconymi stronami świata.

- A jak pan to powiąże z odkryciem w Mnichu? - zagadnąłem. - Ta wieś leży na zachód od Oporowa.

- Gdybym wiedział, nie rozmawialibyśmy teraz na tym polu - uśmiechnął się czarująco. - Zgarnąłbym nagrodę i siedział teraz z Krysią nad basenem gdzieś na Majorce.

- Niech pan uwzględni jeszcze w swoim dochodzeniu przynajmniej dwa znaki - zrewanżowałem się. - Zaufanie za zaufanie.

- Zamieniam się w słuch.

- Arabska „czwórka” i duże „M”.

- Skąd pan to wie? - zmarszczył czoło i popatrzył na mnie z niedowierzaniem. - Nie

robi mnie pan przypadkiem w przysłowiowego konia?

- Absolutnie nie. Proszę porozmawiać na ten temat z Miss Marple. Tylko, ani słowa o mnie!

- Z Miss Marple? Ale dlaczego z nią? O co tu chodzi, Liberalesie?

Odpowiedziałem niewinnym spojrzeniem.

A potem pożegnaliśmy ich i udaliśmy się do Oporowa.

\*

Po śniadaniu, gdzieś o wpół do dziesiątej, odbyło się kolejne przedpołudniowe spotkanie w salonie Domku. Wrócił już z pola Porucznik Columbo, nie było jedynie słabowitej dzisiaj Miss Marple.

Atmosfera w salonie była napięta i pełna oczekiwaniami, w nas zaś wzmagala się

wzajemna nieufność, a może nawet zwyczajna niechęć. Pojedynek detektywów dobiegał końca, był czwartek i, według wcześniej ustalonego regulaminu, dziś o północy - miał zostać zakończony. Nic jednak nie wskazywało, aby skarb do tego czasu odnaleziono. Wyczuwało się wśród naszego grona zniecierpliwienie i pierwsze objawy zwątpienia. Raport naszej pani kustosz podzielał na nas jak filiżanka mocnej kawy. Otóż, z laboratorium donoszono, że w trumnie z wrytymi trzema krzyżami znajdowały się prawdopodobnie szczątki Władysława Oporowskiego, co potwierdzało wcześniejsze przewidywania Porucznika Columbo i miejscowej bibliotekarki. Z naukowego punktu widzenia było to wielkie odkrycie. I na pewno owa trumna była powiązana z ukryciem przez przeora Gabriela skarbu.

- Wygląda na to - wtrącił Bond - że przeor wywiózł trumnę z zabalsamowanymi ciałem Oporowskiego do Mnicha, inną zaś, tę pochodzącą z krypty kościoła w Mniechu, zakopał w szczerym polu w Drzewoszkach. Tylko po co miałyby zadawać sobie tyle trudu?

Wyjaśnienie może być jedno: w trumnie z Drzewoszek został ukryty skarb paulinów. Tylko, że ktoś go wcześniej stamtąd wydobył. Pytanie: kto i kiedy to zrobił? Podejrzenia padły na Matusiaka. Nie były one pozbawione sensu, zważywszy na jego współpracę z Kłapickim i van Klomperem - ludźmi, którzy posiadali szkic oryginalnej tabliczki i znali szczegóły dotyczące dawnych wydarzeń. Ale tej kwestii nie chciałem na razie poruszać.

- Matusiak przed zawiadomieniem policji pewnie zabrał z trumny Kucińskiego skarb -

perorował Porucznik Columbo. - Znalazłem jednak trumnę ze szczątkami Oporowskiego, a to tak jakbym znalazł skarb. I w związku z tym proszę o wypłacenie mi dwudziestu tysięcy euro.

- Kości to żaden skarb - zauważył przekornie Harry Potter. - My szukamy cennych przedmiotów.

- Skąd wiesz? - zbesztła go Lara Croft.

- No nie wiem - zmieszał się Potter. - Przypuszczam. Legendy nie kłamią.

- Tylko ludzie - zamruczałem.

- Porucznik Columbo raczy żartować! - zdenerwował się James Bond. - Nie ma żadnej pewności, że trumna z Oporowskim jest skarbem paulinów.

- Uważam, że trumna, którą znalazłem, jest skarbem! Te trumny i ta tabliczka są ze sobą powiązane.

- Nie zgadzam się! - zaprotestowała Lara. - Matusiak pewnie zabrał skarb, a to znaczy, że Porucznik Columbo nie znalazł żadnego skarbu.

- Droga Laro - uniósł się Porucznik Columbo. - Skąd pani wie, co Matusiak wyjął z trumny w Drzewoszkach? Na jakiej podstawie twierdzicie, że cokolwiek stamtąd ruszał?

- Drodzy państwo, proszę o spokój! - przerwała kłótnię Ewa. - O północy pojedynek uznaję za zamknięty! To ostateczna decyzja. Jeśli do tego czasu nie znajdzie się skarb, sponsor wypłaci obecnemu tutaj Porucznikowi Columbo dwadzieścia tysięcy euro.

- Hurra! - krzyknął Porucznik Columbo.

Jeszcze przez chwilę trwała zażarta dyskusja. W jej trakcie wydarzył się zabawny i

wymowny incydent. Otóż Porucznik Columbo opuścił swój fotel i dając nam znak, abyśmy nie przerywali rozmowy, stanął przed sypialnią Miss Marple. Siedziałem najbliżej niego, widziałem więc, jak nasłuchuje pod jej drzwiami. Cały czas rozmawialiśmy, aż w pewnej chwili Porucznik Columbo błyskawicznie nacisnął klamkę drzwi. Usłyszeliśmy zdławiony krzyk kobiety i tępy odgłos uderzenia. Miss Marple zaklęła pod nosem, wyrażając w ten mało wyszukany sposób troskę o swoją biedną głowę.

- Podsluchuje nas pani? - zapytał naiwnie.

- Jak pan śmie wchodzić do cudzego pokoju! - fuknęła na niego starsza pani, z hukiem zamykając drzwi.

- Chciałbym z panią pogadać - mówił do niej przez zamknięte drzwi i nawet kilkakrotnie w nie zapukał. - Miss Marple! Musimy pogadać o ważnych sprawach. O tabliczce.

Jednak Miss Marple nie otworzyła mu drzwi. Zresztą spotkanie dobiegło już końca i wnet się rozeszliśmy. Do północy zostało nam trzynaście godzin i należało ten czas jak najlepiej wykorzystać!

Przed wszystkim zamierzałem przejrzeć metryki kościelne. Coś musiało tam być, coś, co wcześniej przeoczyłem, a miało kolosalne znaczenie. Jola nie była zainteresowana moim pomysłem, więc udałem się do klasztoru sam. Było mi to nawet na rękę, gdyż w tej sprawie nie było do końca jasna. Podejrzewałem ją przecież o współpracę z Bondem.

Miałem czas do północy. Jeśli nie rozwiążę tej zagadki - wygra Porucznik Columbo!

Wymknąłem się z Domku cichaczem. W drodze do klasztoru nie spotkałem żadnego detektywa i już po kwadransie zostałem zaproszony przez proboszcza na piętro klasztoru do pomieszczenia, w którym przeor Gabriel przesiadywał w XVII wieku. Po dawnych kamiennych ścianach i małych oknach nie pozostał żaden ślad, zmieniły je czas i remonty, ale to miejsce nadal więziło w swoich murach i otoczeniu dawnego paulińskiego ducha. Usiadłem w skromnym pokoiku z oknem wychodzącym na zalane dzisiaj słońcem pole południowej stronie, z kubkiem herbaty w rękę i stosem metryk przed sobą. Uspokajająca woń bursztynowego naparu mieszała się z zapachem kurzu z pożółkłych kart. Ten mi się zdawało - był strażnikiem chroniącym przeszłość przed wyrwaniem jej tajemnicy.

W żółwym tempie przerzucałem kartkę za kartką, zdmuchując uprzednio ów szary pył, aby wśród mrowia dat znaleźć dwa nazwiska: Bas i Klomp. Z początku szukałem w wielkim napięciu, ale wraz z upływem czasu moje zaangażowanie przemieniało się w znużenie i niechęć. W księgach narodzin i małżeństw nic nie znalazłem. Została mi jeszcze księga pochówków.

Przed pierwszą po południu zrobiłem sobie przerwę na spacer do zamku, planując rychło wrócić do klasztoru i przejrzeć jeszcze ostatnią księgę. Miałem poczucie zmarnowanego czasu. Pewnie inni detektywi, jak na przykład Porucznik Columbo, nie próżnowali, pojechali w teren albo raz jeszcze odwiedzili Mnich. Tam należało

szukać  
wyjaśnienia zagadki. A ja, głupi, uparłem się na te stare, pożółkłe akta.  
Jak na złość na zamku nie spotkałem Agaty i Krzyśka, choć powinni czekać na mnie  
już od kwadransa. Znikł też maluch Joli, więc w poczuciu absolutnej samotności  
wróciłem do  
klasztoru.  
Przez kilka godzin studiowałem akta, księga po księdze, i dłużej nie mogłem już  
usiedzieć na twardym krześle. Zanim opuściłem klasztor dla odprężenia,  
przydarzył mi się  
pewien epizod. Otóż zauważyłem Ewę znikającą za łukowatym wejściem na  
dziedziniec. Szła  
do kościoła, ale nie była sama. Mówiła do kogoś. Zainteresowany poszedłem za  
nimi. Po  
chwili ujrzałem ją w towarzystwie Bonda.  
Stanałem przed portalem świątyni i przysłuchiwałem się ich rozmowie.  
Podsłuchiwać  
nie cierpię, brzydzę się tym, ale kiedy słyszę, że ktoś rozmawia o mnie,  
natychmiast  
zapominam o wszelkich zasadach i zamieniam się w słuch. A tak właśnie było tym  
razem.  
Usłyszałem swoje imię.  
- Liberales był dziwnie spokojny - Bond nawijał do Ewy. - Zazwyczaj lubił  
namieszać  
nam w głowach, gdy się spotykaliśmy. Te jego teorie! Jednakże z jego zachowania  
dziś rano  
wynioskowałem, że coś ukrywa. Przyczaił się. Mało mówił i dużo słuchał. Znam go  
dobrze  
i dlatego wiem co mówię. I powiem ci więcej! Z tabliczką jest coś nie tak, Ewo.  
Porucznik  
Columbo wprawdzie odkrył trumnę Oporowskiego, ale każdy wie, że to nie jest  
właściwy  
skarb. Gdzieś tkwi błąd w naszym rozumowaniu. Wiem jedno, na tym etapie nagroda  
nie  
należy się nikomu.  
- Nic nie mogę zrobić - tłumaczyła się Ewa. - To sponsor decyduje, komu wypłaci  
pieniądze.  
- Wstaw się U niego, Ewuś - namawiał ją słodko. - Niech przedłuży nasz  
pojedynek.  
Przynajmniej o jeden dzień. Och, ale ładny kościół, prawda?  
Poszli pod ołtarz, więc nie słyszałem ich dalszej rozmowy.  
Wściekły jak wszyscy diabli udałem się do zamku. Szedłem, a właściwie truchtałem  
nerwowo, jakbym chciał ukarać ziemię za upokorzenia jakich doznałem. Najbardziej  
rozwścieczyło mnie owo słodkie „Ewuś” wypowiedziane przez Bonda. Doprawdy, już  
sam  
nie wiedziałem, na jakiej stopie towarzyskiej kręciła się ich znajomość. Nie  
ulegało  
wątpliwości, że Bond łamał Ewie serce, udawał miłość, wszak jego prawdziwą  
namiętnością  
była Lara. Ale co tam Bond! Najgorsze, że Ewie nie był obojętny ten zimny drań.  
Pragnęła  
go, ulegała mu, była nim zauroczona. Odurzona!  
Przechodząc obok stawku przy zamkowej bramie, zauważyłem taksówkę wiozącą  
Miss Marple. Samochód jechał w stronę kościoła, a pisarka przez szybę smętnie  
patrzyła na  
wieś, jakby żegnała się z Oporowem. Mijała wtedy czwarta po południu.  
Joli i dzieciaków wciąż nie było, więc szybko zjadłem w kuchni Domku kawałek  
kiełbasy i kromkę chleba. Ruszyłem ponownie do klasztoru, aby odbyć ostatnią  
próbę  
odnalezienia owych dwóch nazwisk.  
Minąwszy pawilony, natknąłem się na powracających z przechadzki Ewę i Bonda. On  
jak zwykle szpanował na prawdziwego dżentelmena - założył ciemny garnitur, ona

włożyła

na siebie spódnicę do kolan i krótką ocieplaną kurtkę zamszową.

- Gdzie tak pędzisz, Liberalesie?

- Spacery, spacery i jeszcze raz spacery - odpowiedziałem w stylu Miss Marple.

- Co ty gadasz? - zaśmiał się. - Pędzisz jak sto diabłów. Może uprawiasz jogging? Nie!

Wiem! Ty ciągle wierzysz, że do północy rozwiążesz zagadkę przeora.

- A wy? Nie wyglądacie na zainteresowanych tabliczką.

- A na kogo? - zapytała uważnie Ewa. - Na kogo, pańskim zdaniem, wyglądam?

- A bo ja wiem? Na kogoś, kto błądzi.

Kobieta się zarumieniła i posłała mi pełne oburzenia spojrzenie. Tym dwuznacznie brzmiącym oświadczeniem zrobiłem sobie z niej wroga. Mój ton był napastliwy - trochę

jakbym udzielał uczniowi nagany. Ale co tam! Dobrze wiedziałem, że James Bond urabiał

panią kustosz, a ta, wpatrzona w niego jak w ołtarz, błędnie odczytywała jego zaloty. Nie

mogłem powiedzieć jej wprost o podstępnej naturze Bonda, więc jedyne, co mi pozostało, to

odrobina sarkazmu.

Po czwartej zacząłem ponowną wędrówkę przez poźółkłe kartki parafialnych akt. Po pół godzinie, a było to tuż przed zachodem słońca, znalazłem w księdze pochówków oporowskiej parafii pierwszy poważny ślad! Pod datą 1658 roku ręka kogoś z zakonników

zanotowała jedno z wielu wydarzeń na tej ziemi, zapomniane, nieważne, a mianowicie -

pogrzeb Georgiusa Basa.

Ten epizod dziwnie korespondował z datą ślubu w Mnichu jego żony, Ann Bas, z niejakim Klompem, zawartego w 1658 roku. Informacja o ślubie została uwieczniona w

postaci zwykłego wpisu do ksiąg zaślubin w mnichowskiej parafii (znalazłem go dopiero w

archiwum w Kutnie). To ten fakt chciała ukryć przed światem Miss Marple.

Dlaczego?

Georgius Bas przybył do Oporowa w 1657 roku, szybko zmienił wraz z żoną, Ann Bas, wyznanie z luteranizmu na katolicyzm i potem zmarł. Rok później wdowa po Basie

wyszła ponownie za mąż za Klompa! Samo w sobie nie było to podejrzane, przecież wdowy

stają na ślubnym kobiercu, ale biorąc pod uwagę, że w naszej historii pojawił się

cudzoziemiec o znajomo brzmiącym nazwisku i posiadający tabliczkę - sprawa nabierała

innego wymiaru.

Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to zabójstwo Basa.

„A jeśli został zamordowany przez swojego ziomka Klompa?” - myślałem.

Drżącą z wrażenia ręką wyjąłem z kieszeni rysunek tabliczki wykonany przez van Klompera. Tej właściwej - jak sądziłem. „Krzyż” na pewno symbolizował kościół, tylko co to

mogło znaczyć? O czym myślał przeor zanim sięgnął po rylec i wyżłobił litery i znaki na

kawałku miedzi? Jak powstał w jego głowie plan ukrycia kosztowności? Kto wie, może

siedział przy tej samej ścianie co ja? Może wyglądał przez to samo okno na poszarzałe pola i

gasnący błękit nieba i obmyślał sposób ukrycia skarbu. Spoglądał pewnie na zimowy zachód i

pierwsze gwiazdy, pewnie widział, tak jak ja teraz widziałem, wędrujących nad horyzontem

Saturna i Jowisza. Ale gdzie ukrył skarb? Śmieszne - tak niewiele zmieniło się od tamtego

czasu za tym konkretnym oknem, a tak wiele dzieliło mnie od poznania tajemnicy przeora.

I nagle moja ręka bezwiednie potrafiła kubek z niedopitą herbatą. Z zamyślenia nie wyrwały mnie nawet brzdęk rozbitego szkła i odgłos upadającego krzesła.

Przywarłem mocno do parapetu i gapiłem się uparcie za okno na południowo zachodnią stronę nieba. Byłem blisko rozwiązania! Ten fragment nieba odpowiadał mi to! Jak w retrospekcji pojawił się pan Andrzej, kierowca z muzeum, powtarzający swoje staromodne przekleństwo „na Jowisza”, a po nim ujrzałem zeszyt Agaty z zadaniem matematycznym! „Obliczyć objętość planety Układu Słonecznego Jowisz...”

Nad horyzontem pół majaczył ciemny pas zabudowań, a nad nimi królował gęstniejący granat nieba, usłany mniejszymi i większymi złotymi punkcikami. Właśnie jeden z nich wydał mi się szczególnie. Zerknąłem na tabliczkę i wyłowilem ową „czwórke” z górnego rogu, a potem znowu popatrzyłem na ten szczególnie złoty punkt, na który mógł patrzeć w 1657 roku ojciec Gabriel. Jowisz! Największa planeta Układu Słonecznego, której nazwa pochodzi od imienia ojca rzymskich bogów, miała od dawien dawna swój symbol przypominający właśnie pisaną po arabsku cyfrę 4. Jedyna różnica polegała na zaokrągleniu w postaci łaseczki zakończenia linii skośnej. Ten symbol - który bez trudu znajdziesz w postaci łaseczki zakończenia linii skośnej. Ten symbol - który bez trudu znajdziesz w starych i nowych opracowaniach astronomicznych - można wziąć nieopatrznie właśnie za czwórkę. Czy „czwórka” z tabliczki nie mogła być przypadkiem starożytnym symbolem Jowisza?! Owszem - mogła, jeśli zatarło się owe zaokrąglenie w znaku z tabliczki. Po latach zaś ów symbol zamienił się po prostu w „czwórkę”!

Byłem niemal przekonany o pomyłce, a jednocześnie pewny dokonanego odkrycia! Oczami wyobraźni widziałem przeora Gabriela, tuż po zachodzie słońca, jak rozmyśla o miejscu ukrycia skarbu, patrzy przez to samo okno na to samo pole ciągnące się kilometrami na południe i zespalaające się z niebem gdzieś za Drzewoszkami, widzi jasny punkcik Jowisza wiszący nad horyzontem. Tabliczka była rodzajem mapy, na której zaznaczono w dolnym rogu kościół w Oporowie, świecący na południowym niebie Jowisz (wyznaczający kolejny punkt orientacyjny), a po przekątnej kolejno pozostałe.

Tabliczka nie miała z matematyką nic wspólnego. Był to zwykły plan sytuacyjny, gdyż znaków nie umieszczono zgodnie z zasadą czterech stron świata, ale uwzględnivszy punkt widzenia przeora. Dwa z nich już miałem, symbolizujące: klasztor i bardziej na prawo Jowisza! Należało znaleźć trzy następne, leżące na przekątnej: znak nierówności, „zero” oraz literę „M”.

Naraz wszystko zaczęło mi się układać w całość. Jasnowidzenie Hannussena, dzisiejsza wizyta Porucznika Columbo na polu w poszukiwaniu starego traktu do Orłowa i świecący Jowisz.

Podekscytowany dokonaniem odkrycia, pobiegłem pożegnać się z proboszczem i wyszedłem na zewnątrz - poza ogrodzony teren klasztoru i plebani, na samo pole ciągnące się

hektarami wilgotnej i chłodnej ziemi na południe, i szedłem po jej pulchnych nierównościach, kierując się wprost na Jowisza. Czy o to chodziło przeorowi? Stałem w szczerym polu i popatrzyłem na świecącego jasno Jowisza. Ta planeta obiega nasze Słońce w dwanaście lat, więc pewnie data na tabliczce nie była przypadkowa. Jeśli w 1657 roku ojciec Gabriel widział tę planetę w określonym miejscu na nieboskłonie, to zapisując ową datę, określał pozycję Jowisza na niebie z absolutną precyzją nawet dla kogoś próbującego odnaleźć skarb po wielu latach. Z łatwością bowiem można odtworzyć miejsce Jowisza na niebie, gdyż ruch planet po niebie jest cykliczny. Stałem zwrócony na południe z podniesioną wysoko głową. Na czystym dzisiaj niebie widziałem niemal w zenicie górujący gwiazdozbiór Perseusza. Na lewo od niego widniała jedna z najjaśniejszych gwiazd nieba, Kapella, która wraz z trzema dużo słabszymi, tworzyła gwiazdozbiór Woźnicy, mający kształt latawca. Bardziej na prawo świeciła mi gromada Plejad, jedna z najpiękniejszych na niebie. Odwróciłem się o dziewięćdziesiąt stopni, starając się wypatrzeć gdzieś na północnym niebie kolejny punkt orientacyjny symbolizowany przez owo „M” z tabliczki. Było tam takie „M”. Znalazłem je! I wy znajdziecie go równie łatwo na rozgwieżdżonym niebie. Nisko nad północnym horyzontem znalazłem Wielki Wóz, często zaś porównywaną do litery „W” Kasjopeję miałem niemal nad głową, stojącą dosłownie w zenicie. Oglądany jednak na północy gwiazdozbiór przybierał postać odwróconego „W” - czyli właśnie litery „M”. Znalazłem „M” z tabliczki! Zrozumiałem, że punktami wyznaczającymi przekątną kwadratu były: Kasjopeja i Jowisz. A wszystkie gwiazdy na niebie zdawały się mówić do mnie jednym głosem: lege artis! „Poznałem tajemnicę przeora” - pomyślałem z dumą, radością i strachem, gdyż takie odkrycia równały się spełnieniu, ale miały w sobie coś ze świętokradztwa. Zagadka była w zasadzie prosta i do jej rozwiązania nie potrzeba było matematyka. Jednakże rozwiązanie utrudniały fałszywe informacje, których dostarczano nam od samego początku. Domyślałem się, że ich autorem był ktoś z przeszłości, i niewykluczone, że miało to związek ze śmiercią Georgiusa Basa. Hannussen już wcześniej czuł zimny oddech kostuchy. Oszołomiony odkryciem ruszyłem przez wysokie redliny ku klasztorowi i zabudowaniom. Szedłem pijany szczęściem. Wkrótce znalazłem się na pustej szosie za budynkiem administracyjnym i za kościołem. Ruszyłem na zamek upojony sukcesem, tym, że udało mi się wyrwać przeszłości jej wielką tajemnicę. Do pełni szczęścia brakowało jedynie skarbu. Przeor musiał go ukryć gdzieś w pobliżu klasztoru, gdzieś na polach, w kierunku przeciwnym do szwedzkiego najazdu. Za punkt odniesienia obrał zagląający przez okno do



klasztornego pomieszczenia Jowisz i charakterystyczną Kasjopeję (stanowiące rogi naszej tabliczki). Jak wiemy, układy gwiazd i wędrówki planet po niebie są niezmiennie, kształty gwiazdozbiorów, takie jak je widzimy dzisiaj, pozostają dla naszego oka identyczne, takie same jak widzieli je ich odkrywcy w starożytności. Nie zmienił się też symbol Jowisza. Wspomniana już Kasjopeja zmieni swój kształt dopiero za sto tysięcy lat i gdyby przyszło nam rozwiązywać tę zagadkę w tak dalekiej przyszłości, nigdy byśmy jej nie rozwiązali. Byłem już pewny, że ów znak nierówności na tabliczce symbolizował przecięcie się dróg (Porucznik Columbo miał rację!). Na południe od klasztoru płynie rzeka Sułdwia, to mogła być owa podwójna linia, zaś przecinająca ją cieńsza - to dawna droga z Orłowa. Wystarczyło znaleźć miejsce, w którym kiedyś był most, i dalej kierować się na Kasjopeję (mając za plecami Jowisza) - aż natrafimy na owo „zero” występujące w środku tabliczki. Czy było to oczko wodne, jak sugerował Hannussen? Przeor nie ukryłby skarbu w zamrzniętej ziemi, ale mógł go schować pod warstwą lodu pokrywającą na przykład staw. Brawo, Hannussen! To trzymało się kupy. Przeor liczył, że niedługo wydobędzie skarb z dna zbiornika wodnego albo zrobi to po latach ktoś, kto właściwie odczyta tabliczkę. Tak, to mógł być zbiornik wodny! Być może Hannussen naprawdę był genialnym jasnovidzem i doszedł do swojego odkrycia drogą wizji, w odróżnieniu ode mnie, który posługiwałem się przede wszystkim rozumem. Idąc tak pustą ulicą w jesienny zmrok, nie usłyszałem za sobą jadącego cicho samochodu. Odwróciłem się, gdy pojazd był już dosłownie tuż za mną. To była lśniąca limuzyna Demiurga.

15

Po chwili tylna przyciemniana szyba limuzyny uchyliła się nieznacznie i w bladym świetle latarni ujrzałem kamienny wyraz twarzy człowieka, któremu zawdzięczałem pobyt w Oporowie. Samochód się zatrzymał, a mężczyzna dał mi znać skinieniem ręki, abym wszedł do samochodu z drugiej strony. Zdziwiło mnie to jego nagłe pojawienie się o tej porze i w tym miejscu, ale najwyraźniej szef agencji CIOS miał do mnie pilną sprawę i jakimś cudem dowiedział się, że bawię na plebani. Grzecznie usiadłem na skórzanym fotelu - cały czas otumaniony odkryciem dokonany w budynku klasztornym - i w mroku ujrzałem przed sobą Demiurga w towarzystwie nieznanego mi człowieka. Dziwne było to, że Demiurg nie palił cygara. Z opóźnieniem wyczułem, że wydarzyło się coś naprawdę poważnego. Dziwne było jeszcze i to, że w obecności nieznanego mi apodyktyczny Demiurg stracił właściwy sobie rezon. Limuzyna ruszyła, ale pojazd nagle zawrócił i skierował się na zachód. Demiurg nie odzywał się, tak samo zresztą jak siedzący w ciemności obok niego drugi osobnik. - Czy coś się stało? - zapytałem zaniepokojony zagadkowym milczeniem. Zamiast odpowiedzi tył samochodu wypełniło żółte, subtelne światło, ukazując już wyraźniej Demiurga i nieznanego mi mężczyznę w średnim wieku. Był nim chudy osobnik o

chciwych oczkach.

Pewnie nie zrobiliby na mnie większego wrażenia, gdyby nie pewien istotny szczegół,  
a mianowicie trzymany w ręku tego drugiego osobnika pistolet wycelowany we mnie. Odruchowo obejrzałem się za siebie i za kierownicą limuzyny dostrzegłem van Klompera.

Zrozumiałem, że wpadłem w pułapkę i że siedzący obok Demiurga osobnik to Kłapicki.

- To nie tak jak pan myśli - odezwał się cicho zachrypłym głosem Demiurg. Jego okrągła twarz jakby wydłużyła się ze strachu. - To napad. Porwanie. Zaskoczyli nas przy tej cholerniej cukrowni. Mój kierowca dał się zaskoczyć jak dziecko i leży teraz nieprzytomny w

rowie. Niech pan tak na mnie nie patrzy! Nie mam z nimi nic wspólnego. Kłapicki uśmiechnął się nieznacznie pod nosem i lufę pistoletu skierował na Demiurga. A zatem źle oceniłem sytuację i grubasa - obaj byliśmy w tarapatkach.

- To prawda - odezwał się nerwowym głosem inżynier Kłapicki. - Cały dzień jeździmy po Oporowie i śledzimy każdy krok ludzi mieszkających w zamku. Zainteresowała

nas ta lśniąca limuzyna czekająca przy cukrowni. A potem zobaczyliśmy, jak skrada się do

niej chłopak z zamku.

- No dobra - przerwał mu brutalnie van Klomper po angielsku, chyba licząc na to, że

obydwaj z Demiurgiem znamy ten język. - Powiecie nam, panowie, co nieco o skarbie

Paulinów, to co zdołaliście ustalić, a puścimy was wolno.

- Za kilka dni, ma się rozumieć - dodał inżynier.

- Co my wiemy, panie Arturze? - zapytał mnie z nadzieją w głosie Demiurg.

- Niewiele - odpowiedziałem.

- Kłamiesz - warknął Kłapicki. - Jeśli zamierzacie grać na zwłokę, to zapomnijcie o

dobrym traktowaniu. Zawieziemy was w odosobnione miejsce, posiedzicie sobie w jakiejś

dziurze i szybko zmiękniecie.

Kłapicki skinął na Demiurga.

- Pokaż mu.

Szef agencji podał mi kartkę papieru z ołówkowym szkicem tabliczki.

- Niech pan to rozszyfruje, Arturze - Demiurg patrzył na mnie błagalnie. - Od tego

zależy życie ludzkie.

- Nie rozumiem. O co chodzi?

- Oni złapali mojego drugiego agenta - jęknął Demiurg.

- Harry'ego Pottera? - wytrzeszczyłem oczy.

- Och, to pan już wie? - zakrztusił się zaskoczony moimi słowami. - Nie doceniłem

pana.

- Ale co stało się z Harrym? - zaniepokoiłem się. - I gdzie my właściwie jedziemy?

- Mamy go - wyjaśnił Kłapicki. - Wiedział pan, że gówniarz wykradł rysunek tabliczki

komuś na zamku...?

- Miss Marple? To ona mieszkała przez pierwszy dzień w wieży zamku i tylko wtedy Potter miał okazję wykraść jej ten szkic. Złodziej z niego, a ja myślałem, że czarodziej. Tak

pięknie mówił o tym „zerze”. Nie mylę się, prawda?

- Tak - przyznał zdruzgotany Demiurg. - Potter miał ten rysunek, ale nie potrafił

rozszyfrować łamigłówek. Nikt tego nie potrafi.

„W przeciwieństwie do mnie” - pomyślałem z satysfakcją.

- Przykro mi - westchnąłem. - Ale i ja nie potrafię na podstawie tego szkicu

ustalić,

gdzie jest skarb? Dla mnie to lipa. Zbiór nic nieznaczących liter i znaków.

- Jak to? - zirytował się inżynier. - Tabliczka przeora istniała naprawdę. Ta znaleziona

w Drzewoszkach jest fałszywa. Wykonał ją Holender, który przybył tutaj w XVII wieku.

Niech się pan dobrze przyjrzy.

- Skąd o tym wszystkim wiecie?

- Nieważne.

Nie wiedzieli, że mieliśmy kopię tej tabliczki. Zerknąłem jednak na kartkę z wielką

uwagą, aby nie nabrali podejrzeń.

- Prawdopodobnie to zairgeh.

- Co takiego???

- Arabski kwadrat magiczny wymyślony przez biblijnego patriarchę Enocha - dalej blefowałem. - Te kwadraty są niezwykle skomplikowane, wymagają żmudnych obliczeń astrologicznych i służą do odpowiedzi na pytania dotyczące miłości. Wypełniało się je

literami, a nie cyframi. Dlatego to musi być jakiś zairgeh.

- Żartuje pan - syknął Kłapicki.

- Nie.

- Węszył pan po plebaniach i przeglądał akta metrykalne. I nic pan nie odkrył?

- Nic - powtórzyłem. - Po prostu dowiedziałem się, że Miss Marple szukała czegoś w

metrykach kościelnych i poszedłem tym tropem. Jednak nie udało mi się niczego ustalić. Poza

tym, że z tą tabliczką jest coś nie w porządku. To jakiś kawał.

- Bzdura - przerwał mi bezceremonialnie. - Przeor wykonał tabliczkę, ale w wyniku

nieznanych nam wydarzeń dostała się ona w ręce owego przybysza z Holandii.

Wykonał on z

miedzi podobną tabliczkę, zmieniając co nieco układ niektórych liter i znaków, a tą fałszywą

umieścił w trumnie szlachcica z Mnicha. Prawdziwą tabliczkę zabrał ze sobą do domu, gdyż

po kilku bezskutecznych latach poszukiwań skarbu w Polsce wrócił do Holandii.

- Skąd pan to wie? - znowu zapytałem.

- Mówiłem już, nieważne.

Przerwaliśmy rozmowę, gdyż limuzyna zatrzymała się na drodze przebiegającej przez

pola. Kłapicki nakazał nam założyć na głowy tak zwane kominiarki, w których zaszyto szparę

na oczy. Ruszyliśmy, ale po kilku minutach pojazd zwolnił i zjechał z głównej szosy. Jechał

teraz po wertepach. Wnet zatrzymał się na jakimś podwórzu, gdyż słyszałem szczekanie psa.

Poznałem drania, był to bowiem ów groźny pies Matusiaka, z którym zetknąłem się tutaj już

dwa razy.

A zatem Matusiak oszukał nas! Nabral nie tylko mnie, ale także Larę, zawodowego detektywa, i nadal współpracował z Kłapickim oraz van Klomperem.

Ale jedna rzecz nie dawała mi spokoju, gdy prowadzono nas, popychając brutalnie, przez dziedziniec. Jeśli Matusiak nadal współpracował z inżynierem i

cudzoziemcem, to

Kłapicki musiał wiedzieć nieco więcej o moich odkryciach dotyczących tabliczki, niż to

wynikało z krótkiej rozmowy w limuzynie.

Musiałem przerwać moje rozmyślenia, gdyż wepchnięto nas do jakiegoś zimnego i śmierdzącego zgniłymi warzywami pomieszczenia. Czułem glinianą podłogę pod

nogami, na

której zresztą zaraz wylądowałem. Słyszałem jęki niepokieszonego Demiurga, gdy

kazano mu  
siadać. Potem związano nas jakimś sznurem, nie zdejmując z naszych głów  
kominiarek. Nie  
życzo nam dobrej nocy, a zamiast dobrego słowa zapiszczała zardzewiała zasuwa  
przy  
drzwiach.  
Odeszli. Zaczęli się naradzać na podwórzu, ale stali dalej, więc słabo ich  
słyszałem.  
Jednakże któryś z nich kaleczył język polski, „szeplunieł”. Matusiak!  
- I co my teraz zrobimy? - jęknął Demiurg.  
- Raczej, co oni z nami zrobią? - odpowiedziałem jak złe echo. - Żle to pan  
załatwił,  
szefie. Nie ma co... inżynier z kolegą blondynem napadają na szefa agencji  
detektywistycznej.  
Wstyd! Ciekawe, gdzie trzymają Pottera?  
- Tutaj jestem - usłyszeliśmy z boku głos należący bez wątpienia do młodzieńca.  
Drgnęliśmy.  
- Oto i agencja CIOS w komplecie - westchnąłem niepokieszony.  
- Nic ci nie zrobili, chłopcze? - spytał zatroskany Demiurg.  
- Nie. Ale jest mi chłodno - marudził chłopak. - Chce mi się jeść. Chcę do  
ciepłego  
łóżka. Mam dosyć zagadek detektywistycznych. Już więcej nie będę dla pana  
pracował.  
- Byłeś niezły - pochwaliłem go. - Rąbnałeś Miss Marple szkic. Co za  
przebiegłość.  
Szkoda, że o niczym nie wiedziałem. Czuję się obrażony. Ja też mam dość pracy  
dla pana,  
Demiurg. Dlatego nie czuję się zobowiązany do lojalności. Odkryłem zagadkę  
przeora, ale  
zachowam ją dla siebie.  
Tym oświadczeniem zaskoczyłem ich kompletnie.  
- Co pan mówi, Arturze? Jak pan tego dokonał? Naprawdę zna pan miejsce ukrycia  
skarbu? Panowie, nie kłóćmy się! Najważniejsze, abyśmy stąd wyszli cało. Nagrodę  
niech  
pan zabierze dla siebie. Zresztą i tak chciałem zerwać naszą umowę, gdyż okazało  
się, że  
Marek Burski, to znaczy pański brat, zakochał się jak jakiś sztubak w tej całej  
Larze Croft. To  
dlatego wziął udział w tym pojedynku. Dowiedział się, że Lara przybędzie do  
Oporowa i  
postanowił być bliżej niej. Zdaje się, że ona jest jego piętą achillesową, a  
dziewczyna nie  
przepada za nim. Ona odrzuciła jego zaloty! I Marek Burski zgłupiał, bo przecież  
jemu  
kobiety nie odmawiają. Ambicja nie pozwala pańskiemu bratu przejść obojętnie  
obok  
przypadku panny Croft. Twarda sztuka z tej dziewczyny. Może nawet powinienem ją  
zatrudnić u siebie?  
Po godzinie odechciało się nam pogawędek. Chłód i wilgoć były dokuczliwe,  
wysysały z nas energię i nadzieję. Dlatego powrót porywaczy nasza trójka  
odebrała z ulgą.  
- To jak? - zagadnął Kłapicki po otwarciu wrót. - Który śpiewa pierwszy?  
Nie zamierzałem porywaczom nic mówić. Zrobił to za mnie Demiurg.  
- On wszystko wie - wydał mnie. - Przepraszam, panie Arturze, ale jestem  
wrażliwy  
na niewygodę. Jestem stary, nie to co wy, młodzi. Muszę do ciepła, do luksusu.  
Tak mi  
przykro, ale taki jestem i już. Powiedz im pan, co wiesz o tym skarbie.  
Kłapicki rubasznie zamruczał.  
- To jednak pan coś wie? - zagadał. - A jednak. To świetnie. Przestrzegano mnie  
właśnie przed panem, że niezły z pana detektyw.

- Kto taki? - zapytałem, domyślając się, że chodzi o Miss Marple.

- Nieważne. Zapraszam pana na dywanik.

- A ja? - zaprotestował Demiurg.

- Siedź cicho!

Nie zdjęto mi z głowy kominiarki. Wyszedłem z porywaczami na zewnątrz. Szczekanie psa stawało się nie do zniesienia, gdy prowadzili mnie przez dziedziniec do domu.

Wtedy spokój wieczora zmaćił głośny wystrzał. Niósł się echem po okolicy, a potem czyjś

stanowczy głos oznajmił wszem i wobec przez megafon:

- Policja! Nie ruszać się! Inaczej będziemy strzelać! Zdejmijcie więźniowi kominiarkę. Powtarzam: policja! Jesteście otoczeni.

Byłem w siódmym niebie. Ściągnięto mi z głowy kominiarkę, dzięki czemu mogłem ujrzeć wystraszonego Kłapickiego i zdezorientowanego Holendra. Nigdzie nie widziałem

Matusiaka i jego żony. Tylko pies czekał jak oszalały na niewidocznych z dziedzińca

policjantów, próbując zerwać się z łańcucha. A van Klomper z inżynierem stali bezradni obok

mnie i wpatrywali się w ciemność za ogrodzeniem. W pewnej chwili inżynier sięgnął

ukradkiem po telefon komórkowy i zaczął szybko wystukiwać jakiś numer.

Zaświeciła potężna latarka i oślepiła nas. Głos policjanta powtórzył komendę, upominając Kłapickiego, aby odłożył telefon. W końcu inżynier zrezygnował i włożył z

powrotem komórkę do kieszeni. A ja stałem nieruchomo, próbując zrozumieć, jakim cudem

głos z megafonu jest identyczny z głosem pomocnika Lary Croft? To mówił nie kto inny,

tylko Bużka.

Po chwili wszystko się wyjaśniło. Na teren gospodarstwa Matusiaka wtargnęli z ciemności Lara i jej kompan.

Okazało się, że żadnej policji nie było, Lara posłużyła się podstępem! Ubrana w długi,

bo sięgający do kostek płaszcz, podeszła do nas z wycelowanym w inżyniera pistoletem; z

boku wyłonił się także uzbrojony Bużka. Nasi porywacze szybko zrozumieli, że zostali

wystrychnięci na dudka, ale było już dla nich za późno.

Później wszystko poszło gładko. Wyprowadzono z komórki Demiurga i Harry'ego Pottera, a wsadzono tam Kłapickiego oraz van Klompera, zabierając uprzednio temu pierwszemu telefon.

- A Matusiak? - zapytałem zaraz Larę. - Jego puścisz wolno?

- To nie tak jak myślisz - zaśmiała się. - Spoko. On współpracował ze mną. To efekt

dłuższej znajomości z Bużką. Wiedziałam, że Kłapicki z van Klomperem odwiedzą go i nie

myliłam się. Hej, panie Matusiak!!!

Wołanie Lary Croft rozsierdziło jeszcze bardziej bojowo nastawionego psa - potwornie czekał i wrywał się z łańcucha, jakby chciał pociągnąć za sobą budę. Z domu

wylazł zaraz wystraszony Matusiak. Zbliżał się nieśmiało w naszą stronę, a gdy mijał budę z

psem, sięgnął po leżący na ziemi kołek.

- Poszedł do budy!

I zamachnął się na psa. Ale jego ręka zawisła już w powietrzu przytrzymana w ostatniej chwili przez stalowy uchwyt Lary.

- Zamachnij się jeszcze raz, a przywiążę cię do tej budy - warknęła, aż tamten pobladł

ze strachu. - I na drugi raz zdejmij z szyi psa ten okropny łańcuch, kiedy krzyczysz „do

budy”!

- No co pani? - zgłupiał do reszty Matusiak i próbował się uśmiechnąć. - Żartowałem tylko.

Lara Croft puściła go i podeszła do Demiurga.

- Kogo ja widzę - zażartowała. - Konkurencja. Nie powinnam była pana uwalniać.

- Dobrze zrobiłaś, moja miła - westchnął Demiurg i sięgnął po cygaro, które zaraz

zapalił. - Naprawdę dobrze. Dziękuję ci bardzo. Nie wiem, jak się mogę zrewanżować...

- Och, pogadamy o tym później. Mam kilka pytań dotyczących Marka Burskiego.

- To ty też się nim interesujesz? - wtrąciłem się do rozmowy.

- Tak jakby - odpowiedziała tajemniczo.

Nie była to moja sprawa, więc wzruszyłem obojętnie ramionami. Wyglądało na to, że

Marek Burski działał jak silny magnes na wszystkie agencje detektywistyczne.

- Co zamierzacie zrobić z Kłapickim i z van Klomperem? - zapytałem.

- Potrzymamy ich przez noc i rano wszystko wyśpiewają - wyjaśnił za nią Buźka. - Dowiemy się, gdzie skarb.

- Otóż to - uśmiechnęła się amazonka. - W ten sposób wygram. Dla mnie skarb. Wolność dla was!

- Zaraz, nasza kustosz dała nam czas do północy - zdziwiłem się i zerknąłem na zegarek. - Nie zdążysz załatwić tego w kilka godzin.

- A co mi po pojedynku - zakpiła. - Jak znajdę skarb, to sprzedam sponsorowi albo

komuś innemu, kto da więcej.

- Po co pytać Holendra i tego inżyniera? - zauważył zdradziecko Potter. - Liberales

przyznał się, że wie, gdzie jest skarb. Tamci niczego nie wiedzą.

Oczy wszystkich zwróciły się teraz w moją stronę, a ja, pomimo narastającej wściekłości, poczułem się ważny.

- To prawda, co mówi ten szczeniak? - zapytała cicho Lara.

- Tylko nie szczeniak! - oburzył się Harry.

- Zamknij się - przerwała mu brutalnie i popatrzyła na mnie. - To prawda o tym skarbie?

- Coś w tym jest - odparłem wymijająco. - Musisz wiedzieć, że Kłapicki i van Klomper nie mają pojęcia, gdzie szukać skarbu. Mieli w rękach prawdziwą tabliczkę i nie

potrafili nic zrobić.

Lara zadumała się.

- Żałujesz, że mnie uwolniłaś? Chyba nie wsadzisz mnie z powrotem do tej komórki?

Lara Croft stała na środku dziedzińca z pistoletem w opuszczonej ręce i wahała się, co

ze mną zrobić. Chyba była zdolna przetrzymać mnie w komórcie w celu zdobycia zeznań, ale

przy tylu świadkach nie wypadało jej tego robić. Triumfowałem!

- Jakiś procent mi się należy - stwierdziła oschle. - W końcu uratowałam cię z opresji,

kolego detektywie. Dwadzieścia pięć procent?

- Jeśli znajdę skarb, to zgoda. Bo na razie tego nie wiem.

Powróciliśmy do Oporowa. A czekały tam na mnie trzy niespodzianki.

Pierwsza wiązała się ze zniknięciem Miss Marple. Pisarka opuściła cichaczem pokój

w Domku, zabrawszy swoje rzeczy, jakby wyczuła nadchodzące niebezpieczeństwo. Domyślała się, że podejrzewamy ją o współpracę z inżynierem i van Klomperem i dlatego

postanowiła uniknąć kłopotliwych pytań, a może nawet i zeznań na policji.

Jakkolwiek by

było, Kłapicki i cudzoziemiec porwali Hannussena oraz Krzyśka, byli odpowiedzialni za

pożar wiatraka i uprowadzenie Demiurga, Harry'ego Pottera oraz mnie. Prawdopodobnie to sam Kłapicki zdażył wysłać jej ostrzegawczą wiadomość z komórki podczas zasadzki u Matusiaka.

Nie zdażyłem podzielić się z Jolą swoimi rewelacjami. Dziewczyna była szybsza.

- Jak pana nie było, pojechałam z Agatą i Krzyśkiem odwiedzić pewne gospodarstwo...

- O, to coś nowego - mruknąłem. - Było ich zawieść do szkoły.

- Nie, nie! Oni wrócili ze szkoły i nie zastali pana...

- Zatrzymały mnie ważne sprawy.

- ... i właśnie dlatego pojechaliśmy bez pana. Właścicielem jest niejaki Witold Szkiładź, stary człowiek mieszkający we wsi o nazwie Wólka-Lizigódź. To niedaleko stąd na południe.

- I co dalej?

- Krzysiek powiedział mi, że w szkole jakiś chłopak chwalił się, że zna dobre miejsce na węgry. To niedaleko rzeczki. Ten jego kolega wspomniał przypadkowo o stawie, który dawno temu zasypano. Pomyślałam o jasnowidzeniu Hannussena. To dlatego tam pojechaliśmy. Pan Szkiładź poczęstował nas pyszną grochówką i opowiedział o tym miejscu. Trochę nam u niego zeszło, ale nie chcieliśmy być niegrzeczni, więc słuchaliśmy go. Rzeczywiście, jeszcze na początku XX wieku niedaleko jego chałupy znajdował się mały staw, ale z powodu komarów jeszcze przed II wojną światową ojciec pana Witolda osuszył go. Zasypano go kamieniami i ziemią. Z biegiem lat staw zamienił się w łąkę. Wkrótce postawiono tam oborę. Ale po kilkunastu latach obora zaczęła się zapadać i obecnie jest to ruina, którą odwiedzają wagarowicze. Pała tam papierosy. Szkiładziowie po częściowym zawaleniu się obory wybudowali inne gospodarstwo, oddalone od tamtego miejsca o trzysta metrów.

Jola skończyła opowiadać i czekała na moją reakcję. Jej opowieść była tą drugą niespodzianką. Dziwiłem się tylko, że mi to wszystko opowiedziała. Skoro była szpiclem Jamesa Bonda, to nie powinna była ze mną współpracować. Ważne jednak było to, że jej opowieść pasowała do mojego dzisiejszego odkrycia w klasztorze paulinów. Na południe od Oporowa przepływała rzeka Sułdwia, tam właśnie mogła przebiegać jakaś stara droga, co zostało odnotowane na tabliczce w postaci odpowiedniego znaku.

- Ja wiem, że pana nudzę - odezwała się skruszona. - Tyle pan dzisiaj przeszedł.

- Skąd wiesz? - wzbudziła moją podejrzliwość.

- Wystarczy na pana spojrzeć. Jest pan brudny i zmęczony, a ja tu nudzę opowieściami o starych oborach. Ale pomyślałam, że może to jakiś ślad. Przypomniał mi się Hannussen ze swoimi majaczeniami o oczku wodnym. Zresztą to pomysł Krzyśka i Agaty z tym Szkiładziem.

- Wólka-Lizigódź powiadasz? - rozłożyłem na stole mapę regionu i zacząłem uważnie ją oglądać. - O jest! Ładnie. No ładnie...

- Co? - speszyła się. - Jestem głupia, co nie?

Ale ja tak nie uważałem. Jola odkryła ważną rzecz. Kto wie, może to było miejsce

ukrycia skarbu!

- Jolu - szepnąłem i spojrzałem jej głęboko w oczy, a w moim oczach kryła się prośba o szczerą. - Czy powiedziałaś już o tym Bondowi? Trzeba było widzieć jej twarz zastygłą w największym zdziwieniu, jak maska, a potem rumieniec oblewający jej blade lico. Jola machnęła w niezrozumiałym geście ręką, odwróciła się do mnie plecami i usiadła na krawędzi łóżka z twarzą zatopioną w drobnych i wypielęgnowanych dłoniach.

Poszedłem na całość. Gra była skończona. Pora na wyjaśnienia.

- Rozmawiałaś z Bondem wczorajszej nocy - mówiłem. - Dzięki Hannussenowi obudziłem się i odkryłem ten niemiły dla mnie fakt. Wybacz, ale widziałem w twoim mieszkaniu w Warszawie płyty z jego ulubionym zespołem rockowym. Aerosmith to nie twoja liga, Jolu. Ty kochasz Mozarta i Bacha. Ale najgorsze, że współpracujesz z Bondem i mnie oszukałaś.

- Nie pracuję dla niego! - krzyknęła ze złością i wstała z łóżka. - Tak, tak, tak! On mnie niespodziewanie odwiedził... to było jeszcze przed przyjazdem do Oporowa. Nawet

mnie podrywał! Wtedy to nastawił Aerosmithów! Ale pan się myli. Ja bardzo lubię pop i rock! To moje płyty...

- Ale co z Bondem?

- Odmówiłam mu! To oczywiste!

- A co ci proponował? Randkę? Wielką miłość?

- Pytał o pana - odpowiedziała wymijająco. - On skądś wiedział, że pan pojedzie do Oporowa i przyszedł do mnie kilka dni wcześniej. Chciał mnie urobić, a wszystko pod pretekstem troski o brata. Gadał, że jest pan dziwakiem i kłamał o pańskim rozwodzie.

Przyznaję, wiedziałam, że jest pan jego bratem. Ale ja, panie Arturze, nic mu nie

powiedziałam! Przysięgam. Mam dużo pracy w związku z konkursem pianistycznym...

- Tylko dlatego się nie zgodziłaś, bo musiałaś ćwiczyć preludia? - zapiałem z wściekłości.

- Nie! Tak mu tylko powiedziałam, ale nie zgodziłam się, gdyż mam swoje zasady i zdaje się... to znaczy, tak mi się wydaje...

- Że co?

- Że pan mi się podoba i nie mogłabym panu zrobić takiego świństwa - wyjąkała speszona jak podłotek.

Stałem na środku pokoju z rozdziawionymi ustami. Ta dziewczyna oświadczyła przed chwilą, że w pewnym sensie podkochuje się we mnie. Tak to przynajmniej odebrałem i, na

Boga, nie wiedziałem, co mam jej odpowiedzieć.

- A kiedy zjawiłam się na ognisku, Bond udał, że mnie nie zna. A ja jego.

Odważył się

do mnie podejść dopiero w warsztacie, gdzie naprawiano malucha. Zjawił się pan i Bond

zrezygnował. Wczoraj znowu mnie zaczepił, gdy wychodziłam z łazienki. Nie spał. Ponowił

swoją prośbę o współpracę. Był ciekawy, do czego pan doszedł z tabliczką?

Kategorycznie

odmówiłam! I tylko dlatego nic panu o tym nie powiedziałam, gdyż on groził, że powie panu

o mnie. Bałam się, że nie uwierzy mi pan i oskarży o współpracę z Bondem. No i byłam też



trochę zazdrosna o Ewę...

Podszedłem do niej i cmoknąłem ją w policzek, a ona się zaczerwieniła w taki sposób,

w jaki zawsze chciałem, aby kobiety rumieniły się w mojej obecności.

- A teraz, Jolu - szepnąłem - wymkniemy się cichaczem z Domku i pojedziemy do tego Szkiładzia.

Zanim wyszliśmy, dziewczyna pokazała mi zgniecione zegarki, które wyjęła spod dywanu zaraz po powrocie z wycieczki. Oba wskazywały tę samą godzinę: minutę po osiemnastej.

To była niespodzianka numer trzy.

- Ktoś nas odwiedził o tej godzinie. Czegoś szukał.

- Kiedy wróciłam, była osiemnasta siedemnaście - powiedziała Jola. - Może spłoszyłam intruza?

- Dołączymy to do naszych dowodów rzeczowych - dodałem zamyślony.

Ukrywszy w dziupli dębu oba zegarki zawinięte w folię, opuściliśmy teren zamku Traktorem. Początkowo jechaliśmy bez świateł, aby nie obudzić czujności pozostałych

detektywów, a trzeba powiedzieć, że tylko w oknie pokoju Bonda paliło się dyskretne światło

lampki nocnej. Bez trudu dotarliśmy w nocy do gospodarstwa Szkiładzia położonego pół

kilometra od rzeki na płaskim terenie osłoniętym drzewkami owocowymi. Zagroda stała

bliżej polnej drogi, ale w kierunku północno wschodnim zauważyliśmy poruszające się

światło latarek.

- Kogo tu licho przyniosło?

- Tam są ruiny tej obory - zapiszczała podekscytowana.

Ukryliśmy Traktora w jabłonkach i resztę drogi przebyliśmy pieszo.

Po drodze natrafiliśmy na fiata bravo.

- Hannussen! - wyrwało mi się.

Czym prędzej musieliśmy schować się za wystający z ziemi kamienny mur stanowiący fragment rozebranej obory, gdyż chodzący po zarośniętej chwastami polance

ludzie znajdowali się bardzo blisko nas. Zajęci szukaniem czegoś ukrytego pod ziemią

przeoczyliby nawet harcerski obóz rozbijający namioty, ale musieliśmy mieć się

na

baczności. Hannussen nie był sam.

- To gdzieś tutaj - mówił jasnowidz do kogoś obok. - Wskazówka wyraźnie drga w tym miejscu.

- Dobra. Nie ma czasu, idę po ten wykrywacz.

Rozpoznaliśmy głos Bonda. A zatem Hannussen dogadał się z nim i zawarli układ. W nocy, gdy pozostali detektywi położyli się spać albo już smacznie chrapali w swoich łózkach,

ci dwaj umówili się w terenie, aby dokonać odkrycia. Do północy została bowiem godzina,

więc wszystko jeszcze było możliwe. Bond był tak wyrachowany, że pod zamkiem zostawił

BMW i nie zgasił światła w swoim pokoju. Przyjechali samochodem Hannussena.

Tylko ja wiedziałem, że chciał odnaleźć skarb, aby pokazać Larze Croft, że jest najlepszy!

Obaj żwawo ruszyli w stronę fiata, oświetlając sobie drogę latarką. Przeszli dosłownie

obok nas, metr od murku, za którym przycupnęliśmy. Po chwili otworzyli bagażnik i wyjęli z

niego wykrywacz metali. Wrócili. Hannussen oświetlał latarką wydeptaną polanę.

- Na pewno znajdziemy! - mówił podekscytowanym głosem jasnowidz. - To tutaj!

Mówię panu, jakem Hannussen. Pan wie, że na podstawie zdjęcia znalazłem na prośbę policji

zwłoki jednej staruchy zamurowane w starym domu? A innym razem...

- Nie marudź pan! - warknął na niego Bond. - Zaraz zobaczymy, co z pana za Hannussen?

Pochyleni nad wykrywaczem metali sprawdzali coś w promieniu kilku metrów. Bond chrząkał cały czas, a jasnowidz szeptał coś do siebie. Napięcie oczekiwania udzieliło się w

końcu i nam, gdyż lada chwila miało okazać się, czy w tym miejscu, na tej opuszczonej i zarośniętej polance, miejscu po byłej oborze, a wcześniej starym stawie, znajduje się skarb paulinów?

- Mówił pan, że ta gaska, Jola - zagadnął niespodziewanie Bond - interesowała się tymi miejscem.

- Była tu - odpowiedział Hannussen. - Przyjechała z tymi wiejskimi bachorami. Śledziłem ich, więc wiem, po co tu przyjechali. Ale Szkiładź niewiele im powiedział. Był

tutaj staw, takie małe jezioro. Podobno od zawsze. Jak to usłyszałem, już wiedziałem, że to

tutaj. Moja teoria okazała się słuszną!

- Ale pierwsza była ta gaska Jola.

- I co z tego, młody człowieku? Ważne, kto znajdzie skarb! Swoją drogą, na co dziewczynie te dwadzieścia tysięcy euro? - zawtórował mu tubalnie Hannussen. - Wygra

konkurs pianistyczny, to zgarnie tyle samo albo i więcej.

Poczułem paluszki Joli ściskające z wściekłości moje ramię. Nie były wcale takie delikatne jak na pianistkę.

- Co za chamstwo - wyszeptała Jola. - Ja im dam gaskę.

- Cicho - upomniałem ją. - Jeszcze nas usłyszą.

Mężczyźni zamilkli. Na szczęście nie usłyszeli naszych szeptów. Zainteresowało ich

popiskiwanie wykrywacza.

- Mam! Mam! - powtarzał Bond. - To działa!

W tej chwili ulotnił się z niego dżentelmen, a rzadziło nim wielkie dziecko.

- Jest! Hannussen! Tutaj!

- Hurra! Jesteśmy bogaci, Mr. Bond!

- Niech się pan tak nie wydziera, Hannussen, bo zbudzi pan pół wioski - uspokajał go

Bond.

- A pan to co, lepszy? - oburzył się jasnowidz. - E, nieważne. Panie Bond, niech pan

posłucha, musimy szybko powiadomić strażnika na zamku! Mamy jeszcze czterdzieści osiem

minut do północy. Inaczej jutro dostaniemy ochłap, a nie nagrodę.

- Spokojnie, spokojnie. Musimy być pewni.

Jola opuściła mnie i zniknęła gdzieś w ciemnościach za moimi plecami. Nie poszedłem za nią, gdyż rozmowa detektywów była niezmiernie interesująca, przede wszystkim byłem ciekaw, czy znajdą skarb.

- Niech pan świeci tutaj - nakazał Bond. - Dobrze. Widzi pan zmianę natężenia pola?

- Moja różdżka pierwsza to wykryła!

- Faktycznie, niezła zabawka.

- I mniejsza od pańskiego wykrywacza.

- Gdzie pan ją kupił?

- Od ruskich na bazarze. Ale wszystkim mówię, że w Niemczech.

- Jest pan oszustem.

- A pan to nie jest?

Zaśmiali się obaj, aż nagle latarka zgasła. Usłyszałem zdławiony krzyk Hannussena.

W ciemnościach, przez które tylko gwiazdy i księżyc przenikały, widziałem niewyraźnie, jak

Bond zarzuca na ramię jasnowidza i ociężałym krokiem idzie w kierunku fiata. Bond był silny. Musiałem zmykać. Lepiej nie myśleć, co by się stało, gdyby teraz mój

braciszek mnie dorwał!

Ostrożnie czmychnąłem w ciemność w stronę Traktora, mijając po drodze fiata bravo.

Zaraz dołączyła do mnie Jola.

- Wracamy? - zapytała.

- I to migiem. Bond obezwładnił Hannussena. A ty co robiłaś?

- Nieważne. Później panu powiem.

Dopadliśmy Traktora i chwilę odczekaliśmy, aż Bond zniknie za rzędem jabłoni. Dopiero wtedy odważyłem się zapalić silnik. Ruszyłem czym prędzej. Początkowo jechałem

bez włączonych świateł, ale po chwili Jola nie wytrzymała i wcisnęła właściwy przycisk.

- Co robisz? - zdenerwowałem się i natychmiast wyłączyłem światło. - Bond nas zauważy! Pewnie i tak usłyszał pracujący silnik.

- I co z tego? - zachichotała i z powrotem włączyła światła. - Czym nas dogoni?

W świetle reflektora ujrzałem na prawo chałupę Szkiładzia i ubitą drogę wijącą się

przed nami.

- O czym ty mówisz, Jolu?

- Że bravo nie pojedzie.

- Nie pojedzie? - zdziwiłem się.

- Otworzyłam maskę i wyrwałam kilka przewodów - wyjaśniła, pokazując brudne od smaru ręce. - To za tę głupią gaskę.

Przez chwilę milczeliśmy. Pierwsza przerwała ciszę Jola:

- I kto teraz zawiadomi strażnika na zaniku?

- To nieuczciwe - zaprotestowałem, oszołomiony.

Ale Jola zaśmiała mi się w twarz, jakbym bredził.

- Panie Arturze! Bond i uczciwość? A może Hannussen? To sprzedajne zero, podrabiany jasnowidz. A Miss Marple? A Harry Potter? Oni wszyscy są lewi, oszukiwali od

samego początku! Też mi detektywi! Z pana jest tak zwany romantyk!

- To źle? - obruszyłem się.

Nic nie odpowiedziała. Westchnęła rozkosznie w najbardziej uroczy sposób, jaki kiedykolwiek słyszałem i pocałowała mnie wstydliwie w policzek.

- To dobrze - wyszeptała i dodała: - Arturze.

Na zamek dotarliśmy przed północą i zgłosiliśmy strażnikowi miejsce ukrycia skarbu

Paulinów - na terenie zagrody starego Szkiładzia, pod fundamentami starej obory. Jedynym

zgrzytem psującym euforię płynącą ze zwycięstwa był fakt, że na trop skarbu pierwszy wpadł

Hannussen.

- Trzeba się z nim podzielić nagrodą - zaproponowałem Joli, gdy weszliśmy do pokoju.

- A figa! - zaprotestowała. - To my pierwsi byliśmy u Szkiładzia. Ja, Agatka i Krzysiek! Hannussen nas śledził, inaczej nigdy by nie odnalazł tego miejsca.

Zastanawiam

się, czy podzielić się z tobą nagrodą, Liberalesie.

- Mów mi, Artur. Skończ z tym Liberalesem. Nie podoba mi się ten pseudonim. I musisz podzielić się ze mną nagrodą. Nie jesteś oficjalnie zgłoszona do pojedynku.

Zaśmiała się i klasnęła radośnie w dłonie.

- I tak bym się z tobą podzieliła - dodała.

16

Bond wrócił po północy.

Widzieliśmy go idącego przez mostek do zamku. Chwilę rozmawiał ze strażnikiem przez uchylone drzwi w żelaznej bramie, a potem wściekły pognął do Domku.

Słyszeliśmy

jego kroki na schodach, ciszę, gdy stanął przed naszymi drzwiami, jakby zastanawiał się, czy nie zapukać, ale w końcu zrezygnował. Tłukąc niemiłosiernie drzwiami, poszedł do siebie.

Zdaje się, że nie mógł zasnąć, podobnie jak i my.

O szóstej rano obudziła nas Lara.

- Kolego detektywie! - zaczęła bez ogródek, nie zważając na śpiącą Jolę. - Wstawaj!

Ktoś uwolnił Kłapickiego i van Klompera?!

- Przecież pilnował ich Bużka!

- No tak, ale oberwał od kogoś po głowie. A jak się ocknął, to więźniów już nie było.

- W takim razie nie możemy tego zgłosić na policję. Inaczej nas oskarżą o porwanie i przetrzymywanie ludzi wbrew ich woli.

- Domyślasz się, kto ich uwolnił?

- Miss Marple?

- A kto inny wchodzi w rachubę? Na bank, że to ona!

Rankiem zamek obiegnęła wieść, że „Liberales z Jolą wskazali miejsce ukrycia skarbu”.

Poruszenie było ogromne. Z początku nam nie dowierzano, uznano to za tanią sensację, plotkę, ale gdy pani kustosz wezwała telefonicznie ekipę archeologów z Łodzi,

wszyscy spowaźnieli. Tylko Bond emanował niezdrową energią i co pewien czas łypał na mnie groźnie.

Archeolodzy zbadali najpierw teren przy ruinie starej obory Szkiładzia za pomocą wykrywacza metali, następnie użyli specjalnej sondy. Już pierwsze pomiary wyglądały

zachęcająco! Pod kilkumetrowej grubości warstwą ziemi znajdował się sporych rozmiarów

metalowy przedmiot. Teren wykopu odgrodzono od gapiów szlabanami i w spokoju wysypywano nawiezioną przed stu laty ziemię, usuwano kamienie, czasami głązy. Gdy

pojawiła się kolejna warstwa ziemi, archeolodzy zaczęli ostrożniej ją wydobywać, ich ruchy

stawały się z każdą łopatą coraz bardziej dostojne, jakby uczestniczyli w misterium. I w

końcu, po zachodzie słońca, w świetle silnych reflektorów ujrzeliśmy fragmenty starej,

dębowej skrzyni, z której zostały tylko zaśnieżone okucia i kawałki drewna.

Świadcami byli wszyscy goście z zamku, Agata i Krzysiek oraz dzieci z pobliskiej wsi.

Największe zainteresowanie wzbudziła jednak zawartość skrzyni. Oto bowiem zręczne ręce archeologów wydobyły z wilgotnej ziemi kilka przedmiotów. Z trudem rozpoznano w nich naczynia wykonane najprawdopodobniej ze złota, kilkanaście zaśnieżonych monet i coś przypominającego pectorał z łańcuchem. Każdemu wydobytemu z

ziemi przedmiotowi towarzyszyły gromkie oklaski zgromadzonej widowni, co wprowadziło

do żmudnej pracy archeologów element prawdziwego widowiska. Wszyscy byliśmy podnieceni, nawet rozgoryczony Bond, unikający mojego wzroku, nie mógł oprzeć się

ciekawości.

W sumie nie było to efektowne widowisko. Wszystkie bowiem przedmioty były oblepione ziemią, solidnie zaśnieżone, nie lśniły złotem. Prawdę powiedziawszy, nie różniły

się niczym specjalnym od zwykłych kawałków rury bądź zardzewiałych i bezużytecznych

przedmiotów, które czasem udaje nam się wykopać na działce. No, może poza zaśnieżonym

krzyżem w formie pektorału - to znalezisko zrobiło największe wrażenie na archeologach i pięknej kustosz. Ale dla mnie skarb nie oznaczał zwycięstwa. Sukcesem było to, że legenda o przeorze Gabrieli przestała być legendą! Stała się rzeczywistością.

- Prawdopodobnie wykopano - mówiła zauroczona odkryciem Ewa - dary zapisane klasztorowi przez bratanka prymasa, Andrzeja Oporowskiego. Był on biskupem kujawskim i zmarł na Litwie w 1483 roku. Testament powstał w dniu jego śmierci. Według kronik przechowywanych w Archiwum Jasnogórskim przeznaczył dwieście grzywien kościołowi w Oporowie na wykończenie kaplicy. Ofiarował też pektorał ze złotym łańcuchem gdańskiej roboty, dwie aksamitne kapy czarnego koloru, wszystkie swoje książki, a także złote naczynia i dwa nakrycia.

- Na tym etapie nie wiemy na sto procent, co za przedmioty wykopaliśmy - wtrącił jeden z archeologów. - Być może to część darów Andrzeja Oporowskiego, a może innych możliwych. Z pewnością jest to cenne znalezisko dla kultury narodowej.

- Ile podobnych skarbów znajduje się jeszcze w ziemi? - zgadywał Krzysiek. - Chciałbym sam znaleźć kiedyś taki skarb!

- Każde badanie najlepiej rozpocząć od książek - poradziła pani kustosz. - Na bibliotecznych półkach znajdują się cenne wskazówki o skarbach.

- W ludzkich przekazach i w legendach także - dodałem.

Zerknałem jeszcze ku górze, bardziej na północ, na wyróżniającą się wśród pozostałych gwiazdozbiorów Kasjopeję i świecącego jesienią na południowym zachodzie Jowisza - tych niemych świadków historii rozpoczętej przez przeora Gabriela prawie trzysta pięćdziesiąt lat temu.

Być może ziemia ukrywa o wiele więcej skarbów niż potrafimy to sobie wyobrazić. Tak jak grzebie nasze kości, tak samo chowa wspomnienia, całą naszą historię, wiedzę o nas samych. Czasami pozwala nam nawet wydobyć z siebie cząstkę nas samych. I tylko gwiazdy, księżyc i planety nie dziwią się niczemu. W glorii zwycięzców wróciliśmy na zamek ku zazdrości pozostałych detektywów. Porucznik Columbo sprawiał wrażenie obrażonego na cały świat, Bond niewiele mówił i jakby stracił zainteresowanie osobą Ewy. Pani kustosz wciąż zerknęła na niego, jakby żądając wyjaśnień odnośnie do takiego zachowania.

Na wieczór piękna Ewa zaproponowała zebranie w salonie Domku. Wymusiliśmy na niej zgodę na obecność Agaty i Krzyska, Porucznik Columbo zaś przyprowadził Krystynę, z którą ostatnio się nie rozstawał.

Przed tym spotkaniem odbyłem naradę z osobą, która poprosiła mnie o krótkie spotkanie. Odbyło się ono poza murami Domku. W parku. Pod osłoną nocy. Rozmawialiśmy prawie godzinę, naradzaliśmy się i dopiero nadejście Joli kazało mi pożegnać rozmówcę i wrócić do Domku, zabrawszy uprzednio z dziupli dębu dowody rzeczowe.

O dwudziestej drugiej spotkaliśmy się wszyscy w salonie. W kominku napalono jaki nigdy, aż rozżarzone drwa strzelały głośno, przeszkadzając w rozmowie. Żółte światło z żyrandola rozlewało się sennie po salonie, neutralizując skutecznie atmosferę wyczekiwania i nerwowości.

Po chwili wszedł do salonu grubszy jegomość w wełnianym garniturze. Okazało się,

że to sponsor całego przedsięwzięcia okrzyczanego szumnie „pojedynkiem detektywów”.

- Zawody dobiegły końca - zaczął uroczystą mowę, unosząc ku górze kieliszek wypełniony winem. - Odnaleziono skarb. W ostatniej chwili. Szczerze państwu powiem, że

nie wierzyłem w jego odkrycie. Ale słowa dotrzymam. Tutaj mam czek na dwadzieścia tysięcy euro.

I producent soków wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kawałek papieru.

- W imieniu kierownictwa muzeum dziękujemy panu - zwróciła się do sponsora oficjalnym tonem Ewa.

- Niech pani podziękuje zwycięzcy - zaproponował sponsor. - Panu Liberalesowi! Ewa jakby się speszyła. Zerknęła na mnie niechętnie i gestem poprosiła o podejście. A

kiedy zrobiłem pierwszy krok w jej stronę, nieoczekiwanie przemówił Bond.

- Jedną chwileczkę - podniósł rękę i wstał. Zgrywał się na luzaka, ale był dzisiaj

spięty. - Małe sprostowanie zanim nagroda zostanie wręczona nie temu człowiekowi, który powinien ją dostać.

Oczy pozostałych wbiły się w Bonda z największą uwagą. Kątem oka dostrzegłem, że czerwony z wrażenia Porucznik Columbo próbował wstać z krzesła, wierząc naiwnie, że

Bond ma może na uwadze jego wcześniejsze odkrycie - trumnę Oporowskiego w Mnichu.

- To ja pierwszy odnalazłem skarb - oświadczył ku zaskoczeniu innych i wyprężył nieznacznie pierś. - Liberales był drugi.

- Wie pan, drogi chłopcze, mnie też można uznać za zwycięzcę - zdenerwował się Porucznik Columbo. - Łaziłem w pobliżu tej zagrody w poszukiwaniu via Orloviensi. To był

dobry trop, jak się okazało.

- „Znak nierówności” na tabliczce, to moim zdaniem właśnie przecinająca Sułdwię droga orłowska - dodała mądrze Krystyna.

Uśmiechnąłem się do nich, a Bond dalej nas przekonywał.

- To ja znalazłem to miejsce jako pierwszy. To konkretne miejsce. Nieważne kto był

blisko i kto się tam kręcił. Liczy się wskazanie konkretnego miejsca. Powiem wam prawdę.

Liberales mnie śledził! Zaczaił się w nocy i obserwował mnie przeszukującego teren wokół

obory. Był świadkiem mojego odkrycia. To on wreszcie uniemożliwił mi powrót, uszkadzając

poważnie samochód, i tylko dlatego przyjechał pierwszy na zamek i ogłosił się zwycięzcą.

- Czy może pan to udowodnić? - zapytał poważnie sponsor.

- Gdzieś koło jedenastej wieczorem zapukałem do drzwi Szkiładzia - odpowiedział Bond. - Zapamiętał mnie. Moją twarz i prośbę o pomoc, bo jak wspomniałem, Liberales

popsuł samochód. Pan Szkiładź podwiózł mnie bryczką do Oporowa, ale było już dobrze po północy.

- Wrzucić luz, człowieku - uspokajała go Lara. - BMW stoi pod zamkiem. Jak to się stało, że sam się zreperował?

- Mam kilka samochodów - speszył się nieco Bond, gdyż musiałby się przyznać, że był wtedy razem z Hannussenem. Zaraz jednak zmienił temat. - Ale zapytajmy samego

Liberalesa! Niech powie, jak było naprawdę.

Mój brat był cwaniakiem. Wiedział, że nigdy nie kłamałem, poza nielicznymi wyjątkami, kiedy wymagała tego delikatność sytuacji, i teraz liczył na to, że wspomnę o jego

obecności na terenie zagrody Szkiładzia. Bo tak naprawdę, to on pierwszy wskazał

miejsce

ukrycia skarbu, ale zapomniał dodać jedno - że to Jola z Agatą i Krzyśkiem naprowadzili

Hannussena na właściwy trop.

Wstałem jak uczeń wzywany przez nauczyciela do tablicy.

- No i jak? - zachęcał mnie do zwierzeń Bond.

- Proszę nam powiedzieć prawdę - poprosiła Ewa.

- Ciekawe, ciekawe - mruzczał sponsor i z wrażenia schował czek z powrotem do kieszeni.

Nalałem sobie wina i zwlekałem jak aktor teatralny owijający sobie widownię wokół

palca. Tylko, że wygrana zdawała się oddalać.

- Panie i panowie - próbował zagadać uczestników zebrania Bond. - Przestrzegam. Liberales będzie próbował mnie pogrążyć. W związku z tym zastosuje różne chwytły, sztuczki, aby odebrać mi palmę pierwszeństwa. To się nazywa pomówienie.

Powtarzam

jednak, że Liberales nie ma żadnych dowodów. To oszust. Kłamca!

Nie wytrzymałem i wbiłem palec w jego pierś.

- Czyżby? - popatrzyłem na niego z wyższością. - Za chwilę udowodnię, że to ty jesteś

oszustem.

Nie wiedzieć czemu, Lara znacząco chrząknęła i Bond natychmiast odczytał to jako groźbę powiadomienia wszystkich o jego ciemnych interesach. Lara Croft była detektywem i

mogła mieć wiele dowodów obciążających Bonda, a już na pewno znała kilka faktów z jego

nikczemnego życia.

- Panowie, szybciej - poprosił sponsor.

- Agato i Krzysztofie - zwróciłem się do dzieciaków. - Poproszę o dowody rzeczowe.

- Co to za wygłupy? - nie wytrzymała Ewa.

- Wyjmijcie dowód rzeczowy numer trzy - poprosiłem.

Agata położyła na stole dwa rozdeptane w naszym pokoju zegarki. Szybko wyjaśniłem, jakiego to użyłem podstępu podczas naszej nieobecności, i opowiedziałem o tym,

że ktoś odwiedził nasz pokój o osiemnastej jeden. Oświadczyłem, że to był Bond.

- Skąd wiadomo, że chodzi o niego? - dopytywał się Porucznik Columbo. - Do pańskiego pokoju mógł wejść każdy.

- W tym rzecz, że nie każdy - zaprotestowałem. - Minuta po osiemnastej mógł wejść

tylko James Bond.

- Jaśniej, proszę - jęknął sponsor.

- Po kolei. O tej godzinie nie było w Domku Miss Marple, którą widziałem w taksówce przed zachodem słońca. Nasza pisarka do tej pory nie wróciła, więc możemy ją

śmiało skreślić. W tym czasie Harry Potter został porwany przez pewnych ludzi i osadzony w

zatręchłej komórce.

- To stało się koło cukrowni po szesnastej - wyjaśnił Potter.

- Porwani? - zbladła Ewa. - Przez kogo? Co tutaj się działo?

- Powiedzmy, że przez ludzi Miss Marple. Najważniejsze jest to, że Harry Potter nie

mógł wejść do mojego pokoju o osiemnastej jeden. On i ja zostaliśmy uwolnieni przez Larę

Croft po ósmej wieczorem.

- Zgadza się - potwierdziła moje słowa Lara. - Od południa weszłam w terenie. Dokładnie w Drzewoszkach i w okolicy. Nie było mnie w Oporowie. Czy ktoś widział moje

auto przed zamkiem?

Odpowiedziało jej milczenie.

- Za to przed szesnastą widziałem Bonda spacerującego z panią Ewą -

kontynuowałem

wątek. - Poszli do kościoła. To było także przed zachodem słońca. Mnie porwano mniej

więcej o siedemnastej dwadzieścia pięć, a w tym czasie Bond z panią Ewą byli cały czas w

Oporowie.

- Ładne rzeczy - skrzywiła się z niesmakiem. - Pan nas szpiegował.

- Powiedziały mi duchy.

- Pan znowu żartuje. Tak, owszem, byłam na spacerze z Jamesem Bondem - zaczerwieniła się. - Widzieliśmy się przecież przelotnie na ulicy. Wróciłam przed siedemnastą

i zaraz pojechałam do domu. W mieszkaniu byłam trochę przed szóstą.

- Czy Bond wyjechał gdzieś po waszym rozstaniu? - zapytałam. - Odwiózł panią?

- Nie - odpowiedziała słabym głosem. - Poszedł do Domku.

- Strażnik na pewno to potwierdzi - dodałam. - O godzinie osiemnastej James Bond zakradał się do naszego pokoju podczas naszej nieobecności. Czego szukał? Moim zdaniem

spodziewał się znaleźć w laptopie rozwiązanie zagadki, ale, po pierwsze, komputer miał

założone hasło, po drugie, rozwiązanie wpadło mi do głowy wczoraj.

James Bond zaśmiał się szyderczo pod nosem, wziął oba rozdeptane zegarki do ręki,

oddał je Agacie

- To wszystko bujdy! - zaśmiał się złowrogo. - Taki dowód każdy może spreparować.

To nie jest żaden dowód. Niech lepiej Liberales przysięgnie, że to on pierwszy zlokalizował skarb.

Prawdę powiedziawszy, trudno było to udowodnić. Najgorszym jednak dla mnie policzkiem była reakcja Ewy na jego oświadczenie - oczy zabłyśły jej nową nadzieją, patrzyła

na Bonda z nieukrywaną sympatią, aż poczułem w żołądku niemiły skurcz. Pozostali uczestnicy spotkania zaczęli już łypać na mnie podejrzliwie.

- Jeśli powiem, że to moja drużyna zwyciężyła, nie uwierzycie mi - odpowiedziałam. -

A zatem zapytajmy o to kogoś neutralnego. Najlepiej miejscowego, wszechwiedzącego

ducha, który krąży po okolicy i o wszystkim wie.

- Czy pan się dobrze czuje, drogi chłopcze? - zaśmiał się Porucznik Columbo. Nie zważając na kpiny, podszedłem do kominka i uklęknałem przed paleniskiem.

- Duchu! - zawołałem do kominka. - Duchu, odezwij się!

Wszyscy patrzyli na mnie jak na wariata. Krystyna parsknęła nawet śmiechem, ale zaraz spoważniała po delikatnym kuksańcu wymierzonym jej przez Porucznika Columbo.

Natomiast twarz Ewy wykrzywił grymas oburzenia.

- Wierzysz w duchy, Liberalesie? - zażartował Bond.

- Na duchy jeszcze za wcześnie - wtrącił Harry Potter.

- Skąd wiesz?! - zezłościła się Agata. - Jesteś czarownikiem czy jak? Nosisz tylko

pseudonim czarodzieja. Wcale nie jesteś pokurczem. Widzieliśmy cię całego i zdrowego.

Udawaczu!

- Może to oporowskie powietrze mnie wyleczyło? - próbował obrócić to w żart zdemaskowany Potter.

Młodzież zaczęła się sprzeczać, ale nikt nie zainteresował się oszustwem Harry'ego.

Tutaj każdy udawał. Klęcząc przed kominkiem, wciąż wzywałem ducha i narażałem się na

kpiny pani kustosz i pozostałych gości.

- Duchu! Duchu! Odezwij się!

W pewnym momencie z głębi domu zabrzmiało stłumione pohukiwanie, coś w



rodzaju długiego „auhhh”. Niosło się żałośnie przez mury Domku prosto do kominka, aż w palenisku mocniej wzmógł się cug. Płomienie oświetliły mocniej moją twarz, a ja w dalszym ciągu wzywałem ducha.

- Duchu nasz! Powiedz nam, czy James Bond mówi prawdę?

Wszyscy zamilkli i osłupiali czekali na odpowiedź. Nawet Bond się nie ruszał i nic nie mówił.

- Nie mówi prawdy! - zagrzemiał w kominku potężny bas.

- A kto znalazł skarb przeora Gabriela?

- Pani Jola! - odpowiedział posłusznie duch. - I miejscowe dzieciaki! Agata i Krzysiek! Bond dowiedział się o dawnym stawie drugi!

- Tak było - wtrącił nieśmiało Krzysiek.

Wstałem, otrzepałem kolana i zwróciłem się do pięknej pani kustosz:

- Oto i cała prawda.

Wtedy to Bond rzucił się jak szalony do drzwi i wybiegł z salonu. Słyszeliśmy jego

kroki dudniące na schodach, więc zaraz ruszyliśmy za nim. Kiedy dopadliśmy pięterka,

widzieliśmy jak Bond szamoce się w rogu z Hannussenem przytrzymywanym silnym chwytem za kołnierz kurtki, próbując sprowadzić jasnowidza na dół.

- Hannussen? - zdziwił się Porucznik Columbo. - Pan tutaj?

- To wasz oporowski duch - śmiał się na całe gardło Bond i skierował wzrok na otwartą kłapę prowadzącą na strych. - Lipa! Wasz duch nie istnieje! To nasz kochany

Hannussen mówił do komina, a jego głos niósł się aż do salonu. Umówili się tak z Liberalesem. To dowcip!

Miał rację. Dzisiaj w parku spotkałem się z Hannussenem i w szczegółach omówiliśmy scenariusz tego przedstawienia.

- Aj! - jasnowidz próbował się wyrwać mojemu bratu. - Proszę mnie puścić!

- Panowie jednak dzieciennieją na starość - parsknęła Lara.

- Chwileczkę - jęczał Hannussen. - Chwileczkę, owszem, duch oporowski nie istnieje,

ale może mnie wreszcie wysłuchacie! Mam wiele do powiedzenia.

Pod presją pozostałych detektywów Bond puścił wreszcie Hannussena i popatrzył na niego z wyrzutem.

- Jest pan hochsztaplerem - gadał oskarżycielsko Hannussen. - Zakrada się pan do cudzych pokojów, uwodzi kobiety i do tego jesteś kanciarzem finansowym. To ja śledziłem

wczoraj panią Jolę i obecne tutaj dzieciaki, stąd wiedziałem, że złożyły po południu wizytę

Szkiładziowi, a chłop opowiedział im o starym, zasypanym bajorze. Temperamentum! To

idealnie pasowało do mojej koncepcji „zera”. Z początku myślałem, że skarb ukryto w

zanikowej fosie, ale w zagrodzie Szkiładzia znowu odczułem dziwne wibracje...

- Ty, Hannussen! - zawarczał groźnie Bond. - Ty też nie jesteś barankiem. Oszust z

ciebie. Jaki z ciebie jasnowidz?

- Mam na sumieniu kilka grzeszków - mężczyzna speszył się - ale w tym wypadku mówię prawdę. Powtarzam wszystkim: Bond dowiedział się o starym stawie ode mnie.

A ja

od Joli. To wszystko.

James Bond był skończony. Poniósł klęskę. Tylko w oczach Ewy zamiast czystego potępienia tliło się rozczarowanie, jakby w duchu liczyła jeszcze, że to Bond jest górą, a ja

łgarzem, a cały świat, ba, nawet sami bogowie - sprzysięgli się przeciwko niemu. Ostatecznie Bond sam się pogrążył. Nie czekając na naszą reakcję, wszedł do swojego

pokoju i zamknął się w nim na klucz. Długo z niego nie wychodził i kiedy

zasiedliśmy ponownie w salonie, usłyszeliśmy jak schodzi ciężko po schodach. Jednak nie wszedł do salonu. Opuścił Domek bez pożegnania, by po chwili odjechać. Silnik jego sportowego BMW warczał wściekle jeszcze przez jakiś czas, ale wkrótce ucichł. I tylko drwa w kominku strzelały na wiwat. Jeszcze długo nie poznaliśmy całej prawdy o wydarzeniach, jakie miały miejsce w Oporowie zimą 1657 roku. Znaleźliśmy skarb, odkryliśmy prawdę o fałszywej tabliczce, w laboratorium Konserwatora Zabytków spoczywały w specjalnych wannach dwa szkielety znalezione w Mniechu i w Drzewoszkach, ale nijak nie mogliśmy wyjaśnić wszystkich szczegółów tej historii. Zniknięcie Miss Marple oraz inżyniera Kłapickiego i van Klompera było przeszkodą w poznaniu całej prawdy. A to właśnie oni wiedzieli o czymś, czego my nie mieliśmy prawa znać.

Co stało się z Georgiusem Basem w 1657 roku? Wiemy, że zginął, ale czy przypadkiem nie został zamordowany przez swojego rodaka Johanna Klompa? Jaki związek miała śmierć Basa z ukryciem przez przeora Gabriela skarbu? Kto wykonał fałszywą tabliczkę i kogo chciał oszukać? Dlaczego trumna z ciałem Stefana Kucińskiego z pobliskiego Mniecha została zakopana w Drzewoszkach? I co robiła oporowska trumna z kośćmi Władysława Oporowskiego w krypcie kościoła w Mniechu?

To miało dla mnie pozostać tajemnicą jeszcze przez cały rok. Jak wyjaśniła nam Ewa, znaleziska archeologiczne to jedno, a prawda o ich pochodzeniu to drugie. Mieliśmy skarb, ale nie wiedzieliśmy, jakie okoliczności sprawiły, że znalazł się na dnie małego stawu. Czyż nie podobnie było z wielkimi odkryciami w naukach ścisłych - poznawaliśmy zjawiska przyrody, ale tak naprawdę nie potrafiliśmy ich wyjaśnić.

- Czemu przeor Gabriel wywiózł trumnę ze szczątkami Oporowskiego do Mniecha, a skarb ukryty w dębowej skrzyni zatopił w przeręblu? - pytała na głos Ewa.  
- Tego nie wiemy - stwierdziłem. Po chwili dodałem. - I może nigdy się nie dowiemy.  
- Od jutra zaczniemy szukać w kościelnych metrykach - obiecał Krzysiek. - Trop holenderski może być w tej sprawie najważniejszy.  
- A ja nawet pożyczyłam grubą książkę o dawnych czasach - oświadczyła z dumą Agata. - Przeczytałam już pierwszy rozdział.  
- To prawda - kiwnęła głową bibliotekarka. - Mnie też zainteresowała ta sprawa.

W wolnych chwilach zajmę się nią.

- Służę pomocą - pocałował ją w rękę Porucznik Columbo.  
- Może razem coś odkryjemy.  
- Niech pan nie przesadza, Poruczniku Columbo - pocieszyła go Ewa. - Znalazł pan trumnę z kośćmi fundatora klasztoru. Przeleżała trzysta pięćdziesiąt lat w krypcie innego kościoła. Co za dziwne odkrycie. Ale niech mi pan wierzy, że to wielka sprawa, a badania laboratoryjne potrwać jeszcze kilku lat.

- Proszę państwa - odezwał się sponsor. - Wokół skarbu przeora i zamku wytworzyła się aura tajemniczości, niezwykłości, sensacji. Za waszą sprawą Oporowem zainteresowały się media. Jutro przyjeżdżają telewizja, radio i prasa. Pewnie niedługo będzie tu zatręśnienie turystów.

- Którzy będą pić pańskie soki - dodała uszczypliwie Lara.

- Wie pani - uśmiechnął się do niej sponsor. - Jestem biznesmenem, a nie organizacją charytatywną.

Na końcu poinformowałem wszystkich, że podzielę się częścią nagrody z Jolą, z dziećmiakami, z Lara Croft i z Hannussenem.

- Dziękuję panu - ukłonił się jasnowidz. - Wiedziałem, że z pana to równy gość. - Uważam, że symboliczna suma należy się także Porucznikowi Columbo - dodałem. - Jakkolwiek by było, każdy z nas wniósł jakąś cząstkę do tej sprawy. Nie uważam się za jedyne zwycięzcę.

- Czy chce pan z kimś jeszcze podzielić się nagrodą? - zapytał podstępnie Hannussen, wiedząc, co czuję do Ewy.

Już miałem zaproponować jej osobę, która służyła nam przecież wiedzą, lecz zamilkłem. Spowodował to twardy czubek buta Joli, która pod stołem kopnęła mnie wściekle w piszczel.

ZAKOŃCZENIE

W kwietniu odwiedziłem Oporów, korzystając z ferii świątecznych. Chciałem wywiązać się z umowy danej Agacie i poduczyc ją matematyki. Przywiozłem także dla niej i

dla Krzyśka nagrodę w postaci pięciuset euro dla każdego. Wszystko zgodnie z umową.

Pieniądze przekazałem na ręce ich rodziców. Zostałem nawet zaproszony przez ojca Agaty na obiad. Pogadaliśmy trochę, powspominaliśmy ostatnią przygodę, a przez następnych kilka

godziny wbijałem do głowy dziewczyny przeróżne wzory i matematyczne reguły. Szło ciężko, ale obiecałem jej wpaść znowu za tydzień.

Potem odwiedziłem Krzysztofa. Mile mnie zaskoczyło, że chłopak zainteresował się historią. Jak oświadczył, wolny od nauki czas spędza w bibliotece ku uciesze Krystyny. Z

kolei ta, do niedawna nieśmiała i skromna kobieta miała też inny powód do radości. Okazało

się bowiem, że Porucznik Columbo oświadczył się bibliotekarce i w najbliższym czasie

zamierzają wziąć ślub. Kto wie, może detektyw miał więcej szczęścia ode mnie i to on znalazł

w Oporowie prawdziwy skarb?

Potem poszedłem na zamek.

Idąc kwitnącą i pachnącą rozkwitającym życiem aleją ku ceglanej, martwej twierdzy,

nie mogłem opanować zdenerwowania przed spotkaniem z panią kustosz. Przyczesana starannie alejka pozbawiona była ciężkich, brązowych liści. Drzewa wyprostowały się,

dźwigając ku słońcu na swych potężnych konarach nową zieloną czuprynę listowia. Obsypany niegdyś burgundem winorośli most obnażył swój szkielet, a chude badyle winogron zdobiły pierwsze, nieśmiałe świeże paczki. Fosa straciła rzesę i przygarnęła w

swoje nieruchome wody pobudzone wiosennym zgiełkiem żaby.

Ewę zastałem w jednej z sal na piętrze, gdzie krzątała się, przygotowując eksponaty na

wystawę. Moja wizyta w muzeum nie była zapowiedziana, więc piękna kustosz okazała

wielkie zdziwienie, gdy mnie ujrzała.

Czy domyślała się, że oddałbym wszystkie skarby paulinów za jedno spotkanie z nią

w cichej kawiarni albo romantyczny spacer po parku. Chyba nie podejrzewała mnie o takie

zamiary. Ale któż z nas, facetów, tak naprawdę zna kobiety?

- Pan Liberales? - zdziwiła się i odłożyła z nabożeństwem piękny kielich.

- Artur - sprostowałem. - Nie jestem na służbie.  
- Ewa - podała mi rękę i uśmiechnęła się uroczo.  
Popatrzyłem z rozmarzeniem w jej cudne oczy. Ale tylko na chwilę, jakbym bał się, że urok chwili można spłoszyć jednym westchnięciem.  
- Widzę, że przygotowuje pani nasz znaleziony skarb na wystawę - zmieniłem temat i popatrzyłem na pudło z eksponatami.  
- To już wkrótce. Okazało się, że przeor Gabriel zakopał dary ofiarowane przez Andrzeja Oporowskiego! Eksponaty zostaną umieszczone w tej oszklonej gablocie z systemem alarmowym. Piękne rzeczy, warte więcej niż dwadzieścia tysięcy euro. Złoty kielich wysadzany rubinami jest jednak nieco uszkodzony, jak pan widzi, brakuje wielu kamieni, piękny pectorał też ma spore ubytki. O dziurawych florenach nie wspomnę. Jednak to cenne znalezisko dla polskiej kultury.  
Na mnie oczyszczony kielich zrobił imponujące wrażenie - lśnił zmatowiałym złotem.  
Nie szpeciło go wcale długie pęknięcie.  
- Może dałaby się pani namówić na kawę w Kutnie - zaryzykowałem, czym sam siebie zaskoczyłem.  
Jej odpowiedzi oczekiwałem z wielkim napięciem, jakby od tego zależało moje życie.  
Ewa popatrzyła na pozostałe eksponaty, a następnie zerknęła na zegarek.  
- Mam trochę pracy - wahała się. - Ale niedługo kończę. Nie mogę panu odmówić. Okazał się pan najlepszym detektywem. I do tego szczodrym.  
- Wolałbym, aby nie umawiała się pani z detektywem, a z nauczycielem.  
- Och, przepraszam. Zgoda.  
Kiedy wyjeżdżaliśmy z zamku przez bramę naprzeciwko budynku biblioteki, minęła nas taksówka. Jechała wolno i przyśpieszyła dopiero w chwili, gdy znaleźliśmy się poza murem. Wydawało mi się, że dostrzegłem w niej starszą kobietę. Miss Marple. Ale taksówka szybko minęła cukrownię i znikła.  
- Czy coś się stało? - zainteresowała się Ewa.  
- Nie - machnąłem ręką. - To przywidzenie.  
Nie byłem jednak tego taki pewien. Być może w taksówce siedziała nieznana mi starsza kobieta, podobna do naszej pisarki. Jednakże niewykluczone też, że była to jednak nasza niedawna konkurentka w poszukiwaniach skarbu paulinów. Tylko co tutaj robiła?  
Przygnała ją nostalgia, czy jakiś bardziej konkretny powód? Czyżby pojedynek detektywów dla niektórych z jej uczestników jeszcze się nie zakończył?  
Trafiliśmy do tej samej cukierni na deptaku w Kutnie, w której siedziałem kilka miesięcy temu z Jolą i dziećmi z Oporowa. Rozmawialiśmy o pojedynku detektywów.  
- Byłem na komendzie głównej w Warszawie - oznajmiłem i upiłem nieco kawy. - Nie tylko odnalezienie skarbu jest interesujące. Jak powiedział mi w zaufaniu inspektor, który przesłuchiwał naszą Miss Marple i inżyniera Kłapickiego, sprawa sięga przedostatnich wakacji. Otóż, Miss Marple nabyła w jakimś holenderskim antykwariacie dziwną tabliczkę. A potem, gdy ujrzała w prasie zaproszenie do pojedynku detektywów w Oporowie wraz z dołączonym zdjęciem tabliczki znalezionej w Drzewoszkach, zgłosiła w nim swój akces.  
- A kim był ten Holender?  
- Eric van Klomper? Wsiąkł jak kamfora i nikt z pozostałych współników nie

przyznał się do znajomości z tym człowiekiem. Wiemy, że to Miss Marple uwolniła jego i Kłapickiego z gospodarstwa Matusiaka. Co do tabliczki, to prawdopodobnie van Klomper sprzedał ją antykwariuszowi. Skąd ją miał, nie wiemy. Ale z pewnością była to autentyczna tabliczka wykonana przez samego przeora Gabriela. Tabliczkę może mieć w dalszym ciągu Miss Marple. Tyle, że udaje głupią, a policji nie interesują historyjki. Moim zdaniem, inżynier Kłapicki zawiadomił van Klompera o tajemniczym pojedynku w Oporowie! Mało tego, on może być nawet spokrewniony z van Klomperem. Nie dziwi panią podobieństwo członu w obu nazwiskach? Owo „Klomp”.

- Klomp? Gdzieś już to słyszałam!

- Zgadza się. Tak nazywał się przybyły w XVII wieku do wsi Mnich cudzoziemiec, Johann Klomp, który poślubił wdowę po Georgiusie Bas z Oporowa, Ann. Kto wie, czy

pamiętnej dla nas zimy 1657 roku nie doszło do morderstwa. Klomp mógł zabić Basa, ożenił

się z Ann, a po latach wrócił do Holandii... z tabliczką. Może zabrał ją z trumny w Mnichu i

podłożył w niej fałszywą? Tego nie wiem. Jakimś cudem, po trzystu pięćdziesięciu latach

prawdziwa tabliczka trafiła do antykwariatu i została kupiona przez Miss Marple. Tylko, że

na scenie pojawił się nieoczekiwanie jej „spadkobierca” w osobie van Klompera, zawiadomiony z kraju przez inżyniera Kłapickiego. Nasz Hannussen przypadkowo odkrył

powiązania Miss Marple z tymi ludźmi i dlatego został przez nich porwany i osadzony w wiatraku.

- Ma pan bujną wyobraźnię - westchnęła.

- Kto wie, może moja wersja jest prawdziwa. Ale proszę mi mówić Artur.

Pożegnanie z Ewą należało do jednej ze smutniejszych chwil w moim życiu. Nie potrafiłem się przełamać i wyrazić swoich uczuć. Piękna kobieta czekała na jakiś znak ode

mnie, wyczułem to, ale ja uparcie trwałem w przekonaniu, że z naszej znajomości nic nie

wyjdzie. Wolałem dalej tkwić w swojej tchórzliwej zbroi. A może chciałem na

zachować w pamięci piękną kustosza jako niedostępny ideał? Szkoda. Kiedy ją zęgnąłem,

wydawało mi się, że w jej spojrzenie zakradł się smutek. Odeszła z mojego życia spokojnie

jak mgła. Lekko i bez żalu. Bez zbędnych słów. I była już tylko wspomnieniem jesieni. Iluzją.

\*

Zakończenie całej historii, pojawiło się niespodziewanie na początku ostatniej jesieni.

Jola, którą ostatnio rzadziej widywałem (na konkursie pianistycznym zajęła drugie miejsce!),

wpadła do mojego mieszkania wprost z zalanej deszczem ulicy. Na zewnątrz bowiem od

kilku dni padało i miałem więcej czasu na lekturę.

Jola trzymała w ręku jakąś książkę i mocno pociągała zaczerwienionym noskiem.

- Nasza Miss Marple napisała bestseller! - krzyknęła już w progę.

Była to powieść detektywistyczna o poszukiwaniu skarbu klasztoru paulinów w miejscowości O.! „O” jak Oporów! „O” jak środkowy znak na tabliczce, a konkretnie jak

kształt stawu. Wypisz wymaluj nasza oporowska przygoda! Autorka zmieniła kilka postaci i większość wątków, ale całość przypomina naszą niedawną historię.

- Najciekawsza była wersja wydarzeń, które rozegrały się zimą 1657 roku - Jola otworzyła książkę na którejś z ostatnich stron. - Idę zaparzyć herbatę. Przeczytaj to na głos!

Poszła do kuchni. Zerknąłem na wskazany fragment.

- W gwiaździstą i mroźną noc - zacząłem czytać po chwili - zakonnik zapakował na wóz trumnę biskupa i skrzynię ze skarbem. Było bezwietrznie i konie szły sprawnie do pobliskiej wsi. Tam w czarnym jak noc kościele ukrył trumnę patrona i zaznaczył ją trzema krzyżami. Przed jej zamknięciem włożył do środka tabliczkę na wypadek swojej śmierci.

Tabliczka była kluczem do skarbu.

Gdy wychodził z mrocznej krypty, mróz ścisnął bardziej, lecz jego zdziwiły pozostawione na bielutkim prześcieradle śniegu ślady stóp. Świeże i prowadzące za mur, świadczące o tym, że przed chwilą ktoś tutaj był, stał pod okienkiem prowadzącym do krypty i uciekł.

„To miejscowy włóczęga” - pomyślał zakonnik i wsiadł na wóz.

Po chwili namysłu wszedł ponownie do krypty i otworzył trumnę z trzema krzyżami. Wyjął tabliczkę i włożył ją do sąsiedniej trumny. Tak na wszelki wypadek, gdyby ów włóczęga zjawił się tutaj ponownie i zainteresował przywiezioną trumną. Nikt nie mógł znaleźć tej tabliczki!

Pół godziny zajęła mu powrotna droga, podczas której oglądał się za siebie bez ustanku, spodziewając się napadu. Skrzynia. To ona była powodem jego rozterki. Nie spał

przez nią już piątą noc. Obce wojska lada dzień miały wkroczyć do wioski i musiał dobrze ukryć skrzynię przed barbarzyńcami, którzy nie tylko zabijali, ale podkładali ogień pod święte miejsca; rabowali i gwałcili. Ta skrzynia mogła skusić każdego. Złoty kielich i pectorał były niezwykle cenne. I teraz on, wierny sługa Boży, wiózł w mroźną noc ten majątek wybrany z klasztornego skarbcza.

Zobaczył wieżę swojego kościoła, mur opasający kamiennym kołnierzem klasztor, ale skręcił na południe, jadąc w dalszym ciągu pośród martwych pól. Dojechał do samej rzeki i tam, minąwszy drogę na Orłów, jechał nieużytkami, kierując się według wcześniej ustalonego planu na gwiazdozbiór układający się w literę „M”. Wóz podskakiwał na nierównościach, na kamieniach, ale mnich nie musiał popędzać konia. Gniady szedł prosto na staw, który odwiedzili wczorajszego wieczoru. Było to małe jezioro pokryte grubym lodem, w którym

zakonnik wyrąbał kilka dni wcześniej przerębę.

Jeszcze przed ukryciem skrzyni sprawdził jej szczelność. Dobrze zabezpieczona zanurzyła się szybko w ciemnej, nieprzyjaznej toni, woda pochłonęła skarb bez jednego szmeru.

Przerwałem lekturę. Jola wniosła do pokoju tacę z dwoma filiżankami parującej herbaty. Nie wytrzymałem i zacząłem dalej czytać:

- Wraciał pełen obaw o ukryty skarb. Gdy tylko obce wojska opuszczą te strony, a on

przeżyje, wydobędzie skrzynię ze stawu. Ukryć jej w kościele nie mógł. Zbyt często słyszał o pożarach zamków i kościołów. Nieprzyjaciel grabił i niszczył wszystko, co napotykał na swej drodze.

Za dwa dni wojska nieprzyjaciela weszły do wsi i ograbily wioskę, z zamkiem i świątynią Pana łącznie. Dzielnny zakonnik był torturowany trzy dni, po czym zmarł w okropnych mękach. Skarb ukryty w stawie i trumna ze zwłokami patrona pozostawiona w opuszczonym kościele nie dostały się w ręce najeźdźcy, ale zakonnik pożegnał ten najkrwawszy ze wszystkich padołów, wierząc, że tajemnicę zabiera do grobu. Tak myślał w ostatniej sekundzie swojego życia.

Ale mylił się zakonnik. Ten, który go widział w opuszczonym kościele, ów „włóczęga”, który pozostawił na śniegu ślady butów, wrócił szybko do krypty i w jednej z dwóch naruszonych trumien znalazł dziwną tabliczkę. „Włóczęga” był Georgius - cieśla klasztorny. A wracał on z wizyty od przyjaciela, świeżo przybyłego na ziemie polskie protestanta z Vincty.

Przechodząc obok kościoła, przypadkowo rozpoznał zakonnika z klasztoru z jego wsi. Nie wrócił zatem do O., a pognął zaraz do współziomka. Cały dzień naradzali się nad znaczeniem tabliczki i nie mogli zrozumieć, dlaczego zakonnik ukrył trumnę w innym kościele ? A bał się ów cieśla zapytać zakonnika o to wprost.

Ale protestant z Vincty przeczuł, że tabliczka może zaprowadzić go do skarbu. Był sprytny i chciwy; i umiał pisać - w przeciwieństwie do swego rodaka (świeżo upieczonego katolika). Kilka dni zajęło protestantowi przygotowanie z miedzi podobnej, fałszywej tabliczki, w której poprzestawiał kilka znaków, tak aby cieśla niczego się nie domyślił. Podmienił tabliczki w trumnie, zachowując prawdziwą dla siebie.

Gdy mrozy zelzały, Georgius potajemnie wywiózł trumnę, w której znalazł tabliczkę, i zakopał ją bez wiedzy rodaka w innej wsi. Jako człowiek nad wyraz pobożny, nie mógł pozwolić na zbezczeszczenie zwłok. Bał się. Dziwna blaszka z literami mogła spowodzić nieszczęście na jego rodzinę, a może nawet na całą wieś.

Niedługo potem, gdy zgliszczą przestały dymić, a krew poległych wsiąkła w śnieg, ów cieśla klasztorny został zgładzony przez swojego ziomka. A było to wtedy, gdy Georgius przyłapał swą niewiastę na cudzołóstwie. Protestant z Vincty poślubił wnet Ann. Dochował się synów i córek, a po latach wrócił do ojczyzny, zabrawszy ze sobą prawdziwą tabliczkę.

Tabliczka przetrwała wieki. Protestantowi z Vincty bowiem nigdy nie udało się jej rozszyfrować. Przeleżała w kurzu na strychu w domu jego potomków, nikt z jego wnuków nie wiedział, co takiego zostało zapisane na tabliczce, aż wreszcie po trzydziestu pięćdziesięciu latach jeden z potomków odnalazł ją w stercie szpargałów.

Pewnego dnia tajemnicza tabliczka trafiła do antykwariatu w Bremie...

KONIEC